

# Hiszpańska serenada

Jennifer Blake



calibre 0.9.27

**JENNIFER BLAKE**

***HISZPAŃSKA***

***SERENADA***

**ROZDZIAŁ I**

Pilar Maria Sandoval y Serna wiedziała, że to, na co się porywa, jest czystym szaleństwem. Nawet za dnia przypadkowe spotkanie z banitą El Leonem, lwem andaluzyjskich wzgórz, było niebezpieczne, a cóż dopiero mówić o zaproszeniu go o północy na osłonięte drzewami patio, gdzie swoje życie i honor miała złożyć w jego ręce. Jednak zdecydowała postawić wszystko na jedną kartę; niektóre sprawy są warte najwyższego ryzyka.

Pilar przemierzała patio wyłożone ceramicznymi płytkami. Jak to się często zdarza w Sewilli, pod koniec grudnia noc była chłodna. Dziewczyna ciasniej owinęła się szalem. Oczywiście to ten chłód przyprawiał ją o dreszcze. Bo dlaczego niby miałyby się bać El Leona? Jej ojczym, don Esteban, to doprawdy wcielony diabeł, a przecież nie trzęsła się przed nim ze strachu. Jemu wydawało się, że ją złamał. Ale ona mu jeszcze pokaże. Jeszcze się z nim policzy.

Noc była cicha. Tylko od czasu do czasu z pobliskiej uliczki dochodził na patio stłumiony turkot powozów, którymi powracali do domów ostatni hulacy. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Nieco bliżej, pod którymś z domów, jakiś zakochany młodzieniec, uderzając lekko w struny gitary, śpiewał swej wybrance melodyjną andaluzyjską pieśń. W niskim, ciepłym głosie mężczyzny pobrzmiwała tłumiona tęsknota.

Światło księżyca sączyło się na patio spomiędzy gałęzi egzotycznych drzew, zostawiając pola cienia pod pomarańczowymi drzewkami o lśniących liściach. Kropelki wody w strumieniu tryskającym z kamiennej fontanny mieniły się jak drobiny księżycowego

kamienia. Smugi światła padały na misterne wzory mauretańskiej posadzki oraz kaskady intensywnie różowych kwiatów geranium, nadając płatkom blad różowy odcień. W księżycowej poświacie jasnobrązowe włosy Pilar połyskiwały złoto, skóra na kościach policzkowych lśniła perłowo, a piwne oczy nabrały tajemniczej głębi.

Pilar zatrzymała się i stojąc nieruchomo, wsłuchiwała się w serenadę. Ta pieśń i głos mężczyzny poruszały ją do głębi. I chociaż nie do niej adresowano serenadę, rozrzewniła się, aż zadławiły ją łzy, jak gdyby odczuwała ból śpiewającego, a on z kolei rozumiał i dzielił z nią jej cierpienie.

Wzruszenie pomogło jej opanować niepokój.

Pieśń umilkła. Przebrzmiały ostatnie akordy gitary i na powrót zapanowała cisza.

Dziewczyna potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić od siebie rojenia wywołane księżycowymi czarami. Marszcząc brwi, usunęła się z plamy światła w cień lodzii. Nie może dopuścić, by dostrzeżono ją z domu. Co prawda ojczym udał się na przyjęcie, lecz jej dueña nadal siedziała nad koronkami. Dueña była siostrą don Estebana i drżała ze strachu nawet na widok jego cienia.

Teraz była przekonana, że Pilar śpi, więc nie należało wyprowadzać jej z błędu.

Gdzie jest El Leon? Przecież dostał wiadomość!

A może nie? Miała tak mało czasu, aby ją przekazać, i żadnej nadziei na podjęcie następnej próby.

Już sam fakt, że w ogóle nadarzyła się okazja, graniczył z cudem. Teraz potrzebowała kolejnego cudu - odpowiedzi El Leona na wezwanie. Nie ma żadnej gwarancji, że się zjawi.

Dla niego wizyta w domu don Estebana Iturbide była takim samym szaleństwem, jak dla niej próba kontaktu z banitą. Don Esteban zabiłby go bez wahania jak wałęsającego się psa.

Gdzieś w kącie ogrodu zaszeleściły palmowe liście. Pilar znieruchomiła. Wytężając

oczy, wpatrywała się w ciemności, nasłuchując w napięciu. Niestety ... to nie on.

Prawdopodobnie podmuch chłodnego, nocnego wiatru poruszył palmowymi liśćmi nad ogrodzeniem. A może ptak obudzony ze snu załopotał skrzydłami?

Pierś Pilar uniosła się i opadła pod wpływem głębokiego westchnienia. Otuliła się szczerzej szalem i na nowo jęła przemierzać patio.

Aż dziw bierze, że don Esteban jeszcze nie pozbawił jej życia. Był do tego zdolny, przecież zabił jej matkę. Pilar nie dysponowała żadnymi dowodami na poparcie swych podejrzeń, ale znając go, nie miała wątpliwości, że tak właśnie było.

Nienawidziła tego napuszonego, niskiego mężczyzny o złym spojrzeniu i wyperfumowanej, przyciętej w szpic brodzie od dnia, kiedy sześć lat temu matka przedstawiła go jej jako przyszłego ojczyma. Pilar od początku nie ukrywała swych uczuć względem niego, a nawet więcej zrobiła wszystko, co było w mocy szesnastoletniej dziewczyny, żeby zapobiec temu małżeństwu. Nic jednak nie wskórała. Matka pozostała głucha na argumenty.

Don Esteban jest samotnym wdowcem, czarującym człowiekiem o odpowiedniej pozycji społecznej - tłumaczyła z uśmiechem zadowolenia, gładząc przy tym jedwabiste włosy córki, która siedziała na stołeczku u jej stóp. Małżeństwo z nim przyniesie jej honory i przywileje, ponieważ don Esteban ma objąć ważne stanowisko na dworze w Madrycie. Oboje będą tam błyszczeć, kiedy ona swą fortuną wesprze majątek przyszłego męża. To naturalne, że Pilar nie przepada za człowiekiem, który ma zająć miejsce uwielbianego ojca, ale minie trochę czasu i przywyknie do niego. A kto wie, czy za rok lub dwa, kiedy Pilar trochę podrośnie, nie dojdzie do jej zaręczyn z synem don Estebana z poprzedniego małżeństwa?

Nigdy - postanowiła w duchu Pilar. Przenigdy! Miała okazję poznać go podczas jednej z wizyt. Zapędził ją w kąt ciemnego salonu i drwiąc z protestów, zaczął ją obmacywać, a kiedy go kopnęła w goleń i uciekła, obrzucił ją wyzwiskami. Nigdy w życiu nie przyjęłaby

oświadczyń tego z gruntu złego i zadufanego w sobie młodzieńca. Nie sądziła też, by don Esteban okazał się choć trochę lepszy od swego ukochanego synalka.

Nikt jednak nie liczył się z jej zdaniem. Don Esteban zemścił się na niej za, jak to określił, wścibianie nosa w nie swoje sprawy, gdy tylko uroczystości ślubne dobiegły końca. Wywiózł ją do przyklasztornej szkoły i osobiście pofatygował się do matki przełożonej, aby poinformować ją, że Pilar jest kapryśną; zepsutą dziewczyną i potrzeba jej dyscypliny. Życzył sobie, żeby w klasztorze wpojono jej szacunek dla starszych, nauczono trzymać język za zębami, a także, by utemperowano jej żywiołową naturę, która nie przystoi damie. Gdy parę miesięcy później nadeszła wiadomość, że syn don Estebana zginął w pojedynku, zakonnice zmusiły Pilar, aby całymi godzinami modliła się na klęczkach za jego duszę, dlatego że śmiała głośno powiedzieć, iż cieszy się z jego śmierci.

Pilar dostała lekcję pokory. Nauczyła się stwarzać pozory osoby potulnej i posłusznej, choć w duszy wrzała z gniewu. Uginała kark przed tysiącem absurdalnych zakazów i nakazów, myśląc jednocześnie o tym, jak je obejść. Przyjmowała kary z uśmiechem skruchy nawet wtedy, kiedy w myślach planowała zemstę. I chociaż wszelka obłuda budziła w niej wstręt, z konieczności nauczyła się być dwulicowa.

W ciągu sześciu lat spędzonych w klasztorze ani razu nie wolno jej było pojechać do domu czy skontaktować się z matką. A jednak dzięki dziewczętom, które wyjeżdżały do rodzin, dochodziły do niej różne pogłoski. Don Esteban najwyraźniej należał do starej, konserwatywnej szkoły. Uważał, że miejscem kobiety jest dom, jak to było za mauretańskich czasów. Oczywiście skrzętnie ukrywał swe poglądy przed ślubem. Matka Pilar nie błyszczała na dworze, bo jej nowo poślubiony małżonek zawyrokował, że, zamiast paradować po pałacach, ma żyć skromnie w granicach posiadłości. I nie powinno jej obchodzić, że on przystraja się w cenne koronki i nosi rzadkie okazy szmaragdów. Nie wolno jej kwestionować

jego wydatków ani zadawać pytań na temat posagu, który obecnie należy do niego, ani też zastanawiać się nad wartością jego osobistej fortuny. Jako żona ma obowiązek spełniać polecenia męża i podporządkować się zasadom ustalonym przez niego. Każde jego słowo jest prawem, a on nie życzy sobie, aby Pilar mieszkała z nimi pod jednym dachem. Kiedy w zeszłym roku do Pilar dotarła wiadomość, że matkę trawi jakaś postępująca choroba, napisała list, w którym błagała o pozwolenie na przyjazd do domu, ale nie doczekała się odpowiedzi. Wtedy zwróciła się do swej jedynej krewnej, siostry ojca, mieszkającej w Kordobie, w nadziei, że ta podejmie się interwencji. Ciotka skontaktowała się z don Estebanem, lecz nic nie działała. Don Esteban zapewnił starszą damę, że nie ma powodów do niepokoju, a Pilar tylko sieje zamęt. Więc Pilar napisała jeszcze jeden list do spowiednika matki, ojca Domingo, lecz nie uzyskała ani wyczerpujących wyjaśnień o tym, co dzieje się z matką, ani zgody na wyjazd do domu.

Potem matka umarła. To właśnie ojciec Domingo wymógł w końcu na Estebanie, aby pozwolił Pilar pomodlić się za jej duszę przy trumnie. Ludzie będą się dziwić, argumentował ksiądz, jeżeli córki zabraknie na pogrzebie. Mogą zacząć spekulować, dlaczego ojczym trzyma ją z daleka od domu; co ma do ukrycia. Ojciec Domingo przestał być mile widzianym gościem w domu don Estebana Iturbide, ale dano Pilar eskortę do Sewilli.

Dom, w którym matka żyła w zamknięciu i gdzie umarła, był w posiadaniu rodziny ojca Pilar od ponad pięciuset lat, od czasu gdy Ferdynand Święty wyparł Maurów z Sewilli. Po powrocie Pilar z trudem rozpoznała rodzinne gniazdo. Nad drzwiami, w miejscu herbu rodu Sandoval, widniało ogromne, szpetne godło Iturbidów. Nadęci lokaje zastąpili służbę domową, która pracowała u Sandovalów od niepamiętnych czasów. Pilar nie dostrzegła ani jednej znajomej twarzy. Z komnat i korytarzy usunięto stare, rzeźbione meble, zdjęto ze ścian gobeliny, zabrano złotą i srebrną zastawę.

Zniknęły gdzieś stroje matki, jej konterfekty, a także wykwinna złota biżuteria.

Don Esteban ogołocił dom, aby za pomocą pełnej kiesy wyjednać sobie stanowisko na dworze.

Najwyraźniej osiągnął cel i zaspokoił ambicję, bo przyznano mu posadę pena de camara, czyli poborcy grzywien we władzach miejskich Nowego Orleanu, w hiszpańskiej kolonii Luizjanie.

Ponieważ urząd dawał mu znaczną władzę, a także gwarantował dziesięć procent wartości ściągniętych grzywien, należało przypuszczać, że dochody z łapówek szybko zrekompensują koszty uzyskania synekury. Chodziły słuchy, że nadanie owego stanowiska don Estebanowi było wybiegiem, mającym na celu uwolnienie osoby króla od nieznośnego dworaka i jego ciągłych knowań w pogoni za zaszczytami. Jeżeli Esteban znał prawdziwe motywy decyzji króla, skrzętnie je ukrywał i puszył się, jak gdyby obdarzono go największymi honorami.

Dzień po powrocie don Estebana z Madrytu z wiadomością o nominacji zmarła matka Pilar. Jej zgon był dla niego bardzo korzystnym zrządzeniem losu, ponieważ nie mógłby wywieźć chorej żony do Luizjany ani też zostawić jej w domu, nie narażając się przy tym na oskarżenie, że opuścił ją w potrzebie. Później Pilar dowiedziała się od swojej przyzwoitki, a zarazem siostry Estebana, że ojczym kilka miesięcy wcześniej przywiózł swej żonie z Madrytu jakiś specjalny eliksir. Nakazał jej pić go regularnie i wydał ścisłe dyspozycje służbie, aby tego dopilnowała. Rankiem, w dniu śmierci, osobiście go podał. Natomiast po uroczystościach pogrzebowych bezzwłocznie udał się do domu i zarządził pakowanie rzeczy na podróż do Luizjany.

Owionął ją podmuch nocnego powietrza, gdy, zaciskając dłonie na materii szala, zatrzymała się w pół kroku. Czy jej się zdawało, czy rzeczywiście w pobliżu pękatego

glinianego pojemnika na deszczówkę zamajaczył jakiś cień? Trudno powiedzieć; może wiatr zakołysał krzewem oleandra, rosnącym tuż za nim, a może zwodzi ją wyobraźnia, znużona wyczekiwaniem? Trzecią noc z rzędu czekała na El Leona, ale on się nie zjawiał. Jeżeli nie przyjdzie dzisiaj ani jutro, będzie za późno.

Tłumiąc strach, rozmyślnie odwróciła się tyłem do zacienionego kąta i podjęła przerwany obchód.

Gdzieś w pobliżu zamiauczał kot, a tuż za murem ogrodu, na ulicy, dwaj spóźnieni przechodnie prowadzili półgłosem rozmowę. Potem wszelkie odgłosy umilkły i znowu zrobiło się cicho. Za cicho.

Pilar zadrzała. Aby opanować lęk, zajęła myśli rozpamiętywaniem przeszłości.

Nie zdradziła się ze swymi podejrzeniami podczas uroczystości pogrzebowych. Wiele kosztowało ją panowanie nad gniewem i rozdzierającym serce żalem. Jednak po pogrzebie nie wytrzymała i zrobiła awanturę Estebanowi.

Zarzuciła mu, że ograbił dom jej ojca. Oświadczył wówczas, że miał prawo sprzedać, co mu się żywnie podobało; po śmierci pierwszego męża matka Pilar odziedziczyła jego posiadłość, a ponieważ nie doczekali się potomków płci męskiej, w dniu ślubu z don Estebanem, na mocy małżeńskiego kontraktu, wszystkie dobra należące do niej stały się własnością drugiego męża, czyli jego. Co to zresztą ma za znaczenie, podsumował, skoro w klasztorze Pilar nie będzie potrzebować ani mebli, ani biżuterii.

Pilar, dla ostrożności spuszczać z tonu, zapytała, dlaczego musi wrócić do sióstr.

Dowiedziała się, że nie wypada, aby mieszkała w domu sama, kiedy on będzie przebywać w Luizjanie, a poza klasztorem nie ma innego miejsca ani innej osoby, która zatroszczyłaby się o jej dobro. Jako dwudziestodwuletnia kobieta nie ma specjalnych widoków na zamążpójście. Szczerze mówiąc, była już starą panną. W zakonie znajdzie schronienie, a on osobiście złoży



w jej imieniu dar dla kościoła - skrzynkę złota wartą kilka tysięcy peset. To wiano zapewni jej wygodę i odpowiednią pozycję, należną jej ze względu na pochodzenie.

Pilar nie była zachwycona ani wątpliwą troską o jej dobro, ani też wyprawą, której wartość stanowiła mizerny ułamek fortuny należnej jej po śmierci matki. Oświadczyła stanowczo, że nie ma zamiaru wracać do klasztoru. Co więcej, jest takie miejsce, gdzie może zamieszkać, i osoba, która roztoczy nad nią opiekę. Pojedzie do swojej ciotki do Kordoby. Wtedy ojczym zaczął na nią krzyczeć, a ona nie pozostała mu dłużna. Potem don Esteban zawołał swego majordomusa i z jego pomocą siłą zawlókł Pilar do jej sypialni. Wepchnąwszy ją do środka, zamknął drzwi na klucz. Dwie noce później obudził ją chrobot klucza w zamku. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do sypialni wtargnął jakiś mężczyzna. Pilar z okrzykiem usiadła na łóżku. Mężczyzna, nie odzywając się ani słowem, podszedł do niej i złapał ją za nogę. Wyrwała mu się i wyskoczyła z łóżka. Pochwycił ją jednak i kiedy się szamotali w ciemnościach, do sypialni wpadł ojczym ze świecznikiem wysoko uniesionym nad głową, a tuż za nim grupka kobiet i mężczyzn. Sprawiali wrażenie gości sproszonych na przyjęcie. W świetle świec Pilar rozpoznała napastnika. Był nim Carlos, pryszczaty młodzieniec o obwisłych wargach, totumfacki jej ojczyma. O dziwo, gniew Estebana nie spadł na rozpustnika, lecz na nią. Rozwścieczony wykrzykiwał, że Pilar zwabiła Carlosa do swej sypialni. Jest bezwstydna i czyni despekt jego domowi. Musi albo poślubić kochanka, albo on, don Esteban, jeszcze tej nocy odeśle ją do klasztoru, żeby więcej nie hańbiła ani jego, ani siebie samej.

Pilar odgadła, że to podstęp; niestety, została niezaprzeczalnie skompromitowana.

Goście ojczyma stali w drzwiach i patrzyli na nią szeroko otwartymi oczyma. Najwyraźniej nie uwierzyli w jej wersję wydarzeń. Poślubiając tego chłystka Carlosa, nic by nie zyskała. Ta bezwolna kreatura, szczerząca teraz zęby w lubieżnym uśmiechu, rościłaby sobie prawa nie

tylko do jej ciała, ale też do wszystkiego, co do niej należało. Carlos był tak bardzo uległy wobec don Estebana, że natychmiast przekazałby mu część majątku, jaki przypadła jej po matce z chwilą zamążpójścia. Jeżeli wyrazi zgodę na powrót do klasztoru, może przynajmniej grać na zwłokę. Chwyając się tej myśli, przybrała skruszoną i pokorną minę. Siłąc się na szloch, ze łzami w oczach błagała, by pozwolono jej wrócić do jej maleńkiej celi, gdzie w otoczeniu dobrotliwych sióstr spędzałaby czas w sposób, jaki znała i do którego przywykła. Udawała tak przekonująco, że don Esteban, zaskoczony jej uległością, wyraził zgodę, choć z mniejszą, niż można by się spodziewać, ochotą. Niełatwo było zachować pozory rezygnacji, kiedy w duszy Pilar wrzała z gniewu, ale wytrwała w swej roli. W nagrodę pozwolono jej do dnia wyjazdu uczestniczyć w porannych nabożeństwach ojca Domingo. W kościele udało jej się zbliżyć do księdza i zwierzyć mu się ze swoich problemów. Prostolinijny duchowny jedynie westchnął i doradził, aby przyjęła swój los z pokorą i uległością. Don Esteban nie może być aż tak zły, jak go opisuje, bo czyż ten złamany żałobą mąż nie obiecał ufundować witraża w kościele, aby uczcić pamięć zmarłej żony? Niezbadane są wyroki boskie. Być może przeznaczeniem Pilar jest zostać poślubioną Chrystusowi i właśnie w ten sposób Bóg wskazuje jej drogę?

Pilar absolutnie nie czuła powołania. Zbyt mocno ceniła sobie wygodę i światowe życie. Bardzo za nimi tęskniła podczas pobytu w klasztorze i nie miała zamiaru dobrowolnie z nich zrezygnować. Zamiast myśli o uległości w jej głowie lęły się tysiące pomysłów dotyczących zemsty i najbardziej szalone plany ucieczki.

Najnowszy narodził się na widok młodego człowieka, Vicente de Carranzy y Leona.

Vicente, który w lepszych dla siebie czasach mieszkał w jej sąsiedztwie, obecnie studiował teologię na uniwersytecie i codziennie przychodził na mszę. Na sympatycznej i przystojnej twarzy tego dobrze zbudowanego młodzieńca rzadko kiedy gościł uśmiech. Nie miał zbyt

wielu powodów do radości. Parę lat temu, krótko po ślubie z matką Pilar, don Esteban Iturbide doprowadził do ruiny jego rodzinę.

Śmiertelnie zwaśnione rody Carranzów i Iturbidów od pokoleń toczyły ze sobą wojnę.

Powiadano, że to don Esteban najął zbirów, którzy zabili ojca Vicente. Co więcej, syn Estebana, ten, którego miała poślubić Pilar, porwał i zgwałcił jego siostrę. Dziewczyna potem popełniła samobójstwo. Kiedy Refugio, starszy brat Vicente, chcąc ją pomścić, wyzwiał gwałciciela na pojedynek i zabił, don Esteban doprowadził do oskarżenia go o zabójstwo, wykorzystując swe nowo zdobyte koneksje na dworze. Refugio nie miał zamiaru poddać się gwardii cywilnej, nasłanej na niego przez Estebana. Próba aresztowania zakończyła się walką, w której trzech najemników don Estebana straciło życie. Refugiowi pozostała jedynie banicja, więc ukrył się w górach. Był teraz rozbójnikiem, El Leonem, czyli lwem. Swój przydomek zawdzięczał podobieństwu do tych królewskich, niebezpiecznych zwierząt, podobnie jak on żyjących wśród wzgórz, a także swej matce, której panieńskie nazwisko brzmiało El Leon. Refugio de Carranza y Leon miał powody, by nienawidzić don Estebana równie mocno jak Pilar.

Następnym razem, gdy Pilar zobaczyła Vicente przed kościołem, czym prędzej wysforowała się przed swoją przyzwoitkę, która przeciskała się za nią wśród tłumu zdążającego na poranną mszę. Zbliżywszy się do niego, spojrzała wymownie w jego ascetyczną, poważną twarz i niby niechcący upuściła na ziemię szal. Vicente przyklęknął, żeby go podnieść, a ona uczyniła to samo. Odbierając szal z jego rąk, powiedziała szeptem parę słów. Spojrzał na nią swymi czarnymi wyrazistymi oczami, zanim schylił głowę w ukłonie, lecz nic nie odpowiedział. Pilar odwróciła się i weszła do kościoła, bo właśnie dogoniła ją dueña.

Czy Vicente zrozumiał, co mówiła? Wszystko działo się tak szybko, nie miała żadnej

pewności. Czy on ją zna, czy cokolwiek o niej wie? A jeżeli nie, czy zada sobie trud, aby się dowiedzieć? Jak się zachowa, poznając jej położenie; uczyni to, o co go prosiła, czy zapomni o całej sprawie, uznając incydent za nieistotny? Jak wiele zależało od tamtego krótkiego spotkania! Oczywiście, zakładając nawet, że Vicente przekazał bratu jej prośbę o spotkanie o północy w ogrodzie rezydencji don Estebana, nie miała żadnej pewności, iż El Leon się zjawi. Jedynie wyjątkowe połączenie nienawiści, odwagi oraz brawury mogło popchnąć go do tego kroku. Zbliżał się świt. Kroki Pilar spowolniały. Naturalnie była znużona czuwaniem przez trzy noce z rzędu, lecz to utrata nadziei odbierała jej energię. Była taka pewna, że udaremni plany don Estebana, tak bardzo wierzyła, iż go przechytry. Czy z El Leonem, czy bez niego, musi znaleźć jakieś wyjście. Ogarniało ją zniechęcenie na myśl, że będzie zmuszona poszukać innego sposobu. Tak bardzo liczyła na pomoc Refugia de Carranzy!

Ach, jaka szkoda, że nie urodziła się mężczyzną! Pokonałaby ojczyma w pojedynku, a potem zmusiła, żeby wyznał, jak doprowadził do śmierci matki i gdzie podziało się jej dziedzictwo. Z jaką satysfakcją zanurzyłaby stalowe ostrze w piersi Estebana, patrząc, jak na jego twarzy, w miejsce cynicznego grymasu, pojawia się wyraz: zdumienia i strachu.

Odrażająca, napuszczona, złośliwa kreatura! To nie do wytrzymania, że musi zginać kark przed jego dyktatami! Zrobi wszystko, co w jej mocy, aby wyzwolić się spod jego władzy. Usłyszała za sobą cichy odgłos, przypominający szelest materiału. Odwróciła się powoli. Ktoś błyskawicznym ruchem schwycił ją od tyłu w pól, zamykając w uścisku silnym jak obręcz z toledańskiej stali, i nakrył usta dłonią. Wciągnęła powietrze, instynktownie próbując odepchnąć łokciem napastnika. Pod fałdami peleryny kryło się ciało twarde jak skała. Ucisk na żebrach spotęgował się jeszcze, pozbawiając ją oddechu. Zamotana w wełnianą pelerynę, przyciśnięta plecami do muskularnego męskiego ciała, czuła bijące od niego ciepło.

- Nie ruszaj się - usłyszała tuż przy uchu cichy, głęboki głos. - Niewątpliwie wiele satysfakcji sprawiłoby mi pohańbienie kobiety z rodziny don Estebana na patio jego własnego domu, lecz w tej chwili nie jestem w nastroju. Sprowokuj mnie, a mogę zmienić zdanie.

To mógł być tylko El Leon, nikt inny. Pilar rozgniewała ta podejrzliwość i uścisk miażdżący żebra. Potrząsnęła głową, usiłując wysunąć twarz spod jego dłoni.

- Chcesz mówić, prawda? To bardzo pomyślna wiadomość, bo niczego bardziej nie pragnę niż cię wysłuchać. Radzę jednak, by twoje słowa były ciche i miłe dla mego ucha jak gruchanie gołębic. Ręka na ustach Pilar uniosła się odrobinę. Poczekała, aż ją całkiem zabierze, zanim się odezwała.

- Puść mnie. Łamiesz mi żebra - powiedziała cicho, z wyrzutem.

- Czy mam również złożyć u twoich stóp moje życie przewiązane wstążką i ozdobione bukiecikiem zasuszonych róż? Dziękuję, ale nie. I wyznam, że nadal rozważam możliwość odwetu. Intymnej natury, oczywiście.

- Nie zrobiłbyś tego!

- Dlaczego nie? - zapytał. Jego dotąd łagodny głos nabrał szorstkości.

- Ostatniego gwałtu dopuścili się Iturbidowie na Carranzach. Teraz nasza kolej.

- Nie jestem Iturbide i nie mam nic wspólnego z waszymi waśniami!

- Ale jesteś w domu Iturbidów i to wystarcza - padła bezwzględna odpowiedź.

- Nie z własnej woli. Poza tym kiedyś to był dom mojego ojca. - Pilar czuła na plecach głośnie bicie serca El Leona. Jego siła oraz zapach jego ciała, mieszający się z wonią wełny, końskiego potu i aromatem nocnego powietrza, działały jej na zmysły. Miała ochotę się odwrócić i spojrzeć na niego, ale nie mogła wykonać najmniejszego ruchu.

- Wiem o tym. Znam również twoje rodowe nazwisko, status i najnowsze dzieje.

Ponieważ nie jestem głupcem ani romantycznym szaleńcem, sprawdziłem wszystko

dokładnie. Nie wiem natomiast, czego ode mnie chcesz. Niespodziewanie puścił jej talię i chwytając za nadgarstek, odwrócił ją ku sobie. Tracąc równowagę, oparła się ręką o jego pierś. Poczła pod dłonią twarde mięśnie. Siła emanująca z jego osoby odbierała jej pewność siebie. Targana przez wątpliwości, podniosła na niego oczy, niezdolna wymówić słowa. Był wysoki i dobrze zbudowany, a długa, luźna peleryna sprawiała, że wydawał się jeszcze potężniejszy. Twarz o regularnych, ascetycznych rysach pozostała śniada nawet w bladym świetle księżyca. Oczy, ocienione szerokim rondem kapelusza, były jedynie dwoma ciemnymi punktami. Od całej postaci biło zdecydowanie i pewna brutalność. Sprawiał wrażenie osoby całkowicie pozbawionej skrupułów.

Patrząc na dziewczynę, Refugio de Carranza poczuł ucisk w piersi, jakby jakaś niewidzialna ręka schwyciła go za serce. Stawił się na to spotkanie z czystej ciekawości, zaprawionej odrobiną cynizmu. Chciał sprawdzić, jakąż to kobieta była w stanie oderwać Vicente od jego studiów i sprawić, że skorzystał ze sposobu komunikowania się, którego używali wyłącznie w szczególnych sytuacjach. Teraz rozumiał brata. Dziewczyna była piękna. W jej żyłach musiała płynąć domieszka krwi wizygockich najeźdźców, bo cerę miała jasną, taką, jaką często widywał w północnej Hiszpanii, gdzie się urodził, natomiast rzadko spotykał tu, w Andaluzji. Proste ramiona i sposób, w jaki trzymała głowę, świadczyły o dumie i odwadze. Miękkość jej ciała, zapach skóry i jedwabisty dotyk włosów na jego policzku zrobiły na nim takie wrażenie, że z trudem tłumiał chęć, aby ją ponownie przyciągnąć do siebie. Sądził, że jest odporny na tego rodzaju pokusy. Złościło go, że się mylił.

- A więc? - ponaglił ją, kiedy stała, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. - Masz do mnie jakąś sprawę czy to zwykły podstęp? Szukasz pomocy czy raczej powinienem chronić własne plecy przed zdradzieckim atakiem?

- Ja ... nigdy bym cię nie wciągnęła w pułapkę.

- Twoje zapewnienie uspokoiło mnie. Naturalnie po dokładnej inspekcji tego pięknego ogrodu. Mogę jedynie zakładać, że jeśli kryje się w nim skrytobójca, jesteś nim właśnie ty.

- O nie!

- W takim razie to schadzka. Oto ja, twój opieszwały kochanek, zwlekający z pieścizotami. Chodź, daj mi skosztować twych słodkich ust.

Kiedy chciał ją przyciągnąć do siebie, potrząsnęła gwałtownie głową, wrywając rękę, za którą ciągle ją trzymał. - Nie wiem, dlaczego naigrawanie się ze mnie sprawia ci przyjemność.

- A dlaczegoż by nie? Tak mało jest radości w moim życiu. Lecz byłbym jeszcze bardziej zadowolony, gdybyś wyjawiała, po co mnie tu wezwałaś.

- Chcę ... - Urwała, zupełnie pozbawiona pewności, czy to, co zamierza powiedzieć, zabrzmie rozsądnie.

- Tak? Chcesz ... ? Każdy czegoś chce. Czy mam dokończyć za ciebie, bo jesteś nadto wstydliva?

- Nie! - zaprzeczyła czym prędzej. - Chcę ciebie ...

- Wiedziałem!

Zakłopotana i zdenerwowana, spojrzała na niego gniewnie. I wtedy ponad jego ramieniem dostrzegła gryf gitary, którą trzymał przewieszoną przez plecy. Teraz domyśliła się, kto śpiewał tamtą serenadę, rozpoznała magnetyczny timbre głosu. Nie wiedzieć czemu, to odkrycie uwolniło ją od wątpliwości.

- Chcę ciebie prosić, żebyś mnie porwał - wyrzuciła z siebie na jednym oddechu, nieco za głośno. Uścisk na jej ręce osłabł. Pilar wyszarpnęła dłoń i odstąpiła od Refugia o krok. Przez moment czuła satysfakcję, że udało się jej go zaskoczyć. Jednak jej zadowolenie okazało się przedwcześnie.

- Proszę bardzo - powiedział i zdejmując kapelusz, ukłonił się szarmancko. - Jestem do twoich usług. Czy mam to zrobić teraz?

- Chciałabym, ale nie mam czym ci w tej chwili zapłacić. Ale jeżeli mnie odbijesz, kiedy będą odwozić mnie z powrotem do klasztoru, będę miała przy sobie skrzynkę złota, która pojedzie ze mną jako wiano. Weźmiesz ją w nagrodę. Wpatrywał się w nią nieruchomo, jak drapieżnik czający się do skoku na swoją ofiarę.

- Mam być nagradzany? Wystarczy, że wezmę ciebie oznajmił szorstkim tonem po chwili. Gniew i zażenowanie oblały ją gorącą falą.

- Ty ... Ty mnie nie weźmiesz - odparła. - Natychmiast odwieziesz mnie do ciotki, do Kordoby.

- Jesteś tego pewna? - Jego pytanie zabrzmiało dwuznacznie.

Mężczyzna, który stał przed nią, był kiedyś wielkim panem o nieskazitelnym manierach. Posiadał tytuł szlachecki i okazały majątek. Teraz stał się rozbójnikiem, banitą, żyjącym z grabieży. Był El Leonem, przywódcą złodziei i rzezimieszków, który zyskał władzę dzięki temu, że okazał się silniejszy i bardziej bezwzględny od ludzi, którymi dowodził. Jak mogła mu zaufać? Ale czy miała inne wyjście?

- Musisz mi pomóc, Refugio de Carranza! - powiedziała z naciskiem, podchodząc do niego i chwytając go za poły peleryny. - Może to, co mówię, brzmi niewłaściwie, ale nie wiem, jak to inaczej wyrazić. Nie zamierzałam cię obrażać. Pomyślałam jedynie, że złoto ci się przyda. Nie wątpię, że spełnisz mą prośbę, bo w ten sposób wymierzysz cios don Estebanowi. Głęboko go zranisz, porywając pasierbicę tuż spod jego nosa. A jeżeli wszystko się odbędzie na otwartym terenie, na oczach eskorty, nie znajdzie sposobu, aby zatuszować całe zajście ani wyprzeć się, że takie zdarzenie miało miejsce. Refugio zastanawiał się jakiś czas.



- Czy don Esteban będzie towarzyszył eskortie? - zapytał po chwili.

- Sądzę, że tak. Na pewno zechce zobaczyć, jak się zamykają za mną bramy klasztoru.

- Czy zdajesz sobie sprawę - zaczął, odciągając jej rękę od swojej peleryny - że to, o co prosisz, oznacza dla ciebie kompromitację? W całej Hiszpanii nie znajdzie się ani jeden człowiek, który uwierzy, że po porwaniu zachowałaś niewinność. Nieważne, ile czasu spędzisz w moim towarzystwie. Nie może być inaczej, skoro wszystkim znana jest wrogość dzieląca nasze rodziny. Zadarła podbródek, wytrzymując spojrzenie jego ciemnych, błyszczących oczu.

- Nie dbam o to. Chyba że tobie to przeszkadza. I tak już zostałam zniesławiona, więc żadne plotki nie mogą już zaszkodzić mojej reputacji. - W krótkich słowach opowiedziała mu o podstępie ojczyma.

Refugio nie bardzo był skupiony na tym, co mówiła stojąca przed nim dziewczyna.

Słyszał co nieco wcześniej i znał don Estebana na tyle dobrze, by wiedzieć, do czego jest zdolny. Bardziej od tego, co mówiła, interesował go jej dźwięczny głos, mleczna cera i żywy blask oczu, które w mroku nocy wydawały się czarne jak węgle. Świadomość smukłości jej rąk zamkniętych w jego dłoniach i wspomnienie kontaktu ich ciał zajmowały jego umysł, wywołując narastające pragnienie, by poznać ją bliżej. To z kolei przyniosłoby skutek w postaci niepożądanych, aczkolwiek nieuniknionych wyrzutów sumienia.

- Nawet jeśli było, jak mówisz, czy ciotka da wiarę twoim słowom i przyjmie cię pod swój dach? - upewnił się. - Mam nadzieję, że tak. Modłę się o to.

- A kiedy już udzieli ci schronienia, czy potrafi obronić cię przed knowaniami don Estebana?

- Muszę w to wierzyć. W niej jedyna nadzieja.

- Nie liczysz na kościół, na klasztor?

Otucha wstępowała w jej serce, bo pytania, które zadawał, świadczyły o tym, że zainteresował się jej położeniem.

- Nigdy - odpowiedziała stanowczo. - Nie czuję powołania i nie mam zamiaru zostać zakonnica na rozkaz don Estebana.

- A masz ochotę zostać starą panną bez posagu, od której mężczyźni szukający żony odwracają się z pogardą, bo jej czystość budzi wątpliwości?

- Jeżeli są na tyle głupi, żeby pragnąć jedynie moich pieniędzy lub osądzać mnie na podstawie pogłosek, to nie zależy mi na nich.

- Harde słowa, lecz duma nie ogrzeje cię w długie zimowe noce.

Wypowiedział na głos obawy, jakie sama żywiła. Jednak już wcześniej wszystko przemyślała i nie zamierzała teraz się wycofywać ze swego planu z powodu ryzyka, jakie za sobą pociągał. Uniosła głowę i spojrzała mu w twarz.

- Więc jak, zabierzesz mnie czy nie?

- Ależ tak - odparł cicho Refugio Carranza y Leon, przyglądając się jej w mlecznym świetle księżyca. - Wezmę cię.

## **ROZDZIAŁ II**

W drodze do klasztoru towarzyszyła Pilar niewielka grupa ludzi. Ona sama wraz z przyzwoitką jechały w szczelnie zamkniętym, starym, ciężkim powozie. Don Esteban na swym arabisie trzymał się z boku, a obstawę stanowiło ośmiu forysiów: po czterech z przodu i z tyłu karety. Pilar była przekonana, że ojczym najchętniej nie brałby eskorty, gdyby nie obawiał się o bezpieczeństwo. Chociaż nie należał do tchórzy, nie był też głupcem.

Przebąkiwał coś o złodziejach i bandytach włóczących się po drogach i obawach o złoto w skrzynce, przytroczonej do zatylnika powozu, obok kufra z niewielką liczbą osobistych rzeczy Pilar. Podejrzewała, że najął forysiów przede wszystkim z myślą o swym śmiertelnym

wrogu, Refugiu de Carranzie, bo zawsze istniało prawdopodobieństwo spotkania z El Leonem, kiedy się jechało przez wzgórza. Pilar martwiła czujność ojczyma, ale nic nie mogła na to poradzić. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Refugio na tyle dobrze znał obyczaje don Estebana, by ich nie zlekceważyć przy planowaniu porwania. Don Esteban nalegał, aby wyruszyć w drogę z samego rana, a potem ewentualnie pozwolić sobie na kilka postojów. Chciał już mieć tę podróż za sobą. Jeżeli będą jechać w miarę szybko, powinni dotrzeć do klasztoru przed zmrokiem. On sam zanojuje w wiejskiej gospodzie, a następnego dnia rano powróci do Sewilli. Musiał się śpieszyć, nawet gdyby w grę nie wchodziły obawy związane z poruszaniem się po rozległym terytorium, opanowanym przez bandytów El Leona. Przyszedł bowiem rozkaz od królewskiego ministra, aby don Esteban udał się do Kadyksu, gdzie czekał na niego żaglowiec, udający się w rejs do Luizjany.

Powóz chwiał się i podskakiwał na zakurzonych, wyboistych drogach. Okolica, przez którą jechali, w lecie taka zielona, złocista od kwiatów akacji i ożywiona plamami kwitnących maków, teraz, pod zimowym niebem, wydawała się bura i jałowa. Tu i ówdzie rosły szarawe drzewa oliwne lub kępy zielonosrebrzystych chwastów. Jedyne urozmaicenie krajobrazu stanowiły lawendowoniebieskie pasma wzgórz, majaczące na horyzoncie. Co jakiś czas mijali chłopów, człapiących obok wózków, założonych wysoko chrustem na opał, zaprzężonych w osły, albo napotykali samotnego pastuszka, zaganiającego stado owiec lub kóz. Wszędzie panował bezruch, jedynie od czasu do czasu nad zaoranymi polami zrywał się wiatr i unosząc z nich piach, pędził przed siebie kurzawę. Popołudnie miało się ku końcowi. Zjechali z głównego traktu na drogę wijącą się wśród wzgórz. Niedługo powinny wyłonić się zza nich wieże kościoła sąsiadującego z klasztorem. Gdzie jest El Leon?

Dał słowo, że przybędzie. Pilar nie śmiała myśleć o tym, że mógłby ją zawieść, niemniej co rusz odsuwała skórzaną zasłonę i zerknęła przez okno powozu.

- A co tam, señorito? - nie wytrzymała w końcu dueña. - Czy coś cię niepokoi? Pilar opuściła zasłonę.

- Nie. Po prostu ... nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę mury klasztoru.

- Jeszcze się na nie napatrzysz. Jestem tego pewna odparła jej opiekunka z nutą irytacji w głosie.

- Ale tylko od wewnątrz - westchnęła z rezygnacją Pilar. Rola uległej powoli zaczynała jej ciążyć. Korciło ją, aby wykrzyzczyć swój bunt i obwieścić tej kobiecie, która miała za zadanie jej pilnować, że już niedługo będzie wolna. Nie mogła jednak pozwolić sobie na taki luksus. Musiała trzymać swoje emocje na wodzy, była zależna od don Estebana. Ależ będzie zaskoczony! Temu pyszałkowi nawet przez myśl nie przejdzie, że znalazła dość siły, nie mówiąc już o sprycie, żeby wyrwać się spod jego władzy. Ach, jak bardzo chciałyby zobaczyć jego minę, kiedy zrozumie, że już dłużej nie będzie mógł naginać jej do swej woli! Jeśli chodzi o nią, zrobiła wszystko, aby porwanie odbyło się sprawnie. Na podróż wybrała suknię z niebieskopopielatej, gładkiej wełenki bez riuszek i koronek, które mogłyby przyciągać uwagę, a na nią narzuciła brunatną pelerynę, wykończoną jedynie haftowaną listwą. Tak dobrała ubranie, aby stanowiło odpowiedni strój dla nowicjuszek, a w dodatku skutecznie chroniło przed zimnem. Zrezygnowała nawet z ostatniego krzyku mody paryskiej, sutej krynoliny, nadającej bufiasty kształt spódnicy, żeby nie utrudniała konnej jazdy. Wybrała buty z grubej skóry, bez sprzączek, na wypadek, gdyby przyszło jej wędrować po wzgórzach. Jej fryzura była równie skromna jak strój. Ponieważ ani w klasztorze, ani w domu don Estebana nie miała nikogo do pomocy przy czesaniu, ściągnęła włosy w ciasny kok na czubku głowy. Przynajmniej nie będą przeszkadzać, jeżeli będzie zmuszona szybko się poruszać.

Droga zataczała łuk. Kiedy pokonali zakręt, okazało się, że trakt zablokowało stado

owiec. Woźnica krzyknął i zaklął, hamując gwałtownie na widok zwierząt. Spłoszone owce zaczęły podskakiwać i wpadać na siebie, becząc przy tym przeraźliwie, gdy powóz, kołysząc się niebezpiecznie na boki, zatrzymał się w środku stada. Pies bliżej nieokreślonej rasy podgryzał kłębiące się zwierzęta po racicach i szczekał zajadle, co rusz spoglądając na swego pana. Stary, przygięty do ziemi pasterz szedł, kulejąc, wśród owiec, wsparty na zakrzywionej pasterskiej lasce. Odziany w wyblakłe łachmany i pelerynę z kapturem, człapał wśród morza brudnego runa, nie zwracając uwagi ani na owce, ani na psa. Wydawało się, że nie słyszy okrzyków woźnicy ani rozkazu don Estebana, aby usunął zwierzęta z drogi. Szczerze mówiąc, nie miał dokąd przepędzić stada, bo oba pobocza drogi były ograniczone stromo wznoszącymi się wzgórzami.

Konie z zaprzęgu biły kopytami w ziemię i rżały, szarpiąc powozem. Don Esteban ostrym głosem przywołał forysiów, którzy zostali w pewnej odległości za karetą, po czym, uspokoiwszy konie, przedarł się do pasterza, klucząc między owcami. W pierwszej chwili Pilar sądziła, że ma zamiar stratować go koniem. Ojczym uniósł nad głowę pejcz z plecionych rzemieni, który zawsze nosił przy sobie, i smagnął nim starca po zgarbionych plecach. Pasterz się skulił i odwrócił, uchylając głowę. Don Esteban ponownie uniósł bykowiec.

Splecione rzemienie ze świstem przecięły powietrze, lecz nie sięgnęły celu. Pasterz niespodziewanie wyprostował się, chwycił koniec pejcza i owijając go wokół dłoni, gwałtownym szarpnięciem o mało nie ściągnął don Estebana z siodła. W tej samej chwili opadł kaptur pasterskiej peleryny, odsłaniając przystojną, surową twarz o wykrzywionych z odrazy ustach i ciemne włosy, zmierzwił wiatrem.

- Carranza! - krzyknął don Esteban. Odrzucił bykowiec i zamarł, wpatrzony szeroko otwartymi oczami w pasterza. Nagle zerwał się. - Zabijcie dziewczynę! rzucił przez ramię. - Zabijcie ją, mówię! Natychmiast!

- El Leon! El Leon! - wołali strażnicy don Estebana. Ich okrzyki podjęli ludzie przyczajeni na wzgórzach.

Pilar miała wrażenie, że ich donośne głosy dochodzą gdzieś z nieba ponad nią.

Wyrośli nagle, nie wiadomo skąd, wykrzykując imię swego przywódcy, Refugia de Carranzy.

Serce podeszło jej do gardła. Zacisnęła drżące palce na zasłonie. Teraz. Zaraz ją porwą.

Wreszcie nadeszła ta chwila. Już niedługo.

Jeden ze strażników don Estebana wyciągnął szpadę i skierował się do drzwi powozu.

Splószone owce, kłębiąc się wokół konia, utrudniały mu jazdę. Pilar rozpoznała w nim

Carlosa. To on wtargnął do jej sypialni na polecenie don Estebana. Teraz dotarło do niej

znaczenie okrzyku ojczyzna. Kazał ją zabić. Wolał widzieć ją martwą niż pozwolić, aby

znalazła się w rękach jego wroga.

Gorączkowo rozejrzała się wokół siebie, w poszukiwaniu jakiegoś przedmiotu, który

mógłby posłużyć jej do obrony. Niczego takiego w powozie nie było. Siedząca naprzeciw

dueña, z wytrzeszczonymi oczyma i poszarzałą twarzą, bełkotliwie odmawiała modlitwę. Don

Esteban powtórzył rozkaz. Jego pełen furii okrzyk urwał się w połowie. Nie miała czasu

sprawdzić, co się stało. Carlos zbliżał się, lawirując między owcami. Przeskoczył potężnego

barana i wyciągając przed siebie szpadę, pchnął nią prosto w okno. Pilar odskoczyła w głąb

powozu, gdy ostrze przecięło skórzaną zasłonę. Porwała z siedzenia puchatą poduszkę. Tym

razem szpada ugrzęzła w poduszce, wzbijając w powietrze chmurę pierza. Ostrze więcej nie

pojawiło się w okiennym otworze. Zewsząd dochodził szcęk i zgrzyt uderzającej o siebie

stali. Mężczyzna w płaszczu z kapturem odrzuconym na plecy zasłaniał jej widok swymi

szerokimi barami. Parę sekund później usłyszała gardłowy jęk i Carlos stoczył się z konia. W

tej samej chwili don Esteban zawrócił swojego wierzchowca.

Okrzykom i wrzaskom towarzyszył tętent końskich kopyt. Ludzie Estebana

wycofywali się. Nagle powóz się przechylił. Jeden z mężczyzn usiłował wdrapać się do środka. W tej samej chwili coś ciężko zadudniło o dach to człowiek Refugia skoczył na niego ze skały. Szczęk szpad dochodził teraz od strony ławeczki woźnicy. Owce beczały, pies ujadął, a mężczyźni rzucali przekleństwa. Rozległy się strzały z broni palnej. Dueña popiskiwała, kurczowo zaciskając różaniec, gdy powóz chybotął się, rozhuśtany przez walczących mężczyzn. Pilar złapała za klamkę. Przyzwoitka uczepiła się jej ramienia.

- Dokąd idziesz?! - krzyknęła, szarpiąc ją za nadgarstek. - Nie wychodź! Oni cię zabiją albo zrobią jeszcze co gorszego!

Pilar strząsnęła jej rękę. Pchnęła drzwi i przytrzymując się framugi, stanęła na żelaznym stopniu, rozglądając się wokół. .

Hałas powoli przycichał. Woźnicę trzymano na muszce, czterej forysie siedzieli powiązani plecami do siebie. Carlos leżał nieruchomo z plamą zakrzepłej krwi na rozdartym płaszczu. Pozostali trzej mężczyźni z eskorty najprawdopodobniej wzięli nogi za pas, bo nigdzie nie było ich widać. Don Esteban leżał twarzą do ziemi kilka metrów przed powozem, a owczarek, marszcząc nos, obwąchiwał jego spiczastą bródkę.

Więcej nic nie zdążyła zobaczyć, bo tuż za nią zadudniły kopyta, a gdy się obejrzała, jeździec nachylił się i chwytając ją wpół, ściągnął ze schodka. Krzyknęła, zaskoczona, kiedy uniósł ją i posadził przed sobą na komu.

- To nie było konieczne! - sapnęła. - Dogoniłabym cię.

- Dla twego dobra porwanie musi, wyglądać wiarygodnie. Dueña jest świadkiem. W jego słowach wyraźnie wyczuła ironię. Obejrzała się, aby spojrzeć mu w twarz, lecz nie potrafiła niczego wyczytać z jego surowych rysów. Jedyne spojrzenie szarych błyszczących oczu zdradzało inteligencję i zdecydowanie. Pilar ogarnęły wątpliwości. Odwróciła głowę, żeby nie dostrzegł, że się boi.

I wtedy zobaczyła rozciągniętego na ziemi don Estebana.

- Czy on ... jest martwy? - zapytała, zwilżając językiem wargi.

- Niestety, nie. Przeżył dzięki swemu diabelnemu szczęściu - odparł Refugio. - Jest nieprzytomny, bo uderzył głową o ziemię, kiedy ściągnąłem go z konia.

- Mimo nienawiści postanowiłeś go oszczędzić tylko dlatego, że stracił przytomność?

- Wolę, aby wiedział, kto mu zadał śmiertelny cios. Narowisty koń grzebał kopytami i podzuczał łbem.

Refugio de Carranza kontrolował go wyłącznie żelaznym uściskiem muskularnych ud, bo ramionami opasał kibić Pilar. Siła emanująca z jego ciała pozbawiła ją pewności siebie.

- Ten szlachetny gest może kosztować cię życie - powiedziała zdławionym głosem.

- Mam cię zsadzić? Chcesz go dobić?

- Nie mam broni.

- Pożyczę ci moją szpadę. Pokusa była ogromna, lecz czuła, że nie sprosta temu zadaniu.

- Nie, dziękuję bardzo.

- Teraz odpowiedzialność za ten szlachetny gest czy błąd spada na nas oboje - stwierdził. - To prawda.

- Jedziemy?

Zadał to pytanie z powagą, bez ponagrania, jakby był gotów zwlekać z odjazdem tak długo, jak ona sobie tego życzy. Jak gdyby dawał jej szansę powrotu do powozu, jeśliby zmieniła zdanie.

Nie miała odwagi wystawiać się na taką próbę. Czuła, że lepiej nie odkładać decyzji ani o sekundę dłużej.

- Tak - odpowiedziała, ledwo łapiąc oddech przez ściśnięte gardło. - Ruszajmy.



Zawrócił konia i wydał rozkazy swoim ludziom. Było ich zaledwie trzech, choć gotowa była przysiąc, że wcześniej widziała ich przynajmniej z tuzin. Błyskawicznie wypełnili polecenia swego przywódcy. Jeden z nich przytroczył pasami kufer Pilar i szkatułę ze złotem do siodła na grzbiecie muła, drugi przyprowadził zdobyczne konie, a ostatni zadzierzgnął dodatkowy węzeł na powrozie krępującym jeńców. W mgnieniu oka znaleźli się na swoich wierzchowcach i czym prędzej odjechali, zostawiając na środku drogi unieruchomiony powóz. Dueña wytknęła głowę przez okno i piskliwym głosem na zmianę wykrzykiwała przekleństwa i błagalne prośby. Nawet nie raczyli się na nią obejrzeć. .

Jechali w milczeniu krętymi górskimi szlakami, omijając ludzkie siedziby. Z początku Pilar sądziła, że wrócą na główny trakt do Kordoby, bo w ten sposób najszybciej dotarliby do ciotki. Wkrótce jednak zdała sobie sprawę, że ze względu na bezpieczeństwo było to niemożliwe. Zaczęła więc obliczać w myślach czas potrzebny do pokonania drogi, zastanawiając się, o której godzinie w nocy znajdzie się u krewnej. Wiedziała, że przy sprzyjających warunkach z Sewilli do Kordoby powozem jedzie się dwa dni. Konno podróż trwała krócej, ale nie umiała przewidzieć, ile czasu stracą, jadąc po krętych górskich ścieżkach. W końcu doszła do wniosku, że w najlepszym wypadku dotrą do celu podróży o świcie.

Szlak, którym podążali, stawał się coraz bardziej kamienisty i stromy, bo kierowali się ku górcom, zamiast zjechać w dolinę rzeki Gwadalkiwir, trzymać się równoległej do jej koryta drogi do Kordoby. Co gorsza, zaciągnięte chmurami niebo i późna pora sprawiały, że Pilar nie była w stanie stwierdzić nawet, czy jadą we właściwym kierunku. Na nowo ogarnęły ją wątpliwości i lęk.

Czy słusznie postąpiła? To pytanie dudniło jej w głowie w rytm stukotu końskich kopyt. Czy dobrze zrobiła?

Z ramion obejmującego ją mężczyzny biło ciepło, lecz niełatwo byłoby wyrwać się z ich mocnego uścisku. Uświadamiała sobie podszepty intuicji, która z jednej strony nakazywała jej wysunąć się z jego objęć, a z drugiej szukać w nich oparcia. Nie potrafiła zrozumieć, skąd brały się u niej te sprzeczne myśli. Czym zasłużył sobie na nie El Leon? Przecież zrobił to, o co go prosiła. Jak dotąd nie spotkał jej żaden niewłaściwy gest z jego strony. W dodatku zabił człowieka, który usiłował pozbawić ją życia, więc winna mu jest wdzięczność. Jeżeli teraz, patrząc wstecz, uważa, że zbyt łatwo przystał na jej propozycję, powinna pamiętać o skrzynce złota, którą mu obiecała. Jest bezpieczna, inaczej być nie może. Z jakich powodów El Leon miałby zawieść jej zaufanie?

Powodów nie znalazła, a jednak nie potrafiła się odprężyć. Nie mogła odchylić się i oprzeć o niego, bo takie zachowanie byłoby zbyt poufałe. Przecież się nie znali. Wydawał się surowy i nieugięty.

Onieśmiał ją. Więc pokonywali kolejne mile, a ona cierpła coraz bardziej, siedząc wyprostowana w jego ramionach, lecz się nie poddawała.

Aby odwrócić uwagę od obolałych mięśni, zaczęła obserwować towarzyszących im mężczyzn.

Porozumiewali się między sobą półsłówkami, jak ludzie, którzy dobrze się znają i nie potrzebują długich przemów, by wiedzieć, co do nich należy. Jednak z lakonicznych, żartobliwych rozmów udało jej się wychwycić ich imiona. Ten po lewej stronie to Enrique.

Wyglądał na mniej więcej trzydzieści lat, miał ciemne włosy skręcone w pierścionki i brązowe, prawie czarne oczy - andaluzyjskie oczy koloru czekolady - takie same jak jej. Miał drobną budowę i był dość niski, może jakieś sześć centymetrów wyższy od niej. Często muskał mały wąsik, jakby stanowił dla niego coś w rodzaju talizmanu, którego dotyk przynosi szczęście. A kiedy napotkał spojrzenie Pilar, posłał jej łobuzerski uśmiech. Z całej czwórki

Enrique wydał się jej najsympatyczniejszy.

Na prawo jechał starszy, ponury mężczyzna o posturze niedźwiedzia. Miał na imię Baltasar. Twarz znaczyły mu blizny, prawdopodobnie ślady po ospie, a z czoła nie zniknęła pionowa zmarszczka między brwiami. Wyraz znużenia malujący się w wyblakłych oczach świadczył o tym, że ich właściciel wiele w życiu widział i doświadczył. Rzucił na Pilar przenikliwe, a zarazem niespokojne spojrzenia.

Kawalkadę zamykał wysoki i chudy młodzieniec o kanciastych ruchach. Oceniała go na jakieś dwadzieścia kilka lat. To on prowadził luzaki. Czarne włosy opadały mu na czoło, a kapelusz przytrzymywany rzemieniem wisiał swobodnie na plecach. Jego koń miał bardzo dziwne siodło z wysokim łękiem, nabijane srebrnymi ćwiekami. Nigdy przedtem takiego nie widziała. Chłopak trzymał się na koniu, jakby się na nim urodził. Jego jasnoniebieskie oczy patrzyły bystro i czujnie.

Sprawiał wrażenie człowieka odważnego, ze skłonnością do brawury. O ile Pilar dobrze rozumiała, wołali na niego Charro. Prawdopodobnie nie było to jego prawdziwe imię; tak nazywano mężczyzn pracujących przy koniach.

Refugio nie przedstawił jej swoich towarzyszy. Na tyle, na ile zdążyła go poznać, miała prawo sądzić, że nie było to zwykłe niedopatrzenie. Prawdopodobnie uznał, że im Pilar mniej wie, tym lepiej dla nich. Wmawiała sobie, że wcale nie poczuła się dotknięta, bo przecież z wyjątkiem dzisiejszej przeprawy nigdy więcej nie będzie mieć z nimi do czynienia, lecz mimo wszystko uraziła ją ta nadmierna ostrożność.

Odetchnęła z ulgą, kiedy Refugio dał znak, aby się zatrzymali. Z tempa, w jakim mężczyźni przekładali siodła na luzaki, w tym także na białego araba don Estebana, zorientowała się, że popas nie będzie długi.

Więc gdy Refugio postawił ją na ziemi, a potem sam zeskoczył z wierzchowca,

zamiast w milczeniu przyglądać się sprawnym działaniom jego ludzi wskazała głową na zapasowe konie.

- Mogę jechać sama, tobie będzie wygodniej, a koniowi lżej - zaproponowała.

- Ważysz niewiele. Poza tym nie mamy damskiego siodła, jeszcze zawstydzisz tych nieokrzeszańców widokiem powiewających halek.

- Poradzę sobie - upierała się.

- Nie miałbym odwagi spojrzeć w twarz twojej ciotce, gdybyś spadła z konia. Nie, nie ma mowy. Muszę mieć na względzie moją reputację.

Przyglądała mu się spod rzęs, zastanawiając się, jaki może być podtekst jego sprzeciwu. Odniosła wrażenie, że kryje się pod nim chęć narzucenia jej swojej woli, pomieszana z próbą zręcznego uspokojenia obaw. Był wyraźnie gotowy tłumić wszelki opór z jej strony.

- Naprawdę nie ma powodu do obaw - powiedziała.

- Czy rzeczywiście było ci aż tak niewygodnie? - uśmiechnął się po chwili.

- Mnie nie, ale tobie tak.

- Jak w ogóle możesz tak myśleć? Niezbyt często mam do czynienia z pannami, które nie piszczą i nie kopią.

Znowu ta nuta ironii w jego głosie. Wyczuwał, że ona się boi. Był spostrzegawczy, co wcale nie czyniło go bardziej godnym zaufania. Nie wolno jej było o tym zapominać.

- Nie posunąłbyś się do ... - Urwała w pół zdania. Regularne rysy pasierbicy don

Estebana, poważny wyraz jej ciemnych oczu ocienionych długimi rzęsami oraz widok pasemek włosów koloru starego złota, uwolnionych powiewem wiatru, wywołał niepokojący skurcz w okolicy jego żołądka. Minęło tyle lat od czasu, gdy prowadził dowcipne rozmowy z kobietami. Oczywiście z kobietami pokroju Pilar Sandoval y Serna. Była piękna, fascynująco

niezależna, a w dodatku nie brakowało jej odwagi. W dawnych czasach odnosiłby się do niej z galanterią, emablowałby ją, zabawiał żartami i śpiewał dla niej serenady. Prawdopodobnie czekałaby go nagroda w postaci uśmiechu. Ale to wszystko należało do przeszłości. Nie czas teraz na żale.

- Nie posunąłbym się ... do czego? - zapytał szorstko. - Masz na myśli oszustwo?

Mogę wygłosić piękną mowę, pełną uroczystych przysięg i zapewnień, lecz dlaczego miałabyś mi wierzyć? Wiadomo przecież, że rozbójnicy kłamią. W dodatku twoja podejrzliwość jest uzasadniona. Nie jedziemy do Kordoby.

- Co takiego?! - Wstrząśnięta, otworzyła szeroko oczy. - Moja ciotka spodziewa się mnie dzisiaj, a najdalej jutro z samego rana. Ja ... nie chciałabym jej zawieść, tym bardziej że zadała sobie tyle trudu, aby przesłać mi zaproszenie za pośrednictwem ojca Domingo, kiedy skontaktował się z nią w moim imieniu.

- Domyślam się, że don Esteban wie, iż myślałaś o szukaniu schronienia u ciotki? - zapytał Refugio.

Kiedy skinęła głową, mówił dalej:

- Więc może się bać, że ta szacowna dama zacznie dochodzić okoliczności związanych ze śmiercią twojej matki i pozbawieniem cię posagu. On nie cofnie się przed niczym, aby przeszkodzić ci w nakłonieniu krewnej do podjęcia działań w tej sprawie.

Zakładam, że gdy tylko odzyskał przytomność, udał się prosto do Kordoby, żeby cię pojmać.

Najlepiej, abyś zniknęła na pewien czas. Niech myśli, że ukryłaś się w jakimś zakonie.

- Chcesz powiedzieć, że powinnam zostać z tobą? Przez noc?

- A nawet dłużej. Tylko nie mów mi, że obawiasz się o swoje dobre imię. Wydawało mi się, że straciłaś je już w Sewilli.

- Lecz pozostał mi jeszcze zdrowy rozsądek!

- Czy twój rozsądek mówi ci, że zamierzam cię skrzywdzić?

Ostrzejsza nuta w jego głosie kazała Pilar mieć się na baczności. W dodatku zauważyła, że towarzysze Refugia przysłuchują się ich wymianie zdań. Wszyscy trzej zakończyli robotę i z obojętnymi minami stali teraz oparci o drzewa lub końskie kłęby. Żaden z nich nie odzywał się ani nie poruszał, nie chcąc, by zwrócono na niego uwagę.

- Szczerze mówiąc, sam to zasugerowałeś. - Odważnie spojrzała mu w oczy, mimo że serce biło jej jak oszalałe. Uniósł brwi, rozluźniając nieco mięśnie twarzy.

- To prawda, nie sądziłem jednak, że potraktujesz moje słowa poważnie.

- Więc się pomyliłeś.

- Moja wina. Zdaje się, wyjaśniłem już, dlaczego cię nie uwiodę. Od spotkania w ogrodzie don Estebana nic się w tym względzie nie zmieniło. Zakusy z mej strony nadal ci nie grożą. Powiadomię cię, jeśli sytuacja ulegnie zmianie.

Twarz Refugia stężała, gdy przeniósł wzrok na swych podkomendnych, wyraźnie zainteresowanych rozmową. - A wy co? - rzucił cicho tonem podobnym do cięcia batem. -

Tak się nudzicie, że musicie podsłuchiwać? Mam na to sposób. Na koń!

Pomrukując i utyskując, wykonali rozkaz bez ociągania. Pilar się nie poruszyła.

Przecież nie wyraziła zgody na wspólną jazdę z El Leonem, a fakt, że on uważał, iż ją uzyskał, doprowadzał ją do furii. Lecz co miała począć? Błądzenie samotnie po wzgórzach, bez ochrony i konia, nie byłoby bezpiecznym wyjściem. Poza tym powinna pamiętać, że znalazła się w obecnej sytuacji na własne życzenie.

Refugio de Carranza wskoczył na siodło białego araba i podjechał do Pilar. Nachylił się, wyciągając do niej rękę. Przez chwilę patrzyła na niego z niemym buntem w oczach, po czym podała mu dłoń i postawiła stopę na jego bucie. Chwyciwszy ją za nadgarstek, jednym zręcznym, pozbawionym wysiłku ruchem posadził ją przed sobą. Kiedy znalazła się w siodle,

ruszyli w drogę, a Enrique, Baltasar i Charro podążyli za nimi.

Zapadła noc. Jechali w ciemnościach podobnych do czarnej, gęstej mgły. Na zasnutym chmurami niebie nie było ani księżycy, ani gwiazd, które oświecałyby drogę. Podmuchy porywistego wiatru smagały ich twarze. Potem zaczęło padać. I chociaż deszcz przypominał rozpyloną mgłę, niesiony wiatrem, ziębił dokuczliwie. Kropelki wody wpadały im do oczu i ściekały po brodzie. Pilar owinęła się peleryną i obiema rękami ciasno zebrała ją pod brodą. Teraz trudniej było jej utrzymać równowagę, więc od czasu do czasu osuwała się na Refugia, lecz za każdym razem czym prędzej na powrót prostowała plecy.

W końcu zaklął pod nosem i chwyciwszy ją wpół, przyciągnął do siebie i okrył swym grubym płaszczem. Zaskoczona, zastygła na moment, lecz już po chwili zaczęła się szamotać.

- Siedź spokojnie, bo inaczej oboje przemokniemy do suchej nitki.

Rozsądek nakazywał go posłuchać. Przygryzając usta, rozluźniła mięśnie, zeszywniałe od wielu godzin jazdy w wymuszonej pozycji. Mimo woli po udach przebiegł jej dreszcz. Refugio przygarnął ją mocniej do siebie.

- Umartwienie się z powodu jakiegokolwiek idei jest dobre dla fanatyków. Czy aby na pewno nie powinnaś zostać zakonnica? Klęcząc na fasoli, przesuwając paciorki różańca i myślała o wiecznej chwale. Jeszcze nie jest za późno, aby odpokutować za tę chwilę szaleństwa.

- Sądzę, że jest - odparła. - Poza tym nie mam zamiaru pokutować.

- W takim razie zapomnij o dumie i oprzyj się o mnie. Obiecuję nie wykorzystać okazji.

- Nie przyszłoby mi na myśl, że mógłbyś to zrobić powiedziała, odwracając nieco głowę, by spojrzeć mu w twarz, lecz przesłaniały ją zupełne ciemności. Nie rozumiała, jak w tych warunkach Refugio odnajduje drogę. Musiał widzieć po ciemku jak kot albo znał ten

teren jak własną kieszeń.

- Naprawdę? Może ty rzeczywiście nie masz zadatków na zakonnicę.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - obruszyła się.
- Siostry nie powinny kłamać.
- Czy zawsze tak pochopnie rzucasz oskarżenia? - zapytała po chwili.
- Uważasz, że jestem niesprawiedliwy?
- Może miałam jakieś inne powody, by trzymać się od ciebie w pewnej odległości?
- Na przykład jakie?
- Na przykład niechęć do obarczania cię moim ciężarem.
- Jakaś ty uważająca! Ironiczny ton wyprowadził ją z równowagi.
- A może drażnił mnie zapach owiec? - zemściła się. Usłyszała za sobą stłumione parsknięcie.
- Przepraszam najmocniej - odezwał się Refugio. Lecz pewnych rzeczy nie da się uniknąć - stwierdził bez urazy.

Jego głos, zabarwiony odrobiną humoru, podziałał na nią dziwnie kojąco. Oparła rękę na obejmujących ją ramionach i odchyliła się do tyłu.

- Na to wygląda - mruknęła.
- No właśnie. A teraz spróbuj się trochę zdrzemnąć. Pokiwała głową na zgodę. Sen jednak nie nadchodził.

Szczerze mówiąc, w ogóle nie czuła się śpiąca. A gdy wjechali na podwórko małego domu z kamiennych ciosów, przylepionego do zbocza wzgórza, była zupełnie przytomna i mocno niespokojna.

W drzwiach pojawiła się młoda kobieta. Jej sylwetkę oświetlało żółte światło lampy, rozproszone przez kropelki wirującej mżawki. Starszy mężczyzna o imieniu Baltasar zawołał



coś do niej półgłosem, a ona mu cicho odpowiedziała. Refugio zeskoczył z konia i chwytając Pilar w pasie, zdjął ją z siodła. Osunęła się mu w ramiona, przytrzymując się mocno jego barków, dopóki nie ustąpił kurcz w zdrętwiałych nogach. Zastanawiała się, czy nie zapytać go czasem, dokąd ją przywiózł, lecz wątpiła, czy dostałaby zadowalającą odpowiedź. Rozmowa kosztowałaby ją zbyt wiele wysiłku, była wyczerpana i przemoknięta.

Refugio podprowadził Pilar do otwartych drzwi. Młoda kobieta o rozbieganych oczach usunęła się z progu, pozwalając jej przejść. Ktoś wywołał Refugia na dwór, więc puścił ramię Pilar i cofnął się na podwórko.

- Jestem Isabel - powiedziała nieśmiało młoda kobieta. - Pewnie padasz ze zmęczenia. Chodź, wysuszysz ubranie przy kominku.

Pilar poczuła przyływ wdzięczności za ten przejaw troski. Wyciągając przed siebie dłonie, podeszła do buchającego ciepłem, poczerniałego od sadzy kominka, który zajmował całą tylną ścianę jedyne pomieszczenia małego domku. Odwracając głowę do dziewczyny, przedstawiła się i wymamrotała podziękowanie.

- Mam kawałek mydła - powiedziała Isabel i zamknąwszy ciągle jeszcze otwarte na oścież drzwi, zwinnym krokiem podeszła do paleniska, aby zawiesić nad nim żelazny kociołek. Zupa chlupnęła na gorące węgle, zasyczał ogień. Isabel się tym nie przejęła.

- Zaraz będzie ciepła - oznajmiła, rzucając Pilar spojrzenie z ukosa.

- Uhm m, cudownie! - Nagle Pilar poczuła się bardzo głodna.

Kobiety uśmiechnęły się do siebie z pewnym skrepowaniem. Chociaż drobna, Isabel nie odznaczała się szczególną urodą, była atrakcyjna w wyzywający sposób, charakterystyczny dla dziewcząt z ulicy. Kasztanowe włosy, ściągnięte w puszysty koński ogon nieco powyżej uszu, zdobiła wyblakła wstążka, a lekko skośne oczy miały kolor wiosennej trawy. Poruszała się jak dzika kotka - szybko i zwinnie, a przy tym trochę

niepewnie.

Kamienny dom, zapewne w przeszłości pasterska chata, okazał się obszerniejszy, niż można się było spodziewać, patrząc na niego z zewnątrz. Co prawda była w nim tylko jedna izba, lecz po obu bokach kominka znajdowały się odgródzone zasłonami wnęki, służące zapewne jako miejsca do spania. W chacie nie było podłogi, a ziemia udeptywana latami przez wiele stóp nabrała twardości kamienia. Sufit zdążył poczernieć od sadzy, z krokwi zwisały pęki cebuli i czosnku oraz kuliste wieprzowe szynki, tu i ówdzie z resztkami szczeciny na skórze. Zapach wędzonki i warzyw mieszał się z aromatem fasolowej zupy. Całe umeblowanie izby stanowił stojący na środku stół z zawieszoną nad nim latarnią i dwie proste ławy z oheblowanych desek, ustawione w pobliżu kominka.

Isabel mieszała zupę metalową chochlą. Kobiety nie odezwały się więcej do siebie, niemniej niespokojne spojrzenie szeroko rozwartych oczu Isabel co rusz wędrowało ku Pilar.

Drzwi otwarły się z impetem, uderzając z hukiem o ścianę. Isabel krzyknęła, spłoszona, i wykonała półobrót. Pilar odwróciła się od kominka i zobaczyła Refugia. Szedł zamaszystym krokiem, niosąc przed sobą skrzynkę z metalowymi okuciami, w której znajdowała się jej klasztorna wyprawa.

Postawił ją na stole, z rozmachem podniósł wieko i przechylił ją tak, że część zawartości wysypała się na stół. Nie wypuszczając jej z rąk, stał ze wzrokiem wbitym w Pilar.

Szkatuła była zapełniona zaledwie w jednej czwartej cienkimi, srebrnymi monetami.

- Tanie są twoje obietnice - stwierdził Refugio, ani na chwilę nie odrywając od Pilar płonących gniewnie oczu. Powiniennem był się z tym liczyć, wiedząc, z kim mam do czynienia, Pilar Sandoval y Serna. Jeżeli to ma stanowić wynagrodzenie, być może sam wybiorę sposób, w jaki mi zapłacisz.

### **ROZDZIAŁ III**

- Nie wiedziałam! Przysięgam, że nie wiedziałam! Przeszła na środek izby, stając twarzą w twarz z Refugiem, oddzielona od niego stołem. Mówiła prawdę, lecz ogarnęło ją poczucie winy, jakby to ona wyprowadziła w pole herszta bandy rozbójników. Teraz dopiero pomyślała, że obietnica Estebana powinna była wzbudzić jej podejrzania, ponieważ hojność nie leżała w jego naturze. Zapewne zamierzał na osobności przekazać jej nędzny posag przeoryszy, przedstawiając się jako wykonawca woli matki Pilar. A ona, niczego nieświadoma, dowiedziałaaby się o jego skąpstwie, kiedy byłoby już za późno.

- Może dałbym wiarę twoim słowom w ciemnym ogrodzie, przy blasku księżyca - stwierdził Refugio. Niestety, na twoje nieszczęście, brak tu odpowiedniej oprawy.

- Dlaczego miałabym kłamać? Przecież ani przez chwilę nie liczyłam, że zatrzymam złoto dla siebie.

- Lecz dla mnie obietnica była bardzo kusząca, tak przynajmniej sądziłaś. To oskarżenie, rzucone pełnym sarkazmu tonem, raniło ją boleśnie. Niebieskie i żółte refleksy płomieni w kominku odbijały się na śniadej twarzy Refugia, nadając jej nieodgadniony, a zarazem zacięty wyraz. Z mokrych włosów ściekały krople deszczu i płynęły wzdłuż zmarszczek na jego ściągniętym marsowo czole.

Pilar zwilżyła wargi językiem. Towarzysze El Leona:

Enrique, Charro i Baltasar, weszli do chaty tuż za nim i wodzili wzrokiem po podłodze, suficie, gdzie bądź, byle tylko nie patrzeć na nią i na swego przywódcę. Potem rozsiedli się przy stole i grzejąc wyciągnięte ręce w ciepłe buchającym z kominka, z wielkim zainteresowaniem wpatrywali się w sagan z gotującą się zupą. Jedyne poblądła Isabel jawnie przyglądała się kłócącej się parze szeroko otwartymi, czujnymi oczyma.

- Byłoby głupotą z mojej strony obiecywać coś, czego nie mogłabym dać. - Głos Pilar zdradzał napięcie.

- Oczywiście. Chyba że spodziewałaś się, iż odkryjemy oszustwo, dopiero kiedy będziesz bezpieczna u ciotki.
- Nie zniżyłabym się do takiej podłości. .
- A dlaczego by nie? Przecież należysz do rodziny don Estebana.
- A ty jesteś szlachetnym banitą, który brzydzi się złotem. Czemu więc tak nagle ci na nim zależy? - zrewanżowała się.
- Chociaż nie można ci odmówić urody, nie narażałbym życia mych ludzi dla twoich wdzięków ani też dla tych marnych paru sztuk srebra. Potrzeba nam złota na zakup koni i jedzenia, opłacenie kryjówek, a także na łapówki, które, dane w odpowiednim momencie, potrafią otworzyć więzienne bramy. Przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu.
- Być może jest pewne wyjście - odezwał się niepokojąco opanowanym głosem. Isabel postąpiła krok do przodu. .
- Refugio, nie ... - wyszeptała. Herszt rozbójników nawet nie raczył spojrzeć w jej stronę.
- Ciekawe - zaczął - ile byłaby gotowa zapłacić twoja ciotka za to, że dostarczymy cię całą, zdrową i ... no właśnie ... nietkniętą? Pilar poczuła, że serce trzepocze jej w piersi jak ptak. - Chcesz zażądać za mnie okupu? To ohydne!
- Prawda? I jakie nieszlachetne. Lecz ja nigdy nie udawałem kogoś, kim nie jestem. To ty wzięłaś mnie za romantycznego bohatera, mściciela uciśnionych. Policzki Isabel poczerwieniały, a w jej oczach zakręciły się łzy.
- Och, Refugio, nie opowiadaj takich rzeczy! - zawołała znękany głosem. - Dlaczego to robisz? Dlaczego? Pilar poczuła się zakłopotana rozpaczliwą reakcją dziewczyny.
- Więc najwyraźniej popełniłam błąd - rzuciła butnie prosto w twarz stojącemu przed nią mężczyźnie. - A co do mojej ciotki, nie potrafię przewidzieć, jak wiele zechce dla mnie

uczynić. Sam ją o to zapytaj.

- Zapewniam cię, że nie omieszkam.

Uchylił się, kiedy Isabel, aby zwrócić na siebie jego uwagę, spróbowała pochwycić go za ramię zbielełymi palcami.

- Postępujesz tak - mówiła szybko, urywanym głosem - bo pragniesz tej kobiety.

Wolisz ją ode mnie.

Kiedy przeniósł wzrok na dziewczynę, ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy, a w zimnych oczach nie pojawił się nawet cień emocji. Wytrzymując jej pełne żalu, błagalne spojrzenie, rzucił przez ramię:

- Baltasar?!

Starszy mężczyzna czym prędzej znalazł się przy niej. - Chodź - powiedział łagodnie, otaczając Isabel ramieniem. - Wszystko będzie dobrze.

- Och, Baltasarze! - zawołała, wywijając się z objęć i zaciskając histerycznie dłonie na jego ramionach. Spraw, żeby się opamiętał. Refugiowi nie zależy na złocie. Przecież on je rozdaje. Tu chodzi o nią. Czuję to. On zrobi przez nią coś strasznego.

- Cicho! - Tyle tylko powiedział krępy banita i odprowadził Isabel na dawne miejsce przed kominkiem. - Zamilcz!

Refugio odwrócił się z powrotem do Pilar. Bez wahania odwzajemniła spojrzenie, lecz w jego chmurnych oczach nie dostrzegła nic prócz własnego odbicia.

- Rozumiem - zaczął - że bardzo ci zależy, aby jak najszybciej połączyć się z ciotką.

To obecnie także i moje największe pragnienie. Czy to nie cudowne, że tak się ze sobą zgadzamy? - dokończył sztucznie ożywionym tonem.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przez cały ten czas wstrzymuje oddech.

Zaczerpnęła ostrożnie powietrza, skupiając uwagę na tym, aby jej pierś nie uniosła się zbyt

raptownie.

- Tak, cudowne - zgodziła się, z trudem wydobywając głos.

- Wyznałbym ci nawet, że to moje jedyne pragnienie, gdybym sądził, że się boisz. A

tak, oczywiście, nie jest. Ubódł ją jego kpiący ton. - Nie, nie jest - odparła. Odepchnął się od stołu.

- Tak właśnie myślałem. Najlepiej będzie, jeśli coś zjesz i spróbujesz się przespać.

Wyruszamy do Kordoby przed południem.

- Przed południem?! Sądziłam ... Odwrócił się do niej tak zamasyście, że krople wody z jego peleryny prysnęły na klepisko.

- Słucham? Sądziłaś, że ... ?

- Czyż sytuacja nie uległa zmianie? Nie wolałbyś jak najprędzej zobaczyć się z moją ciotką, ażeby omówić warunki? .

- Można z tym poczekać do jutra.

Zniecierpliwienie, którego nawet nie starał się ukryć, połączone z pogróżką czającą się pod słowami, działało jej na nerwy, lecz nie zamierzała dać się zastraszyć. I tak nie zasnę.

Najchętniej jechałabym już teraz.

- Żeby wpaść prosto w ręce najemnych zbirów ojczyma?

- To miejsce wydaje mi się równie niebezpieczne. Jego oczy załśniły pod wpływem rozbawienia, zaprawionego kpiną.

- A więc jednak się boisz!

- Odniosłam wrażenie, że właśnie tego chcesz - powiedziała wyniośle. - Mało cię znam, właściwie wcale, ale zaczynam podejrzewać, że twoim działaniom zawsze przyświeca jakiś cel. I dlatego muszę mieć się na baczności, dopóki nie dowiem się, jakie zamiary żywisz względem mnie.

- W świetle tego, co powiedziała Isabel? Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz.

- Tak, jak również w związku z twoimi pogrozkami.

- A czy sądzisz - zaczął przymilnie, okrążając stół i podchodząc coraz bliżej - że twoja czujność mogłaby mi w czymkolwiek przeszkodzić?

To jego powolne zbliżanie się było dla niej próbą nerwów. Nawet nie drgnie -

postanowiła w duchu, kiedy stawiał kolejne kroki, poruszając się na swych długich nogach sprężysto i z gracją, charakterystyczną dla ludzi, którym nieobcy jest fizyczny wysiłek.

Niech nawet po niej przejdzie, nie ustąpi mu z drogi. Gorączkowo szukała jakiejś celnej odpowiedzi na jego pytanie. Nic jednak nie przychodziło jej do głowy. Mniejsza o to, i tak się nie poruszy. Ucichł brzęk talerzy za jej plecami, ustały zawodzenia Isabel. Ciszę zakłócał jedynie trzask płonącego ognia i stłumione bębnienie deszczu o dach.

Nie miała jak się bronić przed tym hersztem ludzi wyjętych spod prawa. Mogłaby stawić opór, ale biorąc pod uwagę fizyczną przewagę Refugia, złamałby go w okamgnieniu.

Otaczali ją jego kompani, nawykli do bezdyskusyjnego wykonywania rozkazów. Nawet do głowy by im nie przyszło wtrącać się, gdyby zaczął na nią nastawać. Z własnej,

nieprzymuszonej woli znalazła się w rękach El Leona. Jedynie dzięki sprytowi, przy odrobinie szczęścia uda jej się uciec z tej jaskini lwa, jeżeli on sam nie pozwoli jej odejść.

Stał przed nią tak blisko, że obszarpane poły peleryny ocierały się o jej spódnice.

Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Drgnęła, lecz czym prędzej starała się zapanować nad mimowolnym odruchem, wywołanym wrażeniem ciepła bijącego z tej twardej, pokrytej odciskami dłoni. Wstrząsnął nią jego dotyk. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza rozchyłonymi wargami. Refugio zawisł na nich spojrzeniem i delikatnie obrysował je kciukiem, jakby chciał zapamiętać ich miękkość i kształt. Przeszedł ją dreszcz, czuła lekkie drżenie szczęk pod jego ręką i dziwne mrowienie warg. Zalękniona, opuściła powieki, aby ukryć zmieszanie.

Gwałtownym gestem oderwał dłoń i opuścił rękę.

- Czujna, harda i przemoknięta do suchej nitki - podsumował cicho z ironią. - Co też przychodzi ci do głowy? Czy myślisz, że jestem aż tak wyposzczony, żeby wziąć do łóżka kogoś, kto patrzy na mnie z niechęcią i dzwoni ze strachu zębami? Lub że mam tak mało rozumu, aby obniżyć wartość zakładniczki z powodu chwili zapomnienia? Z trudem przełknęła ślinę. Uczucie dojmującego zimna wywołało ciarki na całym ciele, które jeszcze przed chwilą płonęło od jego dotyku.

- Więc mówiąc to wszystko, chciałeś mnie po prostu nastraszyć.

- Żeby uzyskać jasne i jednoznaczne odpowiedzi na konkretne pytania. Przyznaję, to nie było zbyt eleganckie.

- Ale za to skuteczne. A może powinnam się obawiać, że to, co mówisz w tej chwili, jest jedynie próbą uspienia mej czujności, aby bez przeszkód wejść do mego łóżka, gdy twoi ludzie udadzą się na spoczynek?

- Chciałabyś, żeby tak było?

- Wolalabym, abyś postępował zgodnie z naszą umową, bez wybiegów i gróźb. Każdy najmniejszy mięsień w jej ciele drgał ze zdenerwowania. Ukryła w fałdach spódnicy zaciśnięte w pięści ręce, by nie spostrzegł, że się trzęsą.

- W naszej umowie nie było ani słowa o tym, że mam za ciebie umrzeć, señorito.

Pozostaje jeszcze problem zaginionego złota. Dotrzymaj warunków umowy, a ja wypełnię należącą do mnie część.

- Są pewne sprawy, których nie można przewidzieć. Przyglądał jej się jakiś czas w milczeniu.

- Ani przed nimi uciec - rzucił, odwracając się od niej. - Rozumiem, że w tej materii jesteśmy zgodni. A teraz chodź bliżej kominka. Jeżeli masz zamiar zacząć wyliczać te



wszystkie sprawy, których nie da się uniknąć ani przewidzieć, niech przynajmniej dowiem się o nich w cieple. Jego ton nie zachęcał do sprzeciwu ani do dalszej dyskusji. Jak dotąd Refugio nie dał jej jasno do zrozumienia, czy jest gotowy zadowolić się zapłatą w srebrnych monetach. Tak zaaranżował nocleg, że będzie zmuszona spędzić pozostałą część nocy blisko niego. Lecz zgodził się również skontaktować z ciotką. Co powinna myśleć?

Isabel oskarżyła Refugia o to, że sprowadził Pilar do kamiennej chaty dla swojej przyjemności. Nie, w to nie uwierzy. Nic w jego zachowaniu nie wskazuje, że ona go pociąga. Tym bardziej nie powinno mu zależeć na przetrzymywaniu jej tu wbrew woli. Była dla niego wyłącznie środkiem do celu; porywając ją, uderzył w don Estebana, a przy okazji spodziewał się zdobyć pieniądze na utrzymanie ludzi. Jeżeli w jego głowie, za tymi nieodgadzionymi oczami, powstał jakiś plan, w którym wyznaczył jej jakąś rolę, to nie miał on nic wspólnego z nią jako kobietą. Ta dziewczyna, Isabel, niepotrzebnie się przejmuje. Naprawdę nie ma powodu do zmartwień. Kiedy Pilar snuła swe pokrzepiające rozważania, Refugio jakby się uparł, żeby udowodnić jej, jak bardzo się myli. Przysunął jej krzesło blisko swego i przyklękawszy na jedno kolano, nalał warząchwiał zupy do miski, po czym podał ją Pilar. Jej niepokój obudził na nowo serdeczny uśmiech, jakim ją obdarzył, gdy na moment jego ręce, zamknięte na glinianej misce, musnęły jej dłonie. Zanim zaczęła jeść, rozwiązał jej pelerynę, ściągnął ją z ramion i razem ze swoją, która zaczynała parować pod wpływem ciepła z paleniska, powiesił na kołkach, na szczycie komina. Isabel zakrztusiła się zupą. Kiedy Baltasar klepnął ją po plecach, wcisnęła mu do rąk swoją miskę, zerwała się od stołu i ze łzami w oczach uciekła do wnęki za kotarą. Mężczyźni popatrzyli po sobie i wbili wzrok w talerze.

Refugio, jakby nigdy nic, ze spokojem napełniał swoją miskę. Dopiero kiedy za zasłoną rozległo się stłumione łkanie, znieruchomiał na chwilę. Zacisnął dłonie, aż pobieleły

mu kostki, rozwarł je, po czym z beznamiętnym wyrazem twarzy dokończył nalewać zupę i zabrał się do jedzenia. Pilar straciła apetyt. Wmusiła w siebie kilka łyżek sycącego wywaru i siedziała, grzejąc dłonie o glinianą miskę. Od czasu do czasu wstrząsały ją dreszcze wywołane napięciem i chłodem. Za wszelką cenę starała się je stłumić. Woda z przemoczonej spódnicy kapała na klepisko, wsiąkając w ubitą ziemię u jej stóp.

Czuła na sobie powracające spojrzenie Refugia, więc żeby umknąć przed nim wzrokiem, patrzyła w miskę lub na płomienie tańczące w kominku. Serce podskoczyło jej do gardła, gdy Refugio zerwał się od stołu i zniknął w drugiej alkowie. Chwilę później wyniósł stamtąd męski szlafrok z pikowanego aksamitu.

- Masz - rzucił szorstko, podając go Pilar. - Zdejmij te mokre rzeczy i się w to przebierz. Spojrzała na szlafrok i powoli przeniosła wzrok na Refugia. Wyraz jego twarzy się nie zmienił. Tylko w głosie pobrzmiwało lekkie znużenie.

- Oczywiście nie na naszych oczach, chyba że masz taki kaprys.

- Nie mam - zaprzeczyła zduszonym głosem. - Dziękuję ... ci.

- Wyjdziemy, żebyś mogła się przebrać. - Jednym spojrzeniem postawił na nogi swoich ludzi.

- Nie trzeba. Mogę pójść tam. - Wskazała na wnękę, z której przed chwilą się wynurzył.

- Tutaj przed ogniem jest cieplej. Ale chętnie odstąpię ci łóżko, które stoi za kotarą.

Nie będzie mi potrzebne, bo wrócimy za dnia. Patrzyła na niego, chłonąc uspokajającą treść tej informacji.

- Myślałam, że chcecie odpocząć - powiedziała po chwili.

- Już odpocząłem. Wszyscyśmy odpoczęli.

- Lecz zapewne ...

- Niezmiernie interesuje mnie kondycja don Estebana. Przestań się spierać. Baltasar zostaje, żeby cię pilnować. A jeśli mój powrót zmąci twój spokój, dostaniesz rekompensatę w srebrze. Czy zamierzał zostawić ją w spokoju i dlatego, bez obawy, proponował zastaw w postaci ciężko zapracowanych srebrnych monet? A może planował znaleźć się w jej łóżku i w zamian za przychylność był gotów zrezygnować z zawartości szkatułki? Zanim podenerwowana przeanalizowała obie możliwości, dochodząc w końcu do wniosku, że miał na myśli tę pierwszą, Refugio zdążył opuścić chatę.

Baltasar wyszedł wraz z pozostałymi mężczyznami, mrucząc pod nosem, że musi sprawdzić, co słychać na dworze. Pilar odczekała, aż oddalił się tętent końskich kopyt, po czym podniosła się sztywno z krzesła. Przemarznięta i obolała po długiej jeździe, z trudem zdjęła wilgotne, ubranie i rozwiesiwszy je na kołkach sterczących z komina, sięgnęła po szlafrok z brązowego mięsistego aksamitu, o klapach wykończonych złotą lamówką. Widać było, że Refugio mało go używał, przechowując zapewne jako pamiątkę po dawnych, lepszych czasach, gdy być może żył jeszcze jego ojciec. Materiał pachniał lekko tytoniowymi liśćmi, których aromat odstraszał mole, oraz czekoladą. Prawdopodobnie kiedyś pijał ją na śniadanie. Miękki i ciepły szlafrok przyjemnie pieścił jej skórę.

I choć miał za długie rękawy i ciągnął się po ziemi, ogarnęło ją dziwne poczucie bezpieczeństwa, kiedy się nim owinęła. Dopiero teraz, otulona miękkim materiałem, zdała sobie sprawę, jak bardzo była przemarznięta.

Drgnęła kurtyna zasłaniająca wnękę. Isabel odgarnęła ją, stając w wejściu. Cień smutku przemknął jej po twarzy na widok Pilar w znajomym szlafroku. Chwilę później weszła do izby, puszczając zasłonę.

- Wszyscy poszli?

- Z wyjątkiem Baltasara - wyjaśniła Pilar, chociaż była przekonana, że dziewczyna

musiała słyszeć każde słowo.

- Wolałabym, żeby zostali. Nie podoba mi się to wszystko.

- El Leon wie, co robi. Isabel skinęła głową.

- Zawsze ma się na baczności. Dlatego jeszcze żyje.

Jednak nigdy przedtem nie widziałam, żeby był taki ... nieprzystępny i twardy.

Dziewczyna drżała. Oczy miała zapuchnięte i czerwone od płaczu. Przypominała rozżalone dziecko, które zostało niesłusznie skarcone.

- Jest w nim coś, co budzi strach - zauważyła Pilar. Isabel zacisnęła usta.

- Nie zawsze. Nie przy mnie. On jest bardzo wrażliwy, zbyt wrażliwy. Odczuwa ból innych ludzi i przeżywa go jak własny. To mu nie wychodzi na dobre, ale taki już jest.

Czasami, żeby się bronić, udaje obojętność. Ale w duchu i tak się przejmuje.

- Wygląda na to, że dobrze go znasz? - Pilar liczyła, że nakłoni dziewczynę do dalszych wynurzeń. Kierowała się nie tyle ciekawością, co potrzebą uciszenia obaw.

- Tak, znam go - zaczęła Isabel z dumą. - Jest synem arystokraty. Jego ojciec był właścicielem wielkiego majątku ziemskiego w Andaluzji, gdzie hodowano byki do walk na arenie. Refugio lubił udawać matadora, a ojciec karał go za to, bo zabawa była niebezpieczna, w dodatku byki uczyły się więcej, niż powinny wiedzieć, stając do prawdziwej walki.

Pewnego razu Refugio przyszedł popatrzeć, jak tańczą flamenco z Cyganami z Sewilli.

Zaśpiewał dla mnie serenadę i podarował różę z perłą w środku. Wiele lat później zabił z mojego powodu człowieka ... mężczyznę, który mnie bił i wysyłał na ulicę. Przez jakiś czas byłam kobietą El Leona i spałam w jego łóżku, ale teraz należę do Baltasara.

Prosty, oczywisty sposób, w jakim opowiedziała swoją historię, odebrał całą ohydę i tragizm opisywanym zdarzeniom.

- Ty kochasz El Leona - wyrwało się Pilar, zanim zdążyła pomyśleć.

- Jak mogłabym go nie kochać? - odparła, uśmiechając się rzewnie. - Ale żałuję, że mu o tym powiedziałam. Odsunął się wtedy ode mnie, twierdząc, że popełnił błąd. Refugio nie życzy sobie, żeby kobiety darzyły go miłością. Honor mu na to nie pozwala, bo nie może odwzajemnić miłości.

- Czy dlatego, że nie ma im nic do zaoferowania, oprócz tego? - Pilar zatoczyła ręką krąg po obskurnej izbie.

- Tak twierdzi. Ale ja uważam, że on jest zdolny do wielkiej miłości, a kobieta, której uda się tę miłość obudzić, zawładnie jego duszą. Refugio uważa to za słabość, i dlatego interesują go tylko takie kobiety, w których nie potrafi się zakochać, a im z kolei nie przeszkadza brak uczucia z jego strony.

- A ty byłaś wyjątkiem - dopowiedziała Pilar. Isabel opuściła oczy.

- To właśnie nazwał błędem. Wtedy bardzo potrzebowałam kogoś bliskiego. Nie potrafił mnie odsunąć, wiedząc, jak wielki ból sprawiłoby mi odrzucenie. Byłam tego świadoma, więc to po części moja wina.

Pilar miała wyrzuty sumienia, że wykorzystała chwilę słabości dziewczyny, aby nakłonić ją do zwierzeń.

- Przepraszam cię, nie zamierzałam być wścibska.

- Nie musi ci być przykro. Tu, na wzgórzach, brakuje mi towarzystwa kobiet. Baltasar jest bardzo dobry, chętnie mnie słucha, ale nie umie ze mną rozmawiać tak, jak to potrafią tylko kobiety. O pozostałych mężczyznach nie ma co mówić. - Wzruszyła ramionami.

- Czy wy wszyscy od dawna jesteście razem?

- Wszyscy? Oprócz Baltasara, Enrique i Charro w bandzie Refugia jest całe mnóstwo ludzi. Tym trzem ufa najbardziej, są jego najbliższymi kompanami, to przez nich przekazuje rozkazy pozostałym banitom. A jeśli chodzi o nas, to jesteśmy razem od ponad dwóch lat.

Isabel podeszła do kominka, zdjęła z haka kociołek z perkoczącą zupą i podrzuciła polano do ognia. Płomienie na nowo strzeliły w górę. Pilar usiadła na ławie, na której przedtem siedział Refugio. Wydawało jej się, że niezręcznie byłoby zostawić Isabel samą po tym wszystkim, co jej powiedziała. Poza tym wcale nie czuła się śpiąca.

- A pozostali mężczyźni, o których wspomniałaś, nie mieszkają tutaj?

- Nie, nie pomieściliby się - uśmiechnęła się Isabel. - Mają swoje kryjówki w różnych miejscach, i w górach, i w miastach.

- Nie sądziłam, że banda jest aż tak liczna.

- Czyżbyś nie słyszała ballad i opowieści? - Zdumiona Isabel zmarszczyła czoło.

- Myślałam ... chyba sądziłam, że ludzie przesadzają. Jeszcze w klasztorze zetknęła się z balladami o El Leonie. Śpiewano, że skrzyknął bandytów grasujących po wzgórzach, drobnych złodziejasków, oszustów oraz ludzi, którzy, często nie z własnej winy, weszli w konflikt z prawem, i stworzył z nich wielką siłę, siejącą postrach wśród sprzedajnych i skorumpowanych bogaczy. Mówiło się, że El Leon odsyła z kwitkiem przestępców, którzy popełnili morderstwo lub gwałt, skrzywdzili dzieci albo brali udział w napadach, natomiast pomaga biedakom kradnącym z głodu i ludziom niesłusznie oskarżonym, dając im schronienie w bandzie, a czasem także i materialne zadośćuczynienie za doznane krzywdy.

- Enrique napisał kilka pieśni, ale przecież nie śpiewano by ich po tawernach i nie nucono w kościołach, gdyby nie zawierały prawdy.

- Enrique? To ten niższy?

- Ten z wąsikami. Jaki on jest z niego dumny! Enrique należał do trupy kuglarzy, a także wróżył przebrany za Cygana. Wiesz, głównie po to, żeby mieć pretekst do potrzymania kobiet za rękę. Ale pewnego razu, przepowiadając przyszłość pewnej wpływowej damie, powiedział, że zostanie obrabowana, a jej mąż - zginie. Ta pani rozповідаła na prawo i lewo

o wróżbie, a potem, kiedy rzeczywiście doszło do rozboju, płakała i lamentowała, dopóki wszyscy nie uwierzyli, że Cygan przepowiedział to, co sam postanowił zrobić. Enrique musiał ratować się ucieczką. Biedak nie wiedział, że dama miała kochanka i bardzo pragnęła zostać wdową.

- A Baltasar? Czy on także jest bez winy? Isabel zacięła usta.

- Niezupełnie. W przeszłości Baltasar był żeglarzem. Pływał na statku handlowym, kursującym między Kartageną a Hiszpanią. Jego kapitan bardzo lubił wymierzać karę chłosty. Baltasar wywołał bunt załogi, a co gorsza, opuścił pokład ze sporą częścią królewskiego złota. Potem odebrali mu je piraci na Karaibach, więc wrócił do Hiszpanii, lecz w dalszym ciągu cena za jego głowę jest bardzo wysoka.

- Zapewne.

- Chcesz dowiedzieć się również czegoś o Charro? Naprawdę ma na imię Miguel, Miguel Huerta y Cisneros. Ponieważ ciągle opowiada o charros, poganiaczach bydła w posiadłości swego ojca w krainie Tejas w Nowej Hiszpanii, zaczęliśmy wołać na niego "Charro". Ojciec Miguela przysłał go do starego kraju, żeby chłopak zdobył wykształcenie i nabrał ogłady. Poza tym chciał przerwać romans syna z Indianką. Lecz Charro popadł w tarapaty.

- Wielce prawdopodobne. Isabel przytaknęła jej uśmiechem.

- Biedny Charro miał pecha wpaść w oko pewnej księżnej, która gustowała w młodych chłopcach. Jej mąż dowiedział się o wszystkim i wyzwał Charro na pojedynek. Wszystko dobrze by się skończyło, gdyby Charro pozwolił księciu zadać sobie kilka drobnych ran, lecz, niestety, nie znał zasad gry lub, jak wolisz, kodeksu honorowego i zabił go. Zarówno księżna, jak i krewni księcia nie byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Ktoś nasłał na niego płatnego mordercę. Charro o mało nie zginął. Niewątpliwie doszłoby do tego, gdyby nie

pomógł mu Refugio, który akurat się tam znalazł. Kiedy chłopak wylizał się z ran, doszedł do wniosku, że przy Refugiu nauczy się więcej niż na uniwersytecie i że w jego towarzystwie będzie czuł się bezpieczniej niż w najwyższych sferach Sewilli.

- Czy to możliwe, że Charro zetknął się na uniwersytecie z Vicente?

- Nie sądzę, chociaż Refugio był u swego brata tej samej nocy, kiedy rozprawił się z napastnikiem Charro. On bardzo pilnuje Vicente, który ma zostać księdzem. Sądzę, że Refugio widzi w tym zadośćuczynienie.

- Czyżby Vicente aż tak bardzo potępiał postępowanie starszego brata? Isabel pokręciła głową, a jej zielone oczy wyraźnie posmutniały.

- On się o niego martwi i dołączyłby do niego, gdyby tylko Refugio mu pozwolił. A ponieważ się nie zgadza, Vicente zawarł coś w rodzaju paktu z Bogiem, ofiarując swe życie kościołowi w zamian za bezpieczeństwo brata.

- Niektórzy uznaliby takie postępowanie za godne podziwu.

- Refugio gryzie się tym, że Vicente poświęca się za jego grzechy. On woli sam szukać sposobów zadośćuczynienia.

- Chce się poświęcić służbie kościołowi?

- Ależ nie. On nie jest taki ... taki...

- Uduchowiony? - podsunęła Pilar, przekonana co do trafności słowa, uważając jednocześnie, by nadać głosowi pytający ton.

- No, właśnie - kiwnęła głową Isabel. - Refugio każdego dnia naprawia szkody poprzez dobre uczynki w stosunku do ludzi biednych, chorych, cierpiących głód, a także tych, którzy nie mogą sami walczyć z wyrządzonym im złem.

- To w istocie wzór wszelkich cnót.

- Tak - odpowiedziała po prostu Isabel. Najwyraźniej była ciągle ślepo oddana



przywódcy rozbójników, mimo że ją odrzucił.

Po tym stwierdzeniu Pilar nie pozostało nic więcej do powiedzenia. Na dworze wiatr zawodził pod okapem dachu, o drzwi chaty siekł deszcz. Pomyślała o Refugio i jego towarzyszach, jadących po ciemku w strugach deszczu, po całym dniu spędzonym w siodle, i mimo woli ogarnęło ją współczucie. Jak widać, życie rozbójnika nie jest usłane różami.

Baltasar też gdzieś zniknął, zapewne czuwał nad ich bezpieczeństwem. Powinien niedługo wrócić do chaty. Wolałaby nie siedzieć z nim, żeby uniknąć kolejnych niezręcznych rozmów.

Właściwie już się rozgrzała i teraz zmęczenie powoli zaczynało dawać o sobie znać. U dawane ziewnięcie niespodziewanie przemieniło się w najprawdziwsze ziewanie.

- Chyba powinnam poszukać tego łóżka, o którym tu ktoś wspominał - powiedziała, zasłaniając dłonią usta. Isabel zgodziła się z ociąganiem.

- Nie musisz się martwić. Nawet jeżeli Refugio wróci, prześpi się na derce przed kominkiem, tak jak pozostali. - To właśnie dał mi do zrozumienia. - Słowa Pilar zabrzmiały dość oschle.

- Och, Refugio opowiada wiele rzeczy, głównie po to, żeby sprawdzić, jak ludzie je przyjmą, kim są. Połowy z tego, co mówi, nie myśli naprawdę.

- A mnie właśnie niepokoi ta druga połowa - odparła Pilar.

- Co?

Pilar tylko uśmiechnęła się i pokręciła głową, jakby nie udał jej się żart. Z trudem uniosła się z krzesła i prostując nadwerężone mięśnie, życzyła Isabel dobrej nocy.

Znalazła w alkwie starannie zasłane, proste łóżko z czystą pościelą. Materac z końskiego włosia, przykryty lnianym prześcieradłem, cienkim jak jedwab z powodu swego wieku, okazał się zaskakująco wygodny. Przykrycie stanowiły owcze skóry połączone ze sobą rzemieniem. Jakiś czas leżała zasłuchana w deszcz dzwoniący o dach i obserwowała

odbijające się na suficie płomienie z kominka, których drżący blask przenikał przez zasłonę. Przyszła jej na myśl matka, noc w noc samotna w swojej komnacie, skazana na życie więzionej inwalidki i powolne konanie. Ciekawe, jak don Esteban wytłumaczył swojej żonie nieobecność córki przy jej łóżku, jakich wybiegów użył. Pilar wątpiła, czy powiedział prawdę. Świadomość, że matka mogła czuć się opuszczona i zapomniana przez wszystkich w ostatnich godzinach Życia, napełniła ją goryczą i takim głębokim smutkiem, że nie potrafiła zapanować nad łzami. Wszystkie marzenia matki o życiu na dworze przysły jak bańka mydlana. Jaki wstrząs musiała przeżyć, kiedy zdała sobie sprawę, że jej mąż z góry zaplanował, iż pozbawi ją pieniędzy i kupi za nie upragnione zaszczyty. Jaka musiała być przerażona, gdy poznała prawdziwą naturę człowieka, za którego wyszła. Czy podejrzewała, że ją trują? Czy próbowała wyrwać się ze swego więzienia? A może kurczowo trzymała się nadziei, że jej mąż nie jest zły, lub też, leżąc całymi dniami, pogrążona w apatii i rozpacz, zastanawiała się, kiedy nadejdzie śmierć? Don Esteban chciał widzieć Pilar martwą. Krzyczał do swoich ludzi, żeby ją zabili. Jeżeli kiedykolwiek jego udział w śmierci matki budził w niej choć odrobinę wątpliwości, teraz nie miała złudzeń. Estebanowi nie udało się jej zgładzić. Jeszcze tego kiedyś gorzko pożałuje. Ona, Pilar Sandoval y Serna, osobiście dopilnuje, żeby tak było.

Szybko starła toczące się po policzkach krople i osuszyła dłoń o włosy. W ustach pojawił się słony smak łez, kiedy usiłowała stłumić szloch, wstrząsający jej piersią. Zawsze przecież była dumna z tego, że potrafi zapanować nad emocjami. Zawdzięczała życie Refugiowi de Carranzy., I choć ją irytował, był wyniosły i nieobliczalny, a nagłe zmiany nastroju od wrogości do troski, od gróźb po wielkoduszność grały jej na nerwach, nie wolno jej zapominać, że ma wobec niego dług. Nie podziękowała mu jeszcze jak należy. Musi naprawić ten błąd. Oczyma wyobraźni zobaczyła El Leona, jak leży w łóżku,

które właśnie zajmowała; jego smukłą sylwetkę wypełniającą wąską pryczę. Jej ciało zareagowało dziwnym niepokojem na intymność tego obrazu. Usiłowała zaplanować, jak się zachowa, jeżeli on wróci i wejdzie tu, za kurtynę, z zamiarem dzielenia z nią łóżka. Niewątpliwie będzie się przed nim bronić, tylko pytanie - jak? Zanim rozstrzygnęła ten dylemat, przymknęła na chwilę powieki, aby ulżyć piekącym oczom. Jakiś czas później, jak przez mgłę, usłyszała szelest odchylanej zasłony. Rozespana, poruszyła się, jedynie na wpół świadoma czyjejs obecności. Było jej tak dobrze i ciepło. Czuła się bezpieczna. Z głębokim westchnieniem na nowo zapadła w sen.

## **ROZDZIAŁ IV**

Obudziło ją uczucie niepokoju. Gwałtownie podniosła powieki. W półmroku panującym w alkowie zobaczyła wpatrzona w siebie połyskujące szaro źrenice. Refugio leżał podparty na łokciu i przyglądał się jej z wyrazem zachwyty w oczach i uśmiechem rozbawienia na wąskich wargach.

- Dzień dobry - przywitał ją cicho beztroskim tonem. Wykąpałem się w deszczu, żeby zmyć z siebie zapach owiec. Teraz nie masz powodu do narzekań. Pilar zbierała się w sobie przez chwilę, aby nabrać pewności, że nie zawiedzie jej głos.

- Mylisz się - odpowiedziała.

- A cóż to, moja duszko? Sądziłem, że kiedy się wyśpisz, będziesz życzliwiej usposobiona i w lepszym nastroju. - Mój nastrój nie ma tu nic do rzeczy! Obiecałeś ...

- Za cenę zastawu. Czy cię oszukałem?

Tak dziwnie zapierało jej dech, kiedy patrzyła na niego. Czuła jego twarde, muskularne ciało. Leżał tuż przy niej na wąskim materacu. Otaczał ją w talii ramieniem, prawdopodobnie dla równowagi, aby nie spaść na ziemię, lecz ten gest przypominał objęcia. Był w koszuli, tyle zdołała dostrzec. Co jeszcze miał na sobie i czy leżał pod baranią skórą,

czy na niej, nie potrafiła powiedzieć. Wolałaby to wyjaśnić, lecz nie chciała oglądać się w obawie, że dostrzeże jej niepokój. Na wszelki wypadek skoncentrowała uwagę na jego ciemnych źrenicach, długich, gęstych rzęsach, których podwinięte końce dotykały skóry, i nastroszonych brwiach.

- Sam przecież powiedziałaś, że mogę wziąć twoje łóżko dla siebie, wyłącznie dla siebie.

- Skąd mogłem wiedzieć, że niespodziewanie ściągnę tu dwudziestu ludzi, którzy potrzebują kawałka suchego miejsca, żeby się zdrzemnąć na derkach. Nawet palca do izby nie wciśniesz, uwierz mi. Poza tym w związku z nowo przybyłymi gośćmi musiałem mieć pewność, że, zgodnie z tym, co przyrzekłem, nikt nie zakłóci ci spokoju. Ten sposób wydał mi się najbardziej niezawodny. To sprawa honoru i mojej wybujałej ambicji.

- Niewątpliwie uważasz, że powinnam być ci wdzięczna?

- Nie. Wystarczy zrozumienie. Zastanawiała się przez chwilę.

- Ewentualnie mogę okazać wspaniałomyślność, skoro przypada mi skrzynka w połowie pełna srebra.

- W połowie pusta - poprawił ją. - Obiecałem, że nie będę cię niepokoił, nie było mowy o tym, iż spędzisz noc samotnie. Powiedz mi, kiedy tu wszedłem i dlaczego mi na to pozwoliłaś, a srebro będzie twoje.

Denerwujące, jak szybko i niepostrzeżenie potrafił zastawiać słowne pułapki. Za pomocą paru celnych sformułowań zamknął jej usta. Domyślała się, kiedy przyszedł, i gdyby była wtedy całkiem przytomna, nie pozwoliłaby mu zostać. Jednak jeżeli przyznałaby się, że nie spała, naraziłaby się z kolei na dociekanie, dlaczego nie zaprotestowała i na co jeszcze gotowa była się zgodzić. Była śmiertelnie zmęczona - oto cała, zapewne niezbyt zadowolająca odpowiedź na jego pytanie. Jeżeli ona sama z trudem daje jej wiarę, czego mogła spodziewać

się po nim?

- Jesteś naj ... - zaczęła i czym prędzej przerwała, przypomniawszy sobie właśnie, że ten człowiek ocalił jej życie, a ponadto nawet jej nie dotknął, spędzając z nią noc w jednym łóżku. Przynajmniej tak jej się wydawało. - No proszę, nie bądź taka nieśmiała. Zbieram epitety dotyczące mojej osoby. Najchętniej te najbardziej wyszukane. Rzuć choćby jeden, którego nie słyszałem. Refugio widział w półmroku, jak zaciska usta, aby nie powiedzieć już słowa więcej. Naszła go nieodparta ochota, aby nachylić się nad nią i dotknąć wargami tych ust. To nagłe, intensywne pragnienie, a także dzikie bicie serca, towarzyszące zmaganiom z chwilą słabości, wyprowadziły go z równowagi.

Była piękna, kiedy tak leżała z puklami włosów rozsypanymi na poduszce, a mdłe światło poranka odbijało się w czarnych lustrach jej oczu. Lecz przecież on widział w życiu sporo kobiet, niewiele ustępujących jej urodą. Okoliczności, w jakich się znaleźli, niewątpliwie pobudzały zmysły, ale czyż nie radził sobie w trudniejszych sytuacjach, nie tracąc przy tym głowy? To prawda, że od kobiet, które miał okazję spotkać na swej drodze w ciągu ostatnich lat, odróżniały ją wyrafinowane maniery i szlachetność rysów, lecz co to za argument?

Mówił prawdę, kiedy wyjaśniał jej, czym się kierował, kładąc się przy niej. Mógł przecież wstać i wyjść, zanim się przebudziła. Tak też z początku planował. A potem, pod wpływem impulsu, zmienił zdanie. Miał okazję sprawdzić, jaki ma charakter. Teraz już wiedział, że cechuje ją odwaga i uczciwość oraz że nie ma skłonności do hysterii. Ale czy naprawdę tylko tym się kierował? Czy przypadkiem nie kusiło go, żeby zobaczyć, jak się zachowa, będąc tak blisko niego bez świadków, jak to miało miejsce podczas jazdy na końskim grzbiecie czy w izbie pełnej ludzi? Szczere, choć niezbyt szlachetne motywy. Lepiej już położyć kres tej sytuacji. Skłonności do analizy mogą czasami okazać się zgubne.

Odrzucił pelerynę, która służyła mu za nakrycie na owczej skórze. Wstając sprężyście na równe nogi, pochwycił ją za rękę.

- Dość wylegiwania się. Słońce stoi wysoko nad Kordobą, o ile, oczywiście, wyszło zza chmur. Czas odwieźć cię do ciotki.

Podciągnął Pilar tak energicznie, że spadła z niej barania skóra, a poły obszernego szlafroka z pikowanego aksamitu rozchyliły się aż do pasa. Czując na skórze chłodny powiew, wyszarpnęła rękę, lecz tracąc równowagę, zatoczyła się z powrotem na łóżko.

Pochwycił ją, a jego dłonie, zamotane w materiał, zacisnęły się na jej nagim ciele, kiedy poderwał ją ku sobie. Oboje zamarli. Refugio powoli rozstawił palce i przesunął dłonią po jej plecach. Powiódł spojrzeniem po bladej, poznaczonej niebieskimi żyłkami skórze na wypukłościach drobnych, kształtnych piersi, których różowe czubki skryły się, przyciśnięte do fałdów jego koszuli z miękkiego płótna, i zatrzymał wzrok na puklu jedwabistych włosów, oplątanym na jego ramieniu. Ogorzała twarz Refugia wyraźnie pobladła. Pilar, obserwując zachodzącą w niej zmianę, bezwiednie zacisnęła palce na jego muskularnych barkach. Krew napływała jej do głowy, wywołując dudnienie w skroniach. Serce tłukło się o żebra jak oszalałe, a gdzieś, głęboko w trzewiach, budziło się jakieś dziwne i niechciane uczucie. Wciągnęła spazmatycznie powietrze i wyrwała się z jego objęć.

- Ty ... - Zachłysnęła się.

- Nie! - zaprzeczył. Ostry ton wyrażał zdecydowany sprzeciw. - Nie miałem takiego zamiaru. Może jestem niezdarny, ale nie do końca pozbawiony skrupułów. Daję ci na to słowo honoru. Wypuścił Pilar z żelaznego do tej pory uścisku, pozwalając jej opaść na łóżko. Wycofała się na jego skraj, zgarniając przy szyi poły szlafroka. Kiedy podniosła na niego wzrok, ich spojrzenia skrzyżowały się. Dostrzegła w jego szarych oczach zmieszanie i niechęć do siebie samego. Ze sposobu, w jaki uniósł ramiona, odgadła, iż spodziewa się z jej

strony wybuchu gniewu lub histerycznych krzyków.

Pomyślała, że mówi prawdę, że rzeczywiście nie zamierzał jej objąć. Wysunęła podbródek i patrząc mu prosto w twarz, oświadczyła:

- Przyjmuję twoje wyjaśnienie.

- Przyjmujesz je? - zapytał niepewnie, nie odrywając od niej wzroku.

- Nic innego mi nie pozostaje - oznajmiła z godnością.

- Ale dlaczego?

- Bo korzystam z twojej ... gościnności. Nie wierzę, by Carranza nastawał na godność kobiety, którą gości pod swoim dachem.

- Ach tak.

Rozumieli się doskonale. Uznając jego nazwisko rodowe i dawną pozycję społeczną, Pilar zaapelowała do jego honoru, zmuszając go w ten sposób do przestrzegania kodeksu moralnego i etykiety, jakie obowiązywały wśród ludzi z jego klasy.

- Przyjmij moje przeprosiny i wyrazy wdzięczności. Schylił głowę na znak szacunku, z wyraźnym podziwem w oczach.

- Przyjmuję je - odpowiedziała, opuszczając powieki. Wspominałeś, że możemy ruszać. Zapewniam cię, że szczerze pragnę jak najszybciej znaleźć się w drodze, lecz moje ubranie nadal wisi przy kominku. Wątpię, czy twoi ludzie życzyliby sobie, by zakłócać im sen z powodu damskich halek.

- To, czego oni sobie życzą, nie ma znaczenia. Ale nie ruszaj się. Przyniosę twoje ubranie i kufer. A tak przy okazji ... pijesz mocną czekoladę czy z dużą ilością mleka?

- Ach, nie będę cię trudzić - powiedziała, spuszczać nogi z łóżka. - Może Isabel...

- Ona śpi. A ja mam taki kaprys, byśmy zjedli śniadanie we dwoje. Rozejrzała się po alkowie.

- Zajęłam twój azyl. W takim razie wstanę i usunę się stąd.

- Nie ma mowy - rzucił przez ramię, odgarniając zasłonę. - Chyba że wolisz

towarzystwo tej dziwacznej zbieraniny z drugiej strony kotary. - Ponieważ nie odpowiedziała,

skinął głową: - Tak sądziłem. Więc bądź cierpliwa, przyniosę wszystko, co ci potrzeba.

Bardzo możliwe, że czułaby się bezpieczniej po drugiej stronie kotary - pomyślała,

wychylając się z łóżka i szczelnie zaciągając zasłonę za Refugiem. Tamci mężczyźni zapewne

byli mniej godni zaufania, lecz przynajmniej nie peszyliby jej wyrafinowanym sposobem

prowadzenia rozmowy i zagadkowym zachowaniem. Myśl, że Refugio poda jej śniadanie do

łóżka, krępowała ją, szczególnie w świetle tego, co wydarzyło się między nimi; ktoś bardziej

wrażliwy i mniej pewny siebie zostawiłby ją w spokoju, aby mogła dojść do siebie w

samotności. Refugio chciał dotrzymać jej towarzystwa w swojej sypialni, by zagwarantować

jej bezpieczeństwo (przynajmniej tak dawał do zrozumienia), jednak odczytywała ten gest

jako chęć dominacji, a także pragnienie sprawdzenia, czy rzeczywiście mu ufa, jak

zapewniała. Nie podobało jej się to wszystko, ale cóż mogła poradzić? Na szczęście nie

będzie musiała długo znosić tej sytuacji. Za parę godzin znajdzie się u ciotki. Kiedy będzie

bezpieczna w Kordobie, znikną wszelkie powody, by musiała go jeszcze kiedykolwiek

oglądać. Wszelkie powody. I to uczyni ją niezmiernie szczęśliwą. Niezmiernie ... Gdy wrócił

parę minut później, akurat rozczesywała palcami włosy. Pośpiesznie zwinęła gęste pukle w

kok, upięła go u nasady szyi i przyjęła z jego rąk filiżankę czekolady. Refugio usadowił się w

nogach łóżka, a ona przesunęła się w drugi koniec pościeli i usiadła oparta o ścianę. Rzucił

jej rozbawione spojrzenie, prawdopodobnie odgadując, że stara się trzymać jak najdalej od

niego, ale nie skomentował jej reakcji. I niewiele mylił się w swoich przypuszczeniach.

W ciasnej alkowie Refugio wydawał się jeszcze potężniejszy. Jego obecność

przytłaczała ją. Przebywanie z nim sam na sam za zasłoną wydawało jej się zbyt poufałe i



niezręczne. Sądząc po jego milczeniu i sztywnych ruchach, on także musiał czuć się skrępowany. Obojętnym gestem podał jej kawałek chleba zawinięty w serwetkę, który przyniósł ułożony na swoim kubku. Podziękowała mu półgłosem.

- Nie wiedziałam, że banitów stać na takie luksusy dodała, chcąc nawiązać rozmowę.

- Powodzi nam się całkiem nieźle. Tyle że jemy chleb z grubo mielonego ziarna, a czekoladę zalewamy kozim mlekiem.

- Wygląda na to, że jesteś doskonałym dowódcą.

- Tak myślisz? Uniosła lekko ramiona.

- Słyszałam wiele historii o tobie.

- Nie powinnaś dawać im wiary.

- Gdybym w nie nie uwierzyła - zaczęła ze wzrokiem utkwionym w chleb - nie wezwałabym ciebie. Nigdy nie uciekłabym od ojczyzna. Jestem ci wdzięczna ... mimo wszystko. Przyglądał się jej przez jakiś czas. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos zabrzmiał łagodnie.

- Wiesz, że zrobiłbym to samo bez obietnicy zapłaty w złocie. Po prostu nie życzę sobie, by mnie traktować jak głupca.

- Nigdy bym się na to nie odważyła.

- Przynajmniej nie częściej, niż to konieczne - poprawił ją oschle.

- Nie, naprawdę się mylisz.

- 'Muszę ci wierzyć. Jak może być inaczej?

Aby wyrazić zgodę na ten kruchy rozejm, podniosła na niego wzrok. Przelotny uśmiech rozjaśnił jego surową twarz, dodając wesołego blasku szarym oczom. Napięcie między nimi nieco zelżało. Jakiś czas jedli w milczeniu.

- Czy odkryłeś, co stało się z don Estebanem? - zapytała po chwili.

- Zniknął z miejsca zasadzki. Prawdopodobnie doszedł do siebie na tyle, by go można było zabrać powozem. Przynajmniej tak wynika ze śladów. Pokiwała głową z ponurą miną.

- Nie wydajesz się zaskoczona.

- Wiedziałaś, że nie umrze. To byłoby zbyt piękne.

- Jakaś ty żądna krwi. - Żartobliwie pokręcił głową.

- To wynik długiego przebywania w towarzystwie don Estebana. - Uśmiechnęła się cierpko. - Wszystko zawsze zdaje się układać po jego myśli.

- Nie zawsze, ale niestety, zbyt często. Ta uwaga była przypomnieniem, jak wiele on sam utracił. Pilar czym prędzej zmieniła temat.

- Wiesz, przyszło mi na myśl, że gdyby moja matka nie wyszła za don Estebana, to on nie zdobyłby odpowiednich środków na poparcie swoich ambicji ani też... na walkę z twoją rodziną. Niewątpliwie masz powody, by mi nie ufać. Refugio patrzył na nią przez chwilę z uśmiechem błakającym się w kącikach ust. .

- Jeżeli Carranzowie nie wzbudziliby w twoim ojczymie nienawiści i chęci odwetu, może nigdy nie dążyłby do poślubienia twej matki, nie doprowadziłby do jej śmierci i nie wygnałby ciebie z własnego domu. Ten kij ma dwa końce.

- Możliwe, ale to nie wszystko. Gdybyś nie zabił syna don Estebana, prawdopodobnie zmuszono by mnie do małżeństwa z nim. Dużo ci zawdzięczam.

- Może zawdzięczałabyś mi cokolwiek, gdybym go zabił ze względu na ciebie.

Ponieważ nie takie były moje pobudki, niczego mi nie jesteś winna. Tak samo jak nie masz powodów, aby poczuwać się do winy. Czy możemy uznać sprawę za zamkniętą? Z ociąganiem pokiwała głową.

- Jeżeli takie jest twoje życzenie.

- Tak.

Pilar przyglądała się spod rzęs siedzącemu obok mężczyźnie. Materiał koszuli opinał się na jego potężnych ramionach. Ciemne włosy układały się w miękkie fale, oczy pod szerokimi brwiami patrzyły śmiało i przenikliwie. Rysy miał regularne, a z kształtnych, arystokratycznych dłoni, w których trzymał zwykły gliniany kubek, emanowała siła. Nawet strój rzezimieszka, dodający mu dzikości, nie był w stanie zatuszować rasowego wyglądu potomka wielu pokoleń szlacheckich przodków. Przez chwilę Pilar żałowała, że nie spotkała Refugia de Carranzy y Leona w okolicznościach bardziej sprzyjających podtrzymaniu znajomości. Zaniepokojona wymową tej myśli, odwróciła od niego wzrok.

Milczenie między nimi przedłużało się. Zza kotary dochodziły pokasływania i pomruki mężczyzn wstających z legowisk. Trzasnęły głośniejsze płomienie - ktoś rzucił polano na rozżarzone węgle. Refugio dopił czekoladę.

- No, było miło, ale czas zająć się planowaniem wyprawy do Kordoby. Trzeba wymyślić jakiś fortel, aby przemycić cię za bramę miasta.

- Fortel?!

- A czego się spodziewasz? Ze pojedziesz złoconą karetą w orszaku giermków na koniach, a rajcy miejscy wyjdą ci na spotkanie?

- N o nie - obruszyła się.

- I dobrze. Przynajmniej nie będziesz rozczarowana.

Wjechała do starego, otoczonego murami miasta na dwukołowym wozie. Gdyby podróżowała samotnie, pokonałaby rzeźbioną bramę bez trudności, co najwyżej strażnicy zatrzymaliby ją, żeby sprawdzić, kim jest. Lecz nie była sama. Refugio obiecał doprowadzić ją do domu ciotki i zamierzał dotrzymać danego słowa. Umawiając się z nim, nie zastanawiała się, jak El Leon miał zamiar tego dokonać. Według legend podawanych z ust do ust potrafił przemieszczać się niewidoczny jak duch. Słyszała również pogłoski o dużej

liczbie przyjaciół i sympatyków po wsiach i małych miasteczkach, a także łapówkach, dzięki którym swobodnie wjeżdżał do Sewilli i wyjeżdżał z niej, kiedy tylko chciał. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, jakich jeszcze forteli używał, a już na pewno nie sądziła, że będzie uczestniczyć w jednym z nich.

Wóz był stary i rozklekotany, a popiskiwanie pełnych drewnianych kół, trących o osie przy każdym obrocie, szarpało jej nerwy. Stary osiołek zaprzężony między dwoma dyszlami ledwo ciągnął ogromny ładunek chrustu, polan i rosochatych gałęzi, pieczołowicie pozbieranych w lesie. Pilar siedziała na ławeczce, a Refugio szedł obok wozu, podpierając się kosturem, który w rzeczywistości był znacznie masywniejszy, niż się wydawał, i prowadził osła za lejce. Ten niepewny środek transportu znaleźli w gospodarstwie spory kawał drogi od miasta: Żona wieśniaka dała Pilar długi, czarny, wełniany szal, jaki chłopki zazwyczaj narzucały na głowę i ramiona, oraz kawałek węgla drzewnego, aby namalowała sobie sińce pod oczami i cienie na policzkach. Skąd Refugio wziął dziwaczny, stożkowaty kapelusz, który nosił nasunięty na czoło, przykrótkie, obszarpane portki i buty z twardej skóry, nie pytała. Dość, że wyglądał w tym stroju jak prosty chłop. Od czasu do czasu popatrywała ze zdumieniem, ale też i z podziwem na jego przebranie, a także na zmierzwioną strzechę bujnych włosów i głupkowaty wyraz twarzy. Dwa dni zwlekali z przekroczeniem bramy. Odważyli się dopiero na trzeci dzień rano, gdy w mieście odbywał się targ. Wmieszali się w ciągnący do miasta sznur wozów zaprzęgniętych w osły i ręcznych wózków, załadowanych najróżniejszym dobrem - płatami wyprawionej skóry, beczkami oliwy, kapustą, a także powiązanymi, rozgęganymi gęsiami. Nieco z tyłu, za Pilar i Refugiem, Baltasar z Enrique i Charro pędzili stadko kóz.

Cała piątka spędziła ostatnią noc w chacie wieśniaka, dzieląc jedyną izbę z gospodarzem, jego żoną, dziewięciorgiem drobiazgu, pięcioma psami, jedną czarną kurą i

całym mnóstwem pcheł. Pilar uważała, że po takim przeżyciu wyglądają dostatecznie niechlujnie i nikt ich nie jest w stanie rozpoznać, lecz Refugio nadal nie był zadowolony. Uparł się, by Pilar trzymała na rękach najmłodszy przychówek wieśniaka, ślicznego, siedmiotygodniowego chłopczyka, który protestował ile sił w płucach, kiedy zabierano go z ramion matki. Przez całą drogę niemowlę ani na chwilę nie przestało płakać i trzykrotnie zmoczyło spódnicę Pilar, mimo że wiele razy zmieniała mu szmatki, pełniące rolę pieluch. Matka maleństwa, która podążała ze swym mężem za stadem kóz, od czasu do czasu podchodziła do wozu, ażeby nakarmić niemowlę. Chłopczyk cichł na parę minut i z powrotem uderzał w płacz, gdy tylko znalazł się na powrót na kolanach Pilar. Podejrzewała, że wyczuwał jej niepokój i brak wprawy w obchodzeniu się z dziećmi.

Doszli do rzeki Gwadalkiwir. Zielonobrzowa woda płynęła powoli, obmywając brzegi wysepek porośniętych krzakami oleandrów i zdążając ku potężnym przesłom starego, zbudowanego przez Rzymian mostu, który bronił dostępu do miasta. Wózek przejechał z turkotem obok barbakanu Calahorra i wtoczył się na most. Oczom Pilar ukazały się kamienne filary starorzymskiej bramy. Pilnowało jej dwóch wartowników. Jeden był pochłonięty rozmową z ładną, ognistą dziewczyną, która pod każdą pachą trzymała po gęsi, drugi zaś, ze skwaszoną miną i z rękami założonymi na plecy, ponurym wzrokiem wodził po twarzach nadjeżdżających.

Odległość między wartownikiem a zgrzytającym jakby na alarm wózkiem zmniejszała się z każdą chwilą. Strażnik drgnął i oparł ręce na biodrach. Na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka. Wózek podjeżdżał coraz bliżej. Mężczyzna postąpił krok do przodu. Pilar rzuciła spojrzenie na Refugia. Herszt zbójców, jakby nieświadomy zagrożenia, człapał dalej, patrząc prosto przed siebie.

- Stać!

Refugio nawet nie drgnął. Pilar oblizwała wargi i zaczęła kołysać w ramionach

wrzeszczącą niemowlę w nadziei, że je uciszy. Strażnik wysunął się przed nich z podniesioną ręką.

- Hej ty, głupku, do ciebie mówię!

Skurcz strachu przebiegł po pozbawionej wyrazu twarzy Refugia. Szarpnął za lejce, osioł zarył kopytami w ziemię, o mało nie tracąc równowagi. Refugio zerwał kapelusz z głowy i stał z pochyloną głową, trzęsąc się na całym ciele.

- No, tak lepiej - pochwalił go strażnik, wypinając pierś. - Robisz tyle hałasu, że pobudzisz czciogodnych ludzi w ich domach. Na miłość boską, posmaruj tłuszczem osie! A ty, kobieto, przyłóż niemowlę do piersi!

- Tak jest, dostojny panie! Tak jest! - odpowiedział Refugio służalczym tonem. Zgięty wpół w niskim ukłonie, dawał rozpaczliwe znaki Pilar. Machając rękami, wypuścił lejce z dłoni i osioł ruszył przed siebie. Strażnik ustąpił im z drogi, lecz nadal patrzył natarczywie na Pilar, która czerwieniąc się, opuściła wzrok i zaczęła manipulować nerwowo przy staniku sukienki osłoniętym szalem. Szczęśliwie dziecko musiało rozpoznać ten gest, bo nieco przycichło. Pojechali dalej, mieszając się z tłumem. Pilar siedziała wyprostowana, bojąc się poruszyć, cały czas w strachu, że mogą ich jeszcze cofnąć lub zaczepić Baltasara i pozostałych ludzi. Na szczęście nic się takiego nie stało. Znaleźli się w murach miasta; byli w Kordobie.

Przejechali ulicą wzdłuż tysiącletniego, wzniesionego na rozkaz mauretańskiego władcy meczetu, który jakieś czterysta pięćdziesiąt lat później, po podboju Kordoby przez wojska katolickiego króla, zamieniono na katedrę. Majestatyczne, symetrycznie harmonijne łuki niewzruszenie górowały nad miastem, odporne na działanie czasu i ludzi. Refugio i Pilar prawie nie odrywali oczu od ziemi. Dziecko w dalszym ciągu zanosilo się płaczem. Idący

obok wozu Refugio spojrział z ukosa na Pilar.

- Najwyraźniej brak ci macierzyńskich uczuć - zauważył rozbawiony.

- Macierzyńskie uczucia nic tu nie mają do rzeczy obruszyła się. - Biedny malec czuje, że coś jest nie w porządku, i chce wrócić do swojej mamy.

- A ja też pragnę go jej oddać.

- Nie lubisz dzieci? - zapytała zgryźliwie.

- Uwielbiam te małe skarby pod warunkiem, że nie ściągają na siebie uwagi.

- To był twój pomysł, żeby go zabrać - przypomniała mu.

- Tak, bo dodaje wiarygodności mojemu wizerunkowi wiejskiego półgłówka, jadącego na targ w towarzystwie swarliwej żony. Nie sądzisz?

- Nie jestem twoją żoną - skrzywiła się Pilar.

- Doskonała mina! - pochwalił ją. - Niech świat zobaczy, jak się odnosisz do swego męża. - Już ci mówiłam, że ...

- Tak, tak, oczywiście. Ale wyjaśnij mi, dlaczego darzysz tak małym szacunkiem instytucję małżeństwa. Czemu nie chciałaś zostać żoną owego Carlosa?

- Nie wiem, do czego zmierzasz. - Pilar energicznie potrząsała niemowlęciem, ciągle nie mogąc go uspokoić. - Większość kobiet na twoim miejscu błagałaby o sprowadzenie księdza, byle tylko zyskać status kobiety zamężnej. Pilar rzuciła mu ostre spojrzenie. - Mam już dość problemów.

- Należy je rozwiązywać, a nie wywoływać. Czy nie lepiej udawać, że się wierzy, iż obrączka daje pozycję, a małżeństwo jest upragnionym stanem dla kobiety?

- Może również okazać się pułapką - powiedziała Pilar, mając na myśli matkę.

- Za takie herezje zostaniesz potępiona przez tych, co wymyślili tę instytucję, a teraz, nie mając wyboru, wynoszą ją pod niebiosa.

- Nie wydajesz się bardziej skłonny do wejścia w związek małżeński niż ja -  
zauważyła.

- To błogosławiony stan dla tych, co się kochają. Widzisz ... zbyt dobrze pamiętam  
moich rodziców. Tyle że miłość rzadko się zdarza.

- Tak - zgodziła się z nim, zamyślona. - Wcale nie jestem pewna, czy obrączka i  
przysięga małżeńska przywróciłyby mi dobre imię. .

- I tylko dlatego je odrzucasz? Cień uśmiechu pojawił się na jej ustach.

- Ach, rozumiem ... przyszła ci na myśl bajka o kwaśnych winogronach i lisie?

- Nie, nie - zaprzeczył. - O pszczołkach i miodzie.

- Co?

Jednak nie doczekała się wyjaśnienia, bo zaczął rozglądać się dokoła, by sprawdzić,  
czy nie widać pościgu.

Jechali krętymi uliczkami starego miasta, obsadzonymi po obu stronach szpalerami  
smukłych, wiecznie zielonych cyprysów. Mijali po drodze bramy z kutego żelaza, za którymi  
widać było dyskretnie osłonięte zielenią patia, i przejeżdżali pod balkonami ze zwieszającym  
się z nich geranium. Zatrzymali się w bocznej uliczce w pobliżu Alcazaru, starego pałacu, w  
którym król Ferdynand i królowa Izabela żegnali Kolumba, kiedy wyruszał w podróż do  
Ameryki, i gdzie miała swe lokum Święta Inkwizycja. Po drugiej stronie drogi stał wąski  
kamienny dom pokryty dachówką, z wysuniętymi balkonami o żelaznych poręczach i  
ciężkich, pomalowanych na niebiesko drzwiach. Może nie sprawiał imponującego wrażenia,  
ale wydawał się całkiem wygodny. Panowała w nim niezwykła cisza.

Teraz dołączyli do nich Baltasar z Enrique. Charro nadal trzymał się nieco z tyłu.

Oczy wszystkich były skierowane na dom. Pilar zebrała spódnicę, gotując się do opuszczenia  
wózka.



- Zaczekaj. - Refugio przytrzymał ją za ramię. Zawahała się. Refugio na powrót stał się czujny i w każdej chwili gotowy do działania. Pozbył się otępiełej miny jak maski. Spod runda wysokiego kapelusza wodził oczyma po frontonie domu, przyglądał się uważnie oknom i drzwiom, a na koniec zlustrował sąsiednie kamienice. Dziki kot, idący leniwie chodnikiem, zamarł na chwilę na ich widok, po czym z groźnym syknięciem wygiął grzbiet w łuk i uciekł.

- Zostań tu - polecił Refugio i, nie czekając na jej odpowiedź, w paru susach pokonał ulicę, po czym skręcił w pasaż między domami. Zanim się wśliznął w mroczne przejście, jeszcze raz rozejrzał się na boki. Jak tylko Refugio zniknął im z oczu, Pilar ruchem ręki przywołała matkę dziecka, drepczącą za kozami, i wręczyła jej niemowlę. Uwolniona od balastu, zeskoczyła z dwukołowego wózka i podążyła za Refugiem. Dom, przed którym stała, należał do ciotki, jej jedynej krewnej. Oczywiście rozumiała konieczność zachowania ostrożności, lecz dalsza zwłoka wydawała jej się nie do zniesienia. Nigdzie nie było śladu don Estebana czy strażników, a ona nie mogła czekać na spotkanie z siostrą ojca ani chwili dłużej. Od pasażu między kamieniczkami odchodził drugi, wiodący na tyły domu ciotki.

Mniej więcej w jego połowie znajdowała się drewniana brama osadzona w murze, najwyraźniej wejście dla służby. Pilar zobaczyła, jak Refugio zatrzymał się przy niej i pchnął drzwi, które pod jego naporem uchylły się bezgłośnie. Przez chwilę stał nieruchomo, nasłuchując, po czym jednym zwinnym ruchem wsunął się do środka i uskoczył pod ścianę. Teraz był w patio; Pilar dostrzegła przez uchylone drzwi gałęzie krzaków i kamienne płyty na ziemi. Gdzieś w górze rozległ się ostry świergot ptaka, dość niecodzienny dźwięk jak na tę porę roku.

Pilar podeszła do drzwi i wśliznęła się na patio. Zatęchłe powietrze w ogrodzie sprawiało nieprzyjemne wrażenie. Fontanna nie działała, a w nieruchomym lustrze wody odbijały się ciężkie, ciemne chmury. Nigdzie ani śladu człowieka.

Ukryta w cieniu, obserwowała, jak Refugio podchodzi do domu i próbuje otworzyć tylne drzwi. Były zamknięte na klucz. Potem zniknął jej z oczu, a po chwili usłyszała cichy brzęk tłuczonego szkła. Oczekała parę sekund i ruszyła za nim. Skrzydła wysokiego okna z witrażowymi szybkami poruszały się jeszcze, otwarte na oścież. Podbiegła do niego, wdrapała się na parapet i zsunęła na śliską posadzkę.

Znalazła się w ogromnym i konwencjonalnie urządzonym salonie. Pod ścianami, na których wisiały pociemniałe portrety jakichś dostojnych osób, stały rzędem krzesła o złoconych oparciach i podłokietnikach, wyściełane czerwonym aksamitem. Światło z dworu, załamujące się w witrażach, kładło się na posadzce niebieskimi i zielonymi plamami. W wyziębionym wnętrzu unosił się zapach wygaszonych kominków, starej, spękanej skóry i kurzu.

Dwuskrzydłowe drzwi prowadziły do holu z krętymi schodami, których koniec nikał gdzieś w ciemnościach. Idąc w ich kierunku, usłyszała ciche skrzypnięcie stopnia. Była pewna, że to Refugio. Uniosła spódnicę i zaczęła się wdrapywać po schodach za nim. Ciało starszego mężczyzny, zapewne służącego, sądząc po nocnej koszuli z surowego płótna, leżało za pierwszym zakrętem schodów. Być może miała przed sobą kamerdynera ciotki. Był zimny i patrzył przed siebie szeroko otwartymi oczami. Krew z ciętej rany na piersi splamiła koszulę. Musiał zakończyć życie w nocy, bo, oprócz stroju, wskazywała na to świeca, którą musiał upuścić, padając. Leżała niżej na osmalonym stopniu. Pilar zachwiała się lekko, pochylając nad ciałem. Niepokój przerodził się w przerażenie. Panika ścisnęła jej serce na kształt lodowatej obręczy. Co tutaj zaszło? Gdzie jest ciotka?

Gdy znowu usłyszała ciche stąpanie, wykonała znak krzyża nad martwym mężczyzną i przeszła ostrożnie nad rozciągniętym ciałem. Posuwała się do góry powoli, trzymając się blisko ściany.

Pierwsze piętro stanowiło labirynt saloników i sypialni ułożonych w amfiladzie. Pilar nie potrafiła określić, w którą stronę udał się Refugio. Już miała otworzyć usta, aby go zawołać, lecz zmieniła zamiar, dochodząc do wniosku, że lepiej nie zakłócać panującej wszędzie ciszy.

Przechodziła przez kolejne komnaty, aż w końcu dotarła do dwuskrzydłowych drzwi, większych i bogaciej zdobionych od pozostałych. Pokonała przedsionek, weszła do buduaru, w którym sporo miejsca zajmował masywny piec z flandryjskich kafli, i rozgarnąwszy zielone portiery, zasłaniające wejście, znalazła się w sypialni. Na podwyższeniu stało malowane, zdobione mosiężnymi ornamentami łoże z kolumienkami, których szczyty ozdobione były pękami strusich piór.

Na podłodze obok łóżka leżała służąca w szalu narzuconym na nocną koszulę. Siwe włosy opadły jej na plecy. Podobnie jak kamerdyner zginęła od ciosu nożem.

Ciotka Pilar siedziała w przepastnym łożu, wsparta na dwóch poduszkach, z Biblią na kolanach. Na głowie miała wytworny czepek z francuskiej koronki, obramowany różową wstążką. Krwawy ślad na szyi przypominał czerwoną tasiemkę. Refugio nachylał się nad ciotką, dotykając palcami jej twarzy.

Pilar wydała z siebie cichy jęk przerażenia.

Refugio odwrócił się gwałtownie. Zaklął siarczyście, po czym w paru krokach znalazł się przy Pilar i chwyciwszy ją pod ramię, wyprowadził z sypialni.

- Nie! Nie! - Zapierała się w drzwiach, chwytając klamki. - Muszę wiedzieć, czy ona ...

- Żyje? Nie, zdecydowanie, nie. Jest martwa od co najmniej dziesięciu godzin, a może i dłużej. Chcesz wiedzieć, czy możesz jej pomóc? Nie, właśnie zamknąłem jej oczy. Nic więcej dla niej zrobić nie można.

- Myślisz, że to sprawka don Estebana? - zapytała słabym głosem.
- Raczej jego najemników. Ktokolwiek to uczynił, los sprzyja Estebanowi. Wolę jednak myśleć, że to jego dzieło. - Jak on mógł? Jak śmiał? - Potrząsnęła głową. Ten gest oznaczał nie tyle niedowierzanie, co niemożność pogodzenia się z prawdą.
- Jak? Po prostu. On uważa, że najważniejsze są jego życzenia, jego potrzeby i jego wola. A co do śmiałości... tylu ludzi posłał na tamten świat, że jeszcze jedna śmierć nie robi na nim wrażenia. Gorycz w jego głosie pomogła jej opanować strach.
- Tak mi przykro - powiedziała. - Ogarnęły cię wspomnienia.
- Raczej poczucie klęski. Pomimo zamkniętych okiennic w półmroku sypialni dostrzegła na jego twarzy grymas pogardy.
- Dlaczego? Przecież nic nie mogłeś zrobić.
- Mogłem, gdybym dobrze pomyślał. Zamiast tego, pusząc się jak paw, ścigałem chimery, śniąc o niemożliwym. Powinno się mnie obedrzeć ze skóry.
- W tym, co się stało, nie ma twojej winy - ucięła oschle. - Ciotka żyłaby, gdybym nie wciągnęła jej w moje sprawy. Jakiś czas wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem.
- Chcesz zdjąć z moich barków ciężar poczucia winy czy dzielić go? Zbędna uprzejmość. Nie zagrzewa mnie do działania.
- Sądziłam, że wystarcza ci nienawiść. Ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy.
- Tak - odrzekł z chłodną uprzejmością. - Choć istnieją równie silne, a przy tym znacznie przyjemniejsze podniety. Rozmowa o nich mogłaby okazać się bardzo interesująca, lecz okoliczności nie sprzyjają. Każda śmierć zasługuje na skupienie, a w tym wypadku należy się szczególnie zastanowić. Pilar zrozumiała tę delikatną aluzję.
- Wiem, nikt nie powinien cię tutaj znaleźć, więc sama się wszystkim zajmę. Ktoś musi poinformować policję, wezwać księdza, rozesłać zawiadomienia o śmierci, przebrać

zmarłą. Tyle rzeczy jest do zrobienia.

- Jeśli nakryją cię tu ze mną, konsekwencje mogą być bardzo ponure.

- Więc odejdź stąd, zanim ktokolwiek się zjawi. Ja ... sobie poradzę.

- Tak sądzisz? A co będzie, jeżeli przyjdzie zabójca? Albo twój ojczym?

- Nie mogę tego tak zostawić. - Obejrzała się na łożo.

- Nie wolno ci tutaj zostać. Czy sądzisz, że don Esteban pozwoli ci żyć, skoro posunął się aż tak daleko? Jeśli zmitręzysz zbyt dużo czasu, rano w tym domu będzie jeszcze jedno zasztyletowane ciało.

- Nie martw się tym. Jestem pewna, że władze miasta ...

- Władza kieruje się literą prawa, przynajmniej ta niezbyt blisko związana z don Estebanem, lecz, jak widzisz, nie była w stanie ochronić twojej ciotki.

- Ale przecież nie mogę tak po prostu wrócić z tobą w góry!

- Dlaczego nie? Twoja ciotka musiała mieć jakichś krewnych czy znajomych, którzy zajmą się wszystkim jak należy. Nie wolno ci z powodu poczucia winy wpaść w pułapkę.

- Tu nie tylko o to chodzi. Co ja będę robić, jeśli z tobą pójdę? Co ze mną będzie?

- Czy nie za późno na takie zmartwienia? Nic już nie zaszkodzi twojej reputacji, bo i tak zszargano twoje dobre imię.

- Nie to miałam na myśli - powiedziała ze wzrokiem pociemniałym ze zgrzyoty. -

Niemniej, sam widzisz, jak niemożliwe...

Ucięła, bo machnął gwałtownie ręką, nakazując jej milczenie. Stał nieruchomo, nasłuchując. Pilar uniosła głowę i wstrzymała oddech, ale z początku nie mogła wyłowić żadnego dźwięku. Dopiero po chwili usłyszała cichy, ostrzegawczy gwizd na ulicy.

Refugio mocno złapał ją wpół i pociągnął za sobą w przeciwległy koniec domu.

Przebiegli przez ciche, zakurzone komnaty, a po chwili ich kroki zadudniły po kamiennych

kuchennych schodach. Lawirując między stołami, przemknęli przez kuchnię i zmywalnię i dopadli do wysokich drewnianych drzwi. Refugio uchwycił obiema rękami ciężką żelazną zasuwę i szarpnął ją, wpierając się prawym barkiem w drzwi. Rygiel ustąpił w jednej chwili, skrzydła otwarły się do wewnątrz, wpuszczając do środka światło z patia na tyłach domu.

Przystanęli na moment przy martwej fontannie. Z ulicy przed domem doszedł ich

odgłos końskich kopyt uderzających o bruk. Ktoś głośno wydał rozkaz, jakiś głos tuż za furką powtórzył go natychmiast.

- Czy to policja? - szeptem zapytała Pilar.

- Jeden Bóg raczy wiedzieć - odparł Refugio, wodząc zmrużonymi oczyma po drzewach wzdłuż parkanu. - Gdzie są wszyscy?

- Dbają o to, by nie dać się złapać. Nam też nic innego nie pozostaje. - Dotknął jej

ramienia i wskazał na drzewo zakarandy rosnące przy ogrodzeniu oddzielającym patio od sąsiedniej posesji. Tuż pod jego najwyższymi konarami znajdował się płaski dach domu w mauretańskim stylu, na którym w letnie wieczory domownicy mogli przesiadywać jak na tarasie. Gest Refugia nie mógł być bardziej wymowny, właśnie tędy wiodła droga ucieczki.

Nie da rady, wiedziała, że nie da rady. Zanim jednak zdążyła zaprotestować, Refugio podsadził ją między konary. Odruchowo uchwyciła się gałęzi, a potem następnej, szukając po omacku podparcia dla stóp, aby zrobić miejsce dla Refugia, który wspinał się tuż za nią.

Chwilę później Refugio zawisł obok niej na grubym konarze i dokładając dłoń do dłoni, powoli przesuwiał się w stronę dachu. Balansował nad nim przez chwilę, a potem puścił gałąź i skoczył w dół, lądując na dachu na ugiętych nogach. Wyprostował się szybko i dał jej znak, by zrobiła to samo. Musi go posłuchać, to jedyne wyjście; nie było czasu do stracenia. W domu ciotki rozległ się tupot butów. Lada chwila ktoś może ją spostrzec. Jeśli tych mężczyzn nasłał don Esteban, to i jej, i Refugiowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. A jeżeli to

policjanci i jej samej nic nie zagraża, nie ma prawa skierować ich na ślad Refugia. Nie może dopuścić, aby przez nią schwytano El Leona nie po tym, co dla niej zrobił. Przesuwała się wzdłuż konaru. Kiedy znalazła się nad Refugiem, zacisnęła zęby i puściła gałąź.

Wpadła prosto w jego wyciągnięte ramiona. Nawet nie ugiął się pod jej ciężarem, jakby ważyła tyle co piórko. Zanim rzucili się do ucieczki, odczekał chwilę, aż Pilar złapie oddech.

Przebiegli po dachu ku sąsiedniemu domowi. Wspięli się po występach glinianej rynny na jego stromy dach i zsuwali się ostrożnie na czworakach po dachówkach. Gdy dotarli do krawędzi, zeskoczyli na wąski balkonik pokoju na poddaszu, jak się okazało, damskiej sypialni, bo przez szybę dostrzegli łoże, a w nim kobietę pogrążoną we śnie. Refugio skręcił pelerynę w powrót i już po chwili oboje szli spokojnie aleją.

Baltasara i Enrique odnaleźli w bocznej uliczce parę przecznic dalej, nigdzie natomiast nie było śladu Charro, wieśniaka, jego żony z płaczącym niemowlęciem na rękach ani ich rozsypującego się wozu. Czym prędzej skierowali się ku bramie, przez którą dostali się do miasta, czujnie obserwując, czy aby nie zaalarmowano strażników i nie zamknięto wszystkich wejść.

Brama była otwarta. Na widok szeroko rozwartych wrót z tym samym skwaszonym wartownikiem, który ruchem ręki nakazał im iść dalej, Pilar doznała wstrząsu. Wszystko wskazywało na to, że to don Esteban wysłał dziś rano ludzi do domu ciotki. A to oznaczało, że mieli ją zabić. W takim razie nie pozostało jej nic innego, jak tylko pójść w góry z Refugiem i szukać schronienia w jego bandzie. To było jedyne wyjście.

Do kamiennej chatki dotarli następnego dnia o świcie.

Podróżowali w szybkim tempie, bez odpoczynku. Kluczyli górskimi szlakami, jedli, nie schodząc z koni, a zatrzymywali się tylko po to, ażeby w kryjówkach na pustkowiu

wymienić zgonione wierzchowce. Znużona Pilar miała wrażenie, iż cały ten czas porusza się w gęstej mgle. Nie rozumiała, jakim cudem utrzymuje się jeszcze w siodle, bo mięśnie, z początku obolałe, zeszywniały tak bardzo, że była jak sparaliżowana. Chwiała się na boki, uczepiona końskiej grzywy, ale nie spadała. Gdy zajechali przed chatę, nie miała siły samodzielnie zejść z konia, a kiedy zrobiła parę kroków i powróciło czucie w nogach, zatoczyła się i niechybnie runęłaby na ziemię, gdyby Refugio jej nie podtrzymał.

Pilar zobaczyła Isabel na progu chaty z latarnią w uniesionej dłoni. Dostrzegła konsternację na bladej twarzy dziewczyny, kiedy tamta ujrzała ją w ramionach El Leona, lecz była zbyt zmęczona, żeby się tym przejąć. Czuła jedynie ogromną wdzięczność dla Refugia za jego pomoc. Marzyła o kawałku miejsca, gdzie mogłaby się wyciągnąć i które by się pod nią nie poruszało.

Isabel podbiegła do nich z jakąś nowiną, ale jej głos zdawał się dochodzić do Pilar gdzieś z oddali i upłynęło trochę czasu, zanim dotarło do niej to, co mówiła dziewczyna.

Zastanowiło ją, że Refugio nagle zastygł bez ruchu, dopiero po chwili słowa Isabel wyrwały ją z odrętwienia.

- Och, Refugio! - zawołała dziewczyna i dodała ciszej: - Vicente ... Tak mi przykro, tak bardzo przykro!

- Co się stało? - Głos Refugia był opanowany, a przy tym zimny jak lód. Isabel nawijała fartuch na dłoń, aż naprężony materiał pękł z trzaskiem.

- Wieczorem nadeszła wiadomość z Sewilli od don Estebana. Kazał przekazać, że ... że porwał Vicente, kiedy chłopak szedł ulicą. Wypalił mu na twarzy piętno niewolnika i zamierza go zabrać ze sobą do Luizjany. Jeżeli chcesz kiedykolwiek ujrzeć Vicente żywego, masz dopilnować, aby kobieta, którą chronisz, jego pasierbica, nie wywołała żadnych kłopotów do czasu, kiedy jej ojczym powróci do Hiszpanii.



## ROZDZIAŁ V

Dookoła zapanowała śmiertelna cisza. Twarz Refugia stężała, rysy nabrały ostrości rzeźby odlanej z brązu. W jego stalowoszarych oczach, oświetlonych drżącym, złotawym płomykiem z latarni Isabel, odbijały się zaciekleść i ból. Dłoń na ramieniu Pilar zacisnęła się, jakby zamierzał zmiążyć jej kości. Podmuch nocnego wiatru zajęczał pod okapem chaty i ucichł.

Ludzie otaczający Refugia zamarli. Baltasar stał, trzymając siodło, które zdążył zdjąć z konia, Enrique znieruchomiał z ręką przy twarzy, bo akurat ocierał kurz połą kapoty, a Charro zastygł, przyciskając do końskiego grzbietu pęk słomy. Isabel zakryła ręką usta, a jej oczy w zbolącej twarzy patrzyły z przerażeniem na przywódcę zbójców.

Wszyscy obserwowali go czujni, a kto wie, czy nie przestraszeni, czekając na jego reakcję. Czego się spodziewali? Czy obawiali się, że staną się celem wybuchu szaleńczego gniewu? A może sądzili, że El Leon zdecyduje się na konfrontację, co prawdopodobnie zakończyłoby się dla nich tragedią? Może martwili się, że rozpacz popchnie go do jakiegoś nierozważnego kroku, który obróci się przeciwko niemu samemu? Cokolwiek miało nastąpić, nie czynili niczego, by temu zapobiec. Zastygli z wyrazem współczucia na twarzach, zwyczajną ludzką reakcją na nieszczęście, które dotknęło ich przyjaciela.

Pilar położyła dłoń na palcach Refugia, wpijających się w jej ramię.

- Tak mi przykro - powiedziała cicho. Powoli odwrócił głowę w jej stronę.

- Czyżby? - zapytał ledwo dosłyszalnym szeptem. Naprawdę? Jak bardzo ci przykro?

Skuliła się pod wpływem jadowitego tonu i wściekłego błysku w oczach. Jak oparzona cofnęła rękę. Czowała głuche dudnienie serca, słyszała własny rwący się oddech.

Gwałtownie wypuścił ją z objęć, obrócił się na pięcie i po paru krokach zniknął w ciemnościach. Pilar głośno zaczerpnęła powietrza. Któryś z mężczyzn westchnął, a zaraz

potem zaklął siarczyście. Baltasar cisnął siodło na ziemię, podszedł do Isabel i wyjął latarnię z jej drżących rąk. Dziewczyna rozplakała się, pojękując cicho i rozpaczliwie jak zagubiony mały kotek. Pozostali mężczyźni stali razem, uciekając spojrzeniem jeden przed drugim.

- Co on zamierza? - zapytała Pilar, przesuając wzrokiem po ich twarzach.

- Kto to wie... - odpowiedział chudy, długonogi Charro.

- Zabije don Estebana - stwierdził Enrique i wzruszył jednym ramieniem, co miało oznaczać, że takie rozwiązanie wydaje mu się oczywiste.

- Albo sam zginie, usiłując go zabić - wychlipała Isabel.

- Miałam na myśli teraz - wyjaśniła Pilar. - Co on chce zrobić teraz? Nie powinniście byli pozwolić mu odejść.

- A jak niby mieliśmy go zatrzymać? - Enrique spojrzał na nią z ironicznie uniesionymi brwiami. - Mogliście pójść za nim, być przy nim.

- Jeszcze nam życie miłe. Pilar zirytował melodramatyczny ton byłego akrobata.

- Jest takim samym człowiekiem jak my wszyscy. Nie może być aż tak nieobliczalny.

- Jeżeli tak uważasz, proszę bardzo, sama go pociesz.

- Prawie go nie znam, a wy jesteście jego przyjaciółmi, jego kamratami.

- Jeżeli tak mało go znasz, señorito, skąd taka troska? - wycedził Baltasar.

- To nie ... - Urwała. - Być może czuję się winna - powiedziała, wysuwając podbródek.

- Tak - zgodził się Baltasar i pokiwał masywną głową.

- Wygląda na to, że don Esteban zabezpieczył się ze wszystkich stron - zauważył Enrique. - Zabija starszą panią, twoją ciotkę, abyś nie mogła szukać u niej pomocy i użyć jej wpływów przeciwko niemu. Potem porywa Vicente, żeby związać ręce Refugiowi i mieć pewność, że El Leon nie uczyni żadnego ruchu przeciwko niemu do jego powrotu z

zagranicy. Właśnie zemścił się na obu braciach za mieszanie się w jego życie. Udało mu się zranić El Leona i zamknąć go w klatce. Don Esteban jest górą. Powiedz, jak podnieść Refugia na duchu po takiej klęsce. Na wszystkich twarzach zwróconych na siebie czytała oskarżenie. Czowała, jak płoną jej policzki.

- Nie chciałam, żeby do tego doszło. Wiecie, że nie chciałam.

- Wiemy - powiedział Baltasar.

Jego zapewnienie nie zabrzmiało przekonywająco. Pilar zastanowił ton, jakim je wypowiedział. Czyżby oni wątpili w jej niewinność? Wydało jej się nieprawdopodobne, by sądzili, że w zмовie z ojczymem zastawiła pułapkę na Refugia. Uknucie takiego skomplikowanego planu było nierealne, pomijając nawet tak oczywiste zagrożenie, jakim był odwet Refugia.

Zapatrzyła się w przestrzeń, tam gdzie zniknął. Co myśli on sam, skoro jego ludzie ją obwiniają? Na pierwszym spotkaniu podejrzewał, że usiłuje wciągnąć go w pułapkę. Teraz wygląda na to, że wnyki się zamknęły.

Uniosła spódnicę i ruszyła poza krąg światła. Charro, który stał oparty o futrynę, wyprostował się raptownie.

- Zaczekaj, señorito! - zawołał głosem pełnym niepokoju. - Nie wiesz, co robisz.

Spotkanie z bandą Apaczów w barwach wojennych na bezdrożach Tejasu nie jest tak niebezpieczne jak to, co zamierzasz.

- Być może - rzuciła przez ramię. - Ale muszę tam pójść. - Nie oglądając się za siebie, zniknęła w ciemnościach.

Nie mogła go znaleźć. Obeszła chatę dookoła, przystając co parę metrów, by nasłuchiwać. Przed drzwiami zawróciła i powoli zatoczyła jeszcze jeden krąg. Wysiłała słuch, licząc, że pochwyci jakiś ruch czy szmer. Wpatrywała się w zacienione miejsca pod

drzewami, przyglądała zarysom skał na tle nocnego nieba. Wciągała w nozdrza wiatr w nadziei, że poczuje jego zapach. Bezskutecznie. Nie trzasnęła ani jedna gałązka, nie przebiegło żadne nocne zwierzę. Nawet gwiazdy na aksamitnej kopule nieba zawisły nieruchomo.

Stała niezdecydowana przez jakiś czas. Potem ruszyła prosto przed siebie, coraz dalej i głębiej w ciemność. Zaczynała się zastanawiać, czy potrafi odnaleźć drogę powrotną do chaty. I wtedy tknęło ją pewne podejrzenie, oparte po części na intuicji, a po części na pewnej znajomości mężczyzny, którego szukała. Zrobiła jeszcze parę kroków, zwolniła i przystanęła. Stała bez ruchu, wstrzymując oddech. Kiedy niczym niezmacona cisza zaczęła dzwonić jej w uszach, bezruch przytłaczał, a ciemności zamknęły się wokół niej, zdając się bronić dostępu powietrza do płuc, nabrała pewności.

- Jeżeli mnie dotkniesz, mogę wpaść w histerię oznajmiła. - I nie dlatego, że mnie zaskoczysz czy nawet przestraszysz. Będę krzyczeć z czystej udręki.

- Kto cię usłyszy? Lub słysząc, przyjdzie? - zapytał tuż za jej plecami. Stał tak blisko, że oddechem poruszył pasemka włosów na jej szyi.

- Wiadomo, że nikt. Ale szkoda resztek energii, jakie mi jeszcze zostały.

- Wyrazy współczucia. Jednak, zdaje się, to ty przyszedłaś mi współczuć, prawda?

- Po części, głównie zaś po to, by wytłumaczyć się w związku z Vicente. Źle dobrała słowa, wiedziała o tym, zanim skończyła mówić. Liczyła się z wybuchem gniewu czy agresją, zamiast tego poczuła, że on się wycofuje, oddala od niej. Odwróciła się gwałtownie.

- Zaczekaj! - zawołała. - Wiem, że wciągnęłam cię w coś znacznie poważniejszego, niż się spodziewałam, ale daję słowo honoru, że to nie było zamierzone. I przysięgam, nie mam nic wspólnego z porwaniem Vicente. Proszę, uwierz mi!

- Wierzę. Gdyby było inaczej, don Esteban nie pozostawiłby cię na mojej łasce.

Oczywiście, o ile ceni cię jako współpracowniczkę, bo istnieje także możliwość, że najzwyczajniej w świecie już mu nie jesteś potrzebna.

- Zapewniam, że ...

- Być może chodziło o to, bym wziął na tobie odwet, skrzywdził cię, zbrukał, wyładował na tobie gniew, który mnie trawi. Pokusa, aby wyrównać rachunki za siostrę, musi być silna, nie sądzisz? A wtedy ucierpiałaby moja reputacja. Legendy krążące po ludziach straciłyby wiele blasku, więc mniej byłoby żalu i łez, gdybym któregoś dnia zawisł gdzieś na rozstajach.

Spokojny, beznamiętny ton, jakim analizował sytuację, wywołał dreszcz na jej ciele.

Chciała mu przerwać, zaprotestować, lecz on mówił dalej z bezwzględną logiką. -

Okoliczności trochę się różnią. Moją siostrę zgubiła szalona miłość do syna don Estebana i wpływ dramatów Szekspira, a także rodzinne skłonności do poświęceń. Wymyśliła sobie, że pogodzi zwaśnione rody, rozumiesz? Kiedy zrozumiała, jak bardzo się pomyliła, jej serce umarło jeszcze za życia. Więc samobójstwo było niewielkim złem. Ty, jak podejrzewam, jesteś znacznie twardsza. Nigdy nie pozwoliłabyś sobie na zakochanie się w niewłaściwym mężczyźnie, nie dopuściłabyś, by poprzez zniewolenie ciała zadano gwałt twojej duszy.

- Tak mnie oceniasz?

- Tak, chociaż mogę się mylić. Sprawdźmy?

Kiedy Refugio zaczął swoją tyradę, podszedł z powrotem do Pilar. Nic jednak nie zapowiadało tego, co za chwilę miało nastąpić. Zanim przebrzmiały jego ostatnie słowa, mocnym szarpnięciem przewrócił Pilar na ziemię. Impet pozbawił ją tchu, mimo że Refugio własnym ciałem osłonił ją przed upadkiem na twarde grunto. Otoczył ją ramionami i odwrócił na plecy. Wargami poszukał jej ust i wpił się w nie w zawziętym pocałunku. Uczucie gorąca przeszło jej mózg. W pierwszym odruchu zaczęła się wyrywać, lecz już po chwili zastygła w

bez ruchu, całą siłą woli starając się zachować bierność. Jeżeli nie będzie z nim walczyć, nie da mu satysfakcji, że złamał jej opór. Nie będzie zachęcać go do przeciągania eksperymentu najmniejszą reakcją ze swej strony. A jednak, kiedy zelżał nacisk jego ust, poddała się urokowi tego pocałunku. W dotyku jego ciepłych warg kryło się subtelne zaproszenie. Język muskający jej usta bardziej prosił, niż się domagał. Pilar poczuła, jak krew burzy się jej w żyłach i pulsuje w skroniach. W podbrzuszu gorącą falą wzbierało odrętwienie. Jej piersi zdawały się wyczuwać każdą nitkę grubej lnianej koszuli, którą miał na sobie, i każdy mięsień pod materiałem. Ich uda stykały się ze sobą. Tak bardzo obezwładniał ją napór jego ciała, że poczuła się całkowicie bezradna, jak gdyby gdzieś w niej było takie miejsce, które, pobudzone, pozbawiało ją możliwości obrony.

Obleciał ją strach. Wciągnęła głęboki, urywany oddech i odepchnęła Refugia od siebie. Nie próbował jej przytrzymać. Przyklęknął na jedno kolano i podparty na łokciu, nachylił się nad nią.

- Widzisz? - zaśmiał się chrapliwie. - Jesteś twarda i niewrażliwa. Jak mogłoby być inaczej? Upłynął dłuższy czas, zanim zdołała pozbierać myśli i mogła zaufać głosowi. Miała ochotę odsunąć się od niego, lecz bała się, że dopatrzy się w tym gościu chęci ucieczki.

- Rzeczywiście, jak? - zapytała zdławionym głosem. - Co miał oznaczać ten pokaz? Jeżeli to cena mego współczucia, to jest ona zbyt wysoka.

- Wręcz przeciwnie, niebywale niska. Celowo nie sięgam po więcej, bo, w przeciwieństwie do pewnych osób, nie potrzebuję napiętnowanej zakładniczki.

- Nie jestem twoją zakładniczką.

- Nie? - Pochwycił ją za rękę i jednym szybkim ruchem postawił na nogi z takim rozmachem, że wylądowała w jego ramionach. - Powiedz: jak sądzisz, ile czasu zajmie mi wymiana ciebie na brata? - zapytał, przyciskając jej dłonie do piersi. Nie miała wątpliwości,

że jeżeli odda ją don Estebanowi, ojczym ją zabije.

- Nie ... nie posunąłbyś się do tego - wyszeptała, czując, jak krew krzepnie jej w żyłach.

- A więc podejrzewasz, że stać mnie na wiele. Czy twoje słowa odnoszą się do tego, że trzymam cię w objęciach, czy też chcesz powiedzieć, że jestem zdolny do każdej niegodziwości?

- Ani jedno, ani drugie - odparła wzburzona, w pełni świadoma niezręcznej sytuacji, w jakiej się znalazła wbrew woli. - Po prostu nie sądziłam, że z taką pokorą poddasz się manipulacjom don Estebana.

- To sprawa życia lub śmierci mojego brata.

- A co ze mną?

- Przyznaję, wybór jest trudny. Przekonaj mnie zatem, że powinienem ratować ciebie, a nie owoc łona naszej matki, rodzzonego brata, który szanuje mnie i wierzy we mnie, i nawet teraz, oznakowany jak cielak, bez jednego słowa skargi czeka, ufając, że przyjdę po niego.

- Domagasz się zapłaty? - Nie potrafiła ukryć przerażenia.

- Jeżeli jej forma gwarantuje zapomnienie, jestem gotowy rozważyć taką możliwość.

Zwróciła uwagę, że głos Refugia, niby lekki i beztroski, był nieco zduszony. Wsłuchiwała się w jego echo, zanim przebrzmiał jej w uszach. On nie chce pokazać, jak bardzo cierpi - pomyślała.

- Nie zrobisz tego - powiedziała z przekonaniem. Jestem pewna, że nie będziesz czekał z założonymi rękami, ale tego nie zrobisz. Przecież jesteś El Leonem, przywódcą bandytów, o którym śpiewa się pieśni w górach. Czy tak ciężko będzie ci pokonać don Estebana? Wierzę, że jeżeli się postarasz, uratujesz i mnie, i Vicente! Wydał z siebie odgłos przypominający ironiczne parsknięcie.

- Kto wie? Może warto się nad tym zastanowić? - powiedział z namysłem. Refugio spojrzał w dół, na kobietę, którą trzymał w ramionach. W ciemnościach widział jedynie zarys jej bladego policzka. Naszła go nieodparta ochota, aby ją obnażyć. Nie zależało mu na widoku jej ciała, zapragnął dowiedzieć się, co kryje się w jej głowie. Co myśli, co czuje, w co wierzy? Jak on wygląda w jej oczach? Oczywiście mógłby to wszystko wydobyć z niej siłą lub sprowokować ją jakąś ciętą uwagą, lecz co zyskałby dzięki temu? Takie działanie mogłoby mieć nieodwracalne skutki. Dlatego musi poczekać i osiągnąć cel podstępem. Będzie toczył z nią dworne rozmowy, pozostanie szarmancki i delikatny, aż sama się przed nim odkryje. A kiedy zaspokoi swą ciekawość, pozbędzie się jej.

Różniła się od innych kobiet. Nie posyłała mu błagalnych spojrzeń ani nie wabiła go znaczącymi gestami czy półsłówkami. Prawdę mówiąc, nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Ale też nie wrywała się z jego objęć ani nie zachowywała jak spłoszona dziewczyna. Była silniejsza i bardziej zdecydowana niż niejeden z jego bandytów, bo przecież w przeciwnym wypadku nie byłoby jej tu z nim. Nie dawała się zastraszyć, a jeżeli już się bała, nie pokazywała tego po sobie. Sposób, w jaki reagowała na jego zaczepki, zupełnie zbił go z tropu.

Sądził, że naprawdę jest taka, jak mówi, ale nie był tego do końca pewny. Intrygowała go, i dlatego należało się jej strzec. Musi ją przejrzeć na wylot. Jak dotąd taka dogłębna wiedza o kobietach przynosiła mu nudę i uczucie przesyty. Daj, Boże, żeby i tym razem tak się stało.

Zniechęcony brakiem reakcji na swe prowokacyjne zachowanie, odstąpił od niej na krok i gestem pełnym przesadnej galanterii wskazał na słabe światło, sączące się z chaty, dając do zrozumienia, że pora wracać do kryjówki.

Pilar ruszyła przodem. Powinna odczuwać satysfakcję, że udało jej się oderwać jego



myśli od Vicente, ale wcale tak nie było. Uznała, iż raczej dostała nauczkę, niż odniosła sukces.

Wszystko wskazywało na to, że nie będzie im dane odpocząć. Refugio, w nastroju zniechęcającym do zadawania jakichkolwiek pytań, to wykrzykiwał rozkazy, to przymilnie ich zachęcał, aż wszyscy podnieśli się z miejsc i znaleźli z powrotem w siodłach. Pilar sądziła, że zamierza ją zostawić, do chwili kiedy upomniał ją ostrym tonem, by wsiadła na konia. Wzięli ze sobą szkatułkę ze srebrem, no i zabrali Isabel, bo dziewczyna prawie wpadła w histerię na wiadomość, że znowu ma zostać sama. Zanim którekolwiek z nich zebrało się na odwagę, by zapytać Refugia, dokąd się udają, zdążyli pokonać spory odcinek drogi, a słońce przebiło się przez różowe chmury i wspięło wysoko na lazurowe niebo.

Celem podróży okazał się tysiącletni Kadyks, portowe ruchliwe miasto, gdzie przed wiekami feniccy kupcy marzyli o Tyrze, a Kartagińczycy i Rzymianie kąpali tancerki w winie z Jerez. Ten sam port, gdzie złote skarby azteckich bogów z głuchym łoskotem zrzucano ze statków na nabrzeże. Miasto, którego zabudowania oddzielała od morza promenada, a dojścia od strony lądu broniły skaliste wzniesienia.

Jechali do Kadyksu, skąd don Esteban miał wyruszyć w podróż do Luizjany.

Nikt nie zapytał, co zrobią, kiedy tam dotrą. Nie znaleźli na to ani czasu, ani energii, ani nawet chęci. Jeżeli Pilar sądziła, że już poznała, co to szybka jazda, to bardzo się pomyliła. Gnali galopem po górskich traktach, rozpędzając podróżnych do rowów. Tratowali wałęsające się kury i gęsi, a wiejskie kundły z jazgotem uciekały spod końskich kopyt.

Nieduże silne koniki, nawykłe do jazdy po górach, zmieniały się w dychawiczne szkapę. Jedli i pili z jedną nogą w strzemieniu i ani na chwilę nie zamykali oczu w obawie, że kurz i błoto z dróg skleji im powieki.

Jakieś tajemnicze postaci dawały im jedzenie i zmieniały zgonione konie na nowe.

Jacyś mężczyźni rozmawiali o czymś półgłosem z Refugiem i wskazywali na południe, a potem znikali. Czasami błysnęła srebrna moneta, a czasem nie.

Mieli za sobą kilometry drogi. Dzień przeszedł w noc, a oni wciąż jechali. Pilar, wyczerpana poprzednią podróżą, przez dłuższy czas czuła się tak, jakby ją łamano kołem. A potem spłynęło na nią kojące odrętwienie; widziała i słyszała wszystko jak przez mgłę, lecz całkowicie zubożyła na ból. Nie wiedziała, że zaciska wodze w dłoniach, ani nie czuła, jak pieką otarte do krwi pośladki i uda. W przeciwieństwie do pozostałych jeźdźców, a w szczególności do Baltasara, który pochrapywał w siodle, nawet na chwilę nie zmrużyła oka. Już tylko silna wola i podsycany w duszy bunt utrzymywały ją na koniu.

Powodem jej gniewu był Refugio, El Leon. To on, cały czas czujny i uważny, niezmordowanie parł przed siebie. Ani razu nie zachwiał się w siodle, nie potknął przy zsiadaniu. Poganiał ich i ponaglał, nie zgadzał się na chwilę odpoczynku, ledwie pozwalając im oddychać. Nie narzekała i zaciskała zęby, pilnując się, aby z ust nie wyrwało się jej najmniejsze westchnienie lub jęk, lecz w cichości ducha obmyślała karę dla tego nieczułego, aroganckiego potwora, który galopował na przedzie. Resztkami świadomości trwała przy słodkiej myśli o zemście.

Do Kadyksu wjechali po dwóch dniach. Mury miasta były w opłakanym stanie i nikt nie pilnował bramy. Kluczyli wąskimi uliczkami, aż dotarli nad zatokę, w okolicę doków. Zatrzymali się przed niską tawerną ze skrzypiącym szyldem, na którym kogut dosiadał delfina. W gospodzie unosił się zapach potu, morskiej wody, tytoniu i kwaśnego wina. Właściciel, opasły olbrzym, siedział za stołem i z równym brakiem zainteresowania klepał packą muchy i szynkarki po pośladkach, jeżeli któraś akurat nawinęła mu się pod rękę. Kiedy usłyszał nazwę interesującego ich statku, zarechotał radośnie, a fałdy tłuszczu na jego brzuchu zafalowały jak wzburzone morze. Dużo jest hałasu wokół tego statku - wyjaśnił. Ma

nim płynąć jakiś dostojnik, który pragnie, żeby cały Kadyks wiedział, jaki to on ważny. Mówi się w porcie, że bardzo chętnie wymierza chłostę, za to ociąga się z zapłatą. Razy spadły na plecy tragarzy, którzy ładowali na statek powóz, dostało się również jego służącemu o imieniu Vicente. A w dodatku oszukał dokerów na racji grogu, którą obiecał im jako zapłatę. Lecz i wielkim tego świata zdarzają się przykre wypadki. Jakimś dziwnym trafem, podczas załadunku, powóz wpadł do wody. Wyciągnięto go, a jakże, tylko że złocenia i aksamitne poduszki uległy zniszczeniu. Młody służący oberwał kolejne razy, ale chyba nie bardzo się tym przejął.

Czy statek stoi w zatoce? Święci pańscy! Toż by go nie przeoczyli! Nie, odbił dziś od brzegu w porze ранego pływ. Jest już daleko na pełnym morzu, w drodze do Indii Zachodnich.

W tawernie nie było pokoi gościnnych. Co prawda na poddaszu znajdowało się jedno pomieszczenie, ale tam szynkarki zabawiały klientów, którzy szukali podniet mocniejszych od alkoholu. Oberżysta nie zgodził się go wynająć i wyraźnie miał ochotę wypytać przybyłych, dlaczego nie udadzą się do gospody. Refugio nachylił się nad nim i z nutką ironii w głosie wspomniał o wypadkach przemytu w porcie i jego okolicach. Grubas zachłysnął się z wrażenia, po czym dokładniej przyjrzał się swojemu gościowi. - El Leon! - wybełkotał posiniałymi wargami, wybałuszając oczy.

Dostali mansardę. Karczmarz zaproponował, że opróżni tawernę z pozostałych gości i odda ją całą do ich dyspozycji, lecz się nie zgodzili w obawie, że może to wzbudzić niepożądane zainteresowanie. Szynkarki przyniosły im na górę połowę pieczonego prosiaka, ogromny półmisek paelli, kilka bochenków chleba i dwa dzbany wina. Potem rozpały ogień w pociemniałym od sadzy kominku, rozstawiły łojowe świece i zniknęły.

Pilar skubnęła trochę pieczonego mięsa i wypila kubek wina. Nie miała siły na więcej.

Ciepło bijące od ognia i cienkie wino oszołomiły ją. Marzyła o kąpieli, ale nawet o tym nie wspomniała, bo w ciasnej kwaterze nie było miejsca na takie luksusy.

W pokoju stały cztery pozapadane łóżka, nakryte przybrudzonymi prześcieradłami.

Pilar obejrzała dokładnie łóżko pod ścianą, stojące najdalej od kominka, i krzywiąc się z obrzydzeniem, ściągnęła zeń prześcieradło, po czym rzuciła je na podłogę. Usiadła na brzegu materaca owinięta w kołdrę. Ich sześcioro i cztery miejsca do spania. W takim razie na dwóch łóżkach znajdą się po dwie osoby. Kto z kim będzie spać, zależało zapewne od wielu okoliczności, z których żadna nie miała w tej chwili dla Pilar większego znaczenia. Jeżeli w ciągu najbliższych pięciu sekund nikt nie zgłosi pretensji do miejsca, które sobie upatrzyła, wyciągnie się na materacu i zupełnie jej nie obchodzi, kto znajdzie się obok niej.

Isabel zasnęła na krześle. Siedziała wyprostowana, z na wpół otwartymi ustami, lecz jej mina, zamiast śmieszyć, wzbudzała czułość. Z Enrique uszła cała energia, mrugał sennie, zapatrzony bezmyślnie w ogień. Charro ze skupioną miną splatał na nowo postronek z rzemyków. Baltasar siedział na stołku z twarzą w dłoniach, opierając łokcie na kolanach. Refugio, zanim przyszedł na górę, jakiś czas rozmawiał z karczmarzem. Teraz siedział wyciągnięty w fotelu przed kominkiem, krzyżując w kostkach swe długie nogi, i patrzył w sufit.

Sporo dzisiaj pił, wiele razy dolewał wina. Jego rysy straciły nieco na ostrości, a oczy zmętniały. Jednak ręka podnosząca kubek do ust nie drżała, a z całej postawy biła ta sama pewność siebie. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał dźwięcznie i władczo jak klasztorny dzwon.

- A co powiecie, moi druhowie, na rejs po oceanie? - zapytał.

- No nie! - obruszył się Baltasar. - Chyba nie masz zamia ... - Potężny wieśniak urwał w pół słowa, bo jego dowódca osadził go jednym spojrzeniem.

- Dlaczego nie? - zapytał łagodnie Refugio. - A co cię tutaj trzyma? Jakie masz

rozkosze, których nie znajdziesz gdzie indziej? A może lubisz być ścigany?

- Jeżeli myślisz o pogoni za don Estebanem, musimy zdobyć pieniądze, żeby zapłacić za miejsca na statku. No i potrzeba nam będzie znacznie więcej rzeczy niż te parę łachów, które mamy na grzbiecie.

- Mamy srebro, powinniśmy też dostać całkiem niezłą sumkę za konie, nawet jeżeli sprzedamy je w pośpiechu.

- Statek to zamknięta przestrzeń. Łatwo tam będzie nas złapać, jeżeli jakiś głupiec cię rozpozna - argumentował Baltasar.

- Głupców wszędzie pełno, ale na ogół są nieszkodliwi, jeśli się zachowa przy nich ostrożność. A my będziemy uważać. Poza tym nie wszyscy wiedzą, jak wyglądam, a nazwisko zawsze można zmienić. - Głos Refugia był cierpliwy, lecz zarazem pobrzmiwało w nim przekonanie o słuszności powziętego zamiaru. Decyzja musiała zapaść lada moment.

- Może upłynąć rok albo i dłużej, zanim wrócimy, o ile w ogóle do tego dojdzie.

Wielu ludzi liczy na El Leona. Zostawisz swoją bandę na pastwę losu?

- A jak by sobie poradzili, gdyby mnie dziś wieczorem pojmano i powieszono jutro bladym świtem? Nasza profesja nie gwarantuje lojalności ani przywództwa na całe życie. I wiedz, że ci, którzy na to liczą, długo nie pociągną. Baltasar przyglądał się mu przez dłuższy czas, po czym z namysłem pokiwał głową.

- Wygląda na to, że już postanowiłeś. A więc niech będzie.

Refugio przeniósł wzrok na Charro. Chłopak rozciągnął usta w uśmiechu, a na jego szczupłej twarzy pojawiły się dwie pionowe bruzdy.

- Mam w nozdrzach zapach wiatru z Tejasu. Czuję, jak wzywa mnie w rodzinne strony. Tylko spróbuj zostawić mnie w Hiszpanii!

- Enrique? Drobny mężczyzna wystudiowanym gestem uniósł ramiona i musnął wąsiki.

- Czekają na nas nowe miejsca i nowe kobiety. Wspominałeś o zmianie nazwiska.

Mam życzenie zostać szlachcicem, chcę, by zwracano się do mnie "don Enrique". Jeśli mi to obiecasz, jestem jak zawsze do twojej dyspozycji. Oczy Refugia rozbliły się wesoło.

- Umowa stoi.

Pilar podniosła się ze swego miejsca na łóżku. Owinięta w kołdrę, podeszła na środek izby i rozmyślnie stanęła w kręgu mężczyzn.

- A co ze mną? - zapytała, panując nad głosem.

- Z tobą? - Refugio odwrócił się przez ramię, by spojrzeć jej w twarz.

- Tak, ze mną! Chcę odnaleźć zabójcę mojej matki i ciotki, człowieka, który pozbawił mnie wszystkiego, co posiadałam.

- Z wyjątkiem skrzynki srebrnych monet.

- Przedstawiającej niewielką wartość.

- Odniosłem wrażenie, że bardzo ci na niej zależy. Wyraz oczu Refugia kazał jej mieć się na baczności. Jednak nie zamierzała ustąpić.

- To prawda, lecz don Esteban zabrał mi znacznie więcej.

- Czy w takim razie, aby odzyskać swoją własność, zgodzisz się zagrać rolę Wenus de la Torre? Nawet nagiej Wenus, jeśli zajdzie potrzeba? Wenus de la Torre ... Słyszała o tej rzeźbie, przedstawiającej nagą kobietę, uwięzioną w wieży z kości słoniowej. Mówiło się, że modelką była kochanka hrabiego Gonzalvo z Kordoby, niezwyklej urody kobieta, którą ekscentryczny arystokrata więził przez wiele lat. Miała tak idealne kształty, że hrabia sprowadził artystę, aby wyrzeźbił w marmurze jej postać naturalnych rozmiarów. Niestety, biedak zakochał się w swej modelce. Kiedy wypełnił zlecenie, wykonał z pamięci kopię. Król

Carlos III tak zachwycił się rzeźbą, że zakupił ją do swego pałacu. Pilar wyprostowała się, na ile pozwalała jej kołdra, krępująca ruchy.

- Nie opowiadaj bzdur - ucięła szorstko.

- To nie bzdury, tylko konieczność. - Patrzył na nią nieustępliwie, oczyma, którym blasku dodawała satysfakcja, a może nadmiar wypitego wina.

Jednego była pewna, Refugio nie żartował, chociaż jego ton mógłby na to wskazywać.

Zbyt szybko znalazł odpowiedź na jej prośbę. Przypuszczał, że zażąda, aby ją zabrał ze sobą, i z góry wszystko obmyślił. Zirytowała ją rola, którą jej wyznaczył, lecz cóż mogła poradzić?

- Jak rozumiem, zamierzasz zostać hrabią? Skinął głową z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Mam zamiar odbyć tę podróż jako hrabia Gonzalvo. Wielu ludzi o nim słyszało, lecz mało kto miał okazję go poznać. Aby mistyfikacja się udała, potrzebna mi Wenus, a więc, señorito, albo popłyniesz jako moja zniewolona kochanka, pani mego serca, albo zostaniesz na brzegu.

## **ROZDZIAŁ VI**

Nie miała wyboru, wyruszyła w podróż jako Wenus de la Torre. Nie jechała nago, lecz wystrojona w jedwabie i aksamity, w kapeluszu ozdobionym piórami, z kilkoma sznurami fałszywych pereł na szyi, do złudzenia przypominających prawdziwe. Grała piękną metrese bogatego, chimerycznego arystokraty ekscentryka, którego sława niosła się szeroko, choć mało kto wiedział, jak naprawdę wygląda. Wenus towarzyszyła pokojówka Isabel, nosząca za nią szkatułkę z biżuterią, służący Baltasar, który miał za zadanie podkładać poduszkę pod stopy swej pani i dbać o wszelkie inne jej wygody, a także przyjaciele hrabiego Gonzalvo, dwóch przystojnych, młodych szlachciców - don Enrique i don Miguel. Do nich należało zabawianie Wenus, oczywiście bez nadmiernej poufałości, oraz ochrona przed zakusami

mężczyzn podróżujących statkiem.

Rola Pilar była najważniejsza, bez niej cała maskarada nie miałaby sensu. Zgodziła się ją zagrać, mimo że w duszy kipiała z oburzenia. Niezręczna sytuacja, w jakiej się znalazła przez Refugia, stanowiła kolejny dowód na to, że nie powinna była go prosić, aby ją zabrał ze sobą. Przebiegłemu bandycie zależało wyłącznie na tym, aby wykorzystując jej urodę, zmusić ją do wcielenia się w postać kobiety, jaką sama z własnej woli nigdy by się nie stała. W dodatku rola uwięzionej kochanki ciągle przypominała jej o tym, że ona też jest zakładniczką. Jeżeli liczyła, że Refugio podejdzie z umiarem do swego przedsięwzięcia, to szybko straciła złudzenia: W jego planach nie było miejsca na powściągliwość. Życzył sobie, ażeby i ona, i towarzyszący jej szlachcice rzucali się w oczy, tak by stanowić przedmiot ogólnego zainteresowania. Wtedy zaskoczonym i oszołomionym ludziom nawet przez myśl nie przejdzie, że są świadkami mistyfikacji.

Enrique i Baltasar z wielkim talentem tworzyli i rozgłaszali legendę hrabiego Gonzalvo i jego kochanki. Dzięki mocnym głowom i dużej dozie fantazji ze swadą opowiadali po karczmach o tym, jak to hrabia planuje wywieźć swoją ukochaną na Karaiby, aby uciec przed niezdrowym zainteresowaniem, jakie wzbudza jego romans, a także uwolnić się od natrętów, których oczarowała uroda Wenus, zarówno tej z krwi i kości, jak i tamtej drugiej, wykutej w marmurze. Mówili o szaleńczej zazdrości hrabiego oraz szeptali o mężczyznach zabitych w pojedynkach, których powodem była Wenus. Szerzyli pogłoski o niezmiernym bogactwie hrabiego, przekraczającym wyobrażenia zwykłych śmiertelników. Taki krezus mógł pozwolić sobie na niczym nieusprawiedliwione wybuchy gniewu i najdziwniejsze kaprysy. Na przykład z owoców uznawał jedynie granaty, a od służącego Baltasara żądał czasami, żeby ten kosztował jedzenie, zanim on sam zasiądzie do stołu. Enrique towarzyszył Refugiowi również podczas potajemnej wizyty u mauretańskiego



Żyda, który zajmował się sprzedażą fałszywej biżuterii oraz handlował używanymi ubraniami, których się pozbywali bogaci mieszczenie, czy to z powodu znudzenia się nimi, czy też po śmierci swoich krewnych. To właśnie tam za niewielkie pieniądze kupili wszystko, czego potrzebowali. Najwięcej kosztowała garderoba Pilar. Obojętność dziewczyny na widok strojów wzbudziła prawdziwe, a może jedynie udawane zdziwienie wśród mężczyzn.

W porcie w Kadyksie nie było statku, który by w najbliższych dwóch miesiącach odpływał do Luizjany. Musieli zatem wsiąść na "Celestinę", płynącą do Meksyku z postojem na Kubie. Być może w Hawanie znajdą jakiś liniowiec kursujący między wyspą a portami w Mobile czy w Nowym Orleanie. Nadłożą wprawdzie drogi, ale za to szybciej będą na miejscu. Poza tym takie rozwiązanie wydawało się rozsądniejsze ze względu na bezpieczeństwo Refugia i pozostałych mężczyzn. Zawsze istniała możliwość, że zostaną rozpoznani. Im prędzej ukryją się pod przebraniem i opuszczą Hiszpanię, tym lepiej dla nich.

Charro przypadł obowiązek znalezienia powozu, który dowiozłby ich do portu.

"Pożyczył" go od pewnego schorowanego człowieka, który tak rzadko opuszczał dom, że nie powinien się zorientować, iż pojazd zniknął na parę godzin. Herb na drzwiczkach został częściowo ukryty pod warstwą błota. Karetą powoził stangret, a na zatylniku stał foryś; obaj ubrani w aksamitne liberie w kolorze burgundzkiego wina, szamerowane złotem. Na szczęście z pewnej odległości nie sposób było dostrzec, że obaj mają twarze czerwone od nadużywania trunku, a kieszenie wypchane srebrnymi monetami.

Spojrzenia pięciu czy sześciu pasażerów na pokładzie, niemal całej załogi oraz podpitych marynarzy i włóczęgów, snujących się po porcie, zawisły na Refugiu, który sprężyście, a zarazem z gracją typową dla arystokraty, wysiadł z powozu. Ubrany był w surdut z czerwonego aksamitu, wykończony bordową lamówką, zapinany na srebrne guzy wielkości jabłek. Stroju dopełniały złotożółte spodnie do kolan, szare pończochy i czarne buty

ze srebrnymi kłami. N a przypudrowane włosy nasadził trójgraniasty kapelusz z bordowym piórem i wspierał się na lasce z polerowanego rattanu, wysokości mężczyzny średniego wzrostu, zakończonej złotym ornamentem. Peleryna uszyta z nakładających się jedna na drugą plis sprawiała, że wydawał się jeszcze szerszy w ramionach, niż był w rzeczywistości.

Z wielkopańską obojętnością potraktował wpatrzonych w niego gapiów, odwrócił się i powstrzymując gestem forysia, sam podał rękę Pilar. Jej strój, jak przystało na partnerkę takiego dandysa, odznaczał się dyskretną elegancją. Z ramion spływał jej podróżny płaszcz z popielatego aksamitu na podszewce z różowego atlasu, głowę osłaniał kapelusz z szarego filcu z szerokim rondem, wiązany pod brodą szeroką wstążką z różowego szyfonu. N a mlecznobiałej szyi i głęboko wyciętym dekolcie, wykończonym różową koronką, połyskiwały sznury fałszywych pereł. Pilar wysiadła z powozu ze skromnie spuszczonej oczyma, jednak kiedy Refugio nachylił się nad jej dłonią w niskim ukłonie, który niby to miał wyrażać hołd i uwielbienie, nie potrafiła się powstrzymać i posłała mu spod rzęs wściekłe spojrzenie.

Urządził cały ten teatr, zmusił ją, żeby grała kogoś, kim nigdy by nie była, a w dodatku z niej drwił, jakby sam nie był częścią tej komedii. Weszli po pomoście na pokład. Za nimi podreptała Isabel. Ubrana w prostą sukienkę, niosła przed sobą szkatułkę, w której, zamiast klejnotów, spoczywał bardzo już nadszarpnięty zapas srebrnych monet. Za nią podążał Enrique. W niebieskiej kamizelce i jasnopozielatej pelerynie, z brylantem wpiętym w szafirowy fontaż oraz z mocno upudrowanymi włosami, których końce związane w kitkę krył jedwabny futerał, wyglądał jak wytrawny bywalec dworów.

Baltasar wspaniale wcielił się w rolę służącego. Ubrany skromnie, wręcz niepozornie, bez odrobiny pudru na włosach, z obojętną miną dźwigał jedną ze skrzyń z ich bagażem. Charro wystroił się w krótką czarną kurtkę do jazdy, kamizelkę z aksamitu z wytłaczanym

pasiastym wzorem i także same spodnie, wpuszczone w wysokie buty o miękkich cholewach. W kapeluszu z płaską główką i zwojem plecionej linki, przerzuconym przez ramię, wyglądał na rasowego koniarza. Mógł być właścicielem hacjendy, na której hoduje się araby albo byki do walk na arenie. Ponieważ rola, którą sobie obrał, była zgodna z jego zainteresowaniami, czuł się swobodnie w swoim przebraniu. Kapitan statku wysunął się naprzód, aby ich powitać. Z unizonym uśmiechem zgiął się w ukłonie. - Don Gonzalvo, nie spodziewaliśmy się tak znamienitego gościa na naszym statku. Uczyniłeś nam, panie, wielki zaszczyt.

Postaramy się, aby podróż upłynęła ci wygodnie i abyś dobrze ją wspominał.

Kapitan chciał przedstawić pozostałych pasażerów, lecz Refugio zbył go machnięciem dłoni. Może później, oświadczył, señorita jest zmęczona, a on ma zamiar osobiście sprawdzić, czy kajuta jest czysta, zanim statek odbije od brzegu.

Pilar pierwszy raz w życiu znalazła się na statku. Dotąd widywała je wyłącznie na rycinach i nie spodziewała się, że pokład może być taki mały, a kajuty ciasne. W pomieszczeniu, do którego zaprowadzono ją i Refugia, znajdowała się wąska koja, miniaturowy stolik z dwoma krzesłami oraz narożna umywalka z porcelanową misą wstawioną w otwór w blacie. Poruszanie się między sprzętami było prawie niemożliwe, a przecież ich kajuta, druga po kabinie kapitana, stanowiła najbardziej luksusowe lokum na całym statku.

Dla świty Refugia wyznaczono kabiny pod pokładem.

Baltasar postawił skrzynię i wraz z Charro, Enrique oraz Isabel ruszył za marynarzem, który miał zaprowadzić ich na miejsce. Pilar zerwała się, aby podążyć za nimi, lecz Refugio przytrzymał ją za ramię.

- Jedną chwilę, gołąbeczko. - Uśmiechnął się słodko, zamknął drzwi kajuty, po czym oparł się o nie plecami. Pilar widziała, że jest wyraźnie rozbawiony.

- Podoba ci się to, prawda? - spytała, przechylając głowę. - Odpowiada ci ta

ryzykowna maskarada?

- Jakoś to wytrzymuję.

- Och, obawiam się, że to nieodpowiednie określenie. Schylił głowę, jakby przejrzała go na wylot.

- Życie w górach, gdzie bezpieczeństwo zależy od lojalności lub pieniędzy, przypomina więzienie. A jak wiadomo, więźniowie zawsze się nudzą. Nawet jeden dzień poza więzieniem jest błogosławieństwem.

- Wiążącym się z ryzykiem.

- Perspektywa paru tygodni, a może miesięcy na wolności jest darem bogów. Takie prezenty należy przyjmować bez względu na koszty.

- Wszystko to bardzo pięknie, lecz niektórych z nas nie bawi ryzyko ani możliwość znalezienia się w pułapce - odpowiedziała, patrząc na niego z wyrzutem swymi piwnymi oczami.

- Pułapce? - zapytał, przekrzywiając głowę.

- Mam na myśli tę kajutę. Odnoszę wrażenie, że z niecierpliwością oczekiwałeś na moją reakcję, kiedy się dowiem, że obowiązkiem kochanki jest dzielić z mężczyzną jego sypialnię.

- Powiedziałbym raczej, że z zainteresowaniem, a nie z niecierpliwością. Dlaczego wspominasz o tym dopiero teraz?

- Bo sądziłam, że wolisz sypiać sam - uśmiechnęła się cierpko. - Myślałam, że jako ekscentryczny arystokrata zarezerwujesz dla nas osobne kabiny lub uznasz, że moje miejsce jest wśród twojej świty. Jak widzę, wszystkie moje przewidywania okazały się błędne.

- Nie musisz się niczego obawiać z mojej strony - powiedział cicho.

- Przetrzymujesz mnie wbrew mej woli, grozisz mi, pozwalasz sobie na poufale gesty.

Powiedz: dlaczego powinnam ci wierzyć?

- Poufale gesty ... - powtórzył jakby zdziwiony.

- Czyżbyś zaprzeczał?

- W żadnym wypadku. Lecz musisz przyznać, że mogłem posunąć się znacznie dalej.

Nie mogła odmówić mu racji. Wbiła wzrok w słoje na desce drzwi, tuż powyżej jego prawego ramienia.

- To nie umniejsza twojej winy.

- Powtarzam jeszcze raz, nie masz się czego bać. Musimy jedynie sprawiać wrażenie, że łączy nas zażyłość.

- Nie podoba mi się to - stwierdziła z uporem.

- Dlaczego? Ci, dla których odgrywamy tę komedię, wiedzą, kim jesteś i jaką masz reputację. Dlaczego miałoby to przeszkadzać nowo narodzonej Wenus?

- Nie nazywaj mnie tak! - oburzyła się.

- A więc zaufaj mi - odparł lekko poirytowanym tonem, powoli tracąc cierpliwość. -

Nawet gdybyś szeptała modlitwy i zaklęcia, i tak nie skuszą mnie twoje wdzięki.

- Na razie.

- A więc sama widzisz. Czyżbyś miała mi to za złe?

- Och, nie! - Czują, jak oblewa się rumieńcem aż po linię włosów. Naturalnie zaczerwieniła się z gniewu, a nie z powodu obrazów, jakie jego słowa mogły wywołać w jej wyobraźni.

- Skoro nie zamierzasz, przytulona do mego boku, szeptać mi do ucha czułych słówek i nic nas do siebie nie ciągnie, co nam może zakłócić wypoczynek?

- Okoliczności zmusiły nas do wspólnej podróży, lecz nie musimy razem spać!

Zmrużył oczy i niebezpiecznie ściszył głos.

- Ależ musimy. Chyba że wolisz zamienić się na miejsca z Enrique. Nie zgadzam się dzielić koi z Charro, bo on wchodzi do łóżka w ostrogach.

- Chcesz powiedzieć ...

- Tylko taki masz wybór.

- A Isabel?

- Wątpię, czy Baltasar zgodzi się zostać sam. Może Isabel zamieniłaby się z tobą, może Baltasar też by nie protestował, tylko pytanie, czy ta zamiana wyszłaby ci na dobre.

- Uważasz, że wolę ciebie? - zapytała drwiąco, chcąc ukryć zmieszanie, jakie wywołały jego słowa.

- Oczywiście - odparł z niezmaconą pewnością siebie. - Bo, widzisz, ja nie chrapię.

- Przecież nie mówiłam, że chcę spać u Baltasara!

- Nie? Ja też tego nie powiedziałem.

Odwróciła się od niego i zapatrzyła w bulaj zmatowiały od słonej wody. Z ich kabiny na rufie widać było dok, krzątających się ludzi) a dalej, za portem, kawałeczek lądu; na długie miesiące, a kto wie, może na zawsze to będzie jej ostatnie wspomnienie Hiszpanii.

- Nie myśl, że mi jest łatwo - powiedziała przez ramię, starając się ukryć drżenie głosu, wywołane zmęczeniem i niepokojem. - Na tobie ta podróż do kolonii na drugim końcu świata nie robi wrażenia. Jesteś przyzwyczajony do tułania się z miejsca na miejsce razem z Baltasarem, Enrique i całą resztą. Dla ciebie dzielenie całymi tygodniami kajuty niewiele większej od celi klasztornej stanowi jedynie niedogodność. Dla mnie to nie do wytrzymania.

- Źle mnie osądzasz. Nigdy z nikim nie mieszkałem na takiej małej przestrzeni. Już sama myśl o tym napełnia mnie przerażeniem. Widzisz, ja wiem, że ta kabina nie jest i nigdy nie będzie klasztorną celą.

Dziwnie zabrzmiały jego słowa. W przypadku Refugia dwuznaczność była zawsze zamierzona. Odwróciła się, by spojrzeć na niego.

Była sama. Zobaczyła, jak drzwi kajuty zamykają się z trzaskiem. Odbili od brzegu w ciągu godziny. Plecy mężczyzn, którzy wiosłowali w łodziach wyprowadzających statek z zatoki na pełne morze, lśniły w słońcu od potu. Kropelki wody, zawieszane na linach, skrzyły się jak brylanty. Kadyks zostawał w tyle; w oślepiającym blasku panorama miasta zdawała się drgać w rytm pożegnalnego bolera. Ocean marszczył się i wydymał na powitanie. Mewy skrzeczały, kołując nad masztami, po czym wracały nad ląd, unosząc się na rozpiętych skrzydłach. Żółtawobrunatny i szarozielony skrawek lądu, widoczny na tle niebieskiego nieba, zasnuwała mgła, zmieniając go powoli w purpurową plamę, która, szarzejąc coraz bardziej, na koniec wtopiła się w tło. Woda, przy brzegu turkusowozielona, nabrała koloru atramentu. Niebo pociemniało i zapadła noc.

Pilar nie miała odwagi opuścić kabiny. Wyrzucała sobie, że nie potrafi pokonać lęku. Ciasna kajuta była jej azylem, chroniła ją przed wścibskimi spojrzeniami. Zapragnęła zgromadzić ich wszystkich z Refugiem na czele wokół siebie, jakby to mogło ochronić ich przed niebezpieczeństwem. Afiszowanie się na pokładzie, poruszanie się po statku na oczach pasażerów i załogi łączyło się z ryzykiem. Refugio, czy też któryś z jego ludzi, mógł zostać zdemaskowany, a wtedy konsekwencje byłyby tragiczne. Nie obawiała się, że ją ktoś rozpozna, zbyt długo żyła za murami klasztoru. Dopóki oni są bezpieczni, jej też nic nie zagraża. Wiedziała, że przesiadywanie w kabinie wcale nie zapewnia jej bezpieczeństwa. Jeśli będzie się chować przed ludźmi, wzbudzi jeszcze większą ciekawość. Jednak nie potrafiła się przemóc. Potrzebowała czasu, żeby oswoić się z sytuacją.

Świadomość, że ludzie będą uważać ją za kochankę Refugia, budziła w niej wiele emocji. Nie wszystkie potrafiła zrozumieć. W dalszym ciągu pozostawało dla niej tajemnicą,

jak to możliwe, że w ogóle zgodziła się na tę rolę. Prawdopodobnie w głębi duszy uznała, że to tylko niewinny wybieg. Do tego doszło pragnienie, by gdzieś przynależć. Nie miała ojca ani matki, żadnych krewnych czy przyjaciół. Nadejdzie czas, że oswoi się z samotnością, na razie jednak towarzystwo ludzi Refugia, ich serdeczność, wspólne przeżywanie dobrych i złych chwil łagodziły poczucie osamotnienia. Nie potrafiła być sama. Co więcej, łączyły ich wspólne cele, zjednoczyli się przeciwko temu samemu wrogowi. Burzyła się, że Refugio zamierza przetrzymywać ją wbrew jej woli, złościło ją, iż chce się nią posłużyć do osiągnięcia własnych celów, a z drugiej strony czuła, że może na nim polegać, choć z kolei to uzależnienie od niego znowu budziło w niej protest .. Niepokoił ją jego wpływ na nią i uczucia, które wzbudzał w niej jako mężczyzna. Gryzła się tym, że nie potrafi nad nimi zapanować. Powinna się bronić przed zauroczeniem banitą, człowiekiem, którego prędzej czy później czeka niechlubna śmierć. Wie, co prawda, kim był w przeszłości, lecz teraz ...

Przecież postanowił unikać związków, w które mógłby się zaangażować. Miłość do takiego mężczyzny może przynieść jedynie ból. Jej przyszłość jest dostatecznie niejasna i bez dodatkowych komplikacji.

Pilar wymówiła się zmęczeniem i nie wyszła z kabiny na wspólną kolację. Refugio, jak przystało na wielkiego pana, celebrował posiłek, a Baltasar, stojący za jego krzesłem, musiał na każde skinienie kosztować dania. Enrique zabawiał towarzystwo rozmową o swych podróżach po Europie, przemilczając fakt, że zwiedził ją z trupą akrobatów. Charro dużo opowiadał o krainie Tejas i latyfundiach ojca w pobliżu stolicy Nowej Hiszpanii, San Antonio de Bexar. Najwięcej rozwodził się na temat ludzi zaganiających bydło, opowiadał, jak łapią krowy na łąkach, przewracają bestie za rogi na ziemię i znakują je rozpalonym żelazem. Dla Isabel, która przyniosła Pilar tacę z jedzeniem, wspólny posiłek stanowił udrękę. Pilar była szczęśliwa, że udało jej się go uniknąć. Dzielać się z dziewczyną deserem,



wypytała ją o pasażerów.

Jest ich pięcioro - oznajmiła Isabel. Płynie z nimi świeżo wyświęcony ksiądz, który ma rozkaz stawić się u biskupa w Mexico City, właściciel garbarni w Hawanie, podróżujący w towarzystwie trzpiotowatej piętnastoletniej żony i jej matki, oraz bogata młoda wdowa, która, podobnie jak oni, jest w drodze do Luizjany.

Do tej ostatniej Isabel wyraźnie zapałała niechęcią. Niby w żałobie i na czarno, ale cała w jedwabiach i koronkach - stwierdziła. Miała odpłynąć na tym samym statku, co don Esteban, ale się spóźniła, bo przydarzył się jej jakiś wypadek w drodze do Madrytu. Płynie do Luizjany, żeby czuwać nad sprzedażą posiadłości po zmarłym mężu. Był od niej sporo starszy, pobrali się pięć lat temu, gdy na jakiś czas przyjechał do Hiszpanii. Miała do niego dołączyć w Ameryce, ale z powodu splotu okoliczności, nad którymi nie miała ochoty się rozwodzić, nigdy do tego nie doszło. Ona, Isabel, nie wierzy w ani jedno jej słowo. Ta kobieta to pierwszej wody krętaczka i kokietka. Na pewno zatrzymały ją w Hiszpanii przyjęcia i dworskie rozrywki. Flirtując przy stole z Refugiem, zdjęła wdowi welon. Bezwstydnica jedna!

Refugio długo nie wracał do kajuty. Kiedy przyszedł i zaczął się rozbierać, nie zapalił latarni pod sufitem. Pilar zacisnęła powieki, żeby go nie oglądać, bo kabinę oświetlało światło księżycy odbite od wody. Słyszała szelesty i głuchoe stuknięcia. Domyśliła się, że zdjął płaszcz, odrzucił go na bok, a potem ściągnął koszulę i zzuł buty. Gdy hałasy ustały, zacisnęła zęby, czekając, aż Refugio wejdzie na koję.

W kajucie zaległa cisza. Pilar uniosła powieki. Refugio stał przy iluminatorze. W księżycowej poświacie widziała wyraźnie zarys jego szerokich barków, umięśnionych ramion, skąpo owłosionej piersi i płaskiego brzucha. Musiał pozostać w spodniach, bo nagie ciało, jaśniejsze od materiału, połyskiwało w świetle tylko do pasa.

Zapewne nie przypuszczał, że się mu przygląda. Zwiesił głowę, oparł się o szybę iluminatora i zakrył twarz dłonią. Stał z zamkniętymi oczami i oddychał miarowo, a przy tym płytko, jakby obawiał się głębiej zaczerpnąć powietrza.

Mijały minuty. Pilar walczyła z chęcią, by dać mu znać, że nie śpi. Może go coś boli, może powinna się nim zająć, pomóc mu, okazać współczucie? Uznała jednak, że lepiej uszanować jego prywatność, więc dalej leżała bez ruchu.

Wreszcie Refugio oderwał się od bulaja, podszedł do jednej ze skrzyń i przyklękając na jedno kolano, wyjął z niej butelkę. Odkorkował ją, pociągnął kilka łyków i schował z powrotem, po czym sięgnął po koc i owinąwszy się nim, ułożył się pod ścianą.

Dotąd Pilar sądziła, że Refugio de Carranza jest pozbawiony uczuć, silny i bezwzględny.

Nieprawda. Każdy czymś się gryzie i coś przeżywa. Nie wszyscy natomiast obnoszą się ze swym bólem, co wcale nie oznacza braku wrażliwości. Kto wie, czy cierpiąc w ukryciu, nie cierpi się w dwójnasób.

Pilar leżała z szeroko otwartymi oczyma. Minęło wiele czasu, zanim udało jej się zasnąć.

Kiedy Refugio, wystrojony w jasnozielone szaty, w świetnym humorze wyprowadził Pilar na powietrze, wdowa już czekała na tylnym pokładzie, więc z galanterią dokonał prezentacji. Wdowa nazywała się Luisa Elguezabal. Miała około trzydziestu lat, rudobrazowe włosy i przenikliwe orzechowe oczy. Była niewysoka, krągła, a chodząc, wypinała wydatny biust, co upodabniało ją do turkawki. W powłóczystym spojrzeniu, jakie posłała Refugiowi, czaiło się rozbawienie i szczypta ironii. Całkowicie zignorowała Pilar, a za to banitę w przebraniu dżentelmena obdarzyła promiennym uśmiechem.

- Czekałam na pana - oznajmiła cicho śpiewnym głosem.

Refugio skłonił się z powściągliwą uprzejmością. Jednak Pilar wydawało się, że dostrzegła błysk niepokoju w jego oczach.

- Schlebia mi pani. Gdybym się spodziewał takiego wyróżnienia, na pewno razem z moją towarzyszką zjawiłbym się tu wcześniej. Jakby nie zauważając, że Refugio subtelnie podkreślił obecność Pilar, odrzekła półgłosem:

- Jakiś ty szarmancki, mój bohaterze, lecz to wszystko wierutne kłamstwo. Wiedziałeś, że będę czekać. Przecież przypomniałeś mnie sobie, gdy tylko się zobaczyliśmy, Refugio de Carranza. Przyznaj, że tak właśnie było. Jak mogłeś sądzić, iż cię nie rozpoznam albo będę udawać, że cię nie znam?

- To jakieś nieporozumienie.

- Ależ nie. Niecodziennie zdarza się spotkać dawnego kochanka, który zniknął bez śladu, lub, powiedzmy, stanąć twarzą w twarz z lwem, nieustraszonym El Leonem. Refugio zachował dumną pozę, kryjąc myśli pod maską obojętności. Zapach piżma i hiacyntów, wiszący w powietrzu, doprowadzał Pilar do mdłości i jeszcze bardziej potęgował jej niechęć do tej kobiety. Miała ochotę ją udusić za to, że stwarza zagrożenie, lecz intuicja podpowiadała jej, że powinna się trzymać na uboczu. Refugio nie wydawał się zaskoczony słowami wdowy, widocznie też ją rozpoznał. Pilar liczyła, że zamknie jej usta. Szybko i zdecydowanie unieszkodliwi ją błyskotliwą ripostą. Niestety, tylko ripostą! On natomiast zaśmiał się radośnie.

- Cóż może bardziej ucieszyć nad takie spotkanie! rozrzewnił się. - Sądziłem, że nie chcesz mnie znać, Luiso. Przelotne romanse łatwo popadają w zapomnienie. To było tak dawno temu!

- Nie tak znowu dawno.

- Mimo wdowiego stroju wyglądasz tak samo powabnie jak kiedyś - obdarzył ją

zręcznym komplementem. - Ach, jak ty potrafiłeś uwodzić! - westchnęła Luisa, obracając w palcach koniuszek wdowiego welonu.

- Czy i dzisiaj pozwolisz się pouwodzić? - Podał ramię doni Luisie i odszedł od Pilar, traktując ją jak powietrze.

Co za porażka! Skapitulował, poddał się bez walki, bez najmniejszego oporu! Miał ku temu powód. Rozpoznając go, doña Luisa mogła zaszkodzić im wszystkim, więc musiał temu zapobiec. Dama najwyraźniej wyznaczyła cenę za swoje milczenie, a Refugio, nie mając wyboru, zdecydował się ją zapłacić.

Pilar patrzyła za oddalającą się parą. Widziała, jak Refugio z czarującym uśmiechem przechyliła głowę ku swej towarzyszce. Przyjęła do wiadomości, że tego wymaga sytuacja, rozumiała go. A jednak poczuła się opuszczona. I nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego ją to tak boli.

## **ROZDZIAŁ VII**

Wąskie pomieszczenie, w którym pasażerowie, a także kapitan i oficerowie z "Celestiny" jadalni posiłki, w pozostałych porach dnia służyło jako salon. Kiedy trzeciego dnia podróży Pilar zajrzała tam późnym popołudniem, natknęła się na panią Elguezabal. Starannie uczesana, w muślinowym czepeczku, obramowanym czarną koronką, i w świeżej sukni, którą zapewne przed chwilą włożyła, wyglądała jak ktoś, kto czeka na gości. Na stoliczku obok fotela leżały czekoladki. Ponieważ była sama, dla zabicia czasu zajęła się robótką.

W pierwszej chwili Pilar miała wielką ochotę czym prędzej wycofać się z bawialni. Z trudem panując nad spontaniczną reakcją, weszła do salonu swobodnym krokiem i zajęła miejsce niedaleko wdowy. Mimo że jej uprzejme pozdrowienie spotkało się ze zdawkową odpowiedzią, nie zrezygnowała z nawiązania rozmowy.

- Proszę przyjąć wyrazy ubolewania z powodu śmierci męża - zaczęła. - To musiał być

dla pani cios. Umarł, zanim zdążyliście się państwo poznać.

- Zdarza się - skwitowała Luisa, rzucając Pilar podejrzliwe spojrzenie.

- Podróż w tych okolicznościach musi być dla pani bardzo bolesna. Podziwiam, że tak dzielnie się pani trzyma.

- Wzywają mnie obowiązki - odparła kwaśnym tonem Luisa. - Pojawiły się pewne nieprzewidziane okoliczności w związku z likwidacją majątku. Mieszka w nim kochanka męża, Mulatka, i jej dwie córki, rozumie pani, ćwierćkrwi Murzynki.

Pilar wystąpiły wypieki na policzki. Poczowała wstyd, ale i gniew, bo nie miała wątpliwości, że wdowa celowo próbuje ją zszokować.

- Jaka niezręczna sytuacja - powiedziała jedynie, bo nic innego nie przyszło jej na myśl.

- Prawda? Dziewczynki mają dwanaście i czternaście lat. Oczywiście należy im współczuć, ale nie mogę dopuścić, żeby uzurpowały sobie prawo do tego, co mi się należy.

- Zrozumiałe. Dzieci przyszły na świat, zanim poznała pani swego męża. Czy wiedziała pani o ich istnieniu? - Ponieważ don a Luisa sama zaczęła ten temat, Pilar nie widziała nic zdrożnego w zadawaniu dalszych pytań.

- Naturalnie. Wykazałabym wielki brak rozsądku, nie zapoznając się dokładnie z sytuacją życiową przyszłego męża.

Słowa Luisy zabrzmiały wyraźnie protekcyjnie, a ironiczne spojrzenie miało zniechęcić Pilar do dalszych prób niepokojenia jej. Ona jednak udała, że tego nie widzi. Jej niechęć do tej kobiety nie jest bezpodstawna - pomyślała. Nie ma wątpliwości, że Luisę cieszy przewaga, jaką ma nad nimi. Wydawała polecenia Isabel, gdy tylko dziewczyna znalazła się w pobliżu, zmuszała Enrique i Charro, żeby grali z nią w karty albo zabawiali ją opowieściami o wyczynach legendarnego El Leona.

- A jednak wyszła pani za tego człowieka - zaznaczyła Pilar.

- Nie oczekiwałam miłości w małżeństwie. Chciałam, aby mąż zapewnił mi życie na odpowiedniej stopie. Uważałam, że to uczciwy układ.

- I był taki rzeczywiście? Doña Luisa wpatrywała się w Pilar jakiś czas. Powoli uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Czy pani wie, że byłam kiedyś zaręczona z Refugiem? Nie wiedziała.

- Naprawdę? - Nawet cień emocji nie zmącił jej spojrzenia.

- Co prawda małżeństwo zostało ułożone przez naszych ojców, ale krótko mówiąc, nie byliśmy mu przeciwni. Refugio przychodził pod mój dom i tak pięknie śpiewał serenady, że serce topniało mi jak воск. Jestem przekonana, że wystarczyłby mały gest zachęty z mojej strony, a wspiąłby się do mojej sypialni. W tamtych czasach był pełen temperamentu, a przy tym potrafił być czuły. Wszystko się skończyło, bo musiał uciekać, kiedy w pojedynku zabił syna don Estebana.

- Nie starał się z panią zobaczyć?

- Jeśli sądzisz, że próbowałby to zrobić, to znaczy, że go nie znasz, moja droga. Duma mu na to nie pozwalała.

- I poczucie odpowiedzialności. Być może troska?

- Słucham?

- Nie, nic. A pani się z nim nie skontaktowała?

- A cóż ja? Mogłam co najwyżej zachęcić go, by złożył mi przez okno wizytę w sypialni. Czasami żałuję, że ... ech, mniejsza o to! Od tamtej pory zobaczyłam go po raz pierwszy tu, na tym statku. A jednak z miejsca go rozpoznałam. Jak mogłoby być inaczej? Głos Luisy brzmiał zbyt donośnie, jak na takie wynurzenia.

- Czy właśnie z ... sentymentu zatrzymuje pani dla siebie to, co wie? - zapytała Pilar

parę tonów ciszej.

- Tak - przyznała z uśmiechem jej rozmówczyni. Poza tym liczę na, jak by to ująć ...

urozmaicenie? Mamy przed sobą długą i monotonną podróż do Luizjany.

- Czy nie obawia się pani, że owo "urozmaicenie" może okazać się ryzykowne?

- Moja droga, masz czelność mi grozić?! - Luisa aż wyprostowała się z oburzenia.

- Wcale nie grożę - zaprzeczyła chłodno Pilar. - Zastanawiam się tylko, co będzie, jeżeli ktoś jeszcze wie to, co pani.

- Pierwsza zadenuncjuję Refugia i przysięgnę, że dałam się zwieść. Pilar ogarnął niepokój.

- Naprawdę by pani tak postąpiła? Może należy go ostrzec?

- Jakaś ty dziecinna, moja droga. On dobrze o tym wie. Nawet mu przez myśl nie przejdzie, że mogłoby być inaczej.

- Czy to jeszcze jeden "uczciwy układ"?

- Tak długo, dopóki jestem zadowolona - odparła z niezmaconym spokojem doña

Luisa. Intensywny zapach perfum tej kobiety raził powonienie Pilar. Bała się, że jeszcze chwila, a zacznie się dusić. - Czy przypadkiem nie zetknęła się pani na dworze z don Estebanem Iturbide? A może pani go zna? - zapytała, podnosząc się z miejsca.

- Rzeczywiście, znam - potwierdziła wdowa, wyraźnie się ozywając, jakby liczyła na kolejną szansę "urozmaicenia" nudnej podróży.

- Tak też przypuszczałam.

Pilar odwróciła się do drzwi, żeby opuścić salon, lecz okazało się to niemożliwe. W

wejściu stała Isabel, a tuż za nią kręcił się niespokojnie Baltasar z zasepioną miną. - Czy ja dobrze usłyszałam? - zwróciła się do Pilar blada z wrażenia. - Ta kobieta wie, że ... że ...

Isabel miała kłopoty z zapamiętaniem nowego nazwiska Refugia. Ciągłe wylatywało

jej z głowy i z trudem przechodziło przez usta.

- Wszystko w porządku - czym prędzej zapewniła ją Pilar. - Nic złego się nie dzieje.

- Ona powiedziała, że śpiewał dla niej serenady.

- Bo tak było - potwierdziła wdowa, unosząc brwi.

- Dla mnie też śpiewał - oznajmiła Isabel. - Kiedy byłam koronczarką w Kordobie. -

Przyglądał się, jak przekładam klocki, i grał żywe melodie, żeby robota sprawniej mi szła.

Pilar wzruszyła bezradna mina dziewczyny.

- Wydawało mi się, że byłaś tancerką - powiedziała bez większego namysłu.

- Co? Ach tak. Wtedy też dla mnie śpiewał. To było, zanim uratował mnie przed sprzedażą jednemu Maurowi, który chciał wywieźć mnie do Algieru.

W oczach Pilar odmalowało się zdziwienie. Nim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, uprzedziła ją doña Luisa.

- Zdaje się, masz bardzo bogatą przeszłość, jak na pokojówkę - zauważyła.

- Pani też - odcięła się naburmuszona Isabel. - Chyba że to wszystko kłamstwa. Czy pani mąż na pewno nie żyje? A może pani nigdy nie miała męża?

- Święci pańscy! - wykrzyknęła wdowa. - Tej dziewczynie musiało się poprzestawiać

w głowie! - Oburzona zwróciła się do Pilar: - To twoja pokojówka! Dlaczego nie każesz jej zamilknąć? Baltasar, który przestępował z nogi na nogę przy drzwiach, jednym susem znalazł się w środku i wziął Isabel pod rękę.

- Chodź, moja droga! Jest tyle rzeczy do zrobienia. Pomożesz mi.

- Jakie rzeczy? - Popatrzyła na niego półprzytomnie.

- Pokażę ci - powiedział bardzo spokojnie i pociągnął ją delikatnie za ramię. Isabel posłusznie dała się wyprowadzić. Odchodząc, Baltasar rzucił Pilar przeproszające spojrzenie.

- No, wreszcie! - warknęła zirytowana wdowa.



Pilar z zatroskaną miną w milczeniu odprowadzała wzrokiem oddalającą się parę.

Nigdy dotąd nie słyszała, żeby Isabel mówiła tak nieskładnie. Zapewne obawa o Refugia wyprowadziła ją z równowagi. Pilar wymamrotała słowa przeprosin, opuściła salon i podążyła za nimi. Szli szybkim krokiem, ale wołała nie podbiegać, by ktoś nie pomyślał, że ich goni. Zanim zdążyła się z nimi zrównać, Baltasar wprowadził Isabel do ich kabiny i zaciągnął zasłonę. Usłyszała dudniący głos Baltasara i płaczliwe protesty Isabel. Mimo niepokoju o nią nie mogła wejść do środka, bo odgłosy dochodzące z kajuty przypominały małżeńską sprzeczkę. Skierowała się więc z powrotem na pokład. .

Chłodne powietrze było przesycone wilgocią i zostawiało na ustach słony smak, ale działało na nią orzeźwiająco. Stała, trzymając się burty, zapatrzona w morską toń, dopóki nie uspokoiła rozbieganych myśli. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego była aż tak wzburzona.

Niemożliwe, by przejęła się tym, co usłyszała o Refugiu od doni Luisy oraz Isabel.

Powoli przyzwyczajała się do kołysania statku, nieustannego trzasku belek, skrzypienia rej i łomotu wiatru o rozpięte żagle. Widok wycelowanego w horyzont dziobu statku, który, niezmordowanie prac do przodu, to wspinał się na grzbiety fal, to się z nich ześlizgiwał, miał w sobie coś magnetycznego. Aż trudno uwierzyć, że gdzieś tam, przed nimi, leżały Wyspy Kanaryjskie, do których dobijają, aby uzupełnić zapasy słodkiej wody, owoców i warzyw, zanim poześlą do Nowego Świata.

Obawiała się, że będzie źle znosić morską podróż, że szybko zatęskni za Hiszpanią, a widok bezkresnego oceanu sprawi, iż poczuje się maleńkim punkcikiem zawieszonym w nicości. Pomyliła się. Czowała się całkiem dobrze, otoczona, jak okiem sięgnąć, tylko wodą i niebem. Ponieważ nie miała zbyt wielu powodów do radości, nawet to niezbyt istotne odkrycie sprawiło jej przyjemność. Wiatr przywiał do niej ciche dźwięki muzyki. Rozejrzała się po pokładzie, spodziewając się zobaczyć marynarza z akordeonem albo ustną harmonijką.

Zza masztu w przedniej części pokładu wystawał, łopocząc na wietrze, rąbek znajomej peleryny. Zziębnięta, objęła się ramionami i ruszyła w tamtą stronę.

Refugio stał oparty plecami o maszt, z gitarą w dłoniach. Kiedy się zbliżyła, podniósł na nią wzrok, lecz nie przestawał grać powolnej, rzewnej melodii. Była pewna, że już ją słyszała, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie.

- Zdaje się, jesteś znany ze swoich serenad - zauważyła cierpko.

Patrzył na nią, mrużąc oczy od wiatru, który burzył mu włosy i szarpał końcami halsztuka.

- Kto tak mówi?

- Wdowa, a także Isabel.

- Miłą rzeczą jest sława, choćby nawet niezasłużona.

- Czyżbyś zaprzeczał? - Wiedziała, że błędem było poruszać ten temat, a teraz popełniała kolejny, drążąc go dalej. Ale już za późno. Poza tym była ciekawa, co jej odpowie.

- Raz usypiałem Isabel serenadą - odpowiedział śpiewnie do wtóru gitarowych akordów.

- Wyobrażam sobie. - Skrzywiła usta w cierpkim uśmiechu. - Z jakiej opresji ją wtedy wybawiłeś?

- Podejrzewasz, że podsuwam jej pomysły do tych historii czy że wykorzystuję jej urojenia? - zapytał, nie odrywając wzroku od strun.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ona to wszystko zmyśliła? To nieprawda, że nie pozwoliłeś, by sprzedawano ją na ulicy, i uwolniłeś od Maura, który chciał wywieźć ją do Algieru?

Gdzieś za ich plecami mat wykrzyknął rozkaz. Marynarze przebiegli obok nich i jak mały wdrapywali się po linach na omasztowanie. Refugio odprowadził ich spojrzeniem.

- Znalazłem ją na ulicy pewnej deszczowej nocy - wyjaśnił, cały czas obserwując

marynarzy. - Trzęsa się z zimna i była posiniaczona.

- Więc dlaczego ... Zakończył grę mocnym akordem.

- A dlaczego by nie? Czemu nie może dowolnie zmieniać przeszłości? Czy nie miałabyś ochoty wymazać z pamięci niektórych wspomnień? W takim razie masz szczęście.

Pilar pominęła milczeniem jego pytanie, bo wiedziała, że i tak z góry zna na nie odpowiedź.

- Czy to cię nie niepokoi, że występujesz w fantazjach Isabel?

- Moja przeszłość nie jest nieskazitelna, więc jedna czy dwie plamy więcej nie sprawią różnicy.

- Może należało się postarać, by nie widziała w tobie swego wybawcy, nieustraszonego, szlachetnego Cyda, który rozpedził prześladowające ją demony.

- Ależ starałem się! Ba! Nawet znalazłem na jej miejsce dziewicę, którą trzeba było ratować z opresji.

Zrozumiała aluzję. Przypomniała sobie, jak bardzo Isabel zdenerwowała się tamtej nocy, kiedy Refugio przywiózł ją do chaty w górach. Czy pod każdym jego działaniem kryje się jakiś konkretny powód?

Ogarnęła spojrzeniem jego wzburzone ciemne włosy, rasową twarz, zarys szerokich ramion okrytych peleryną. Czowała w nozdrzach jego zapach, pomieszany z wonią świeżo upranego ubrania i ostrego morskiego powietrza. Mimo woli jego obecność przyprawiała ją o przyspieszone bicie serca i wywoływała falę ciepła w trzewiach. Nie dość, że był zniewalająco przystojny, miał szlachetne rysy i szerokie bary, to w dodatku odznaczał się nieugiętym charakterem i bystrym umysłem, a aluzyjny sposób wyrażania myśli kazał cały czas mieć się na baczności. W takim razie, jeżeli każde jego działanie było przemyślane, dlaczego dał jej do zrozumienia, czym się kierował, przywożąc ją do górskiej kryjówki? Do

zadania tego pytania zniechęciło ją to, co prawdopodobnie usłyszała w odpowiedzi.

- Rozumiem - powiedziała zdławionym głosem.

- Tak. Sądziłem, że zrozumiesz - odparł, patrząc ponuro przed siebie. - Według ciebie okazałem dobroć czy zachowałem się okrutnie?

- W stosunku do kogo?

- Do Isabel, oczywiście. Nie podejrzewam, że ty byłabyś skłonna widzieć we mnie swego dzielnego wybawcę. - Nie - zgodziła się, kierując spojrzenie na morze. Po chwili namysłu dodała: - Myślę, że to był akt dobroci. Ale co z wdową? Ona traktuje cię jak kochanka z młodości.

- Czy ją także podejrzewasz o wybujałą wyobraźnię?

Zresztą nieważne. Zajmę się Luisą. Ona nie zaprzęta sobie głowy twoją osobą.

Podniosła na niego wzrok, lecz nie potrafiła niczego wyczytać z jego nieprzenikniętych ciemnoszarych oczu. - Wiesz, że ona zna don Estebana? - zaryzykowała.

- Co z tego? Wielu ludzi go zna.

- Nie sądzisz, że to dziwne?

- Nie - zniecierpliwił się. Uważam to za niekorzystny, irytujący i bardzo niewygodny zbieg okoliczności. Ale musisz pamiętać, że Luisa, podobnie jak twój ojczym, obraca się w dworskich kręgach Madrytu. Więc wcale nie jest to takie dziwne. Dlaczego pytasz? Czyżby nie przypadła ci do gustu?

Ponieważ czuła, że nadmierna szczerość byłaby błędem, wykręciła się od jednoznacznej odpowiedzi. Patrząc mu prosto w oczy, uśmiechnęła się układnie.

- Och, to prawdziwa dama, kobieta światowa. Często je ploteczkami z takim samym wdziękiem jak czekoladkami. Poza tym znała cię, kiedy byłeś jeszcze młodzieńcem. Jak mogłabym jej nie lubić? Z rosnącym rozbawieniem przyglądał jej się spod oka. - A w dodatku

ładnie pachnie - odpowiedział.

- N o właśnie - przytaknęła Pilar z niewinną miną. Wydał z siebie dźwięk do złudzenia przypominający stłumiony śmiech, po czym schylił głowę i przebiegł palcami po strunach gitary.

Zadowolona, że tak sprytnie wybrnęła z sytuacji i nie naraziła się na żadne cięte uwagi, odwróciła się od niego i ruszyła powoli wzdłuż pokładu. Odprowadzała ją ta sama spokojna i rzewna melodia, którą grał chwilę wcześniej. Jej brzmienie poruszało w Pilar jakąś czułą strunę, a zarazem niepokoiło. I nagle przyszło olśnienie! Zobaczyła ogród pogrążony w mroku i zarys męskiej sylwetki.

Znieruchomiała, nie czując, że wiatr szarpie jej spódnicą. Tak jest! To serenada, którą słyszała tamtej nocy, kiedy czekała na Refugia. Jakie to do niego podobne! Celowo starał się wtedy zwrócić na siebie uwagę! Przypomniała sobie tamten ciepły, zmysłowy głos, który w ciemną noc wzruszał i budził w niej niezrozumiałą tęsknotę.

Powoli ruszyła przed siebie. Niewiele uwagi poświęciła temu, co widziała i słyszała w ostatnich dniach. Pochłonięta własnymi problemami, skupiona na swoich zmartwieniach, nie miała czasu zastanowić się nad tym, co myśli i czuje Refugio oraz ludzie, którzy go otaczają. Przecież założyła, że pobędzie wśród nich tylko chwilę, a potem rozstanie się z nimi na zawsze. W takich okolicznościach nie dąży się do zażyłości.

Wszystko uległo zmianie. Mieli przed sobą długie tygodnie wspólnej podróży. Byli od siebie zależni. Musieli starczyć sobie za towarzystwo, liczyć na siebie wzajemnie i wspierać się, bo od tego zależało ich bezpieczeństwo. Jedno nieopatrzne słowo mogło oznaczać śmierć dla niektórych z nich, a dla reszty więzienie. Pilar nie miała złudzeń; gdyby odkryto, że występuje pod przebraniem, potraktowano by ją tak samo jak członków bandy, zakładając, że do niej należy.

Zdawała sobie sprawę, że podróżuje z ludźmi, o których prawie nic nie wie. Co więcej, cała jej wiedza na ich temat pochodziła od kobiety, która - jeżeli nie była chora umysłowo, to w najlepszym wypadku miała skłonności do fantazjowania. Tak czy owak, obecna sytuacja niepokoiła ją. Musi niezwłocznie znaleźć sposób, by dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

Baltasar wydawał się najbliższy Refugiowi, ale też nieskłonny do rozmowy, za to na pewno lojalny. Nie byłby dobrym źródłem informacji. W dodatku siedział w kajucie z Isabel. Pozostali jeszcze Enrique i Charro. Pilar nie oczekiwała, że wydobędzie z nich jakieś istotne informacje, ale spodziewała się, że przynajmniej rozmowa z nimi będzie łatwiejsza niż z Refugiem, który cały czas miał się na baczności.

Zajrzała do salonu. Siedzieli w rogu, zajęci grą w karty z kupcem z Hawany i jednym z oficerów ze statku. Doña Luisa oczywiście też tam była. Z ożywieniem opowiadała oczarowanej żonie kupca i jej matce ploteczki o małżonce następcy tronu, neapolitańskiej księżniczce Marii Luisie.

Towarzyszył im młody ksiądz, który z obojętną miną sączył kieliszek wina.

Ponieważ Pilar nie chciała zwracać na siebie uwagi, a już na pewno nie miała zamiaru odrywać mężczyzn od gry, postanowiła poczekać, aż nadarzy się odpowiednia okazja. Przysiadła w pobliżu nich na krześle zrobionym z połowy beczki po winie, z tomikiem wierszy Manrique, znalezionym przypadkiem na stole.

Pochylona nad książką, czekała cierpliwie, przysłuchując się jednocześnie, jak Charro i Enrique wymieniają komiczne uwagi i pokpiwają z siebie nawzajem. Jej wytrwałość została nagrodzona półtorej godziny później, kiedy następny oficer zasiadł do kart w miejsce Enrique. Były akrobata ze skwaszoną miną przysiadł u stóp Pilar. Podciągnął kolana pod brodę i objął łydki ramionami.

- Niektórzy to mają takie szczęście, że nawet papież nabrałby podejrzeń - rzucił, oglądając się znacząco na Charro i pierwszego oficera.

Pilar odpowiedziała na jego uwagę uśmiechem, bo podglądając grę, zauważyła, że oszukiwał tak Charro, jak i Enrique. Enrique wyjął książkę z rąk Pilar, przebiegł wzrokiem otwarte stronicie i odłożył ją na bok.

- Ponure i niezbyt wysokich lotów - podsumował wiersze, wyginając usta w przymilnym uśmiechu, któremu uroku dodawał zalotny wąsik. - Chociaż trzeba przyznać, że poeta napisał dobry poemat o śmierci. Ale ponieważ on też jest martwy, a ja żyję, to lepiej porozmawiaj ze mną.

- Czyżbyś się nudził? - zapytała bardziej uradowana, niż mógł przypuszczać.

- A czy to takie dziwne? Mamy tu wdówkę, która nie widzi świata poza Refugiem, i młodą żonkę, za którą nierozsądnie byłoby strzelać oczyma. Więc tylko przed tobą, o nasza Wenus, mogę roztaczać mój urok!

- Jestem zaszczyciona.

- O nie! Być może wyrwana z nudy, rozbawiona, rozweselona nawet, ale nie zaszczyciona. - Zniżył głos. I dlatego jestem bezpieczny.

- Bezpieczny? Od miłostek? Sądziłam, że odczuwasz ich brak.

- Tak - westchnął. - Ale dopóki jedynie śmiejesz się, rozmawiając ze mną, nie zagraża mi gniew Refugia.

- Czy nakazał ci rozwagę? Nie potrafiła odczytać wymowy przeciągłego spojrzenia spod uniesionych brwi, jakie jej posłał.

- Rozwaga jest pożądana, jeżeli nie konieczna.

- Dotyczy to nas wszystkich - zgodziła się. - Ale czy naprawdę uważasz, że Refugio miałby ci za złe, gdybyś po zalecał się do doni Luisy? Obejrzał się przez ramię na wdowę,

zastanawiając się, potarł, a potem wygładził wąs.

- A myślisz, że ona byłaby zainteresowana?

- Czy można ci się oprzeć? - Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Och, okrutna! Kpisz ze mnie, budząc nadzieję, że złamię serce tej damy. Prędeż

Refugio skrzyłby mi kark.

- Pewnie nie zrobiłby tego.

- Wczoraj wieczorem ostrzegł nas wszystkich: mnie, Charro i Baltasara.

Odpowiedź, jaką otrzymała na swe z gruntu niewinne pytanie, pozwalała jej

naprowadzić rozmowę na właściwy temat.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że się boi, iż ktoś go ubiegnie?

- Myślę, że bardziej tu chodzi o dyskrecję. Czułe momenty sprzyjają zwierzeniom, nieprawdaż?

- Nie wiem - odpowiedziała nieco sztywno. Musi uważać. Zdaje się, on też zamierza ją wysondować.

- Rozczulasz mnie, jeśli, oczywiście, mówisz prawdę. Przechylił głowę w

upudrowanej, ufryzowanej peruce, wpatrując się w Pilar błyszczącymi piwnymi oczami. Z uśmiechem odwzajemniła spojrzenie.

- Isabel wspomniała, że byłeś akrobatą i podróżowałeś z wędrowną trupą po jarmarkach.

- Dokładniej mówiąc, linoskoczkiem. Robiłem też wiele innych rzeczy - pochwalił się.

- Między innymi przepowiadałeś przyszłość przebrany za Cygana. Myślę, że byłeś w tym bardzo dobry.

Położył palec na ustach i unosząc się nieco, rozejrzał się wokół:

- Byłem - potwierdził i skromnie zatrzepotał rzesami. Pochyliła się ku niemu.



- Również przekonująco grasz arystokratę - pochwaliła go takim samym

konspiracyjnym tonem. - Chociaż muszę przyznać, że żaden, którego znałam, nie siadywał na podłodze. Pewnie uważają, że to poniżej godności.

- Naprawdę? - zapytał i zmarszczył brwi.

- Słowo daję.

Pokiwał głową, sznurując usta. Powiódł speszonym wzrokiem po gościach, rzucił porozumiewawcze spojrzenie Pilar, a potem zręcznym ruchem uniósł się z podłogi i przyniósł krzesło.

- Proszę bardzo - westchnął, siadając. Założył nogę na nogę i przyglądał nogawki spodni. - A teraz jak wyglądam?

- Doskonale - stwierdziła z powagą.

- Godność. Muszę zapamiętać. Mam nadzieję, że zwrócisz mi uwagę, jeżeli zdarzy mi się popełnić jakąś gafę.

- Naturalnie, choć, jak już mówiłam, świetnie sobie radzisz. Charro też nic nie można zarzucić, tyle że jemu jest łatwiej, bo prawie nie musi grać.

- Wątpię, czy potrafiłby udawać kogoś innego. Zauważyłaś, jak on mówi?!

- Czy chodzi ci o to, że czasami zapomina zaseplenić po kastylijsku? .

- N o właśnie. Ten osioł wcale nie uważa tej manieri za elegancką i twierdzi, że nie będzie sobie łamał języka. - A w Tejasie tak nie mówią? Pokręcił głową.

- To kraina barbarzyńców.

- Więc Charro nie nabrał ogłady, jak pragnął jego ojciec?

- N o, nie do końca. Dowiedział się co nieco na temat dam w średnim wieku, a ja pomogłem mu, między innymi, zdobyć wiedzę o młodszych.

- Na pewno jest ci wdzięczny?

- Wcale nie! W dodatku uważa, że odbijam mu wybranki, kiedy pokazuję, jak się powinien do nich zalecać. A to nieprawda, nie wierz mu!

- Dobrze, nie będę - zapewniła go uroczyście.

Ale nie ufała także słowom Enrique. Mimo że to, co mówił, pokrywało się z wersją Isabel, odpowiedzi na jej pytania przychodziły mu zbyt gładko. Nie był takim prymitywnym człowiekiem, za jakiego chciał uchodzić. Żaden z ludzi Refugia nie był prostakiem. Enrique mógł ją zwodzić dla zabawy albo z czystej grzeczności mówić to, co - jak sądził - chciała od niego usłyszeć. Mógł również blagować, bo miał taki kaprys albo bo tak kazał Refugio, mając na względzie dobro swych kamratów. Musi jeszcze porozmawiać z Charro. Potem porówna to, co od nich obu usłyszała, i być może tym sposobem dotrze bliżej prawdy. Takie myśli kłębiły jej się w głowie, kiedy cicho zapytała Enrique:

- Czy sądzisz, że Refugio jest nadal zakochany we wdowie?

- Nadal? Trzeba przyznać, że jest bardzo ponętna, ale nie słyszałem, by kiedykolwiek o niej wspominał, zanim spotkał ją na statku. Co więcej, wiem, że niektórzy ludzie cenią sobie próżniaczy tryb życia i często paplaninę, ale, o ile znam Refugia, po godzinie będzie bliski szaleństwa. Pilar nie dała po sobie poznać, jak bardzo uradowały ją te słowa.

- Jednak jest jego utraconą miłością - zauważyła i zagryzła usta.

- N o tak, źle ulokowane młodzieńcze uczucie. A nasza wdówka mocno trzyma bat w swojej białej rączce.

- Czy on by jej na to pozwolił, gdyby mu to nie sprawiało przyjemności? Enrique pokręcił głową z przygnębioną miną.

- Uważasz, że pętla na szyi jest miłsza od kobiecych ramion? Nawet jeżeli z powodu wielkopańskiej dumy korci go, by się zbuntować, pamięta, że nie zawisłby sam. Ten argument ją przekonał. O lojalności Refugia w stosunku do swych ludzi krążyły legendy.

Nieraz ryzykował życie, ażeby uratować kogoś od śmierci na szubienicy czy przed plutonem egzekucyjnym. Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, usłyszała za plecami ciche kroki.

Refugio wszedł do salonu i kładąc dłonie na oparciach ich krzeseł, nachylił się nad nimi.

- Rajcujecie jak dwie kumoszki. Miło, że znaleźliście wspólny temat. Niewątpliwie wasze zainteresowanie moją osobą bardzo mi schlebia. Nie przejmujcie się, nie zawiodę was, zawsze chętnie dostarczę nowych wątków.

Wyprostował się, podszedł do wdowy i rozsiadł się obok niej. Przez następne kilka godzin całe towarzystwo miało okazję obserwować flirt rozgrywający się na ich oczach. Nie brakowało wyszukanych komplementów i dyskretnych gestów, wyrażających uwielbienie, były westchnienia oraz wymowne, jednoznaczne spojrzenia. Wdowa krygowała się z początku, a potem, widząc, jak zapał Refugia nieco słabnie, sama przejęła inicjatywę. Refugio wyjął z jej dłoni wachlarz, rozłożył go i chłodził jej spłonione policzki; Teraz z kolei ona wyjęła mu go z ręki, trzepnęła go nim po ramieniu, a potem powiodła koronkowym brzeżkiem po zarysie jego szczęki pokrytej cieniem zarostu. Wsunęła mu do ust pralinę, Refugio przeżuł ją powoli, delektując się smakiem, a na koniec przeciągnął koniuszkiem języka po wargach.

Pilar omijała ich wzrokiem. Śmiała się i żartowała, dała się nawet namówić na partyjkę kart i tylko od czasu do czasu spoglądała znad nich na toczące się w rogu salonu przedstawienie. Szczęśliwie wieczór wreszcie dobiegł końca, podano kolację i zrobiło się na tyle późno, że wypadało jej usunąć się do kajuty.

Nie mogła zasnąć. Bolała ją głowa, w ciasnej kabinie było duszno, a kołysanie statku zdawało się wzmacniać, jakby nadchodził sztorm. Zapadła noc, morze wygładziło się, a ona leżała, zastanawiając się, gdzie jest Refugio i co teraz robi. Na pewno się zabawia - pomyślała z goryczą, po czym energicznie wytrzepała poduszkę, wsunęła ją pod głowę i zacisnęła

powieki.

Refugio zjawił się po północy. Bezszelestnie zamknął drzwi i stał przez chwilę, nasłuchując. Noc była pochmurna i bezgwiezdna, księżyc nie oświetlał kajuty przez iluminator. Po omacku doszedł do koi i przyklękając na jedno kolano, pochylił się nad dziewczyną, która ją zajmowała.

Pilar oddychała równomiernie i prawie bezgłośnie, pogrążona w głębokim, spokojnym śnie. Leżała wyciągnięta rozkosznie, ubrana jedynie w cienką batystową koszulę, bo wyraźnie widział zarys dekoltu na jej piersiach. Ostrożnie dotknął pukla rozsypanych na poduszce jedwabistych włosów.

Były ciepłe i sprężyste. Cofnął dłoń i powoli zacisnął ją w pięść.

Okazał się skończonym głupcem. Poniosło go wieczorem. Irytacja, rozpacz, a może i zazdrość, pchnęły go do demonstracji namiętności, której wcale nie czuł. Uznał, że skoro widzi w nim potwora, będzie do końca wyzuty z zasad. Nie spodziewał się, że tak bardzo dotkną go pełne wyrzutu spojrzenia ani że trucizna trawiąca jego umysł wsączy się mu do serca.

Ogarnęło go przemożne pragnienie, by ułożyć się obok Pilar. Przytulić się do niej, zapaść w sen lub choćby doczekać świtu. Jej uroda, łagodność i niewinny wygląd czyniły ten odruch tak bardzo naturalnym.

Może obudziłaby się i odwróciła do niego. Jedno jej dotknięcie i byłby zgubiony.

Skosztowałby różanych ust, a potem nieśpiesznie, z czułością poznawałby wszystkie wzniesienia i zagłębienia jej ciała. I tłumiąc trawiące go pożądanie, poprowadziłby ją w taniec miłości, aż usłyszałaby tę samą muzykę, dołączyła do niego w namiętnym rytmie i razem z nim zaznała uniesień finału.

To niemożliwe. Nie był niewinny i nie zasługiwał na jej względy. Wniósł do kajuty

woń tanich perfum o nucie zwiędłych hiacyntów oraz żal nad samym sobą i wyrzuty sumienia. Nie może nimi skazić Pilar. O świcie splucze z siebie słoną wodą zapach nocnych uciech, a światło dnia rozproszy żal. Tylko wyrzutów sumienia nie da się usunąć.

## **ROZDZIAŁ VIII**

O świcie z porannych mgieł wynurzyła się piracka karawela. Kształt statku wskazywał na jego portugalskie pochodzenie, lecz ożaglowanie było charakterystyczne dla afrykańskiej części wybrzeża Morza Śródziemnego. Kiedy do załogi dobiegły ostrzegawcze okrzyki z bocianiego gniazda "Celestiny", żaglowiec zdążył podpłynąć tak blisko, że widać było turbany mężczyzn oraz błyski broni w ich rękach. Piraci oblepili burtę karaweli, reje i wanty jak wszy kapotę nędzarza. Na głównym maszcie powiewała bandera berberyjskich piratów z półksiężcem, symbolem wyznawców islamu, na zielonym tle.

Zachmurzone wczoraj niebo od rana nabrało szarogranatowej barwy, a wzmagający się wiatr rozpylał drobny deszcz. Kapitan "Celestiny", człowiek ostrożny i niezbyt rzutki, znacznie wcześniej rozkazał zwinąć żagle do połowy przed zbliżającym się sztormem. Teraz, wyrwany ze snu na swej wygodnej koi, stał na rufie schowany za żaglem i przerażony wzywał na pomoc wszystkich świętych. Piskliwym głosem gorączkowo omawiał sytuację ze swymi oficerami, zdecydowanie przeciwny podejmowaniu walki z napastnikami. Nie potrafił przewidzieć, czy "Celestina" zdąży uciec, bo hiszpańskie statki, choć dobrze trzymały się na wysokich falach, znane były ze swej powolności przy manewrowaniu.

Po wodzie niosła się wrzawa z pirackiego statku. Oszalały ze strachu kapitan wykrzyczał rozkaz. Trąbka zagrała na alarm i umilkła. Po pokładzie przetoczyła się burza przekazywanych z ust do ust poleceń. Rozległ się tupot stóp. Marynarze, z pobielającymi twarzami i wytrzeszczonymi oczyma, beładnie biegali po pokładzie, wspinali się po linach i rozwijali żagle. Ich chaotyczne działania sprawiały, że statek jedynie kołysał się w miejscu,

aż wreszcie żagle, jakby z namysłem, wydeły się powoli. Kapitan rozkazał wystrzelić na postrach z jedyne działą. Rozległ się huk, w powietrze wzbił się słup dymu, a kula odbiła się od lustra wody jak kamyk puszczone po stawie. "Celestina" z uniesionym dziobem pruć fale w rozpaczliwej próbie ucieczki. Niestety, było już za późno. Karawela piratów podpływała coraz bliżej. Strzały wypuszczone z łuków poleciały ze świstem jak stado złośliwych ptaków. Posypały się kule z muszkietów.

Niebieska przestrzeń między statkami kurczyła się z każdą chwilą. Wzmagaly się dzikie okrzyki.

Wyleciały w górę liny zakończone hakami, które ślizgając się po deskach, ze zgrzytem wbijały się w drewno.

Na burcie i pokładzie "Celestiny" zaroilo się od żądnych krwi rozbójników, uzbrojonych w noże i szpady. Rozgorzała walka. Mężczyźni ruszyli na siebie z groźnymi pomrukami. Miotali przekleństwa i dysząc ciężko, zadawali ciosy. Ten i ów padł na deski, śmiertelnie ranny. Ostrza szpad to unosiły się w górę, to krzyżowały ze szczękiem. Strużki krwi spływały z pokładu do wody.

Pilar była na pokładzie, kiedy dostrzeżono piracką karawelę. Kazano jej czym prędzej wrócić do kajuty. Wytrzymała tam tylko przez chwilę. Ciasnota pomieszczenia i lęk przed napaścią w zamkniętej przestrzeni wygnały ją na zewnątrz. Przeszła ostrożnie korytarzem, po czym przemknęła do salonu. Młody ksiądz klęczał przy krześle i z twarzą ukrytą w dłoniach gorączkowo odmawiał modlitwę. Dopiero po chwili dostrzegła także i kupca, który z zaciśniętymi powiekami siedział skulony pod stołem i nakrywał uszy dłońmi. Pilar przyglądała im się przez jakiś czas, potem złapała pustą butelkę po winie i wyszła na pokład. Nie bardzo wiedziała, po co jej ta butelka. Prawdopodobnie instynktownie szukała czegoś, czym mogłaby się bronić, a że nic lepszego nie było pod ręką, odruchowo sięgnęła

właśnie po nią. Co prawda nie miała zamiaru pchać się między walczących, lecz nie zamierzała też siedzieć jak mysz pod miotłą czy, jak kupiec z Hawany, chować się pod stołem.

Czasami berberyjscy piraci holowali zdobyczny żaglowiec do brzegu, lecz częściej brali do niewoli pasażerów i załogę, a statek puszczali z dymem. Myśl, że miałyby zginąć w płonącej kajucie, napełniała ją przerażeniem. Być może skończy jako muzułmańska branka, ale przynajmniej nie podda się bez oporu.

Ze zgiełku na pokładzie wyłaniało się coraz wyraźniej jedno słowo.

- Gonzalvo! Gonzalvo! - skandowały pełne nadziei głosy.

Na dźwięk tego imienia jak zahipnotyzowana zaczęła przesuwać się wzdłuż ściany pokładu rufowego. Przy lewej burcie, tam gdzie utkwilo najwięcej haków, a piraci kłębili się jak muchy na padlinie, zobaczyła zbitą grupkę walczących. Charro, Baltasar i Enrique ustawili się rzędem, a Refugio, wysunięty do przodu, stanowił wierzchołek trójkąta, jaki razem tworzyli. Ich okrzyki ściągały walczących bezładnie, często w pojedynkę, marynarzy. Klin uformowany z obrońców stopniowo wypierał napastników, zmuszając ich do odwrotu. Refugio donośnym głosem wydał rozkaz muszkietierom zamustrowanym na "Celestinie". Rozproszeni żołnierze wdrapali się na rufę i sprawnie uformowali w szyk. Chwilę później zagrzmiały salwy z muszkietów.

Przez jakiś czas wydawało się, że potyczkę może zakończyć tylko śmierć wszystkich walczących.

Ze nie ustaną, w morderczych zmaganiach, dopóki nie padną bez sił i nie wykrwawią się do końca.

Lecz powoli wraże szeregi zaczęły się łamać. Ten i ów salwował się ucieczką. Jakiś brodaty Arab cisnął o pokład złamaną szablę i miotając przekleństwa, rzucił się do ucieczki.

Pół tuzina jego kamratów natychmiast poszło za nim. Hiszpanie nacierali teraz ze zdwojoną siłą.

Kapitan piratów, którego wyróżniał przypięty do turbanu migotliwy klejnot z zatkniętym zań piórem, obserwował walkę z pokładu karaweli. Na jego komendę potężni Nubijczycy, ustawieni wzdłuż burty, przecięli liny łączące oba statki. Piraci, wrzeszcząc i nawołując się, w popłochu opuszczali "Celestinę". Jedni skakali z balustrad, inni, rozkołysawszy się na podartych żaglach, przelatywali nad burtą i wpadali do morza, wzbijając wysokie fontanny. W wodzie zaroilo się od ludzi płynących ku przeciętym linom, zwisającym z burty pirackiego statku.

Refugio i jego ludzie ruszyli z odsieczą tam, gdzie jeszcze toczyła się walka. Tu i ówdzie słyhać było pojedyncze wystrzały. Gryzący dym z prochu strzelniczego snuł się nad pokładem, zasłaniając ciała zabitych i rannych oraz sylwetki ostatnich walczących. Refugio z włosami zlepionymi potem, dysząc ciężko, rozglądał się po pokładzie, oceniając sytuację.

Nagle znieruchomiał z wyrazem zdziwienia w oczach i na wpół otwartymi ustami.

Rozległ się pojedynczy, głuchy strzał. Refugio drgnął, zatoczył się, a na piersi wykwitła mu czerwona plama. Szpada wypadła z jego bezwładnej dłoni. Z zamkniętymi oczami osuwał się na ziemię, gdy wszystkich naokoło roznosiła radość ze zwycięstwa.

Pochwycił go Baltasar i ostrożnie ułożył na deskach.

Przybiegli Charro i Enrique. Stali pobladli, zaciskając w dłoniach uniesione szpady. U milkła radosna wrzawa.

Butelka wypadła Pilar z dłoni i stoczyła się z pochyłego pokładu do wody. Ranni charczeli i pojękiwali. Część marynarzy w przypływie wściekłości kopniakami spychała do wody zabitych i konających piratów. Nikt się nie kwapił z pomocą poranionym Hiszpanom. Nikt nawet nie drgnął, by zająć się Refugiem.



Pilar miała wrażenie, że lada moment pęknie jej serce.

Ból, rozsadzający klatkę, pozbawił ją oddechu. Stała jak wryta, mając pustkę w głowie. Głos uwiązł jej w krtani, zmętniał obraz przed oczami. Okrzyki rozpaczony wokół niej zdawały się cichnąć i oddalać. Przebiegł ją dreszcz. Wzięła głęboki oddech. Jej wzrok powoli nabrał ostrości, powróciła zdolność myślenia. Czym prędzej podbiegła do Refugia.

Enrique umazanymi we krwi dłońmi przyciskał do rany zwiniętą szarfę. Refugio leżał bez ruchu, pod jego oczami pojawiły się sine cienie.

- Czy on ... ? - zdołała wydusić z siebie.

- Żyje. - Enrique rzucił jej szybkie spojrzenie. - Jeszcze żyje. Nadzieja dodała jej energii.

- Zabierzcie go na dół - poleciała zdecydowanym głosem. Banici skupieni wokół Refugia podnieśli na nią oczy, potem popatrzyli po sobie. Kiedy Baltasar skinął głową, jak na komendę nachylili się nad bezwładnym ciałem.

- Ostrożnie! - upomniała ich.

Zmierzyli ją wzrokiem, ale żaden nie odezwał się słowem.

Młody ksiądz, który akurat wyszedł na pokład, pośpieszył im z pomocą. Mężczyźni ustawili się po dwóch z każdej strony i podsunęli ramiona pod plecy Refugia, po czym ostrożnie unieśli go na splecionych rękach i skierowali się do luku.

Na statku nie było lekarza. Chorymi i rannymi członkami załogi opiekował się zazwyczaj któryś z marynarzy lub kurowali się sami. Podobnie rzecz się miała z pasażerami. Jedna z zakonnice w klasztorze, w którym przebywała Pilar, czy to w przypływie życzliwości, czy też z chęci nauczenia jej czegoś pożytecznego, pokazała, jak opatruje się rany, i przekazała wiedzę o leczniczych ziołach. Pilar wcale nie była pewna, czy sytuacja jej nie przerasta, lecz nie sądziła również, by swymi umiejętnościami ustępowała

któremukolwiek z marynarzy. Kazała ułożyć Refugia na koi w ich kajucie. Posłała Enrique po brandy lub rum, Charro poleciła drzeć prześcieradło na szarpie, a sama tamowała krwawienie, przyciskając do rany tampon z szarfy Enrique. Kiedy się odwróciła, aby poprosić Baltasara o misę morskiej wody, w drzwiach kajuty pojawiła się Isabel.

W osłupieniu patrzyła na Refugia, a po chwili rzuciła się przed siebie, szlochając rozpaczliwie. Zanim jednak zdążyła przypaść do jego zakrwawionej piersi, Baltasar zdecydowanym ruchem złapał ją wpół.

- Uspokój się! - Potrząsnął nią. - Przestań histeryzować! On nie umarł! Załkała głośno, drżąc na całym ciele, a potem przytuliła się do Baltasara, zanosząc się płaczem. Zmieszany, z przygnębioną miną uspokajał ją, niezdarnie gładząc po plecach. Pilar zamrugła, chcąc cofnąć cisnące się do oczu łzy.

Nie ma czasu na płacz, nie podda się rozpaczliwym myślom kłębiącym się pod czaszką. Refugio nie przestawał krwawić, palce miała umazane, w ciepłej krwi sączącej się przez tampon. Trzeba coś zrobić. Musi działać.

Najbardziej pomocny okazał się Charro. Hacjenda ojca, powiedział, leży na pustkowiu, daleko od miasta i ludzkich siedzib. Wszyscy, nie wyłączając rodziny, byli zmuszeni radzić sobie sami. Od dziecka pomagał matce w prowizorycznym szpitaliku. A potem wykonywał proste zabiegi na zwierzętach, zdarzało mu się też opatrywać charros, czyli poganiaczy bydła. Niejeden z nich nadział się na zakrzywiony krowi róg, nastąpił na kolec z pędzonych wiatrem ciernistych krzewów albo odniósł rany podczas sporów rozstrzyganych za pomocą noża czy muszkietu.

Charro wraz z Pilar oczyścili i obejrzelili ranę. Kula weszła z lewej strony, złamała dwa żebra i utknęła tuż przy płucu. Ostrożnie wydobyli zniekształcony kawałek metalu i przemyli ranę brandy.

Z nadzieją, że wystarczająco dokładnie zdezynfekowali trudno dostępne miejsce, przycisnęli do rany tampon z wielokrotnie poskładanego kawałka płótna, mocując go szarpami.

Refugio nie odzyskiwał przytomności. Oddychał bardzo płytko, ledwo było widać unoszenie się i opadanie piersi. Jego ręce leżały bezwładnie na kocu, którym go przykryli.

Rzęsy rzuciły długie cienie na policzki, a wokół bladych ust pojawiła się sina obwódka.

Nikt nie wychodził z kajuty. Wszyscy czekali, wpatrując się w niego z napięciem.

Isabel pochlipywała. Czasem ktoś kaszlnął lub zmieniając pozycję, zaszeleścił ubraniem.

Po niebie przetoczył się grzmot, lunął deszcz, podniosły się sztormowe fale. Zapalili latarnię, by widzieć cokolwiek w mrocznej kajucie. Zabezpieczyli Refugia wałkami ze zwiniętych derek, upychając je wzdłuż brzegów koi. Mimo że unieruchomili ciało, rana, która prawie przestała już krwawić, otworzyła się na nowo pod wpływem kołysania statku. Przez godzinę desperacko walczyli z krwotokiem, nakładając coraz grubsze opatrunki. Sztorm powoli ustępował i morze wygładziło się. Wreszcie udało im się zatamować krwawienie.

Zapadła noc. Od czasu do czasu powieki Refugia zadrgały albo palce zacisnęły się, jakby w próbie uchwycenia nieistniejącej broni.

O świcie jaskrawe tropikalne słońce rozproszyło resztki chmur i mgłę. Kabinę zalała różowa poświata. Mężczyźni, otrząsnąwszy się z drzemki, pojedynczo wychodzili na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i coś przekąsić, po czym śpiesznie wracali na posterunek.

Przynosili wiadomości o stratach wśród załogi i niewielkich, na szczęście, uszkodzeniach statku.

Opowiadali o żonie kupca, która zażądała, by zawrócić do Hiszpanii, a kiedy jej prośba spotkała się z odmową, dostała ataku hysterii.

Pod wieczór do kajuty zajrzała doña Luisa.

- Aż trudno uwierzyć, że los tak ciężko doświadcza jednego człowieka - powiedziała drżącym głosem, podnosząc do wilgotnych oczu koronkową chusteczkę. - Może gdyby nie był taki waleczny ... No, ale wtedy nie nazywaliby go lwem, prawda? Taka strata, taka wielka strata ... Ton głosu Luisy działał na Pilar na nerwy. Mówiła o Refugio jak o zmarłym.

- Posiedzi pani przy nim? - zaproponowała, siląc się na uprzejmość. - Może pani obecność wyjdzie mu na dobre, znacie się przecież od dawna.

- O nie! - Wyraźnie się przestraszyła. - Nie umiem zajmować się rannymi. Nie wiem, co robić, mdleję na widok krwi, a jej zapach ... - Urwała, przykładając chusteczkę do nosa.

- W takim razie - odezwała się z kąta Isabel - nie jest tu pani potrzebna. Refugio pani nie potrzebuje.

- Masz rację - odetchnęła z ulgą Luisa. - Może później, kiedy ... kiedy dojdzie trochę do siebie, będę mogła coś dla niego zrobić. Zabawię go, dotrzymam mu towarzystwa.

- Dobrze - zgodziła się chłodno Pilar.

Isabel, pomimo szczyrych chęci, okazała się zupełnie nieużyteczna. Nie potrafiła powstrzymać potoku łez i cały czas trzęsły jej się ręce. Raz o mało nie wylała na opatrunek misy brudnej wody, a kiedy chciała napić Refugia, Pilar czym prędzej musiała wyrwać jej kubek, aby ustrzec rannego przed uduszeniem.

Obecność tylu ludzi w ciasnej kabinie utrudniała, a właściwie uniemożliwiała Pilar swobodę ruchów. Chociaż wszyscy mieli dobre intencje, bardziej zawadzali, niż pomagali. Mdlący zapach zakrzepłej krwi i brandy utrudniał oddychanie. Kiedy po raz dwudziesty potknęła się o długie nogi Baltasara, straciła cierpliwość. Poprosiła, by mężczyźni opuścili kajutę i na zmianę z nią pilnowali Refugia. Ociągając się, wyszli na zewnątrz.

Okolo północy Refugio dostał wysokiej gorączki. Pilar zwilżała jego zaschnięte wargi,

obmywała zimną wodą twarz i ramiona. Policzki mu płonęły, mokra szmatka natychmiast robiła się sucha. Gdy Pilar, odgarniając wilgotne od potu włosy, po raz setny dotknęła jego czoła, zacisnęła powieki, drgnął i otworzył oczy. Niespokojnie powiódł dokoła szklanym wzrokiem i bezgłośnie poruszył ustami. Aby zaoszczędzić mu wysiłku, czym prędzej wyjaśniła:

- Zostałeś postrzelony. Przynieśliśmy cię do naszej kajuty.
- Wiem - wyszeptał i przymknął powieki.
- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Podać wody? Okryć ciepłej? Zaprzeczył powolnym ruchem głowy.

Przygryzła usta. Zastanawiała się, jak utrzymać jego uwagę. Przecież nie zapyta go, czy bardzo cierpi, bo wiedziała, że rana musi sprawiać ból, a ona i tak nie ma możliwości mu ulżyć. Jeżeli pobiegnie po jego przyjaciół, ranny może stracić przytomność pod jej nieobecność. Refugio z wysiłkiem otworzył oczy.

- Widziałaś ...

Odgadła, o czym mówi. Jak się domyślił? Nie sądziła, że w ferworze walki zauważył ją na pokładzie.

- Wiem na pewno, że to nie pirat strzelał. Ale twarzy nie widziałam. Westchnął ciężko i zamknął oczy. Jakiś czas później poleciał ledwo słyszalnym szeptem:

- Zostań. Nie wychodź. Siedź w kajucie.

- Nie ruszę się stąd - obiecała.

Refugio zapadł w drzemkę. Usiadła na krześle obok koi i splotła dłonie na podołku.

Bolał ją kark, cierpły plecy, a oczy piekły, chociaż wcale nie czuła się senna. Siedziała wyprostowana, ze wzrokiem wbitym w ścianę. Obezwładniał ją strach. Po raz kolejny przywołała tamten obraz. Muszkietierowie mierzyli do pierzchających napastników. I wtedy

padł strzał. Nie zauważyła, kto strzelił, lecz Refugio musiał widzieć tego mężczyznę. Kiedy osunął się ranny, miał świadomość, że to nie pirat do niego wypalił.

Czyżby don Esteban najął skrytobójcę? Jak to możliwe, skoro wyruszył przed nimi?

Skąd by wiedział, że popłyną właśnie na "Celestine"?

Istniało kilka możliwości. Zbiry don Estebana trafiły na ich ślad w Kordobie, podążyły za nimi do Kadyksu i jeden z nich wsiadł na "Celestinę". A może przepłacili jakiegoś marynarza? Kto wie, czy El Leona nie zdradził któryś z jego ludzi, kiedy w drodze do Kordoby zmieniali konie? Skontaktował się z don Estebanem, a ten obiecał mu uchylenie wyroku w zamian za zabójstwo. Być może przez czysty przypadek na "Celestine" płynął zausznik jej ojczyzna i gdy nadarzyła się okazja, wycelował muszkiet w pierś Refugia lub przekupił kogoś z załogi. Istniała również możliwość, że ktoś z najbliższego otoczenia Refugia maczał w tym palce, że to sprawka Baltasara albo Enrique lub Charro, a może nawet Isabel. Już sama nie wiedziała, która z tych dwóch ostatnich wersji jest bardziej absurdalna. Dotąd czuła się bezpiecznie na "Celestine". Statek wydawał jej się oazą spokoju po tych wszystkich dniach, kiedy nie mogła się pozbyć myśli o czyhających na nich zasadzkach. Teraz przeżyła wstrząs.

Nie wychodź z kajuty - powiedział Refugio. Choć sam ledwo żywy, obawiał się o nią.

Ale przecież to on o mało nie zginął. Któż inny oprócz don Estebana mógł nasłać mordercę?

Komu zależało także na jej śmierci?

Chęć odwetu wydawała się jedynym wytłumaczeniem.

Don Esteban mścił się, bo Refugio go poniżył, a także pokrzyżował mu plany

związane z jej osobą. Komu innemu mogłoby aż tak zależeć na usunięciu Refugia z drogi,

żeby porwać się na taki czyn? Ale dlaczego zabójca nie strzelił również do niej? Czemu nie

wykorzystał zamieszania podczas starcia z piratami, żeby wbić jej nóż w plecy? Lub

choćby nie wypchnął jej za burtę, kiedy czasami przechadzała się po pokładzie po zmroku?

Teraz skrytobójcy już nic nie powstrzyma. Bezpieczeństwo w kajucie było pozorne.

Refugio nie mógł jej chronić, a ona nie dałaby rady obronić go, mimo że, tak jak prosił, siedziała przy nim. Powinna sprowadzić tu kogoś z jego ludzi. Na nich można liczyć. Ale czy na pewno?

Niedługo jeden z nich przyjdzie ją zmienić. Będzie czuwać przy Refugiu przez noc, aż do wczesnych godzin rannych. A jeżeli ktoś zechce wykorzystać ciemności? Nie może do tego dopuścić, przecież obiecała. W jaki sposób ma powstrzymać skrytobójcę?

Do kajuty wsunął się Charro. Pochylił się w drzwiach, żeby nie zawadzić głową o futrynę, posłał jej od progu szczery uśmiech, po czym stłumił potężne ziewnięcie. Zaspany, z potarganą czupryną wyglądał tak naturalnie i niewinnie, że ogarnęły ją wyrzuty sumienia na wspomnienie swych wcześniejszych myśli.

Chciała mu ustąpić miejsca, ale powstrzymał ją ruchem ręki i osunąwszy się po ścianie przy drzwiach, przysiadł na piętach, opierając ramiona o uda.

- Co słyszę? - zapytał, kierując spojrzenie na Refugia.

- Jak widzisz. Jest rozpalony.

- Gorzej by było, gdyby nie miał gorączki. To naturalny stan.

- Jednak trudno się nie niepokoić. Odezwał się do mnie - oznajmiła, nie rozwijając dalej tematu.

- Dobry znak. - Charro popatrzył na nią ze współczuciem. - Wyglądasz na zmęczoną.

Powinnaś się przespać. - Nie wiem, czy uda mi się zasnąć.

- Spróbuj.

- Może później. - 'Taka wymijająca odpowiedź nie powinna wzbudzić podejrzeń.

Gdyby zaprotestowała bardziej zdecydowanie, mógłby pomyśleć, że mu nie ufa albo że łączy

ją z Refugiem jakaś głębsza więź, a to przecież nieprawda.

- Refugio ma szczęście, że jesteś przy nim. Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie, lecz z jego twarzy wyczytała wyłącznie aprobatę.

- Nie jestem pewna, czyby się z tobą zgodził - skrzywiła usta w cierpkim uśmiechu. -

Gdyby nie ja, jego brat nie trafiłby do niewoli, a on sam nie leżałby ranny. No i nadal przewodziłby swojej bandzie w Hiszpanii.

- Nie da się zaprzeczyć. Nie miał wpływu na bieg wypadków.

- Nie jestem tego tak do końca pewna. Myślę, że jednak tak. Chociaż musisz przyznać, że ...

- Dzięki tobie zdecydował się na wyjazd z Hiszpanii. Od jakiegoś czasu próbowałem go na to namówić - przerwał jej. - Tam nie miał przyszłości, mógł jedynie liczyć na to, że kiedy dopadnie go śmierć, nie będzie długo cierpiał. Oczywiście miał swoich kamratów, a trubadurzy sławili w pieśniach jego czyny, ale on zasługuje na znacznie więcej. Potrafi zorganizować ludzi, budzić zapał, wydobyć z nich to, co najlepsze.

- W Luizjanie także obowiązuje prawo, a wieści z Hiszpanii szybko dochodzą.

Myślisz, że przeszłość nie zaważy na jego losie, nie obróci się przeciwko niemu?

- A kto mówi o Luizjanie? Powinniśmy pojechać do Nowej Hiszpanii, do Tejasu.

Naturalnie tamtejsze władze też kierują się prawem, ale wiadomości docierają powoli. Listy najpierw podróżują lądem do Mexico City, stamtąd do Veracruz nad Zatoką Meksykańską, gdzie ładuje się je na statek do Hiszpanii. Odpowiedzi czy rozkazy muszą pokonać taką samą drogę. Korespondencja z San Antonio de Bexar, które leży najbliżej hacjendy ojca, dociera do Madrytu po roku, czasem po dwóch. Wiele niebezpieczeństw czyha po drodze: Indianie, dzikie zwierzęta, choroby, a na morzu sztormy i piraci. Przeprawa lądem z Luizjany do San Antonio jest jeszcze dłuższa i bardziej ryzykowna. Na tych terenach żyje plemię Apaczów.



Część listów w ogóle nie dochodzi, a często zdarza się i tak, że kiedy wreszcie nadejdzie odpowiedź z Madrytu, to już nikt nie pamięta, czego dotyczy, albo się ją po prostu lekceważy.

- Lekceważy?

- A dlaczego by nie? Hiszpania niezbyt interesuje się swoją najbardziej oddaloną kolonią. Nie obchodzi jej, że garstka żołnierzy broniąca granic chodzi głodna i obdarta. Nie dba o misje, które zakładano z takim trudem, żeby nawracać tubylców, z marnym zresztą skutkiem. Hiszpańscy osadnicy mieli nieść cywilizację, ale od stu lat Korona w ogóle się nimi nie zajmuje. Wszyscy tam: żołnierze, misjonarze, osadnicy, myślą podobnie o Koronie i tworzą własne zasady. Obchodzi ich, jacy są ludzie, jak żyją, a nie to, kim byli, bo nawet wśród najznakomitszych Tejańczyków trafi się niejednego o niezbyt świetlanej przeszłości. Jeżeli ludzkie postęпки wywołują co najwyżej grymas na twarzy Pana Boga, a nie radosny rechot szatana, wszystko jest w porządku.

- A jednak wysłano cię do dalekiej Hiszpanii, byś nabrał poloru - zauważyła Pilar.

- Sprawiała to nostalgia mego ojca za Sewillą i tamtejszym stylem życia. On ciągle wierzy w klasyczną edukację i korzyści wynikające z obcowania z synami hiszpańskich arystokratów. Chciał pokazać, że stać go na wysłanie syna do dawnej ojczyzny, choć sam nigdy by nie wyjechał z Nowej Hiszpanii. Znam wielu takich ludzi, którzy, mieszkając w Tejasie od trzech pokoleń albo i dłużej, ciągle tęsknią za starym krajem i snują plany powrotu. Dla większości to jedynie marzenia. W moim przypadku wyjazd okazał się błędem.

- Hiszpania nie zrobiła na tobie wrażenia?

- Ależ tak. Sewilla jest piękna i bardzo ją polubiłem.

Zdobyta wiedza na długo pozostanie mi w głowie. Jednak dalej nie potrafię zginać karku w ukłonie przed nadętymi arystokratami ani uprawiać salonowych flirtów.

- Isabel wspomniała o twojej księżnej. Przynajmniej miała dobry gust. Popatrz na

nią ponuro.

- Dziękuję, señorito.

- Nie ma za co - uśmiechnęła się. - W takim razie, jak rozumiem, wyruszysz do Tejasu, jak tylko dobijemy do portu?

- Najpierw przekonam Refugia, żeby udał się tam wraz ze mną.

- Ale ... on ma inne sprawy na głowie.

- Nie śpieszy mi się aż tak - stwierdził, wzruszając ramionami.

Charro opowiadał jeszcze o równinach otaczających hacjendę, o łagodnym, suchym klimacie i soczystej zielonej trawie nawadnianej przez rzekę San Antonio. Opisał dom obrosnięty winoroślą, który ojciec zbudował na wzór fortecy, żeby chronił ich przed najazdami Apaczów. Snuł wspomnienia o koniach wyhodowanych w ich hacjendzie i charros, którzy poganiali bydło tak potężne, że niebezpiecznie zakrzywione rogi krów sięgały powyżej ich barków. Mówił o misjonarzach, którzy nauczyli ludzi kopać rowy irygacyjne, i nawróconych, pobożnych Indianach z misji, zupełnie niepodobnych do swych dzikich współplemieńców.

Pilar słuchała zafrapowana, od czasu do czasu przerywając mu pytaniami. Tejas jawił jej się jako baśniowa, mlekiem i miodem płynąca kraina, którą, niestety, niepokoją potwory.

Rozmawiali jeszcze, kiedy blade światło świtu wsączyło się przez iluminator. Charro, w środku opowieści o tym, jak siostrę jego ojca w dzieciństwie porwali Apacze, a dziadek zginął, kiedy próbował ją odbić, uniósł się ze swego miejsca i zdmuchnął latarnię. Potem przeciągnął się, unosząc ramiona nad głową, tak że palcami dotknął sufitu. A kiedy splótł ręce na karku i spojrzał na pryczę, znieruchomiał z wrażenia.

Pilar podążyła za jego wzrokiem. Refugio był przytomny i obserwował ich z uwagą.

To był jeden z niewielu momentów, gdy na krótko odzyskał świadomość. Potem przez

kolejne trzy dni prawie nie dawał znaku życia. O nic nie prosił i niczego nie potrzebował. Leżał z zamkniętymi oczami i trudno było odgadnąć, czy jest przytomny, czy nie, czy czuwa, czy może drzemie. A kiedy zdarzało mu się unieść powieki - albo leżał ze wzrokiem utkwionym w sufit, albo patrzył na obecnych w kajucie z taką obojętnością, jakby ich wcale nie widział ani nie słyszał. Nie interesowało go, kto wchodzi i wychodzi, co robią ani o czym rozmawiają. Nie reagował na błagania Isabel, by wypił choć trochę wody; zignorował Baltasara, kiedy ten pytał go, czy ma zamiar zamorzyć się na śmierć. Trudno uwierzyć, że nie wiedział, gdzie jest i kim są otaczający go ludzie. Raczej należało przypuszczać, że go to przestało obchodzić. Wycofał się w głąb własnego ja, odgrodził się od nich. Nie wiedzieli, czy zachowuje się tak na skutek szoku spowodowanego postrzałem, załamania, czy może po prostu się uparł. Dwie doby po swojej pierwszej wizycie doña Luisa przyniosła mu kubek gorącego napoju. Sporządziła go sama, według przepisu swojej matki, z wina, korzeni oraz paru innych składników, które, jak to ujęła, miały działać uspokajająco. Pilar akurat była sama z Refugiem.

- Odpoczynku ma aż w nadmiarze - skrzywiła się z odrazą, patrząc podejrzliwie na ciemny, parujący płyn. - Powinien się posilić.

- Co ty tam wiesz - warknęła Luisa, zła, że ktoś śmie jej się sprzeciwić. - Pod twoją opieką zmarnieje na naszych oczach! Napięcie ostatnich dni pozbawiło Pilar cierpliwości. - Być może, ale nie pozwolę, byś wmuszała w niego jakieś diabelskie napary!

- Diabelskie napary! Jak śmiesz! Zapominasz się, moja droga! Nie jesteś jego żoną, tylko zwykłą kochanicą!

- A kim ty jesteś, jeśli wolno zapytać?!

- Jego serdeczną przyjaciółką!

- Naprawdę? Tak długo, dopóki sprawia ci to przyjemność i nie kosztuje zbyt wiele!

- Och, ty mała ... Wiedziałyabym, jak cię nazwać, ale damie nie wypada! Jak tak dalej pójdzie, Refugio umrze. To będzie twoja wina, bo nie dopuszczasz nikogo do pomocy! Nagle Pilar poczuła się tak zmęczona, jakby dźwigała na plecach jakiś przerastający jej siły ciężar.

- Wyjdź! - rozkazała. - Weź ten swój cudowny eliksir i wypij go sama albo wypłucz nim usta lub wetrzyj we włosy. Zrób z nim, co chcesz, tylko wreszcie stąd idź! - wysyczała i zatrzasnęła drzwi za Luisą. Po chwili doszło ją soczyste przekleństwo i stukot obcasów rannych pantofli "damy". Stała jeszcze przez chwilę, nasłuchując. Zaczynała żałować, że nie wzięła napoju i nie wylała go po cichu. Ta ciągła czujność bardzo ją męczyła. Żeby chociaż miała pewność, że go ustrzeże!

Odwracając się od drzwi, automatycznie spojrzała na koję. Refugio wyraźnie ją obserwował. Na jego czerwonej od gorączki, pokrytej kilkudniowym zarostem twarzy malowało się zainteresowanie. I chyba dostrzegła błysk rozbawienia w oczach.

Przyklękła przy koi, zamoczyła kawałek płótna w miseczce z wodą, którą zawsze trzymała pod ręką, i zwilżyła mu spierzchnięte wargi. Chociaż nadal patrzył na nią, jego wzrok stał się mętny i nieobecny, jakby kierunek, w jakim patrzył, był czysto przypadkowy.

Odłożyła szmatkę i przechylając ostrożnie kubek, wlała mu w usta odrobinę wody.

Połknął ją i chociaż widziała, jak poruszyło się jabłko Adama pod śniadą skórą jego muskularnej szyi, nie potrafiła określić, czy był to jedynie odruch, czy rzeczywiście pragnął ugasić pragnienie. Wstała, przyglądając mu się uważnie. Odstawiła kubek i odwróciła się do niego.

- Co się dzieje? - zapytała cicho, z namysłem. - Dlaczego? Wiem, że cierpisz i straciłeś dużo krwi. Ale nie uwierzę, że ktoś tak silny jak ty nie może się wylizać z rany. Nie dopuszczam do siebie myśli, że pragniesz śmierci. Nie doczekała się żadnej reakcji, żadnego znaku, że ją słyszy.

- Nie wolno ci umrzeć. Nie pozwolę na to. Jesteś nam potrzebny. Bez ciebie nie uwolnimy Vicente, a Charro ma nikłe szanse na powrót do domu, nie mówiąc już o tym, że Baltasar, Enrique i Isabel mogą wpaść prosto w ręce policji, kiedy wpłyniemy do portu w Hawanie. A co ze mną? Przecież sama nie dogonię don Estebana ani też nie odbiorę mu nawet mizernej części tego, co mi się należy. I tym razem spotkał ją zawód. Przymknęła powieki.

Była taka 'zmęczona! Znużenie, stargane nerwy i ciągły brak snu sprawiały, że poruszała się jak we mgle. Wzbierał w niej gniew na Refugia za odpłacanie obojętnością za ich starania, za to, że się od nich odwrócił.

Był taki silny i żywotny. Co prawda odniósł poważną ranę, ale niemożliwe, żeby się tak łatwo poddał! Więc to bierne zachowanie było unikiem. Nie wątpiła, że miał w tym swój cel, ale jak długo może żyć, leżąc tak bez ruchu i odmawiając jedzenia? Cokolwiek sobie myśli, tak dłużej być nie może!

Znajdzie sposób, żeby nim wstrząsnąć, uzmysłowić mu grożące niebezpieczeństwo, wyrwać go z zobojętnienia. Nieważne, ile ją to będzie kosztować. Zbyt wiele od tego zależy. Sięgnęła po szmatkę i lekko wycisnęła ją z wody. Zsunęła koc, którym był przykryty, i po raz nie wiadomo który obmywała mu twarz i szyję, żeby obniżyć temperaturę.

- Możliwe, że wcale nie chcesz umrzeć, tylko zachowujesz się tak, bo masz w tym jakiś ukryty cel. - Nie przerywając swego zajęcia, mówiła bardziej do siebie niż do niego. - Zastanawiałam się, czy nie dostrzegłeś albo nie usłyszałeś czegoś, co pozwoliło ci rozpoznać osobę, która do ciebie strzeliła. Może właśnie to, że wiesz, kto to był, odebrało ci chęć do życia? Czy jej się wydawało, czy rzeczywiście poruszył powiekami? Czyżby zwróciła jego uwagę? Z roztargnieniem znowu przesunęła wilgotną szmatką po szyi i ramionach leżącego, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Nie drgnął na niej ani jeden mięsień. Pograżona w

niewesołych myślach, z pionową zmarszczką na czole, kontynuowała przerwana czynność.

Przewróciła płótno na drugą stronę i zwilżyła mu obojczyki. Lekкими, powolnymi pociągnięciami obmyła piersi i ramiona. Uniosła rękę Refugia i trzymając ją za nadgarstek, przetarła dłonie i palce. Schylając się nad miską, zamoczyła płótno jeszcze raz.

- Czego ty chcesz? - zastanawiała się na głos, ostrożnie przecierając zębra i miejsce wokół opatrunku. - Zamierzasz sprowokować zabójcę? Myślisz, że ściągniesz go tutaj? Ze twoja słabość zachęci go do ponowienia próby?

Woda ze szmatki spływała strużką po brzuchu i zbierając się we wgłębieniu w okolicy pępka, moczyła pas spodni. Niewiele myśląc, wrzuciła szmatkę do miski i zaczęła je rozpinąć.

Zorientowała się, co robi, dopiero gdy usłyszała, jak ze świstem zaczerpnął powietrza.

Znieruchomiała ze wzrokiem utkwionym w obnażone miejsce. Skóra na płaskim, muskularnym brzuchu była jaśniejsza niż na piersi, a ciemna smuga skręconych włosów nikła pod ostatnim, zapiętym jeszcze, guzikiem.

Słyszała, jak serce dudni jej w rytmie upływających sekund. Czym prędzej, dopóki do końca nie straciła odwagi, przeniosła spojrzenie na jego twarz. Szare oczy patrzyły na nią z czułością i jakby z pretensją. Wciągnęła urywany oddech.

- Tak właśnie myślę - powiedziała, powoli wypuszczając powietrze. - Celowo udajesz, że jesteś osłabiony, bo chcesz, żeby ten, co cię próbował zabić, przyszedł do kajuty. J ego ciemne źrenice rozszerzyły się, ale dalej milczał jak zakłęty. Zwilżyła językiem drżące wargi.

- Chyba się nie mylę - wyszeptała. - Jednak nie mam pewności. Muszę znaleźć sposób, by dowiedzieć się, czy mam rację. Muszę znaleźć na to sposób.

## **ROZDZIAŁ IX**

Czekała przez prawie cały następny tydzień. Obserwowała go, kiedy podczas

dłużących się nocy na zmianę czuwali przy nim jego ludzie. Wszyscy po kolei a to żartami, a

to prośbami próbowali wykrzesać z niego życie. Gdy ze zmęczenia zaczęła poruszać się jak we śnie, kiedy nabrała pewności, że to jedyna rzecz, którą może zrobić, i że oszaleje, jeśli będzie ciągle myśleć o tym, co zamierza, postanowiła działać. Straciła nadzieję, że uda jej się tego uniknąć.

Refugio przestał gorączkować następnego ranka po jej monologu. Śniada skóra na torsie stała się lśniaca, włosy zwilgotniały, a po skroniach i po szyi spływały kropelki potu. Twarz straciła niezdrowy czerwony kolor, nawet zdawał się patrzeć przytomniej. Przełknął kilka łyżek rosołu, pozwolił się umyć i przebrać w czystą bieliznę. Jednak przyjmował te zabiegi z obojętnością i nadal traktował ich jak powietrze.

Pilar najbardziej męczyło uparte milczenie Refugia.

Tęskniła za jego głosem, brakowało jej jego ciętych uwag. Właśnie to, że celowo broni dostępu do swoich myśli, doprowadzało ją do ostateczności, i dlatego postanowiła zdobyć się na ten krok.

Piękny, słoneczny dzień miał się ku końcowi. Ostatnie dwie doby spędzili w porcie na Wyspach Kanaryjskich. Uzupełnili zapas owoców i wina, załadowali tureckie kobierce oraz wzięli na pokład dwóch pasażerów. Odbili od brzegu z porannym odpływem. Wieczorem morze stało się gładkie, powietrze balsamiczne, a wiatr ledwo wyczuwalny. Czerwone słońce rozświetlało horyzont paletą barw: od różowej przez karminową i purpurową aż po fiolet. Ostatnie czerwonawe promienie, odbite od połyskliwej tafli wody, wpadały przez odsłonięty iluminator, kładąc się różowawym cieniem na ścianach kabiny oraz twarzy i ramionach Pilar, nadając jej skórze odcień przypominający wnętrze muszli. Jadła kolację, którą przyniesiono jej na tacy. Refugio, nakarmiony wcześniej odrobiną cienkiej owsianki, obserwował ją, wsparty na poduszkach.

Migotliwe światło w kajucie nadało jego oczom ożywiony wyraz. Można by

przypuścić, że patrzył na Pilar z zachwytem.

Na tej szerokości geograficznej noc zapada gwałtownie. Kiedy kabinę zalał mrok, Pilar podniosła się od stołu, wystawiła tacę za drzwi i zamknęła je na zasuwkę. Odwróciła się i zaczęła wyjmować spinki podtrzymujące kok. Uwolnione pukle opadły ciemnozieloną falą na ramiona i plecy.

Rozczesując włosy palcami, podeszła do stojącej w rogu umywalki.

Nalała wody do miski i umyła ręce. Namoczonym kawałkiem płótna przetarła powoli twarz i szyję, a potem odgarnęła włosy i rozsznurowała stanik jasnozielonej jedwabnej sukni. Przeglądając się w lustrze z wypolerowanej stali, zawieszonym nad umywalką, poluzowała sznurówkę gorsetu na fiszbinach, wysunęła ramiona z rękawów sukni, zdjęła ją i rzuciła na oparcie krzesła. Potem przyszła kolej na krynolinę z żółtego jedwabiu, haftowaną ciemnozieloną nicią. Następnie zsunęła pantofle, ściągnęła pończochy i rozwiąawszy tasiemki podtrzymujące halki, pozwoliła im swobodnie opaść na podłogę. Zręcznie przestąpiła nad nimi, zebrała je i powiesiła na krześle.

Ubrana jedynie w cienką koszulę ledwo sięgającą kolan, z głębokim dekoltem i rękawkami do łokci, podeszła z powrotem do umywalki.

Pilar zdążyła się przyzwyczać do wieczornej toalety w obecności Refugia. Odkąd leżał unieruchomiony, nie miała innego wyjścia. Zazwyczaj dyskretnie się osłaniała lub wybierała chwile, kiedy spał. Czasami wydawało jej się, że słyszy jego przyspieszony oddech, lub odwróciwszy się, widziała, że zmienił pozycję. Jednak za każdym razem, kiedy na niego spoglądała, miał oczy zamknięte, więc pogodziła się, że jest z nią w kajucie podczas ablucji.

Nie wiedziała, czy akurat teraz na nią patrzy. Była pewna, że nie spał, kiedy zaczęła się rozbierać.



W batystowej koszuli czuła się naga. Bryza z otwartego iluminatora poruszała cienkim materiałem, uwypuklając miękkie linie jej ciała, i chłodziła moką skórę, wywołując dreszcze.

Drżąc ze zdenerwowania, zbierała się na odwagę.

Wreszcie podjęła decyzję. Serce waliło jej jak młotem, dłonie dygotały, twarz płonęła.

Przełknęła głośno ślinę i szybko, zanim zdążyła się rozmyślić, pociągnęła za tasiemki przy dekolcie, zsunęła koszulę z ramion i zrzuciła ją na podłogę.

Zacisnęła powieki, broniąc się przed widokiem swego nagiego ciała. Ogarnęły ją wątpliwości, czy mądrze postępuje. Jeżeli nie posunie się dalej, jeśli z powrotem nałoży koszulę, może udawać, że to był przypadek, i wszystko będzie jak dawniej.

Ale co to da, co się zmieni? Nie! Odkryła małą szczelinę w zbroi Refugia i spróbuje tamtędy do niego dotrzeć. Musi, bo inaczej może ich wszystkich spotkać tragedia!

Pochyliła głowę, by choć trochę ukryć się pod zasłoną włosów, i po raz ostatni sięgnęła po moką szmatkę. Wycisnęła ją lekko i z uwagą, jakby w pełni pochłonięta tym, co robi, obmywała piersi, boki, brzuch i uda. Wilgotna skóra lśniła jak alabaster. Nieśmiałym, a przy tym pełnym gracji ruchem nachyliła się, aby przetrzeć łydki i stopy. Kiedy skończyła, wrzuciła płótno do miski, sięgnęła po szczotkę i opuściwszy drżące powieki, jęła rozczesywać splecione pasma długich do pasa włosów, aż nabrały ciepłego połysku starych złotych monet. Odłożyła szczotkę, nabrała powietrza, odwróciła się i unosząc wysoko podbródek, zbliżyła się do koi.

Obserwował ją szeroko otwartymi oczami.

Krew odpłynęła jej z twarzy. Zawahała się pod jego spojrzeniem, w którym czytała gniew, pretensję, ale także ... i głód. To właśnie on dodał jej odwagi, popchnął do uczynienia tych paru ostatnich kroków. Przysiadła na brzeżku koi, uciekając wzrokiem przed Refugiem. Odsunął się jak najdalej od niej, przywierając plecami do ściany. Usiadła głębiej w

strachu, że lada moment ześlizgnie się na podłogę. Dygocząc ze zdenerwowania, odwróciła się twarzą do niego i wyciągnęła na boku, podparta na łokciu.

Przez dłuższy czas oboje leżeli nieruchomo, nie odzywając się ani słowem.

Prześcieradło, którym był do pasa przykryty, falowało, poruszane delikatnym powiewem z iluminatora. Pasma włosów Pilar unosiły się ku jego twarzy jak nieśmiało błędzące palce.

Koja była tak wąska, że dotykali się udami, a rytmiczne kołysanie statku przysuwało ich ku sobie.

Chrapliwie chwycił powietrze, a obandażowana pierś raptownie unosiła się i opadała.

Zaniepokoił ją jego krótki oddech. Ze zmarszczonym czołem wyciągnęła rękę i chłodnymi palcami dotknęła jego szyi, żeby zbadać tętno.

Pochwycił ją za nadgarstek.

- Dlaczego? - wyartykułował schrypniętym, zagniewanym głosem. Uczucie satysfakcji zrównoważyło jej strach. Przesunęła językiem po suchych ustach.

- Z czystej próżności, bo z czegoż by innego? - odparła butnie. - Która kobieta oprze się pokusie przywrócenia mężczyzny do życia?

- Powiedz coś łzawego o poświęceniu i współczuciu zaprawionym ubolewaniem.

- O nie. Wiem, jaką cenę trzeba zapłacić, kiedy się ciebie żałuje. Nie powtórzę tego błędu. Jego oczy zwęziły się w szparki.

- Nie bez powodu tak się zachowuję. Nie robię z siebie ofiary ani nie proszę o litość.

To nie ma nic wspólnego z twoją osobą.

- A jednak to mnie przypadła rola pielęgniarki i pokojówki. A w dodatku zostałam zmuszona do sypiania na podłodze.

- Na własnej skórze się przekonałem, że jest twarda, lecz nadal nie wiem, co spowodowało, że położyłaś się przy mnie.

- Czy ciekawość będzie dla ciebie dostatecznym powodem?

- Chcesz wysondować, czy twoje przypuszczenia są zgodne z prawdą? Gdybyś raczyła wcześniej na mnie spojrzeć, mogłabyś się tego dowiedzieć, stojąc w drugim końcu kajuty. Jak rozumiem, obawiasz się o swoje bezpieczeństwo. Przecież wiesz, że moi ludzie cię obronią. Obserwując was razem przez te wszystkie dni, zaczynam się obawiać, że chętniej ratowaliby ciebie niż mnie.

- A może nie mam ochoty służyć za przynętę?

- W takim razie powinnaś się przenieść gdzie indziej.

- I zostawić cię bezbronego? Jak bym mogła? A tak w ogóle, to ty miałeś się mną opiekować.

- Więc teraz, niby wiedziona troską i niepokojem, zamierzasz odgrywać kochankę, gdy tak naprawdę z czystej ciekawości i głupiej chęci zemsty masz ochotę zniweczyć mój plan. Choć rozpędzona krew zdawała się rozsadzać jej żyły i czuła się bliska omdlenia, wytrzymała jego spojrzenie. - Chcesz mnie obrazić, żebym cię zostawiła w spokoju? Czego się obawiasz? Mnie czy tego, co mogę zrobić? - Ostrożnie, moja droga. Może się okazać, że jest we mnie więcej energii i mniej zdrowego rozsądku, niż ci się wydaje.

- Będę ostrożna, jeśli ty z powrotem dołączysz do żywych - powiedziała spokojnie.

Patrząc na nią, czuł, jak topnieje jego siła woli. Jaki mężczyzna oparłby się podobnej pokusie? Jego słabość wynikała nie tyle z odniesionej rany, co z konieczności ciągłego przebywania w pobliżu Pilar. Przechodził czyściec, kiedy patrzył na jej pełne piersi rozsadzające stanik, czy też pochwycił w nozdrza subtelny zapach kobiecego ciała. Cierpiał podczas bezsennych nocy, nasłuchując jej równego oddechu. Wiedział, że gdyby uległ pokusie, aby jej dotknąć, złamałby wszelkie zasady przyzwoitości.

To ona je teraz odrzuciła, rozmyślnie z nich zrezygnowała. Wątpił, czy zdecydowała

się na ten krok wyłącznie z powodu, jaki podała, ale nie śmiał tego dochodzić. Jednego był pewien: dużo ją to musiało kosztować, więc odrzucając jej gest, zraniłby jej dumę. Być może jakoś by się otrząsnęła z poniżenia, ale on by sobie tego nigdy nie darował. Albo jest słabszy, niż mu się wydawało, albo pokusa okazała się nie do odparcia. Przegrał. Wiedział, że się podda, gdy podeszła do koi, kiedy zdał sobie sprawę, że wcale nie zapomniała o jego obecności. Dobry Boże, nigdy nie zapomni tamtej chwili. W jej próbie uwiedzenia go nie było odrobiny wulgarności. W ciemnych oczach Pilar widział lęk i egzaltację. W półmroku jej ciało przypominało różowy marmur. Piersi miała krągłe, a talię tak szczupłą, że zamknąłby ją w dłoniach. Kształtne biodra, kołysane ruchem statku, zdawały się go przyzywać. Gęste włosy rozsypane na ramionach kusily jedwabistym połyskiem.

Wciągnął głośno powietrze, wstrzymał oddech, a potem wypuścił go z cichym westchnieniem. Zanurzył palce w jej włosach i nawijał je sobie na dłoń.

- A więc znaleźliśmy się w impasie? - wyszeptał, przysuwając się do niej. - Mogę wmówić sobie, że otaczam cię opieką, trzymając nagą w ramionach. Mogę uznać, że ta sytuacja dodaje wiarygodności naszej mistyfikacji. Czy: ostrzegałem cię, że czasem ponosi mnie wyobraźnia? Ze używam wydumanych argumentów i szukam usprawiedliwień, choć intencje mam ...

Ostatnie słowo stłumił pocałunek. Objął ją ramionami, a jego suche, nieco spierzchnięte od gorączki wargi dotknęły jej ust. Smakował je, obwodząc ich zarys koniuszkiem języka. Niepewnie rozchyliła wargi. Zadrżał, przytulił ją mocniej i unosząc się, obrócił ją na plecy. Delikatnie przeciągnął językiem po krawędzi jej zębów, a potem zanurzył go głębiej, jak gdyby szukał źródła słodyczy jej ust.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Przygniatał ją swoim ciężarem, czuła, jak szorstki opatrunek uwiera ją w piersi. Budziła się w niej namiętność, krew w żyłach wrzała, a ciało

plonęło. Wydając z siebie cichy, gardłowy pomruk, wplotła palce w jego włosy.

Wyszła na spotkanie jego języka i coraz śmieiej badała wnętrze jego ust. Oszołomiona eksplozją zmysłów, straciła poczucie czasu i rzeczywistości. W gęstniejącym mroku istniał jedynie ten mężczyzna, który tulił ją do siebie.

Doznała rozczarowania, gdy zelżał uścisk jego ramion, lecz zaraz zaparło jej dech z wrażenia, bo ręka Refugia zbłądziła na jej brzuch. Kolistymi ruchami głaskał aksamitną skórę, przesuając dłoń coraz niżej ku puszystemu trójkątowi w spojeniu ud. Jednocześnie nachyliwszy się nad nią, przywarł wilgotnymi wargami do jej piersi.

Sutek stwardniał pod musnięciami języka, nabrzmiała pierś zdawała się napraszać o pieszczoty. Przeszły ją rozkoszne dreszcze. Serce tłukło się w piersi. Pulsowało ociężałe podbrzusze. Przeżyła wstrząs, gdy dotknął intymnego miejsca.

Gwałtownie zaczerpnęła powietrza, lecz nie poruszyła się, nie umknęła spod jego dłoni. Czuła narastające napięcie w całym ciele. Pragnęła tego mężczyzny, chciała wiedzieć, co to znaczy kochać się z nim. Czyżby jej szlachetne pobudki, pomysł poświęcenia się, złożenia siebie w ofierze były jedynie pretekstem? A czy to w tej chwili miało jakiegokolwiek znaczenie? Czuła pod dłońmi jego muskularne barki i twarde jak stal ramiona. Pomimo odniesionej rany z całej postaci Refugia emanowała siła. Ulegała jej, dziwnie słaba i omdlewająca, choć dobrze wiedziała, że ryzykuje znacznie więcej niż tylko utratę dziewictwa. Nie należała do kobiet gotowych dzielić się swym mężczyzną.

Dotknęła twarzy mężczyzny i wyszeptała jego imię.

Kiedy znowu przywarł wargami do jej ust, skwapliwie oddała mu pocałunek. Dłonie Refugia zaczęły powolną wędrówkę po jej ciele, co rusz powracając do miejsca najwyższej rozkoszy. Powiodła palcami po jego torsie. Gdy opuszkami musnęła płaską brodawkę, wstrzymał oddech i przesunął się, by łatwiej go mogła dosięgnąć. Czuła pod dłonią bicie jego

serca. Gładziła go po piersi, i omijając opatrunek, przeniosła rękę na płaski brzuch.

Zebrawszy się na odwagę, zręcznie rozwiązała tasiemki kalesonów.

Zdjął je i odrzucił na bok. Ponownie przygarnął Pilar, podkładając rękę pod jej biodra.

I chociaż parzący dotyk jego pulsującego, wilgotnego członka wprowadził ją w oszołomienie, nie potrafiła do końca wyzbyć się obawy.

- Czy ... czy będzie dobrze? - z niepokojem wyszeptała mu w szyję.

- Nie dobrze, ale cudownie. - W jego głosie pobrzmiwało rozbawienie. -

Zdumiewająco. Jak w siódmym niebie.

- Ale ... czy ty możesz ... ?

- Kto to wie? Muszę sprawdzić, bo jeśli tego nie zrobię, okażę się osłem i pozostanie mi tylko prosić cię o wyrozumiałość.

- Nie ma obawy. Ponieważ zamilkła, dodał opanowanym głosem:

- Jeżeli zmienisz zdanie, powstrzymaj mnie. Przyrzekam, że dalej się nie posunę. Nie wątpiła w szczerść jego zapewnienia.

- To mnie potrzebna jest wyrozumiałość - zauważyła. Był bardzo delikatny. A przy tym zdecydowany, gibki i sprężysty. Pieszczoty, którymi ją obsypywał, uśmierzyły ból, kiedy w nią wniknął. Wstrzymała oddech, czując, jak stapia się z nim w jedno. Objęła go w pasie ramieniem i przyciągała coraz mocniej do siebie i głębiej.

Wyszeptał jej imię, muskając wargami powieki, uniósł się i wszedł w nią całą mocą.

Wykrzyknęła głośno jego imię. Spleceni w ciasnym uścisku, wibrowali w ekstatycznym rytmie. Pilar z zamkniętymi oczyma odkrywała bliskość zespolenia. Czując, jak w jej drżącym ciele wzbiera fala rozkoszy, upajała się jego pożądaniem. Krzyknęła głośno, zaskoczona eksplozją miłosnej kulminacji. Refugio znieruchomiał, wypełniając ją w spazmatycznym przedłużeniu, które zdawało się trwać bez końca.

Łzy zakręciły się w jej oczach. Refugio zagarnął ją w ramiona i razem z nią przetoczył się na bok. Leżeli, z trudem chwytając powietrze, wsłuchani w dudnienie swoich serc. Statek pod nimi kołysał się łagodnie. Refugio drżącą ręką odgarnął włosy z jej twarzy, by mogła swobodniej oddychać. Bezwiednie zaciskała i rozwierała palce zamknięte na jego ramieniu. Podniecenie powoli gasło. W serce Pilar wkradł się niepokój. Z cichym okrzykiem dotknęła jego czoła, jakby chciała sprawdzić, czy nie ma gorączki. Pochwycił jej dłoń i przycisnął do ust.

- Jestem szczęśliwy i spokojny jak mnich po spowiedzi - wyznał, owiewając jej palce ciepłym oddechem. A ty?

- Ja też. - Wygięła kąciki ust w nieznacznym uśmiechu.

- W takim razie prześpij się trochę. Dla odmiany dziś ja pilnuję ciebie. Posłuchała go.

Obudziło ją głośnie pukanie do drzwi. To Enrique przyniósł im śniadanie.

Mniej więcej trzy tygodnie później zawinęli do portu w Hawanie na wyspie Santiago de Cuba. Końcówka podróży upłynęła spokojnie przy sprzyjającej pogodzie. Dni były bezchmurne, orzeźwiający wiatr niósł ze sobą smak soli. Stan Refugia uległ gwałtownej poprawie. Otrząsnął się z odrętwienia, ożywił, zostawiając dla siebie przyczyny tak nagłej odmiany. Po nocy spędzonej z Pilar, późnym popołudniem, nieskazitelnie ubrany, jak gdyby nigdy nic, wkroczył do salonu.

- Drogi hrabio! - zawołała doña Luisa, unosząc się z krzesła i biorąc go pod ramię. -

Witamy, witamy! Jak nam tu wszystkim pana brakowało! Proszę powiedzieć, jeśli łaska, czemu przypisać to cudowne ozdrowienie.

- A czemuż by innemu, jeśli nie morskemu powietrzu, trosce przyjaciół i najlepszemu lekarstwu na wszelkie przypadłości, jakim jest opieka pięknej kobiety?

- Schlebiasz mi, hrabio, choć nie przeczę, że pamiętałam o tobie w modlitwie.

- Mówię szczerą prawdę - odpowiedział z ukłonem i jednocześnie posłał Pilar powłóczyście spojrzenie.

Tego wieczoru Refugio zabawiał towarzystwo dowcipnymi historyjkami i lirycznymi pieśniami przy wtórze gitary. Jeżeli męczył go wysiłek czy dokuczała rana, to nie dał tego po sobie poznać. Następnego dnia rano sam zmienił opatrunek, a potem spacerował po pokładzie pod rękę z doñą Luisą i młodą żoną kupca. Pod koniec tygodnia fechtował się, nie szczędząc uszczypliwych uwag pod adresem swych przeciwników, ku wielkiej uciesze widzów.

Niestety, rany na duszy Refugia nie zagoiły się wraz z raną na piersi. Zdarzały się takie chwile, kiedy wszystko działało mu na nerwy. Stawał się wtedy zgryźliwy i cyniczny.

Nawet błahostki potrafiły wyprowadzić go z równowagi. Czasem denerwowała go źle zawiązana lina lub nadmiernie omaszczona fasola, zapach chusteczki doni Luisy, którą trzepnęła go po policzku, czy widok Pilar grającej w karty z Charro i Enrique. W takich sytuacjach nie spoczął, dopóki sam nie poprawił liny, nie usunął tłuszczu z fasoli, nie wyrzucił chusteczki za burtę czy nie rozpędził graczy, wysyłając Enrique i Charro z jakimiś niecierpiącymi zwłoki poleceniami w przeciwległe końce żaglowca. Doprowadzał do tego, że pasażerowie omijali go dużym kołem, co mu w gruncie rzeczy odpowiadało.

Oczywiście pewna nadpobudliwość w jego przypadku była usprawiedliwiona.

Nawykły do czynnego życia na otwartych przestrzeniach, męczył się na małym statku.

Dochodził jeszcze niepokój o los brata, świadomość, że go zawiódł, napięcie związane z ich mistyfikacją, a także, grające mu na nerwach, ciągle nagabywania don i Luisy. Pilar

podejrzewała również, że bóle głowy, które pojawiły się po postrzale, mocno mu się dają we znaki. Kiedy powieki Refugia stawały się ołowiane, a kąciki ust wykrzywiały grymas,

wiedziała, że cierpi. Nauczyła się nie przejmować napadami złego humoru Refugia; najlepiej

było nie zwracać na nie uwagi. Jego gniew w istocie nie był skierowany przeciwko konkretnej



osobie, a już na pewno nie przeciwko niej. Ludzie z bandy Refugia bardzo szybko się zorientowali, że Refugio obchodzi się z nią znacznie łagodniej niż z nimi. Mimo to - tak na wszelki wypadek - trzymali się w pobliżu, żeby w razie czego przyjść jej w sukurs, gdy z nadto będzie ją dręczył swymi uszczypliwymi komentarzami. Zdarzało im się nawet głośno zaprotestować, kiedy jego zachowanie w stosunku do Pilar uznawali za zbyt nonszalanckie. Oczywiście intencje mieli dobre, lecz Pilar obawiała się, że tylko pogarszają sytuację, bo potem Refugio w przyływie złego humoru zarzucał jej, że ich kokietuje. Łudziła się nadzieją, że przyczyną tych wymówek jest zazdrość o nią, a nie zwykłe poirytowanie. Czasami wieczorem masowała jego skronie i napięte mięśnie karku, sprawiając mu tym wyraźną ulgę. Zaklinał się też na wszystkie świętości, że lepiej się czuje, kiedy ona śpi u jego boku. Pewnego razu tak ją uraził uwagą na temat jej zbyt swawolnego zachowania w stosunku do Charro, że zrobiła sobie posłanie na podłodze. Zanim powrócił z nocnego spotkania sam na sam z wdową, zdążyła zapaść w niespokojną drzemkę. Obudziło ją szarpnięcie, a chwilę później znalazła się w jego ramionach. Zaniósł ją na koję, posadził sobie na kolanach i tak długo przekonywał czułymi słówkami i pieszczotami, aż z powrotem zgodziła się dzielić z nim koję.

- Hrabia Gonzalvo miał rację - zauważył później, gdy leżała w jego objęciach.

- Tak? Pod jakim względem? - zapytała sennie, przyglądając palcem kręcone włosy na jego piersi, by nie łaskotały jej w nos.

- Trzymał swą Wenus w zamknięciu i miał spokojną głowę.

- A co ona na to?

- Wielbił ją i spełniał każde jej życzenie. Przynajmniej ludzie tak powiadają.

- I to ma wystarczyć? Nachylił się, żeby spojrzeć jej w twarz. - A uważasz, że to mało?

- Chyba lepiej jest być kochanym i wolnym. - Opuściła powieki, aby nie mógł

odczytać wyrazu jej oczu.

- Więc nie wyobrażasz sobie życia w odosobnieniu czy za wysokimi murami haremu?

Nie masz potrzeby poczucia bezpieczeństwa?

- Gdybym miała, nie byłoby mnie tutaj. Zgodnie z życzeniem mego ojczyma

siedziałabym w klasztorze.

- To prawda.

- Poza tym, jeżeli kobiety nie mogą zamykać mężczyzn w wieżach, dlaczego pozwala się mężczyznom więzić w nich kobiety?

- No właśnie, dlaczego? A ty chciałabyś trzymać mężczyznę w więzy?

- Może byłoby to trochę niebezpieczne, ale sam pomysł wydaje się dość kuszący -  
uśmiechnęła się.

- To znaczy, że chciałabyś tego - cicho podsumował zdławionym głosem. -

Poszukamy wieży, w której moglibyśmy się zamknąć?

Podniosła wzrok, spodziewając się zobaczyć uśmiech w jego ciemnych oczach, ale

ujrzała w nich jedynie własne odbicie, a także pionową bruzdę na czole, znak, że coś go

nurtowało. Przesunęła po niej dłonią, a potem pogładziła go po policzku i mocno zarysowanej  
szczęce. Pochwycił jej palce i przycisnął do ust.

- Nie chcesz? - zapytał, ogrzewając je ciepłym oddechem. - W takim razie otoczę cię

murem z pocałunków. Na chwilę ukryjemy się za nim przed niebezpieczeństwem. A może i  
na zawsze? Ta propozycja bardzo jej odpowiadała.

Pilar nie wiedziała, czy Refugio sypia z Luisą. Podejrzewała, że nie, ale nie chciała o

to pytać na wypadek, gdyby się okazało, że jest w błędzie. Wolała myśleć, że brakuje już siły,

no i oczywiście chęci do miłości po nocach spędzanych z nią. Dopuszczała jednak możliwość,

że może się mylić. W żadnym wypadku nie czuła się uprawniona rościć sobie do niego pretensji. Jakkolwiek by na to patrzeć, to ona go sprowokowała. I nieważne, co ją do tego skłoniło. Refugio nie miał obowiązku dochowywać jej wierności, nawet jeżeli nie musiałby spełniać życzeń kapryśnej wdówki ze względu na bezpieczeństwo ich wszystkich. Nie może być mowy o miłości między nią i El Leonem. Absolutnie nie. Ich związek narodził się z ciągłego przebywania ze sobą i wzajemnej fizycznej atrakcyjności. N o i nie wolno też zapominać o jej chęci zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Jeżeli kiedykolwiek przyjdzie jej na myśl, że Refugio może ją kochać, wystarczy, jak przywoła na pamięć słowa Isabel, że nie związałyby się z kobietą, którą darzyłby naprawdę głębokim uczuciem. O dziwo, świadomość tego faktu działała na nią kojąco, bo to oznaczało, że nie jest związany uczuciowo z Luisą. W Hawanie panował niemiłosierny skwar. Jaskrawożółte słońce odbijało się metalicznym blaskiem od powierzchni wody, schodzących tarasowo plaż i soczysto zielonych, połyskliwych pióropuszy palm. Na rozgrzanych deskach "Celestiny" pociła się grupka urzędników. Gdy tylko żaglowiec przybił do brzegu, na pokład wszedł przedstawiciel urzędu celnego, kierownik portu, poborca podatkowy, notariusz oraz pisarz sądowy.

N a widok grupki mężczyzn podążających w kierunku Refugia, stojącego w towarzystwie kapitana statku, Pilar przeżyła chwilę grozy. Uspokoiła się dopiero wtedy, kiedy urzędnicy schylili głowy w powitalnym ukłonie, po którym nastąpiła wymiana grzeczności. Jak przystało na arcybogatego arystokratę, Refugio potraktował ich uprzejmie, ale z dystansem, natomiast oni prześcigali się w uprzejmościach. Byli także niezwykle szarmancy wobec Pilar. I nikomu nawet przez myśl nie przeszło, żeby go zatrzymać, gdy z obojętną miną oddalił się niespiesznie z damą swego serca, wspartą na jego ramieniu.

Refugio wiedział, że popełniłby wielki błąd, unikając przedstawicieli lokalnej władzy. Nieczęsto w sennej Hawanie zjawiał się tak znamienity gość, a wieści rozchodziły się tam

lotem błyskawicy. Jeszcze tego samego dnia zarzucono ich propozycjami spotkań towarzyskich. Bogaty plantator, ojciec pięciu córek na wydaniu, przysłał zaproszenie na śniadanie, a gubernator zaofiarował się obwieść hrabiego Gonzalvo po wyspie. Refugio grzecznie wymówił się od uczestnictwa w śniadaniu, lecz nie wypadało mu odmówić gubernatorowi, nie budząc przy tym jego podejrzeń. Jak się później okazało, przejażdżka upłynęła w miłej atmosferze i zaowocowała kolejnym zaproszeniem. Mieli uczestniczyć w balu maskowym w rezydencji gubernatorstwa. Zaproszenie dotyczyło również świty Refugia, no i oczywiście Pilar, jako że powszechnie było wiadomo, iż hrabia Gonzalvo uchyla się od towarzyskich okazji, na których jego Wenus nie jest mile widzianym gościem. Właśnie z tego powodu sprawiał czasami wrażenie odludka. Na szczęście na maskaradowych balach podczas karnawału nie przestrzegano tak ściśle konwenansów. Przebrania i maseczki, obowiązujące przez większą część zabawy, zmniejszyły również prawdopodobieństwo rozpoznania El Leona przez kogoś z grona licznie zaproszonych gości, kto ewentualnie mógł zetknąć się wcześniej z Refugiem de Carranzą czy hrabią Gonzalvo. Gdyby jednak pojawiło się takie ryzyko, zawsze mogli znaleźć jakiś pretekst do opuszczenia balu jeszcze przed zdjęciem masek.

Doñę Luisę zachwycała możliwość zabłyśnięcia w towarzystwie, choćby nawet tak prowincjonalnym. Dzięki uprzejmości znajomego jej zmarłego męża, który był członkiem rady miejskiej Hawany, a kiedyś sprawował identyczną funkcję w Nowym Orleanie, otrzymała osobne zaproszenie. Señor Manuel Guewara zjawił się niespodziewanie na statku, kiedy tylko rzucili kotwicę, i zaproponował wdowie gościnę pod swym dachem, dopóki maleńki żaglowiec, na którym zamierzali popłynąć do Luizjany, nie będzie gotowy do podróży. Postój miał potrwać kilka dni. Señor Guewara zapewnił ją, że będzie zachwycony, jeżeli i pozostali również zatrzymają się w jego domu, więc doña Luisa bez wahania przyjęła

zaproszenie tego niezwykle czynnego dżentelmena.

- Jakże pani wszystko potrafi wspaniale zorganizować, doño Luiso -

skomplementował ją Refugio, chyląc przed nią głowę w nieco błazeńskim ukłonie. - Taka zaradność musi dawać pani sporo satysfakcji. Jeżeli wyczuła ironię w jego słowach, nie dała tego po sobie poznać.

- Czasami tak. - Kąciki jej orzechowych oczu uniosły się lekko pod wpływem uśmiechu.

- A czy pomyślała pani o tym, że ów dżentelmen może znać hrabiego? Albo że zetknął się gdzieś przelotnie z Refugiem de Carranzą, Charro czy Enrique?

- Albo że był kiedyś kochankiem Wenus? - podpowiedziała. - Mało prawdopodobne. Zbyt długo przebywał poza Hiszpanią.

- Ach! Nie będziemy się tym przejmować. - Z obojętną miną wzruszył ramionami. -

Gdyby przypadkiem naszły go jakieś niewygodne wspomnienia, zawsze możemy wyciąć w pień jego domowników i służbę.

- Cóż z pana za okrutnik! - zawołała, śmiejąc się perliście.

- I cynik. Nie wyobraża pani sobie, jakie przedstawienie urządzą, kiedy kat będzie zarzucał mi pętlę na szyję. A może lepszy byłby stos? Przecież Święta Inkwizycja nie ma monopolu na wrzucanie ludzi w płomienie. Pani życzenie jest dla mnie rozkazem. Zrobię wszystko, byle ją rozbawić.

- Jest w ogniu coś ekscytującego, nie sądzi pan? - zauważyła z błyszczącymi oczami.

Pilar, przysłuchując się ich rozmowie, przeszedł dreszcz, wywołany nieprzyjemnym uczuciem chłodu w okolicy serca.

## **ROZDZIAŁ X**

Rezydencja señora Guewary zbudowana była z bloków białego wapienia koralowego.

Solidny dom był w stanie oprzeć się sztormom i jesiennym wichurom, przetaczającym się nad wyspą. Okna sięgające posadzki chroniła galeria, która w lecie osłaniała szyby przed ostrym słońcem, a także umożliwiała wietrzenie pomieszczeń nawet podczas niewielkich deszczów. Z okien usytuowanej na cyplu budowli roztaczał się wspaniały widok na turkusowe morze, a w ogrodzie o symetrycznie wyznaczonych ścieżkach, obsadzonych jaskrawymi kwiatami, rosły egzotyczne drzewa owocowe. Za ogrodem, jak okiem sięgnąć, rozciągały się zielone pola trzciny cukrowej, ponieważ właściciel rezydencji był również plantatorem.

Pan domu przyjął gości bardzo serdecznie. Zarówno Pilar, jak i Refugio dostali najlepsze z gościnnych pokoi, a ich świątę rozlokowano w pobliżu. Na posiłki, umilane śpiewem córek señora Guewary, składały się wyszukane potrawy i najprzedniejsze wina. Cała rodzina była tak bardzo spragniona wieści z kraju, że dla nich byłaby gotowa ugościć nawet żebraka. Wszyscy zasypywali ich pytaniami, a celował w tym najstarszy syn gospodarza, Filip, któremu marzyły się miłosne podboje. Panie najbardziej interesował fason i kolory sukien noszonych na dworze, a señora Guewarę plotki dotyczące skandali w sferach ministerialnych. Natomiast wszyscy zgodnie pytali o najnowsze tańce i muzykę.

Na szczęście brak wyczerpujących odpowiedzi hrabiego Gonzalvo na niektóre z pytań usprawiedliwiała jego powszechnie znana skłonność do życia na uboczu. Jednak niedosyt informacji hrabia zrekompensował z nawiązką, gdy któregoś wieczoru zasiadł do rozstrojonej harfy i zagrał wszystkie najnowsze melodie, jakie zapamiętał. Występ spotkał się z takim aplauzem, że wykonawca postanowił uraczyć słuchaczy jeszcze starymi balladami i sentymentalnymi kołysankami, tak że w końcu całe towarzystwo tonęło w łzach nostalgii za daleką ojczyzną. Doña Luisa najlepiej z nich wszystkich potrafiła zaspokoić głód ploteczek i sensacyjnych wiadomości, lecz trzeba przyznać, że niewiele ustępował jej pod tym względem Enrique w swej roli hiszpańskiego hidalga. Tak wdowa, jak i Cygan akrobata w sposób

złośliwy, a zarazem zabawny, pastwili się nad bohaterami swoich opowieści.

Ponieważ bale kostiumowe stanowiły ulubioną rozrywkę na wyspie, w domu Guewarów znajdowała się cała kolekcja najróżniejszych strojów. Kiedy pasażerom "Celestiny" zasugerowano wyszukanie odpowiednich przebrań, chętnie skorzystali z tej propozycji. Z kostiumem dla Refugia nie było kłopotu; szaty mauretańskiego księcia odpowiadały mu idealnie. Pilar natomiast nie zgodziła się pójść na bal zakwefiona jako mauretańska księżniczka ani też skąpo odziana jako tancerka. Nie podobał się jej też strój zakonnicy. Wreszcie wybrała kostium damy dworu z ubiegłego stulecia - suknię z granatowego jedwabiu, ze spódnicą podtrzymywaną przez metalowe obręcze. Usztywniony fiszbinami stanik sukni zdobiły jasnoniebieskie kokardy, a całości dopełniała wykrochmalona biała kryza.

Refugio włożył śnieżnobiałe szaty oraz turban opleciony złotym sznurem i wyszedł, zostawiając sypialnię do dyspozycji Pilar i Isabel. Nie chciał krępować kobiet podczas skomplikowanej czynności ubierania Pilar w metalową konstrukcję, do złudzenia przypominającą klatkę. Podczas gdy Isabel upinała upomadowane włosy Pilar w wysoką fryzurę, którą na koniec miała przypudrować, ona sama, patrząc w lustro toaletki, odprowadzała go wzrokiem. Jest nieswój, wyraźnie się denerwuje - pomyślała. W tym stroju wydawał jej się taki obcy. Przywodził na myśl groźnego satrapę, u którego wesołość w każdej chwili może się przerodzić w straszliwy w skutkach gniew.

Chwilę później Pilar, precyzyjnie się z trudem przez drzwi, wyszła na galerię i sunąc w szumie udrapowanych jedwabi, skierowała się w zaciszną alejkę, gdzie czekał Refugio. Nagle gdzieś za węglem domu rozległ się żalospny płacz. Refugio ruszył w tamtą stronę, znikając jej z oczu. Podążyła za nim. Zobaczyła, jak przykłęka przed trzy - , a może czteroletnim chłopczykiem o jedwabistych włoskach ściągniętych w kitkę. Dzieciak ubrany

był w spodenki do kolan, z których wysunął się rąbek koszuli, a na małych stópkach miał eleganckie buciki ze srebrnymi klamerkami. Rozpoznała w nim najmłodszego synka gospodarzy. Szłochał z buzią wykrzywioną w podkówkę, wpatrzony w palec, z którego kapwały kropelki krwi. W pewnej odległości za nim, kiwając się na boki, dreptała zielona papuga z żółtym czubem.

- Uglyśla mnie! - wyszłochał.

- Kto cię ugryzł? - dopytywał się Refugio i przytrzymując różową rączkę dziecka w swych śniadych, szorstkich palcach, ocierał krew brzeżkiem swej szaty. Chłopczyk odwrócił się i wskazał na papugę.

- Uglyśla mnie w palec. Bzydkie ptasysko!

- Ummm. A co ty jej zrobiłeś? - zapytał z powagą Refugio.

- Bawiłem się z nią.

- Może ona nie miała ochoty się bawić?

Chłopczyk nic nie odpowiedział i tylko głośno pociągając nosem, rozcierał łzy na policzkach. Papuga zbliżała się do nich, zataczając koła.

- To twoja papuga? - spytał Refugio. Energicznie potrząsnął głową.

- Mamusi.

- Powiemy jej o tym, co zaszło, żeby ją ukarała?

- Nie.

- Rozumiem. Czyli to nie pierwszy raz. Chłopczyk w milczeniu patrzył w ziemię.

- Hola, Mateo! - wyskrzeczwała papuga, przechylając łeppek.

- Mateo? Tak masz na imię? Chłopiec pokiwał głową i wcisnął ją w ramiona.

- W takim razie powiedz mi, Mateo, co z nią zrobimy za to, że cię dziobnęła. Czy ukęcimy jej łeppek i ugotujemy? W oczach chłopczyka odmalowało się przerażenie.



- Nie!

- Nie? To może obwiążemy jej dziób?

Mateo potrząsnął głową, obserwując papugę, która po fałdzie na stroju Refugia usiłowała wspiąć mu się na ramię.

- Więc może ty ją też ugryziesz w palec?

- Nie ma palców.

- Ma szpony. Na policzkach dziecka pojawiły się dołeczki.

- Nie! - zachichotał. - Są brudne.

- No to już nie wiem, co wymyślić - westchnął ciężko Refugio.

- A ja wiem! - zawołał Mateo. Wyciągnął rękę i kiedy ptak zręcznie przeskoczył na jego dłoń i wdrapał mu się na ramię, obrócił się na pięcie i pobiegł w stronę domu. Papuga uczepiona jego barku rozpaczliwie machała skrzydłami.

Refugio wyprostował się i odwrócił do Pilar. Przesunął taksującym spojrzeniem po jej przypudrowanej fryzurze, sztywnym staniku, uwydatniającym krągłe piersi, wąskiej talii i spódnicy upiętej na monstrualnym stelażu.

- Wyglądasz majestatycznie - powiedział w końcu, uśmiechając się z aprobatą. - No i oczywiście pięknie. Z początku myślałem, że strój mniszki byłby bardziej odpowiedni, ale teraz widzę, że nie miałem racji.

Komplement zaskoczył ją, a jednocześnie zaintrygował.

- Dlaczego? - zapytała, siłąc się na lekki ton. Wyciągnął rękę, żeby pochwycić jej dłoń, i poprowadził aleją. Szli na odległość wyprostowanych ramion, oddzieleni od siebie kłosem spódnicy.

- A dlatego, że dopóki jesteś w tym stroju, nie muszę się przejmować, iż jakiś mężczyzna zanadto się do ciebie zbliży.

- A jeśli mu pomogę? - Rzuciła mu szybkie spojrzenie spod rzęs.
- Istnieje taka możliwość. Choć znając twoje miękkie serce, nie podejrzewam, że byłabyś taka nierozsądna.
- Co moje serce ma z tym wspólnego?
- Nie chciałabyś przecież ponosić winy za czyjąś śmierć? Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.
- Czy jedna śmierć więcej ma jakieś znaczenie? - powiedziała, spuszcżając oczy.
- Co takiego? - Jego głos nabrał szorstkości.
- Przyszła mi na myśl moja ciotka - wyjaśniła.
- To zupełnie inna historia. Nie odpowiadasz za postępkę szaleńca.
- Nie? W takim razie ty też nie możesz siebie obwiniać - zauważyła półgłosem. Nie odpowiedział i tylko jakiś czas przyglądał jej się w milczeniu. Kiedy ruszyli w stronę rezydencji, w oczach Pilar malował się spokój, a promienie zachodzącego słońca rzucały złote refleksy na jej włosy.

Tego wieczoru kolacja miała bardzo formalny charakter. Dla pani domu obecność hiszpańskiego arystokraty stanowiła świetną okazję do zabłyśnięcia w towarzystwie. Zaproszono przyjaciół oraz bliższych i dalszych sąsiadów. Na stołach lśniła srebrna zastawa, połyskiwała porcelana, a kandelabry z weneckiego szkła skrzyły się w blasku setek świec, w których ciepłe wiewły delikatne, egzotyczne kwiaty, porozstawiane w sewrskich wazonach. Niestety, ścisk przy stole i nadmierny przepych przytłaczały, psując efekt zamierzony przez gospodynię.

Refugia posadzono po prawicy pani domu, a dońę Luisę po prawej stronie gospodarza.

Pilar przypadło miejsce w pewnej odległości od Refugia, pomiędzy dżentelmenem w podeszłym wieku, ubranym na czarno, i najstarszym synem państwa Guewara. Staruszek zajął

się pochłanianiem podawanych potraw, siorbiąc przy tym oraz mlaszcząc głośno, i zupełnie nie wykazywał chęci do rozmowy. Natomiast Filipa Guewary jedzenie w ogóle nie interesowało.

- Señorito - odezwał się na tyle cicho, by jego głos zginął wśród szumu rozmów i brzęku zastawy. - Jestem takim głupcem. Wybacz, proszę, ale nie miałem pojęcia, z kim mam do czynienia. Aż trudno uwierzyć, że się nie domyśliłem, iż od dwóch dni pod naszym dachem gościmy słynną Wenus de la Torre.

Filip był przystojnym młodzieńcem o wyrafinowanych kastylijskich manierach.

Sprawiał wrażenie rozpieszczonego panicza, który, jak na swój wiek, zanadto interesuje się kobietami.

- Woląabym raczej o tym nie rozmawiać - odparła Pilar zgodnie z prawdą.

- Jak to możliwe, że nie odgadłem? Twoja uroda, pani, nie ma sobie równej. Nic dziwnego, że hrabia trzyma cię w zamknięciu. Zrobiłbym to samo, gdybyś należała do mnie.

- Pozwól, że ci przypomnę, iż hrabia jest bardzo zazdrosny. - Pilar wskazała ruchem głowy na Refugia, który obserwował ich znad brzegu pucharu z winem. Młodzieniec ledwie na niego spojrział.

- Obawiasz się go? Chcesz, żebym cię przed mm obronił? - zaproponował z rozpalonym wzrokiem.

- O nie! Niech ci takie nierozsądne pomysły w ogóle nie przychodzą do głowy!

- Nierozsądne? Myślisz, że nie dałbym mu rady?

- Wcale nie. Po prostu nie ma powodu do pojedynku, bo jestem zadowolona - usiłowała go ułagodzić, czując, że młodzieniec cierpi z powodu zranionej dumy.

- Pani, odnoszę wrażenie, że jesteś zalękniona. Czy mam prawo wierzyć, że to o mnie się obawiasz?

- Prawie cię nie znam!

- Wystarczy chwila, aby kobieta i mężczyzna zakochali się w sobie. To może być przelotne spojrzenie na promenadzie lub krótka rozmowa podczas porannej mszy - mówił rozochocony, patrząc na nią uwodzicielsko.

Rozumiała, że zdobycie jej względów stanowi dla niego wyzwanie. Widział w niej kurtyzanę, która do tego stopnia rozkochała w sobie arystokratę, że był gotowy więzić ją z zazdrości. Podniecała go rozmowa z nią. Postanowił ją uwieść.

- Ja się nie zakocham - odparła chłodno. - Nie jestem zdolna do miłości.

- Takie okrutne słowa nie przystoją kobiecie tak pięknej jak ty.

- Zapewniam cię, że to prawda. - Och, rozumiem! Pragniesz uwielbienia. Więc będę cię wielbił jak kiedyś hrabia. Będę się czołgał u twych stóp.

- Dziękuję, to zbyt wiele.

- Chcesz bogactwa? Mam je.

- Twój ojciec jest bogaty, nie ty. A co ze szlacheckim tytułem?

- Dręczenie mnie sprawia ci radość. Dlatego chwila, kiedy ulegniesz, będzie jeszcze słodsza. Czując, że niepotrzebnie marnuje czas i poświęca mu tyle uwagi. Wzruszając obojętnie ramionami, odwróciła się od niego. Natrafiła na spojrzenie niebieskich oczu Charro, który siedział parę miejsc dalej. Musiał przysłuchiwać się ich rozmowie, bo posłał jej współczujący uśmiech. Obfita kolacja przeciągnęła się do późnego wieczora.

Po deserach goście poszli się odświeżyć, a potem zebrali się przed domem, żeby wyruszyć na bal. Młodszy mężczyźni mieli jechać konno i oświetlać drogę pochodniami. Dla dam i starszych dżentelmenów wyprowadzono powozy.

Refugio, podobnie jak Charro i Enrique, wolał przebyć ten niewielki odcinek drogi na koniu. Baltasar natomiast, w przebraniu lokaja, miał stać na zatylniku jednej z karet. Señora

Guewara wraz z najstarszą córką i daleką kuzynką, która była przyzwoitką dziewczyny, zajęły miejsca w ekwipażu należącym do rodziny. Pilar liczyła, że zabierze się z nimi, lecz zanim pani domu zdążyła ją zaprosić, przy stopniach powozu znalazła się Luisa Elguezabal z maseczką w dłoni i mantylą zarzuconą na pulchne ramiona.

- Pani jedzie, doño Luiso? - zdziwiła się señora Guewara.

- Naturalnie - odparła tak samo zdumionym tonem Luisa. - Ooch, ma pani na myśli żałobę! Ma się rozumieć, nie będę tańczyć, ale potrzeba mi rozrywki, żeby na jakiś czas rozproszyć smutne myśli. Wiem, że mój drogi mąż by sobie tego życzył. Nie było w nim ani krzty egoizmu.

- Zaprawdę, to musiał być święty człowiek - zauważył Enrique teatralnym szeptem.

- Ażeby pan wiedział - obruszyła się Luisa.

- Dlaczego więc nie podążyła pani za nim lub nie zatrzymała przy sobie? Wdowa odwróciła się plecami do akrobaty, zwracając na niego tyle uwagi, co na brzęczącą muchę.

- Widzę, że zatrzymała pani miejsce dla mnie - zwróciła się do señory Guewary.

- Bardzo proszę - odpowiedziała tamta wyraźnie oburzona.

Pilar rozbawił tupet wdowy oraz uszczypliwa uwaga Enrique, ale poczuła się trochę nieswojo. Przecież ona również nie nosiła żałoby po ciotce, a w dodatku nie zamierzała zrezygnować z tańców na balu. To prawda, że sytuacja była nietypowa, jednak w przyszłości musi pomyśleć o jakimś sposobie okazania szacunku zmarłej krewnej.

- Señorito, bardzo mi przykro z powodu tego utrudnienia. - Pani Guewara zwróciła się do Pilar tym samym tonem, co przed chwilą do wdowy. - Ale będę musiała poprosić kogoś, żeby panią zabrał. Może któryś z sąsiadów lub z naszych znajomych ...

- Wybacz, mamó, że się wtrącam. Ja panią zawiozę. W mgnieniu oka zaprzęgną konie do mojej kolaski.

Matka rzuciła synowi karcące spojrzenie spod ściągniętych brwi, po czym powiodła wzrokiem po twarzach otaczających ich gości, którzy z zainteresowaniem, a także mniejszą lub większą dezaprobatą obserwowali rozwój sytuacji. Nie kryjąc niechęci, zwróciła się do Pilar:

- Czy to pani odpowiada?

Pilar czuła, że Refugio wpatruje się w nią z grzbietu czarnego narowistego ogiera.

Szczerze mówiąc, miała wrażenie, że wszyscy dokoła czekają z zaciekawieniem na jej reakcję.

- Jak najbardziej - odpowiedziała, uważając, by nadać głosowi spokojne brzmienie. -

Myślałam o tym, żeby zabrać ze sobą moją pokojówkę, Isabel, na wypadek gdyby trzeba było poprawić kostium. W tej sytuacji może pojechać na koźle z woźnicą.

Entuzjzm Filipa wyraźnie osłabł, ale nie wycofał oferty. A stracił go do końca, kiedy Refugio, Charro i Enrique ustawili się po bokach powozu jako eskorta.

Przejażdżka do pałacu gubernatora była bardzo przyjemna. Jechali wzdłuż wybrzeża w okolicy portu. Minęli cytadelę La Fuerza z wieżą strażniczą, na szczycie której, zamiast chorągiewki, kierunek wiatru wskazywała postać Indianki, zwana przez wszystkich La Habaną. Następnie przejechali obok dwóch fortec broniących dostępu do portu - zamku Morro i La Punta. Jak Filip poinformował Pilar, fortyfikacje, łącznie z La Cabaną za zamkiem Morro i murami miejskimi, wzniesiono, aby bronić miasta przed napadami piratów i zakusami Anglików. Co prawda mury ochroniły je przed piratami, lecz nie oparły się Anglikom, którzy zdobyli Kubę ponad dwadzieścia pięć lat temu, podczas wojny siedmioletniej. Rok po zakończeniu wojny zwrócono wyspę Hiszpanom w zamian za Florydę.

N owo zbudowany barokowy pałac gubernatora prezentował się bardzo okazale, mimo że trwały jeszcze przy nim prace murarskie. Stał w samym centrum, które prawie we

wszystkich miastach kolonii hiszpańskich nosiło taką samą nazwę - Plaza de Armas. Jego przestronne komnaty urządzone z przepychem godnym najwyższego przedstawiciela Korony w kolonii. Bal zorganizowano z wielkim rozmachem, ponieważ ostatki kończyły okres karnawałowych szaleństw i wesołości przed wielotygodniowym postem. Sala taneczna była długa i wąska. Na wysoko sklepionym suficie kapiący złotem fresk przedstawiał religijną scenę. Dwuskrzydłowe, sięgające podłogi okna stały szeroko otwarte, wpuszczając do wnętrza nocne powietrze. Kryształowe lęzki gigantycznych żyrandoli drżały, poruszane delikatnym powiewem. Wibrujące dźwięki zmysłowej muzyki, granej przez orkiestrę złożoną ze skrzypiec, gitar, fletu, harfy, bębenków i kastanietów, zapraszały do tańca. Goście, szeleszcząc jedwabiami, połyskując aksamitami i migocząc biżuterią, poddawali się jej urokowi, zatraceni w gorącym rytmie.

Nieprzekraczalnej granicy dobrych obyczajów strzegły, siedzące wzdłuż ścian przyzwoitki i niespokojne matki, chłodzące twarze wachlarzami, oraz surowi ojcowie. Ich czujne oczy sprawiały, że tłumione emocje i trzymane na wodzy pokusy jeszcze bardziej podgrzewały atmosferę. Señor Guewara pierwszy poprosił Pilar do tańca. Podejrzewała, że uznał, iż jako gospodarzowi wypada mu tak postąpić. Owym gestem dał wszystkim do zrozumienia, że należy ją traktować z szacunkiem. Bardzo oficjalny, tańczył sztywno, z namaszczeniem wykonując taneczne figury. Zaraz po nim Filip zaprosił ją do kadryla. Ze względu na szarmanckie zachowanie ojca, a także fakt, że to właśnie Filip przywiózł ją na bal, nietaktem byłoby mu odmówić. Jednak zaraz tego pożałowała, bo spojrzeniem i gestem starał się zasugerować obecnym, że należy do niego. Młodzieniec wybrał sobie kostium konkwistadora. Przebranie okazało się bardzo trafne, ponieważ cały czas pozował na zdobywcę. Na statku rola Wenus jedynie krępowała Pilar, teraz dziewczyna poczuła się poniżona. Filip każdym ze swych płomiennych spojrzeń, każdym nadmiernie przeciąganym

dotykami dawał jej do zrozumienia, za kogo ją bierze i jak bardzo pragnie ją posiadać.

- Jeżeli nie przestaniesz patrzeć na mnie w ten sposób, spoliczkuję cię - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- Nie wiem, o czym mówisz - oświadczył, choć jego wzrok przeczył słowom.

- Dobrze wiesz. Nie jestem pierwszą naiwną i nie liczę, że padnę zemdlona u twych stóp. Ostrzegam cię, prowadzisz niebezpieczną grę!

- Czyżby? Czy nie za wysoko się cenisz? Jakoś twój obrońca nie kwapi się z odsieczą.

- Bo nie ma ochoty ani z siebie, ani ze mnie robić widowiska.

- A może już mu nie zależy? Mężczyźni szybko nudzą kochanki. Oczywiście istniała taka możliwość, ale wolała jej nie rozważać.

- Nie wiedziałam, że tak bardzo cię interesuje to, co ktoś inny odrzucił.

- Dla mnie jesteś nowa, a w dodatku nie ma w Hawanie kurtyzany, która dorównywałaby ci urodą.

- Czy to miał być komplement? - zapytała z twarzą ściągniętą gniewem.

- Ależ nie, to szczerą prawdą.

- Nie do wiary - zakończyła chłodno, zdecydowana więcej się nie odzywać. Orkiestra przestała grać. Może przypadkiem, a może celowo, tuż obok nich wyrósł Charro. Skłoniwszy się przed jej partnerem, podał Pilar ramię. Filip przez chwilę przytrzymał jej rękę, ociągając się z przekazaniem Pilar nowemu partnerowi. Gdy jednak ze zmarszczonym czołem spojrzał w oczy Charro, to, co w nich wyczytał, sprawiło, że czym prędzej zwolnił uścisk, ukłonił się zdawkowo i odszedł.

Rozległy się pierwsze dźwięki muzyki. Pilar dygnęła przed Charro, obdarzając go przy tym ciepłym uśmiechem.

- Zjawiłeś się w samą porę. Dziękuję.



- Narzucal ci sie?

- Och, niewazne. Jest mlody i pewny siebie.

- Jak chcesz, moge go wyslac do domu.

- Wolalabym nie przyciagac uwagi.

- Na to juz za pozno - stwierdzil, marszczac pociagla twarz w promiennym usmiechu, i porwal Pilar w tany, bo wlasnie orkiestra zaczela grac ludowy taniec.

Charro przebral sie za templariusza. W stroju sredniowiecznego rycerza - zakonnika, z czerwonym krzyzem na tunice, prezentowal sie bardzo walecznie.

Podczas tańca zabawiał Pilar uwagami na temat ludzi obecnych na balu i zachowywał się bardzo powściągliwie. Na koniec skłonił się nisko i trwał w ukłonie nieco dłużej, niż wymagała tego zwykła kurtuazja. Kiedy przekazywał Pilar pod opiekę Refugia, jego niebieskie oczy patrzyły na nią przez wąskie otwory w maseczce z oddaniem zaprawionym melancholią. Refugio obserwował tę scenę z rosnącym rozdrażnieniem, chociaż wcale nie dziwiło go zachowanie Charro. To on, Refugio, był wszystkiemu winien; wiedział, jak Pilar działa na jego ludzi. Była piękna, załęczniona i sama na świecie. I w nim także budziła skrajne emocje z jednej strony pragnął ją otoczyć opieką, z drugiej wykorzystać. Dlaczego inni mężczyźni mieliby reagować inaczej?

Dużo by dał, żeby poznać jej myśli. Stała obok, zarumieniona z wysiłku i gorąca.

Słyszał jej przyspieszony oddech, widział lśniącą, wilgotną skórę. Wziął jej dłoń, położył ją w zgięciu swego ramienia i podprowadził Pilar do otwartych drzwi.

- Hołdy wielbicieli dodają urody i rozgrzewają serce, ale mają swoją cenę - ostrzegł ją, gdy trochę ochłonęła.

Pilar obejrzała się na Charro, nie wątpiąc, że Refugio właśnie jego ma na myśli.

Podejrzewała, że Charro nie przypadkiem znalazł się blisko niej. Uważała, że to naturalne, iż

czuł się z nią związany po wielu dniach, które spędzali w swoim towarzystwie podczas wspólnej podróży. Natomiast zachowanie Refugia w stosunku do wdowy wcale nie było takie niewinne.

- Oczywiście wiesz o tym z doświadczenia - odparła chłodno.

- Oczywiście.

- A jaką formę zazwyczaj przybiera zapłata?

- Adorator będzie domagać się twego ciała i duszy. Powiedział to wprost i bez ogródek. Czyżby miał na myśli ostatnie dni ze swoją dawną narzeczoną?

- Czy nie można się przed tym obronić? - zapytała.

- Jeżeli się jest odważnym i umie się zadawać ból.

- Czyli pozostaje kapitulacja.

- O ile się ma zadatki na męczennika.

- A jeżeli owo męczeństwo jest wymuszone? - Patrzyła mu prosto w twarz, ale myślami była gdzie indziej. - Zazwyczaj jest jakiś wybór.

- Nawet kiedy w grę wchodzi jeszcze inne osoby?

- Nawet wtedy. Czyste rany się goją, niemowlęta w porę odstawione od piersi przestają za nią płakać, a szybka śmierć w odpowiednim momencie jest lepsza od powolnego konania. Mówił o tak wielu sprawach, że nie do końca rozumiała, co stara się przekazać.

- Rozumiem, dlaczego nie chcesz być kochany - powiedziała powoli.

- Kto mówi o miłości? To osobny temat.

Refugio poruszał się w tańcu z wielką precyzją i wyczuciem rytmu. Znał taneczne kroki, prowadził Pilar pewnie, a każdy jego ruch cechował naturalny wdzięk. Taniec wyraźnie sprawiał mu przyjemność. Muzyka uskrzydlała mu duszę, a przełożona na język ciała, pociągała partnerkę.

Kiedy Pilar dokonała tego odkrycia, przyjemność tańca z Refugiem jeszcze wzrosła.

Poczytywała sobie za sukces, że instynktownie potrafi dostroić się do niego. Patrzyła w jego stalowe, ocienione rzęsami oczy, kiedy zbliżał się i oddalał w zawyłych tanecznych figurach, a to, co w nich widziała, pozwalało jej ufniej wsuwać rękę w jego dłoń. Być może odrzucał miłość, ale Pilar nie była mu obojętna. To stanowiło dla niej wielką pociechę.

Zbliżała się północ, a wraz z nią koniec karnawału. Jeszcze chwila i zacznie się środa popielcowa.

Wtedy wszyscy zdejmą maseczki, lecz niespodzianek będzie niewiele.

Krótko przed godziną dwunastą podano ostatni posiłek, na który składały się mięsiwa, pasztety i wszelkie inne delicje, jakich nie będzie się jadać podczas postu.

Gubernator wyspy, wystrojony w brokaty, w butach z czerwonymi obcasami i wysokiej peruce z białego jedwabiu, powiódł korowód gości do sali bankietowej.

Towarzyszyli mu strażnicy w szkarłatnych mundurach z buławami w dłoniach. Roześmiany, radosny tłum z ochotą podążał za nimi, bo apetyt służył gościom, mimo że od kolacji upłynęło niewiele czasu.

Refugio podał Pilar ramię, wprowadził ją do jadalni i usadziwszy w fotelu, udał się do zastawionych stołów. Zanim zdążył wrócić, stanął przy niej Filip z talerzem pełnym delikatesów. Po chwili zjawił się Charro z paterą smakołyków, a zaraz za nim nadciągnął Enrique z kieliszkiem wina dla niej. Cieszyło ją to nadszkakiwanie mężczyzn, mimo że domyślała się, iż dwóch z nich, emablując ją, kieruje się przede wszystkim troską o nią.

Naturalnie nie była w stanie zjeść tych wszystkich frykasów, więc żeby nie urazić żadnego z adoratorów, skubnęła po parę kęsów z obu talerzy i przełknęła kilka łyków wina. Prowadziła przy tym dowcipną rozmowę, ażeby rozładować napięcie między otaczającymi ją mężczyznami, czego nie ułatwiały jej ironiczne spojrzenia Refugia.

Enrique i Charro, zupełnie ignorując obecność Filipa, pozwalali sobie na niby to żartobliwe uwagi o zaściankowości wyspiarzy, mało wyrafinowanej kuchni kubańskiej oraz nie dość bladej cerze kobiet. Potem skrytykowali rasę koni hodowanych na wyspie i talenty jeździeckie mężczyzn, a na sam koniec zaczęli powątpiewać w ich umiejętność posługiwania się szpadą. Filip, jako wielbiciel wszystkiego, co hiszpańskie, z początku był skłonny przyznać im rację, lecz w miarę jak trwała ta wymiana zdań, coraz bardziej mienił się na twarzy.

Pilar zerkała na Refugia, licząc, że położy kres tym niebezpiecznym żartom.

Nierozsądnie byłoby wywołać scysję w pałacu gubernatora, tym bardziej z synem ich gospodarzy. On jednak stał ze wzrokiem wbitym w kieliszek, jak gdyby dostrzegł na jego dnie coś bardzo intrygującego.

Enrique i Charro nie przerywali swojej zabawy. Pilar próbowała skierować rozmowę na inny temat, lecz zakończyło się to fiaskiem, a tymczasem Filip z coraz większą zapalczywością bronił swoich krajan. Pilar posłała Refugiovi wściekłe spojrzenie.

W jednej z przerw w tym strumieniu inwektyw dobiegł ich uszu pełen rozczarowania głos starszej damy.

- Mówię wam, to nie jest Gonzalvo - stwierdziła stanowczo. - Po pierwsze, jest zbyt przystojny, a po drugie, brakuje mu werwy. Prawdziwy hrabia nie dopuściłby, żeby mężczyźni kręcili się wokół jego Wenus. Niemożliwe! Już dawno doszłoby do pojedynku.

Refugio znieruchomiał, a potem powoli odwrócił się w stronę sceptycznie nastawionej damy, patrząc na nią z wyższością potomka wielu pokoleń arystokratów. Dumę i chłód, bijące z jego postaci, dodatkowo podkreślał strój mauretańskiego księcia. Jego twarz, częściowo zasłonięta maseczką, pociemniała z gniewu.

Dokoła zaległa cisza, przerywana jedynie wymienianymi szeptem uwagami. Stojący w

pobliżu biesiadnicy zamarli z talerzami w rękach, wpatrzeni w Refugia.

Pilar czekała na jego odpowiedź z rosnącym niepokojem. Tak gniewna replika, jak i oficjalna odpowiedź mogły okazać się błędem. Jeszcze ktoś pomyśli, że przykłada zbyt wielką wagę do paplaniny kobiety.

Zwilżyła wargi koniuszkiem języka, zbierając się na śmiałość.

- Och, najdroższy! - zwróciła się do Refugia lekkim, świadczącym o zażyłości tonem.

- Jak mało ta dama o tobie wie!

W pierwszej chwili spojrział na nią zaskoczony, lecz zaraz uniósł kąciki ust w zmysłowym uśmiechu.

- O tobie również, cara - odparł, pieszcząc ją wzrokiem pełnym czułych wspomnień i słodkich obietnic. A potem odwrócił się do starszej kobiety, skłonił lekko głowę i odezwał się znużonym tonem:

- Nie mam zamiaru tłumaczyć się z mego zachowania, señora. Proszę jedynie przyjąć do wiadomości, że moja Wenus jest mi tak samo droga jak w pierwszych dniach znajomości. Czyżby pani uważała, że nie można ufać kobiecie? Nie ma pani racji. Poza tym proszę powiedzieć, który z mężczyzn otaczających Wenus jest godny jej uśmiechu. Żaden. Podobnie jak i ja nie jestem go godzien, bo ona jest ponad nami wszystkimi. Zabicie któregokolwiek z tych dżentelmenów byłoby równie absurdalne, jak karanie śmiercią człowieka, który z tęsknotą patrzy na księżyc.

- Gdybyś był, panie, hrabią Gonzalvo, zapewne wyciągnąłbyś szpadę - upierała się dama, patrząc na Refugia z wyrazem rosnącej aprobaty w wyblakłych oczach.

- Jak mógłbym? - zapytał szczerze zasmucony. - Naruszyłbym dobre obyczaje, przelewając krew syna człowieka, który udzielił nam gościny. Nie sądzę, by gubernatora ucieszyło takie zakończenie balu.

- Równie dobrze pańska krew mogłaby zostać przelana! - wykrzyknął buńczucznie

Filip za plecami Refugia. - Naturalnie, pod warunkiem, że umiejętności dorównałyby zapałowi - odparł uprzejmie Refugio.

- Jestem młody i silny. Zaryzykuje pan, hrabio? - zapytał zaczepnie Filip, czerwieniejąc na twarzy. Rzucił spojrzenie na rodziców, którzy stali zajęci rozmową w drugim końcu sali, i przeniósł wzrok z powrotem na Refugia.

- Czy spodziewasz się, młodzieńcze, że pozwolę, aby Wenus była nagrodą? Bardzo wulgarny pomysł, ona się na pewno nie zgodzi.

- Oczywiście, że się nie zgadzam - oświadczyła Pilar wpatrującym się w nią dwóm mężczyznom.

- Zapewniam cię, że nie będziesz fantem w grze - powiedział z uśmiechem Refugio, zanim podniósł wzrok ponad jej głowę, na Charro i Enrique. Pilar dostrzegła tę nieporozumienia między całą trójką.

On wydał im polecenie, a oni się na nie zgodzili. Ogarnął ją niepokój. Refugio miał jakiś plan, ale co to mogło być? Żałowała, że nie wie, że nie potrafi odgadnąć, czego się po niej spodziewa. Czy powinna przyjąć jego zamysł z entuzjazmem, czy też liczył, że się mu sprzeciwi. Podejrzewała, że prędzej może zależeć mu na jej proteście.

- Tego się nie obawiam - odpowiedziała dość niepewnie.

- Bardzo mnie to cieszy.

- A mnie nie! - oświadczył Filip Guewara. - Chcę się pojedynkować! - Ja też - oznajmił Charro.

- I ja również. - Enrique wysunął się do przodu, naśladowując dumną postawę Refugia. -

Honor nas trzech został narażony na szwank, podobnie jak dobre imię wszystkich mężczyzn z Santiago de Cuba. Żądamy satysfakcji!

- Nie! - zaprotestowała Pilar, przestraszona rozwojem sytuacji. - Nie będę uczestniczyć w tym szaleństwie.

- Będiesz, pani! - wykrzyknął rozgorączkowany Enrique. - Czyż nie widzisz, że obrażono mnie, a także wszystkie konie i kobiety na tej wyspie?

- Konie?! - powtórzyła ze zdumieniem starsza dama, za której przyczyną wywiązała się cała afera.

- To doprawdy śmieszne. - Refugio pokręcił głową z niedowierzaniem. - Ileż pojedynków miałbym stoczyć kolejno? Poza tym, co komu przyjdzie z poniesionych ofiar? Nie, nie! Nie naruszę świętego prawa gościnności!

- Nie masz wyjścia, hrabio - stwierdził Filip. - Jeśli odmówisz, okryjesz się hańbą. Refugio westchnął ciężko, udając pokonanego.

- Na to nie mogę sobie pozwolić. Ale czy nie powinniśmy dostarczyć gubernatorowi i gościom trochę zabawy? Co powiecie na zmagania na oczach wszystkich, wcale nie gorsze od pojedynku? Urządźmy turniej! Pokażmy, co kto potrafi, zmagając się między sobą.

- Turniej?! - skrzywił się Filip.

- Właśnie. Czy nie cieszy cię, młodzieńcze, możliwość pochwalenia się swymi umiejętnościami? Pomyśl o młodych damach, które będą cię oglądać. Filip zastanawiał się chwilę z oczyma błyszczącymi z podniecenia.

- Nie - pokręcił głową. - Turniej trzeba przygotować. A pojedynek ...

- O jakich przygotowaniach mowa? Noc jej piękna, a piasek na plaży czysty. Mamy konie i broń. Księżyc jasno świeci. Czego jeszcze potrzeba? No, chyba że obleciał cię strach.

- Pan ma na myśli dzisiejszą noc?

- Czy może być dogodniejszy czas? Naturalnie poczekamy, aż skończy się bal. Nie chciałbym obrazić gubernatora.

- Ale jaką satysfakcję daje taki turniej?
  - Taką samą jak bitwa ... Radość z pokonania przeciwników.
  - A pan weźmie w nim udział?
  - Z największą przyjemnością - skinął głową, a złoty sznur na jego turbanie załśnił, załamując światło świec.
  - Jakimi umiejętnościami mamy się wykazać? Fechtunkiem czy jazdą konną? - wtrącił się Charro.
  - A dlaczego nie obiema, tak jak to dawniej bywało? Urządzimy prawdziwe igrzyska.
- Goście, przysłuchujący się rozmowie, zaczęli wymieniać półgłosem pełne uznania uwagi. Wszyscy zdawali się żywo zainteresowani propozycją Refugia. Większość podejrzewała, że turniej jest dla niego pretekstem, aby publicznie utrzyć nosa adoratorowi jego Wenus.
- Nie podoba mi się to wszystko - zdenerwowała się Pilar, zrywając się z fotela.
  - A mnie bardzo - 'oznajmił Refugio z roziskrzonym wzrokiem. - Będziesz naszym sędzią, jeśli nie chcesz być nagrodą. Któż lepiej się do tego nadaje niż Wenus, księżycowa bogini, najbardziej sprawiedliwa wśród sprawiedliwych, rzetelna, uczciwa, a przy tym łaskawa ludziom?
  - Powstrzymaj ich - zażądała. - To niepotrzebne.
  - Zaufaj mi. Nie widzisz, że domagają się, bym udowodnił, jak wysoko cenię moją Wenus? Tylko wtedy uwierzą, że jestem tym, za kogo się podaję. Muszę im dać dowód. I sobie również. Kto słyszał te ostatnie, cicho wypowiedziane słowa? Zapewne nikt oprócz niej.
  - Nie chcę mieć z tym nic wspólnego - powiedziała. - Nic.
  - Nie? Boleśnie to odczujemy. Chcemy być podziwiani, łakniemy pochwał, potrzebny nam sprawiedliwy werdykt. A ty, moja słodka Wenus, w przeciwieństwie do bogini



sprawiedliwości, nie jesteś ślepa.

## ROZDZIAŁ XI

Wiść o turnieju błyskawicznie rozeszła się po sali balowej. Señora Guewara zareagowała na nią rozpaczliwym okrzykiem, lecz większość gości gubernatora przyjęła pomysł entuzjastycznie, jako niewątpliwą nowość. Turniej wzbudził tak wielkie zainteresowanie, że moment zdjęcia maseczek o północy, ku zrozumiąlemu zadowoleniu Refugia, był czystą formalnością i, zamiast tradycyjnie zakończyć bal, stał się sygnałem do rozpoczęcia zabawy.

Refugio, jego ludzie, Filip oraz część młodzieży opuścili pałac natychmiast po zrzućeniu masek.

Za nimi pośpieszyli inni; tylko nielicznym nie zależało na obejrzeniu widowiska.

Goście, zbiegając po pałacowych schodach, wołali swych służących, by jak najszybciej dosiąść podprowadzanych koni czy zająć miejsca w karetach i kolasach.

Kawalkada zmierzała ku plaży za portem, wzbudzając zainteresowanie powracających do domu birbantów, służących Mulatów, sprzedawców ulicznych, marynarzy oraz portowych tragarzy. Zachęceni ogólną wesołością, biegli za jadącymi, nawołując się, śmiejąc i popijając rum, ciekawi przyczyny zamieszania.

Pilar, nie czekając na zaproszenie señory Guewary, zdążyła zająć miejsce w jej powozie przed doñą Luisą. Spotkało ją tam chłodne przyjęcie. Widoczne w świetle latarni oczy starszej damy patrzyły na nią surowo, zdając się oskarżać ją o wywołanie całego zajścia. Pani Guewara poprosiła doñę Luisę, aby przestała narzekać, że w zatłoczonym powozie pogniecie się jej suknia, i czym prędzej wsiadała, jeżeli ma ochotę się z nimi zabrać, po czym dała znak stangretowi, by ruszał. Pilar wyobrażała sobie, że tylko Refugio, jego ludzie i Filip będą się potykać. Okazało się jednak, że zanim powozy przyjechały na plażę, Filip zdążył

skrzyknąć swych trzech kompanów. Zgromadzono też oręż i konie, a także prowizoryczne tarcze dla ośmiu uczestników potyczki. Teraz dwóch z nich pomagało Charro okrywać wierzchowce derkami, by zabezpieczyć je przed skaleczeniami, a Filip wraz z Baltasarem i Enrique tępili ostrza szpad. Pilar zeskoczyła ze stopni powozu i przeciskając się przez rozprawiający z ożywieniem tłum, podeszła do Refugia. Bez mauretańskiego kostiumu, w samej tylko tunice wyrzuconej na spodnie i w wysokich butach do jazdy sprawdzał temperament przydzielonego mu konia. Starał się uspokoić zwierzę, podniecone hałasem i migotliwym blaskiem pochodni, które, powtykane w piach, wyznaczały granicę pola walki. Refugio zauważył ją wcześniej, ale przerwał swą czynność, dopiero gdy przed nim stanęła.

- A więc jednak zdecydowałaś się udzielić swego błogosławieństwa? A może sprowadza cię tu ciekawość krwawych wydarzeń? - zapytał lekkim tonem.

- Chyba nie wątpisz, że to drugie - odpaliła. - Czy wreszcie powiesz mi, co ty właściwie robisz?

- Naturalnie, cara. Powiem, 'jako że masz prawo do pewnych wyjaśnień. A co dokładnie chciałabyś wiedzieć? Ironia w jego głosie doprowadzała ją do furii.

- Narażasz moje i swoje życie - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Dlaczego? Jaki masz w tym cel?

- Planowałem, że znikniemy, korzystając z zamieszania podczas zdejmowania masek. Niestety, nie udało się. Ale to nic. Kiedy pogaszą pochodnie, pole okryje mrok.

- I to ma mnie pocieszyć? Możecie zginąć; i ty, i twoi ludzie.

- A ty, płacząc, odjedziesz ze zwycięzcą.

- Nigdy jeszcze nie słyszałam takich bredni z twoich ust. Do czego mi potrzebny Filip Guewara?

- Szczerze mówiąc, tego nie wiem. Wypowiedział te słowa z udawanym

zastanowieniem. Chciał ją dotknąć. Postanowiła, że nie da się sprowokować.

- Tobie się to podoba - powiedziała spokojnie. - Nie możesz się doczekać, kiedy wreszcie nadziejesz kogoś na szpadę.

- Bo nie dostałem swojej codziennej porcji krwi? Tak to widzisz?

- Widzę, że nie masz na kim wyładować złości za ucieczkę don Estebana. Nie ma tu nikogo oprócz twoich kamratów, którzy również potrzebują ujścia dla swej brutalności.

- A nie mówiłem, że nie jesteś ślepa? - podsumował oschle.

- Och, rozumiem cię bardzo dobrze, jeżeli to właśnie masz na myśli. Być może zamierzałeś wymknąć się z balu, może chcesz dać swoim ludziom okazję do rozładowania energii, ale najbardziej zależało ci na tym, żeby nie zranić syna państwa Guewara podczas pojedynku.

- Walcząc z nim na szpady? - Przecież z jego własnych ust słyszałem, że nie ma na wyspie lepszego jeźdźca ani szermierza od niego.

- Chcesz dyskretnie udzielić mu lekcji dobrych manier.

- Dobra myśl. Czy nie stanie się lepszym człowiekiem, jeśli klęska nauczy go trzymać język na wodzy i ostudzi miłosne zapały? A czy i my nie będziemy mieć powodu do radości? Co prawda stracimy dach nad głową, ale za to zyskamy bezpieczeństwo.

Wpatrywała się w niego przez chwilę. Wiatr nawiewał na nich oboje jej sute spódnice i targał jej utrefioną fryzurę. Bardzo możliwe, że po dzisiejszej nocy nie będą mile widziani w domu Guewarów. Niewątpliwie każde inne schronienie będzie lepsze od ich rezydencji, skoro tamta starsza dama podała w wątpliwość tożsamość Refugia. Wszyscy członkowie rodziny mogą zacząć przyglądać im się z uwagą.

- A co z dołą Luisą? - chciała wiedzieć Pilar, pamiętając, że to dzięki niej znaleźli się w domu Guewarów.

- U czyni, co zechce.

- A co będzie, jeżeli przegrasz?

- Ustalono, że zwycięzcy będzie wolno pocałować wszystkie najpiękniejsze damy.

- Nie o to pytam. - Patrzyła na niego spod rzęs.

- Wiem. Mam oczy i uszy otwarte - uniósł powoli kąciki ust w ujmującym uśmiechu. -

Masz tyle kokard przy staniczku. Będę zaszczycony, jeżeli mi jedną podarujesz.

I nie czekając na jej zgodę, pociągnął za koniec wstążki związanej na kokardę pośrodku, między jej piersiami. Poczwała, jak pod ciepłym dotykiem jego palców poluzowała się sznurówka gorsetu. Szybko nakryła dłonią odsłonięte miejsce, jednocześnie karcąc go wzrokiem. Patrzył jej prosto w oczy i, ciągle uśmiechnięty, owinał wstążkę wokół ramienia i zawiązał ją, zostawiając luźne końce. Potem wziął Pilar za rękę i zaprowadził na miejsce. Specjalnie dla niej, przy końcu piaszczystej plaży, na kępie traw nakrytej kocem, ustawiono krzesło, z którego dobrze było widać całe pole walki. Posadził ją na nim, ukłonił się i odszedł. Odgadła, że przygotował to miejsce, zanim przyjechała, wiedząc doskonale, że mimo swych protestów na pewno zjawi się na turnieju.

Pozostali uczestnicy, idąc za przykładem Refugia, rozproszyli się w tłumie, aby prosić damy o podobne wyróżnienie. Hawańskie panny z wypiekami na twarzach i z ukrywanym zadowoleniem obdarowywały swych wybrańców szalami lub wstążkami. Baltasar wziął szarfę z sukni Isabel, Enrique w komicznych lansadach błagał doñę Luisę o wstążkę z jej wdowiego czepka. W końcu podała mu ją niedbałym gestem, może zakłopotana jego natarczywością, a może zadowolona z zainteresowania jej osobą.

Kiedy Pilar, obserwująca tę scenkę, spojrzała z powrotem przed siebie, wyrósł przed nią Charro. Przyklęknął na jedno kolano u jej stóp.

- Pani, czy i mnie uczynisz ten honor i podarujesz wstążkę? - Patrzył na nią śmiało,

prostując zadziornie ramiona.

Jak mogła mu odmówić? W jego przypadku ten gest był wyrazem rycerskości. Nie niósł ze sobą żadnych ukrytych znaczeń ani do niczego jej nie zobowiązywał. Rozsupłała jeszcze jedną kokardę i przymocowała wstążkę do okrągłej drewnianej tarczy, obciążonej wołową skórą, jakich żołnierze używali do ćwiczeń w koszarach. Charro obserwował ją na klęczkach, a kiedy skończyła, uniósł jej dłoń do ust i ciepłymi wargami złożył na niej długi pocałunek, patrząc jej w oczy z szacunkiem i oddaniem.

- Będiesz ze mnie dumna - oświadczył, prostując się, gdy puścił jej rękę. Chwilę później już go nie było.

Uczestnicy turnieju przemierzali pole krokami, sprawdzali jego nawierzchnię, oglądali broń. W grupkach po dwóch i trzech omawiali półgłosem strategię. Tłum gęstniał za plecami Pilar. Niedaleko niej, na wygodnych fotelach, ulokowano gubernatora wraz z małżonką. Muzycy z balu umilali oczekiwanie skocznymi melodiami, a handlarze oraz uliczni grajkowie wtórowali im na drumlach i harmoniach. Sprzedawcy pomarańczy i pasztetów rozkładali swoje towary, twierdząc stanowczo, że post w środę popielcową obowiązuje dopiero od świtu. Pewien przedsiębiorczy stolarz zrobił szybki interes na sprzedaży stołeczków, a na obrzeżach plaży nie mniej przedsiębiorcze panie handlowały swoimi wdziękami. Całe towarzystwo ogarnął szal zakładów, przy czym zdecydowana większość stawiała na mieszkańców wyspy. Tak przynajmniej było do rozpoczęcia walki. Drużyna Refugia skupiła się w ciasne kółko na krańcu pola. Kiedy mężczyźni odwrócili się twarzami do widzów, zrzucając z siebie koszule i tuniki, okazało się, że twarze, ramiona i torsy wysmarowali tłuszczem pomieszanym z sadzą. Będą walczyć prawie bez osłony, lecz za to ledwo widoczni w ciemnościach. Ten pomysł rozchmurzył Pilar, ale nadal nie potrafiła uciszyć niepokoju. Sztuczka z sadzą miała zastąpić przebranie, a także dopomóc w zwycięstwie. Bała się jednak

o odsłoniętą pierś Refugia z wyraźnie odznaczającą się purpurową szramą po dopiero co zagojonej ranie. Co będzie, jeżeli ktoś go w nią ugodzi? Ta myśl nappełniła ją przerażeniem. Nie była pewna, czy starczy jej siły, by obserwować walkę. Reszty publiczności nie dręczyły podobne niepokoje, a wyrazem uznania dla taktyki drużyny Refugia była zdecydowana zmiana w zakładach na ich korzyść.

Filip i jego ludzie nie zbagatelizowali podstępu przeciwników. W odpowiedzi na protesty młodzieńca wręczono mu tłuszczyk i sadzę, lecz on z dumną miną odmówił, twierdząc, że nie ma zamiaru chować się pod warstwą brudu. Odpowiedź Refugia utonęła wśród zgiełku, a Filip z butnie podniesioną głową dołączył do swoich kompanów. Po drodze posłał Pilar spojrzenie, w którym gniew mieszał się z pożądaniem.

Refugio wystąpił na środek pola, podobnie jak czynili to gladiatorzy przed rozpoczęciem walki.

Stając w rozkroku, z uniesioną szpadą w jednej ręce, a tarczą w drugiej, zwrócił się do publiczności:

- Pozdrawiam was, mieszkańcy tej uroczej wyspy! Zapraszam na ostatnie wydarzenie kończącego się karnawału. W dowód wdzięczności za waszą gościnność postanowiliśmy urządzić pokaz fechtunku, sprawności i jazdy konnej. Niech wszyscy, którym nieobce są marzenia o śmiałych czynach i rycerskim kodeksie, dołączą do nas. A jeżeli nie macie ochoty, sekundujcie obu walczącym stronom z równym zapałem, bo nie przyszliśmy przelewać krwi, ale pokazać kunszt, nie chcemy odbierać życia, tylko głosić jego pochwałę!

Następnie wytłumaczył widzom zasady gry. Miał to być turniej co się zowie, najprawdziwsza walka. Szpady zostały stępione, ale nadal pozostają niebezpieczne. Można się fechtować do woli, ale nie wolno zadawać pchnięć. Zawodnik zraniony do krwi jest uznany za zabitego i musi opuścić plac, natomiast rozbrojony staje się zakładnikiem

przeciwników. Jeżeli któryś z uczestników straci przytomność, zostaje zniesiony z pola przez swoich albo idzie do niewoli, zależnie od tego, kto wcześniej się przy nim znajdzie. W przypadku zrzucenia przeciwnika z konia druga strona nie ma obowiązku zsiadać z wierzchowca, by dalej prowadzić walkę. Osoba wyrzucona z siodła ma prawo próbować zdobyć nowego konia. Zwycięża ta drużyna lub osoba, która zostanie na placu boju. Walkę może w każdej chwili przerwać poddanie się jednej ze stron lub znak arbitra, którym jest Wenus de la Torre. Ona też da sygnał do rozpoczęcia turnieju.

Zasady były proste, a zarazem szlachetne. Refugio jednoznacznie wytłumaczył widzom, czego się mogą spodziewać. Publiczność, zachwycona przemową i perspektywą znakomitego widowiska, podziękowała mu owacją. Refugio nie wyjaśnił, dlaczego on i jego ludzie zamierzali walczyć obnażeni do pasa. Dla Pilar sprawa stała się jasna" kiedy Refugio wymieniał zasady. Chciał dać w ten sposób fory drużynie Filipa. Wiedział, że dzięki zaprawie w walce, w której stawką często bywało życie, jego ludzie górują nad przeciwnikiem nie tylko wiekiem, ale i doświadczeniem.

Stępione ostrze szpady łatwiej dosięgnie skóry, kiedy nie chroni jej ubranie.

Świadomość, jakie ryzyko niesie ze sobą takie zachowanie, przyprawiła Pilar o bolesny skurcz serca.

Na koniec Refugio skłonił lekko głowę i zręcznym, wprawnym ruchem wspiął się na siodło. Jeden po drugim na środek wyjeżdżali pozostali zawodnicy. Przedstawiali się i ukłonami pozdrawiali widzów oraz sędziego. Potem obie drużyny wycofały się poza linie wyznaczone na przeciwległych końcach pola. Przewrócono pochodnie i dogaszono je piaskiem. Plażę okrył mrok.

Zapadła cisza. Zakłócał ją jedynie szmer wody i cichy chrzęst piasku. Zarżał któryś z koni, zadzwoniła uprząż. Gdzieś w oddali zaszczekał pies, jakiś mężczyzna kichnął, a kobieta

stłumiła chichot.

Na tle nieba rozświetlonego księżycem rysowały się ciemne sylwetki jeźdźców. W bladej poświacie wyglądały jak cienie. Wiatr unosił końskie grzywy i nadymał połyskujące białawo rękawy koszul czterech mężczyzn w szeregu po prawej stronie. Za nimi srebrzyły się grzbiety fal, toczących się w swej bezustannej wędrówce ku brzegom plaży.

Pilar nikt nie uprzedził wcześniej, że ma dać znak do rozpoczęcia turnieju. Nie bardzo wiedziała, co powinna zrobić. Gdzieś za nią ktoś uderzył w werbel. Rytmiczne bębnienie przybierało na sile.

Rozglądała się dokoła w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby wydać jakiś dźwięk lub byłoby dobrze widoczne w ciemnościach. I wtedy spojrzała na kokardę przy staniku. Ostatnią, którą mogła poświęcić. Oderwała ją i wstając z miejsca, rozwiązana uniosła wysoko nad głowę, po czym cisnęła na środek pola. Połyskliwa wstążka pofrunęła z wiatrem i falując, opadła na piasek.

W tej samej chwili ucichł werbel.

Nocną ciszę wypełniły okrzyki, nawoływania i tupot kopyt. Drużyny ruszyły na siebie z impetem.

Gwałtownie spięte konie przysiadły na zadach. Rozległ się szcęk krzyżowanych szpad, zapalczywe wrzaski i przekleństwa. Wtórował im głuchy odgłos ciosów przyjmowanych na drewniane tarcze. Jakiś koń stanął dęba, inny wyłamał się z szeregu, lecz za chwilę został ściągnięty z powrotem. Mężczyźni skłębili się w zapalczywej walce, każdy skupiony wyłącznie na swym przeciwniku.

Widzowie, cisi z początku, nagle odzyskali głos. Wykrzykiwali słowa zachęty, wierząc się na swoich miejscach, by lepiej widzieć walczących. Podekscytowani mężczyźni poklepywali się nawzajem po plecach. Niektóre z kobiet podrygiwały, popiskując, inne



odwracały głowy. Pilar stała wyprostowana, zaciskając pięści. Choć widok, który się przed nią roztaczał, napawał ją przerażeniem, nie potrafiła od niego oderwać wzroku.

Upadł pierwszy koń. Jeździec czym prędzej wyplątał się ze strzemion, żeby go nie stratowano. Po posturze i wysmarowanym na czarno torsie Pilar rozpoznała Enrique. Przez chwilę biegał zakosami po polu, próbując złapać spłoszone zwierzę, uciekając jednocześnie przed ścigającym go przeciwnikiem. Koń pogalopował na kraniec plaży, a Enrique odwrócił się do napastnika. Ze szpadą w dłoni skradał się na ugiętych nogach, zwodząc go uskokami.

W pewnej chwili przekoziołkował pod końskim brzuchem i wykorzystując zaskoczenie jeźdźca, ściągnął go z siodła.

Błysnęła szpada, a na koszuli mężczyzny pojawił się ciemny ślad. Enrique wskoczył na konia i wtopił się w tłum walczących.

Ponownie odezwał się werbel. Trafiony mężczyzna opuścił plac na chwiejnych nogach. Przyjaciele pomogli mu; zdjęć koszulę i opatrzyli ranę. Na polu zostało siedmiu zawodników.

Pilar, wyteżając oczy, obserwowała skłębione cienie.

W pewnej chwili wydało jej się, że dwóch ludzi Refugia, zamiast walczyć z przeciwnikami, zwarło się ze sobą. Z wrażenia wstrzymała oddech. Musieli się pomylić. W ferworze walki, wśród zadawanych na oślep cięć i napierających końskich kłębów, trudno było przewidzieć rozwój wypadków. Wszystko mogło się zdarzyć.

Przez chrapliwe oddechy i okrzyki towarzyszące trafieniom przebił się opanowany głos. To Refugio spokojnie instruował walczących, chwalił ich lub z nich pokpiwał. Gnębił przeciwników dobrymi radami. Mogli posłuchać ich albo nie, oceniając ich przydatność po czasie. Rozochoceni widzowi reagowali na nie śmiechem, wznosząc okrzyki na cześć Refugia. Tempo walki wyraźnie słabło. Zawodnicy stali się ostrożniejsi. Gniew i żądza krwi

ustępowały miejsca zimnej rozwadze.

Tarczę księżycy przesłoniła chmura. Pole okryły ciemności. Słabe światło gwiazd odbijało się w srebrnych ornamentach upręży i wydobywało z mroku biel trzech koszul ludzi Filipa. Refugio i jego kamraci, niewidzialni jak duchy, uwijali się wśród przeciwników, to odstępując od nich, to dopadając niespodzianie. Ostrza szpad przy każdym uderzeniu krzeszały pomarańczowe skry. Konie wyspiarzy, choć odważne i silne, stawały się coraz bardziej nerwowe. Nienawykłe do walki, wierzgały, rżąc przeraźliwie, kiedy dosięgały ich razy przeznaczone dla dosiadających je mężczyzn.

Pilar przeoczyła moment, kiedy Charro wypadł z gry.

Dopiero co widziała, jak zawzięcie pojedynkował się w ciżbie, a już chwilę później Refugio ostrym tonem nakazał mu obniżyć tarczę i wycofać się z walki. Charro zsunął się z siodła, uspokoił konia i powoli wyprowadził go poza pole, tuż obok miejsca, gdzie stała Pilar. Z rozcięcia na jego policzku spływała strużka krwi. Wyciągnęła rękę, aby ją obetrzeć, ale on uchylił się przed dotknięciem, odwracając głowę. Nie odzywając się słowem, stanął w pobliżu i z uwagą obserwował walkę spod przymrużonych powiek.

Pilar zastanawiała się chwilę, czy to możliwe, że Charro obwinia ją za to, co się stało.

Gdyby nie umizgi Filipa, nie doszłoby do turnieju. Co prawda wydawało jej się, że zrobiła, co mogła, ażeby zniechęcić natrętnego amanta, niemniej teraz czuła się winna.

Być może Charro wcale nie ma do niej pretensji, tylko cierpi z powodu urażonej dumy? Niełatwo się pogodzić z porażką i obnosić z raną, którą zadała przytępiona szpada młokosa.

Tymczasem ludzie Refugia, zgrani ze sobą w walce i obeznani z wojennym rzemiosłem, nieubłaganie spychali przeciwników na skraj pola. Chociaż Filip i jego dwaj kompani walczyli dobrze, nie byli w stanie sprostać ich sile i umiejętnościom.

- Psiakrew! - warknął Charro, po czym dorzucił soczysty epitet, ani na chwilę nie odrywając oczu od zawodników.

- Co się stało? - zaniepokoiła się.

- Wiem już, kto mi się przysłużył.

- Chyba nie masz na myśli ... ? - Widziała, jak z twarzą wykrzywioną żalem wodzi wzrokiem za Refugiem.

- A któż by inny? Widocznie postanowił wyrównać szanse po obu stronach, zanim ich pokona. - Charro dotknął palcami policzka. - A przy okazji mnie ukarał.

- Nie rozumiem, za co?

- Naprawdę? - spojrzał na nią ponuro.

Nie chciała przyjąć do wiadomości jego sugestii. Zawisła spojrzeniem na twarzy Charro. Wśród publiczności rozległy się przerażone okrzyki i piski.

Z sercem w gardle odwróciła się w stronę plaży. Trzy, nie, cztery konie leżały na ziemi. Wiły się i wierzgały, usiłując uwolnić się z plątaniny uprzęży i ciał dosiadających je ludzi. Prawdopodobnie jeden z wierzchowców zraniony w kolano, padając, runął na pozostałe. Mężczyzna w białej koszuli leżał na boku z nienaturalnie podkurzoną nogą. Inni, nurkując między kłębiące się zwierzęta, starali się poderwać je za uzdy oraz odszukać upuszczoną podczas upadku broń. I wtedy zza chmur wypłynął księżyc. Pilar zobaczyła, jak Filip z uniesioną szpadą dźwiga się z ziemi tuż przy Refugiu. Błysnęło złowieszczo ostrze, klinga ze świstem przecięła powietrze. Refugio osłonił się tarczą. Gruba wołowa skóra pękła pod uderzeniem jak zbutwiały jedwab. Cofając się, parował ciosy młodzieńca, który atakował teraz z furją i pewnością siebie. Szpady z metalicznym dźwiękiem uderzały o siebie, a piasek chrzęścił pod stopami szermierzy, kiedy, przyczajeni, obchodzili się wkoło. Na koniec skrzyżowali szpady z głośnym zgrzytem żelaza. Znieruchomieli w zwarciu. Ich twarze

dzieliły od siebie zaledwie centymetry. Refugio półgłosem rzucił ostrzeżenie. Filip roześmiał mu się w nos, a potem odskoczył do tyłu z uniesioną szpadą. Chwilę później ponowił atak. Widzowie jak na komendę wstrzymali oddech. Nie było wśród nich nikogo, kto by nie dostrzegł, że broń Filipa jest ostra. Wszyscy odgadli, co powiedział Refugio. Pojedynek zmienił tempo. Pozostali uczestnicy turnieju znieruchomieli z głowiami skierowanymi ku ziemi. Konie powoli dźwigały się z piasku.

Refugio odpowiedział na wściekły atak Filipa precyzyjnie wymierzonymi cięciami.

Widać było jak na dłoni, że zamierza wykorzystać umiejętności, które dotąd trzymał w odwodzie. Gniew dodawał mocy każdemu z finezyjnych pchnięć. Dominował nad przeciwnikiem wprawą, nacierał na niego nieustępliwie, nie pozwalając mu na najmniejszy nawet błąd. Młodzieniec, potykając się, walczył desperacko z twarzą tak białą jak jego koszula.

Pilar wyęzżała wzrok. Z wysiłku piekły ją oczy. Usłyszała modlitwę. To señora Guewara modliła się półgłosem. Siedząca przy niej doña Luisa wpatrywała się w walczących błyszczącymi oczyma. Widzów ogarnął szal. Na obrzeżach plaży odbywały się gorączkowe zakłady. Charro bezwiednie zaciskał dłonie na rękojeści broni. Czując na sobie spojrzenie Pilar, odwrócił się ku niej.

- On go zabije - wyszeptał. - Jak mi Bóg miły, Refugio go zabije!

Filip wycofywał się między niespokojne, bijące kopytami konie. Pot spływał mu po twarzy, ze świstem łapał krótki, urywany oddech. Jego ruchy stały się ociężałe, riposty niecelne. Bezwzględność i kontrolowana furia przeciwnika sprawiały, że sparalizowany strachem coraz częściej popełniał podstawowe błędy. To, że jeszcze nie poniósł klęski, zawdzięczał wyłącznie kaprysowi Refugia. Ale on zdawał się już mieć dość tej zabawy. Uniósł błyskającą złowrogo szpadę, uderzył o klingę Filipa i skierował sztych w jego odsłoniętą

pierś.

Pilar ogarnęła panika. Trzeba koniecznie powstrzymać Refugia. Ale jak?! Nagle doznała olśnienia. Przecież ona jest sędzią! Ma prawo położyć kres temu potwornemu pojedynkowi.

- Stać! - wyszeptała chrapliwie i zebrawszy w sobie wszystkie siły, podbiegła ku walczącym. - Dość! - krzyknęła. - Zakończyć pojedynek!

Refugio nawet nie drgnął. Uniósł lśniące od potu oraz tłuszczu ramię, szykując się do zadania ostatniego, śmiertelnego pchnięcia. Filip miotał się w beznadziejnej próbie ucieczki przed wycelowaną w siebie stalą. Nagle z rozpaczliwym okrzykiem opadł na kolana. Refugio z kamienną twarzą odstaąpił od niego i wbił szpadę w ziemię. A potem odwrócił się i rozmyślnie powolnym krokiem skierował się ku Pilar. Z bolesnym skurczem w piersi i łzami w oczach patrzyła na zbliżającą się postać.

Za jego plecami dwóch przyjaciół pomagało wstać słaniającemu się na nogach Filipowi. Tuż nad sercem ciemnoczerwony ślad znaczył białą, rozciętą na krzyż koszulę. Pilar przeniosła wzrok na Refugia. Patrzyła zalękniona, a jednocześnie szczęśliwa w jego szare, błyszczące z podniecenia oczy.

Wziął ją w ramiona i schylając głowę, dotknął przelotnie jej ust gorącymi wargami. - Pani, spełniłem twoje życzenie. Przerwałem pojedynek. Nagroda należy do mnie - powiedział ciepłym, głębokim głosem.

## **ROZDZIAŁ XII**

Cztery dni dzieliły ich od świąt Wielkiejnocy, kiedy po długiej, monotonnej podróży przybili do portu w Nowym Orleanie. Ostatni odcinek drogi okazał się najbardziej uciążliwy. Płynęli w górę Missisipi. Żółtobrunatna rzeka toczyła się zakolami, a łachy błota, porośnięte kępami drzew, tworzyły niebezpieczne przewężenia. W bujnej zieleni kryły się bagienne

ptaki, na błotnistych brzegach skakały żaby, wylegiwały się węże i aligatory. W wilgotnym powietrzu unosiły się roje kąśliwych owadów. Odczuli ulgę, kiedy ich przybrzeżny, powolny statek wpłynął wreszcie na spokojniejsze wody. Z utęsknieniem czekali na kres podróży, zmęczeni ciasnotą kabiny, w której wszyscy razem układali się na noc.

Mieli serdecznie dość tego obskurnego, małego statku.

Zanim jeszcze wyruszyli w drogę, ostatnie trzy noce w Hawanie spędzili w duchocie pod jego pokładem. Po turnieju na plaży zajechali do domu państwa Guewarów po swoje rzeczy i, tak jak planował Refugio, czym prędzej się stamtąd wynieśli. Ku ich zaskoczeniu doña Luisa zabrała się z nimi. Stwierdziła, że nie ma ochoty stać się celem gniewnych oskarżeń señory Guewary, która nie tylko doznała szoku z powodu cudem unikniętej śmierci syna, lecz równie boleśnie przeżywała plamę na honorze rodziny.

Jednakże kabina o piętrowych kojach, przedzielona wyświechtaną kotarą na część męską i damską, okazała się miejscem wielce niestosownym dla damy z wyższych sfer.

Zażądała więc, aby kapitan odstąpił jej swoją kajutę, co spotkało się z jego zdecydowaną odmową. W rezultacie do końca podróży Luisa zatruwała życie współpasażerom opowiadaniem o kłótni z kapitanem, przy okazji dworując sobie z jego prostackich manier i niechlujnego wyglądu.

Innym powracającym tematem był turniej. Znudzeni monotonią podróży, ozywiali się wyraźnie, tocząc zażarte dyskusje, które nieuchronnie prowadziły donikąd. Żadne z nich nie potrafiło zrozumieć, jakim cudem ostra szpada znalazła się w rękach Filipa. Snuto najróżniejsze domysły. A to, że w gorączce przygotowań pominięto w ciemnościach jedną ze szpad podczas tępienia kling albo że wcześniej posługiwał się nią któryś z kompanów Filipa lub też, że przemycono ją na pole pod derką na końskim grzbiecie. Pierwsza ewentualność wydawała się wielce nieprawdopodobna. Każdy młody arystokrata na wyspie potrafi odróżnić

broń ostrą od tępej, bo pojedynki stanowiły popularną rozrywkę młodzieży, a zatajenie faktu posiadania ostrej broni byłoby niezgodne z kodeksem honorowym. Poza tym, gdyby ta szpada była używana od początku do końca turnieju, nie jedna, ale wszystkie tarcze ludzi Refugia zostałyby pocięte.

W takim razie należało uznać, że szpada wjechała na końskim grzbiecie, a wyciągnięto ją podczas upadku. Pierwszy koń, który się przewrócił, miał rozcięte kolano. Można więc założyć, że nie odniósł rany przypadkiem. Ale z drugiej strony, wiele rzeczy może się zdarzyć w bitewnej gorączce, kto wie, czy koń nie rozciął kolana, padając na ziemię. Filip twierdził, że znalazł szpadę na piasku, kiedy szukał własnej broni, wytrąconej mu z ręki.

Czyżby kłamał? Czy możliwe, że zaplanował podmiianę albo ukrył ostrą szpadę na wypadek, gdyby szala zwycięstwa przechyliła się na stronę przeciwników?

Charro był skłonny uwierzyć w niewinność Filipa.

Lecz, w takim razie, kto działał podstępnie? Być może któryś z kompanów młodzieńca zamierzał nią walczyć, a potem zmienił zdanie i dla ratowania własnego honoru podłożył ją Filipowi?

Istniała także możliwość, że szpadę podrzucił na pole zausznik don Estebana. Ale wtedy rodzi się pytanie, kto nim jest.

Postrzał Refugia wyraźnie wskazywał na to, że w Hiszpanii wsiadł wraz z nimi na statek zaufany Estebana. To, że od czasu opuszczenia Hawany nie doszło do kolejnych zamachów na życie Refugia, mogło oznaczać, że albo skrytobójca został na wyspie, albo, przyczajony, czeka na odpowiednią okazję.

Podstępne działanie zamachowca świadczyło o jego tchórzliwej naturze. Wolał posłużyć się przekupstwem niż sam dokonać dzieła. A może był za słaby lub za stary, żeby

stawić czoło Refugiowi? Albo nie potrafił posługiwać się bronią? Przecież mógł to być urzędnik, kupiec, a nawet... kobieta.

Refugio niechętnie uczestniczył w rozmowach o zamachach. Cokolwiek na ten temat myślał, trzymał to wyłącznie dla siebie i nie dawał się pociągnąć za język. Poza tym nie stronił od towarzystwa. Chętnie zasiadał do kart, śpiewał, akompaniując sobie na gitarze, zabawiał współtowarzyszy podróży anegdotami, był niezwykle szarmancki wobec dam, a dla rozruszania zastałych mięśni fechtował się ze swoimi kompanami i razem z nimi wspinał się na maszty.

Jednak za każdym razem, kiedy powracała sprawa zamachów, albo zmieniał temat, albo znajdował pretekst, żeby opuścić towarzystwo.

Sypiał sam.

Co prawda wąskie koje we wspólnej kabinie uniemożliwiały "dzielenie łoża", jednak Pilar podejrzewała, że warunki sprzyjające intymności niczego by pod tym względem nie zmieniły. Od czasu turnieju, nawet gdy znaleźli się sam na sam, traktował ją bardzo uprzejmie, ale z dystansem. Jednocześnie często łapała go na tym, jak przyglądał się jej zamyślony, co wprawiało ją w zakłopotanie.

Pocieszała się faktem, że Luisę też traktował oziębło. Wmawiała sobie, że Refugio jest zadowolony, iż może uniknąć schadzek z wdową, chociaż, oczywiście, mogła się mylić.

Około południa zarzucili kotwicę na ostatnim zakręcie Missisipi przed Nowym Orleanem.

Inspekcja celna i wystawienie odpowiednich dokumentów przeciągnęły się do wieczora. Ludzie Refugia zeszli ze statku wszyscy razem i nocą przejechali przez miasto, kierując się do posiadłości doni Luisy, położonej w pewnej odległości od Nowego Orleanu, nad niewielką rzeczką o nazwie Bayou Saint Jean.



Przestronny, piętrowy dom, który mąż Luisy zostawił jej w spadku, utrzymany był w kolonialnym stylu francuskich Indii Zachodnich. Zbudowano go z pionowo ustawionych bali, pobielonych wapnem, uszczelnionych mieszaniną gliny, mchu i zwierzęcej sierści. Wokół zewnętrznych ścian na parterze i na piętrze bieżyły galerie. Ocieńczał je spadzisty dach. Na każdym z poziomów znajdowało się po sześć pokoi. Skrzydło, które potocznie nazywano garsonierą, zazwyczaj zajmowali najstarsi synowie. Czasami lokowano tam gości lub oddawano je na mieszkanie ubogim krewnym.

Gospodyni Mulatka i jej dwie córki zajmowały jeden pokój na parterze w skrzydle.

Żadna z nich nie rozumiała hiszpańskiego, ale doña Luisa swą dworską francuszczyzną bardzo szybko wytłumaczyła byłej kochance swego męża, kim jest i po co przyjechała.

Mulatka zmarkotniała z początku, lecz w miarę szybko przyjęła do wiadomości, że musi wysprzątać gościnne pokoje, nagrzać wody na kąpiel i przygotować posiłek.

Doña Luisa dokonała lustracji swych nowych dóbr, energicznym krokiem przemierzając usytuowane amfiladowo pokoje, po czym przeszła do przydzielania sypialni.

Dla siebie wybrała narożny pokój w głębi domu, a dla Refugia sąsiadującą z nim sypialnię od frontu. Pił ar przypadł w udziale również frontowy pokój, tyle że oddzielony od komnaty Refugia bawialnią.

Baltasara i Isabel Luisa wysłała na piętro do garsoniery, natomiast Enrique i Charro oddała do dyspozycji pozostałe wolne pokoje na parterze skrzydła. Potem,

zadowolona z siebie, poleciła gospodyni i jej córkom, by porzuciły do odpowiednich komnat bagaże złożone na galerii.

- Nie. - Padł krótki, za to stanowczy sprzeciw Refugia.

- Słucham? - Brwi pani Luisy uniosły się pytająco.

- Wybacz, ale się nie zgadzam. Wielce sobie cenię twoją uprzejmość i jestem

niezmiernie wdzięczny za gościnę, ale, niestety, nie zajmiemy wyznaczonych przez ciebie

pokoju, bo przede wszystkim mam obowiązek czuwać nad ludźmi, za których odpowiadam.

Doña Luisa niecierpliwie machnęła ręką. - Wolisz spać gdzie indziej?

- Wolę mieć bliżej siebie osoby, których bezpieczeństwa pilnuję.

- A mianowicie? - Głos pani domu stał się szorstki.

- Pilar będzie ze mną dzielić komnatę.

- Ależ ...

- Żadne inne rozwiązanie nie wchodzi w grę. Wszyscy powinniśmy spać w głównej części domu, i dlatego proponuję, ażeby Enrique zajął sypialnię sąsiadującą z twoją, a Baltasar i Isabel spali w pokoju naprzeciwko. Dla Charro pozostaje druga frontowa sypialnia.

- Co za arogancja! Nie wiem, czy powinnam się na to zgodzić. Jeszcze chwila, a będę musiała cię pytać, czy mogę się poruszać po własnym domu.

- Nie przesadzaj. Możesz robić, co ci się żywnie podoba. Jeżeli jednak nasza obecność ci zawadza, wyniesiemy się stąd.

W mdłym świetle świec mierzyli się wzrokiem z dwóch przeciwległych końców pokoju. Świadkowie rozmowy, nerwowo szurając nogami, rozglądali się po zakurzonych ścianach, żaluzjach, meblach i nielicznych bibelotach. Jedynie Pilar nie odwróciła wzroku i z równą uwagą patrzyła na wyczekującą minę Refugia, jak i na pobladłą twarz Luisy. Stała się przyczyną tej scysji. Nie bardzo rozumiała, dlaczego Refugio tak bardzo się uparł.

- Niech będzie! - powiedziała nagle Luisa, wyrzucając ręce w górę. - Zawsze postawisz na swoim! Kiedyś nie byłeś taki twardy. Doprawdy, Refugio, zmieniasz się na niekorzyść.

- Dlaczego mnie za to winisz? To ty mnie zraniłaś - powiedział głosem zaprawionym ironią. Wdowa popatrzyła na niego krytycznie. - Bardzo chciałabym w to wierzyć. Zaraz po kolacji wycofali się do swoich pokoi. Zmęczenie po podróży dawało im się we znaki, a jutro

musieli wcześniej wstać i skupić się na czekającym ich zadaniu. Kiedy Refugio otworzył drzwi do pokoju, zastał Pilar stojącą na środku, wpatrzoną w proste cyprysowe łoże z tiulową moskitierą. Zawahał się na progu, po czym cicho zamknął za sobą drzwi.

- Rozgniewałeś gospodynię, wtrącając się w rozdział pokoi - odezwała się, odwracając do niego. - Czy to było rozsądne?

- Nie, ale konieczne.

- A przecież wcześniej wychodziłeś z siebie, żeby ją zadowolić.

- Czy cały czas mam skakać na łapkach, jak rozkoszne szczenię, które prosi, by je głaskano? Doña Luisa udzieliła nam schronienia, ale z tego powodu nie może rościć sobie prawa do nadzwyczajnych przywilejów.

- A tylko zwyczajnych? Skinął głową.

- Są jednak pewne granice. Mnie może rozkazywać, ale tobie nie.

- Ten przywilej wolisz zatrzymać dla siebie - podsumowała. Podszedł bliżej, patrząc na nią z uwagą.

- Nie chcesz, żebym czuwał nad twoim bezpieczeństwem? - zapytał cicho.

- Och! - udała zdziwienie. - Jesteś pewien, że to nie ja czuwam nad twoim?

- Od czasu do czasu, niestety zbyt rzadko - odparł rozbawiony.

Splonęła rumieńcem, bo śmiech w głosie Refugia przywołał wspomnienie jej desperackiej próby przerwania pojedynku.

- Wiesz, że nie to miałam na myśli.

- Ależ miałaś. Inaczej będę musiał przyjąć, że twoje czuwanie nade mną wynika ze zranionej dumy. Dał jej do zrozumienia, że jest zazdrosna. Popelniła błąd, poruszając temat zamiany pokoi, skoro sama nie była pewna, czego właściwie chce. Pozostał jeden tylko sposób, aby uratować sytuację. Wysunęła podbródek i spojrzała mu prosto w oczy.

- Niczego od ciebie nie żądam - oznajmiła.
- Rozumiem to doskonale. Gardziłabyś sobą, stawiając żądania.
- Usiłuję jedynie powiedzieć, że cokolwiek się ze mną stanie, za nic nie ponosisz winy. To ja tamtej nocy w ogrodzie chciałam, żebyś mnie ze sobą zabrał, i obojętnie, jakie będą następstwa mojej decyzji, drugi raz postąpiłabym tak samo. Żaden mięsień nie drgnął w jego twarzy, tylko oczy zdawały się patrzeć żywiej.
- Bardzo to pięknie, że mnie tak chętnie rozgrzeszasz, ale nie zapominaj, że w grę wchodzi późniejsze zobowiązania.
- Mówisz o próbie wyrwania cię ze stanu odrętwienia?
- Powinnaś powiedzieć "udanej" próbie.
- To nic nie zmienia. Zrobiłam to z własnego wyboru.
- A ja się zgodziłem na twoje czułe zabiegi. Przecież mogłem je odrzucić, nawet gdybym miał to przypłacić szaleństwem.
- Wiem. Dlaczego więc tego nie zrobiłeś?
- Z powodu kurtuazji, fatalistycznego podejścia do życia i wybujałego temperamentu.
- Wybujałego temperamentu - powtórzyła szeptem.
- Jestem gwałtowny i samolubny. Czy to czyni całą rzecz łatwiejszą do przyjęcia?
- Co takiego? - zapytała z roztargnieniem, ze wzrokiem utkwionym powyżej jego ramienia.
- Mówię o ochronie. Pytam, czy pozwolisz, żebym otoczył cię opieką. Spojrzała mu w oczy. Patrzyły kpiąco, a zarazem z wyczekiwaniem.
- Pytasz tak uprzejmie, że muszę się zgodzić. Czy mam jakiś wybór?
- Jesteś bardzo spostrzegawcza.
- Więc po co udawać?

- Iluzja krzepi.

- Komu jest potrzebna? - spytała, zbierając się na odwagę.

- Mnie - odpowiedział bez wahania i ujął jej twarz w dłonie. - A zatem pozwolisz mi mieć złudzenie, że ci na mnie zależy?

Jak mogła mu odmówić, jak miała uciec przed jego pragnieniem? Za późno było na dziewicze skrupuły. Poza tym nie znajdowała w sobie dość siły, aby mu się oprzeć. To, co jest między nimi, nie ma szansy na przetrwanie.

W jego świecie obcowanie z kobietą daje przelotne wytchnienie. Refugio nie ma czasu ani ochoty, żeby się angażować, a honor nie pozwala mu na dawanie obietnic bez pokrycia.

Kto wie, może jutro, pojutrze zabije don Estebana albo sam zginie z jego ręki. Jakikolwiek będzie zakończenie, zniknie z jej życia. Może ostatni raz są razem, więc niech ta chwila trwa.

- Tak - odpowiedziała cicho. - A nawet więcej. Będę to złudzenie z tobą dzielić.

Usłyszała, jak zaskoczony głośno zaczerpnął powietrza. Opuściła powieki, bojąc się spojrzeć mu w oczy. Pochylił się nad nią i dotknął wargami jej ust. Przywarła do niego całym ciałem. Czuł jej oddech na swoim policzku, kiedy stali ciasno przytuleni do siebie w boleśnie wzbierającej tęsknocie. Słyszała, jak bije mu serce, a zimne metalowe guziki surduta uwierały ją w pierś. Nagle oderwał ją od ziemi i unióśł wysoko w ramionach.

Zakręciło jej się w głowie. Spowiła ją moskitiera, miękkie puchowe łoże ugięło się pod naciskiem jego ramion i ud. Położył ją delikatnie, a sam wstał, zdjął surdut i kamizelkę, rozwiązał hał sztuk, zsunął koszulę i spodnie. Kiedy położył się obok niej, szerokimi barkami zasłonił jedyną świecę w lichtarzu na nocnym stoliku. Jego twarz zniknęła w mroku i tylko skóra na szerokich ramionach lśniła w blasku płomyka, tworząc świetlistą obwódkę wokół ich zarysu. Po chwili wyciągnął rękę poza moskitierę i zdusił knot palcami. Otoczyły ich ciemności.

Pilar strząsnęła pantofle z bosych stóp. Gdy zmagająca się z haczykami gorsetu, Refugio swymi smukłymi, stwardniałymi od rękojeści szpady palcami przytrzymał jej dłonie za nadgarstki.

- Pozwól mi ... - poprosił ciepłym, głębokim głosem. Szybko poradził sobie z zapięciem. Gorset opadł na łóżko. Refugio rozwiązał tasiemki podtrzymujące spódnicę i halki i zsunął je razem przez biodra. Na koniec paroma zręcznymi ruchami uwolnił Pilar z koszuli. Leżąc na boku, podparty na łokciu, opuszkami palców wodził po śladach po fiszbinach gorsetu na jej skórze, a później 'powoli pochylił się nad nią i jął wygładzać je ustami i czubkiem języka.

Nieśpiesznie, a przy tym nieustępliwie, błędził dłońmi po jej ciele. Szeptał słowa zachęty, ośmielał, by go naśladowała. Objął jej piersi i ssał ich różane koniuszki. Pilar przesuwała dłońmi po jedwabistych włosach na jego torsie, pieściła językiem napięte brodawki, muskała ostrożnie opuchniętą bliznę. On tymczasem, znacząc pocałunkami aksamitną skórę po wewnętrznej stronie jej ud, posuwał się ku sekretnemu miejscu w ich spojeniu, drażnił je ustami, kiedy pieściła jego pobudzony członek. Spleceni w uścisku, tarzali się po łożu, wili się i ocierali o siebie, spijając z ust wilgotną gorączkę chrapliwych oddechów. Rozpędzona krew pulsowała im w żyłach i dudniła w uszach. W niepohamowanym pragnieniu ich ciał zanurzył się głęboko w jej wnętrze. Rozkołysani wspólnym rytmem, rozedrgani, zatopili się w ekstazie.

Mózg Pilar zdawał się płonąć, ciało rosił pot. W ciemnościach nocy nie istniało nic poza magią zbliżenia z obejmującym ją mężczyzną, który unosił ją na wyżyny rozkoszy. Kiedy pękła tama miłosnej kulminacji, przelewając się w niej gorącą falą, dziewczyna zarzuciła mu ramiona na szyję i pociągnęła go za sobą w euforyczne zatracenie. Zamarli spleceni w uścisku, a gdy spadł na nich sen, on ciągle jeszcze trzymał dłonie zanurzone w

burzy jej ciemno złotych splątanych włosów ..

Ocknęli się przed świtem i ponownie cieszyli się sobą w leniwym upojeniu. Ostre światło poranka wdarło się przez żaluzje, więc przesłoniли oczy powiekami, żeby ukryć to wszystko, co można było z nich wyczytać.

### **ROZDZIAŁ XIII**

Następnego dnia rano, bezpośrednio po śniadaniu, wszyscy mężczyźni udali się na rekonesans do Nowego Orleanu. Zamierzali się dowiedzieć, gdzie mieszka don Esteban, poznać topografię miasta i sprawdzić, czy dużo jest w nim policji.

Mniej więcej w godzinę po ich wyjściu posłaniec doręczył Luisie oficjalne pismo, w którym gubernator Esteban Miro zapraszał wdowę Elguezabal i jej gości do złożenia wizyty w swym biurze. Ponieważ kapitan statku, na którym przyплыли, powiadomił władze o ich przybyciu, gubernator zobowiązany był sprawdzić, kim są i czy mają odpowiednie środki na pokrycie długów, które ewentualnie mogliby zaciągnąć podczas pobytu w Luizjanie. Jeżeli przesłuchanie wypadnie pomyślnie, gościom zostanie udzielone prawo tymczasowego pobytu. Oczywiście rozmowa w jego biurze ma charakter rutynowy, lecz zaproszenie należy potraktować poważnie. Za namową Pilar doña Luisa bezzwłocznie odpowiedziała na pismo gubernatora. zaproponowała datę i godzinę spotkania, prosząc o potwierdzenie, czy termin jest dla niego dogodny, zastrzegając jednocześnie, że być może jej goście stawią się w innym czasie. W ten sposób wdowa uniknęła niebezpieczeństwa nasłania wojska na dom.

Mężczyźni zjawili się około południa. Według ich szacunków Nowy Orlean mógł sobie liczyć około sześciu tysięcy dusz. Miasto przypominało francuską wieś. Pomiędzy rozrzuconymi bezładnie parterowymi lepiankami i jednopiętrowymi domami z drewna trafiały się okazalsze budynki w stylu hiszpańskim, wybudowane z cegły i pokryte tynkiem. Przeważnie otaczały je ogrodzone podwórka, do których wejścia broniły kute żelazne bramy.

Widzieli też kilka rezydencji. Te mieściły się głównie nad rzeką w pobliżu palisady, a także na Plaza de Armas. Na tym samym placu stały rzędem: więzienie, strażnica i kościół pod wezwaniem Świętego Ludwika. Obok kościoła mieścił się dom zakonny ojców kapucynów, a na obrzeżach placu wznosił się imponujący barokowy gmach wojskowych koszar.

W Nowym Orleanie, podobnie jak we wszystkich innych tropikalnych portach, pleniły się choroby. Trędowatych usuwano poza palisadę, do leprozorium, a w charytatywnym szpitalu konali biedacy zbierani z ulic. Ponieważ nie pomyślano o rowach odwadniających, na ulicach wiecznie stała woda, co niewątpliwie sprzyjało szerzeniu się chorób. Miasto nie miało zorganizowanej straży pożarnej, a z braku latarni nocami tonęło w ciemnościach. W dodatku na ulicach nie było widać regularnych patroli policyjnych. Te dwa ostatnie mankamenty były bardzo na rękę bandzie Refugia.

Jak zdążyli się dowiedzieć, don Esteban zajmował dom tuż przy rezydencji gubernatora, na ulicy Chartres w bezpośrednim sąsiedztwie Plaza de Armas. W tym budynku, zbudowanym w stylu francuskim, drzwi frontowe wychodziły bezpośrednio na ulicę. Sypialnie znajdowały się w tylnej części domu, salon zaś i bawialnia od frontu. Posiłki przygotowywano w stojącym w głębi dużego ogrodu domku gospodarczym. Cała rezydencja była słabo strzeżona; najwidoczniej don Esteban nie liczył się z wizytą nieproszonych gości.

Nie widzieli Vicente, lecz za to słyszeli, jak kucharka, zniekształcając jego imię z francuska, łajała pomywacza, a z kolei w sklepie z winami dowiedzieli się, że podczas posiłków Estebanowi służy młody niewolnik, który ma obowiązek stać za jego krzesłem.

Nie zdziwił ich rozkaz gubernatora, nakazujący im stawić się w jego biurze, ponieważ sprzedawca win uprzedził ich, że muszą postarać się o pozwolenie na pobyt. Podobno gubernator Miro był człowiekiem surowym i zasadniczym, a przy tym lubił wydawać zarządzenia i regulować życie w kolonii drobiazgowymi przepisami. Kiedy objął urząd,



polecił damom, aby zachowały umiar w noszeniu biżuterii, natomiast kolorowym kobietom w ogóle zakazał stroić się w błyskotki i pióra.

Miały odtąd nosić turbany jako symbol ich niskiej pozycji społecznej. Należało podejrzewać, że rozmowa z takim urzędnikiem nie będzie należeć do przyjemnych, ale niebezpieczeństwo, że zostaną rozpoznani, wydawało się niewielkie, ponieważ señor Miro zbyt długo piastował przeróżne urzędy w Luizjanie.

Być może przy odrobinie szczęścia obejdą się bez pozwolenia na pobyt. Kiedy doña Luisa stawia się u gubernatora, spróbuje usprawiedliwić ich nieobecność. Przy pomocy swego kobiecego wdzięku, powołując się na istotne przeszkody, na pewno zdoła przekonać szacownego dżentelmena, aby wyznaczył jej gościom późniejszy termin, a oni do tego czasu postarają się uporać z tym, co mają do załatwienia.

Ciekawe, czy don Esteban powiadomił gubernatora, że przywiózł Vicente, i czy wyjaśnił mu, kim on jest. Doña Luisa spróbuje się tego dowiedzieć. Naturalnie zachowując przy tym największą ostrożność.

Przy obiedzie dyskutowali zawzięcie, jak uwolnić brata Refugia. Baltasar uważał, że najlepiej przypuścić otwarty atak na dom, ale ten pomysł odrzucono jako zbyt niebezpieczny i dla Vicente, i dla nich. Enrique proponował, by zakraść się po ciemku do domu i uprowadzić młodego Carranzę. Jednak według informacji, jakie udało im się zebrać, Vicente był na noc przykuwany łańcuchem do ściany. Poza tym wieczorem zjawiali się przed posiadłością dodatkowi strażnicy. Charro dowodził, że należy dostać się do domu podstępem i zaskoczyć don Estebana, najlepiej podczas posiłku, kiedy Vicente mu służy. Refugio był skłonny przychylić się do tego pomysłu, chciał tylko wiedzieć, jak Charro wprowadzi go w czyn. Jak niby zamierza wejść na teren posiadłości, nie ściągając na siebie uwagi strażników?

- Możemy udawać trupę ulicznych artystów - podsunął nieśmiało Enrique. -

Poprosimy don Estebana, żeby uczynił nam ten zaszczyt i obejrzał popis.

- Albo przekupmy żołnierzy. Niech pożyczą nam na parę godzin swoje mundury, a my pod pretekstem, że do miasta wdarli się niebezpieczni przestępcy, zażądamy od don Estebana, aby pokazał nam swoje pozwolenie na pobyt.

- To takie niebezpieczne - jęknęła pod nosem Isabel, dłubiąc łyżeczką w deserze. -

Zbyt duże ryzyko ... zbyt duże.

Refugio cierpliwie przysłuchiwał się wszystkim pomysłom, w zamyśleniu kiwając głową. Zawsze taki pewny siebie, tym razem był bardzo ostrożny, jakby lęk o los brata odebrał mu umiejętność decydowania. W ciszy, jaka zaległa w pokoju, głos Pilar zabrzmiał bardzo donośnie.

- Dzisiaj przed dom zajechała kobieta - zaczęła. Sprzedawała jarzyny i zioła. Kiedy kucharka doni Luisy ją zawołała, tamta podjechała wozem pod kuchenne drzwi. Potem obie siedziały z godzinę, popijając rum. Widziałam, jak przejeżdżało tędy kilka takich handlarek. Baltasar i Enrique spojrzeli na nią, po czym dali sobie znak brwiami. Charro, nie podnosząc oczu znad talerza, kruszył widelcem chleb. Isabel zdawała się myśleć nad czymś intensywnie.

- Moja droga, naprawdę ... - Doña Luisa odwróciła się do Pilar. - Nie rozumiem, dlaczego ...

- Niech mówi dalej - uciszył ją Refugio, patrząc z uwagą w twarz Pilar.

- Wygląda na to, że nikt nie zwraca uwagi na domokrażców. Kręcą się po ulicach i sprzedają najróżniejsze rzeczy. Jedni zbierają stare szmaty albo ostrzą noże i nożyczki, inni reperują dziurawe garnki. Niektórzy noszą swoje towary na tacy, ale też wielu jeździ wozami. Na takim wozie z łatwością można ukryć jednego albo nawet dwóch mężczyzn. Kiedy skończyła, podniosła wzrok na Refugia. Pochwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się przelotnie.

- Tym razem nie mamy pod ręką płaczącego niemowlęcia - zwrócił się do Pilar.
- Nie - zgodziła się. - Ale będzie ze mnie wspaniała przekupka.
- Nie ma mowy. Liczyła się z tym, że może protestować.
- Dlaczego? - nadała się. - Przecież w Kordobie dałam sobie radę.
- Tak. Ale tu nie Kordoba. Don Esteban nie zrezygnuje łatwo z Vicente, nawet jeżeli zostanie zaskoczony. - W Kordobie też było niebezpiecznie.
- Dobrze o tym pamiętam, i dlatego nie chcę jednocześnie pilnować ciebie i bronić własnej skóry. Ani też rozpraszać uwagi pomiędzy ciebie i Vicente.
- Nie proszę, żebyś się mną zajmował!
- Jeżeli będziesz ze mną, nie mam innego wyjścia.
- Doprawdy, Pilar - wtrąciła doña Luisa. - Nie powinnaś ryzykować. Zostaw to mężczyznom.
- Mam nie mniej do stracenia niż oni - rzuciła półgłosem Pilar.
- Nie całkiem - odparł Refugio. - I nie mogę dopuścić, by cokolwiek się pod tym względem zmieniło.
- Więc mam czekać z założonymi rękami? Czy myślisz, że po odbiciu przez ciebie brata ojczym przywita mnie z sercem na dłoni, kiedy zgłoszę się po mój posag? - Musimy tak wszystko urządzić, by za jednym zamachem odbić Vicente i odebrać twoją wyprawę.
- To bardzo uprzejmie z twojej strony. Ale doskonale wiem, że przede wszystkim będzie ci zależeć na Vicente. To zresztą zrozumiałe. Więc mogłabym przeszukać dom, kiedy wy będziecie zajęci czym innym.
- Niemożliwe. Charro odchrząknął:
- Dlaczego Pilar nie miałaby pójść z nami? - zapytał. - Przecież udowodniła, że potrafi być przydatna zauważył z powagą, nieco speszony. Refugio powoli odwrócił się ku niemu.

- Bo jako przywódca nie życzę sobie. - Był wyraźnie zniecierpliwiony. - Chyba że zamierzasz zająć moje miejsce.

W powietrzu zawisła niewypowiedziana groźba. Charro przez chwilę wytrzymał spojrzenie Refugia, a potem, czerwieniąc się, opuścił głowę.

Z różnicy w tonie głosu, jakim Refugio zwracał się do niej i do Charro, odgadła, że potraktował ją z niezwykłą cierpliwością. Jednak w tej chwili nie miała zamiaru się tym wzruszać. I chociaż ze zdenerwowania krew szumiała jej w uszach, zacisnęła palce na oparciach fotela i patrząc mu prosto w szare, zimne oczy, oświadczyła:

- W takim razie pozwolisz, że sama zajmę się swoimi sprawami.

- Naturalnie przed pojawieniem się domokrażcy?

- Tak chyba będzie najlepiej.

- Zdajesz sobie sprawę, że twoja wizyta u don Estebana obudzi jego czujność i utrudni nam wtargnięcie do jego domu?

- W takim razie co mam robić? Jak wyżyję bez pieniędzy, które jest mi winien?

- Od dłuższego czasu radzisz sobie bez nich.

- Z ledwością - stwierdziła z goryczą. - Poza tym tak wiecznie być nie może.

- Dlaczego? Pomięła milczeniem jego ciche pytanie.

- Zresztą w grę wchodzi nie tylko pieniądze. Esteban pozbawił mnie domu, moich bliskich i skazał na poniewierkę. I dlatego nie pozwolę, by zatrzymał to, co wyrwał mi siłą.

Pieniądze są moje i chcę je dostać z powrotem.

- I żeby osiągnąć cel, jesteś gotowa narazić życie Vicente? - podsumował

beznamiętnym głosem Refugio.

Isabel jęknęła cicho. Nikt, oprócz niej, ani jednym gestem czy słowem nie dał do

zrozumienia, że przysłuchuje się tej wymianie zdań. Wszyscy, uciekając oczyma na boki,

udawali głuchych.

- Ależ nie, przynajmniej nie z premedytacją - westchnęła zrezygnowana. - Jedyne wyjście to zabrać mnie ze sobą.

W świetle sączącym się do jadalni przez sięgające sufitu okno twarz Refugia wyglądała jak odlana ze spizu.

- Powiedziałem już, co o tym myślę.

- Ja też.

- Przykro by mi było powstrzymać cię siłą. Pilar wstała, z rozmachem odsuwając krzesło.

- Przykro? Delikatnie powiedziane. Grozisz, że podniesiesz na mnie rękę. Hmm, należało się tego spodziewać.

Jeżeli ubodła go ta uwaga, nie dał po sobie poznać. Ale też nie uczynił najmniejszej próby, aby ją zatrzymać.

Szła podcieniami wzdłuż domu, byle dalej od jadalni.

Dzień był ciepły, a łagodny, południowy wiatr przynosił zapach róż jerychońskich, których krzewy oplatały kolumny podcieni. Nieco dalej, na podwórku, wśród zgniłych liści, niezgrabionych po zimie, i soczycie zielonych kęp młodej trawy, rudozłota kura prowadziła pierzaste, żółte kurczęta. Pilar przystanąła, wdychając głęboko aromatyczne powietrze, by uspokoić rozkołataną serce.

Sielankową scenę zakłócił złowróźbny cień lecącego nisko nad ziemią jastrzębia. Kura zagdakała, a kiedy żółte kulki wtuliły się pod jej skrzydła, zamarła, lekko drżąc. Jastrząb przeleciał obok, zakreślił koło, przeleciał nad nią jeszcze raz i odfrunął, by zniknąć w końcu za szczytami wysokich drzew. Pilar odprowadzała go wzrokiem, zaciskając dłonie na balustradzie. A kiedy się wreszcie otrząsnęła; powolnym krokiem udała się do swego pokoju.

N a razie Refugio nie zamierzał wprowadzić swej groźby w czyn. Mężczyźni długo nie wychodzili z jadalni, dziewczyna słyszała, jak naradzają się półgłosem. W miarę upływu czasu coraz bardziej żałowała, że jest taka w gorącej wodzie kąpana. U czucie osamotnienia potęgował fakt, że zawsze brała udział w ich dyskusjach i razem z nimi snuła plany. Nie powinna była używać takich mocnych słów, zarzucać mu, że jej grozi. Ale do furii doprowadziło ją jego bezwzględne przekonanie, że ma prawo dyktować jej, co ma robić. Niech mu się nie wydaje, że dzieląc z nią łożę, zyskał przywilej dysponowania jej osobą. Sama jest sobie panią i musi zadbać o własne dobro, a nie oglądać się na innych. .

Pod wieczór mężczyźni po raz drugi tego dnia wyszli z domu. Pilar usłyszała, że Isabel wróciła do swego pokoju, więc postanowiła do niej zajrzeć.

Polubiła dziewczynę pomimo jej skłonności do fantazjowania. Nawet starała się zbliżyć do niej podczas podróży statkiem. Tym razem jednak kierowała się czystym wyrachowaniem. Zamierzała wyciągnąć z niej, co uradzono w jadalni.

Isabel niewiele potrafiła powiedzieć. Razem z dożą Luisą przeniosły się do kuchni krótko po wyjściu Pilar. Usłyszała tylko, jak Refugio nakazywał Enrique zajrzeć do tawern i szynków w pobliżu portu. Miał się zorientować, czy w najbliższym czasie jakiś statek bierze kurs na Hiszpanię, oraz poszukać kontaktu z miejscowymi przemytnikami, którzy kręcąc się po okolicznych rzekach i zatokach, szmuglowali hiszpańskie towary. Ich pomoc mogłaby okazać się bezcenna, gdyby po odbiciu Vicente musieli szybko wynieść się z miasta. Nie należało bowiem zanadto liczyć na poczucie sprawiedliwości señora Miro, kiedy planowało się atak na jego nowego poborcę podatkowego, szczególnie gdy ten niewątpliwie nie omieszkałby poinformować gubernatora, kim jest Refugio.

Była już noc, kiedy do uszu Pilar dobiegły głosy powracających mężczyzn, skrzypienie kół oraz parskanie mułów. Z ponurą satysfakcją stwierdziła, że jednak wybrali jej

plan. Leżała, nasłuchując. Odgłosy oddaliły się, gdy odprowadzili zwierzęta do stajni na tyłach obejścia. Nieco później wszyscy weszli do domu.

Zaskrzybiały drzwi. Refugio po ciemku wsunął się do sypialni, po czym szybkim, pewnym krokiem zbliżył się do łóżka. Usłyszała szelest zdejmowanego ubrania, a po chwili materac ugiął się pod jego ciężarem.

Leżała sztywno wyprostowana na swojej połowie łoża, starając się spokojnie i głęboko oddychać.

Niepotrzebnie się wysilała. Refugio nawet nie próbował jej dotknąć, a już wkrótce usłyszała jego równy oddech. Powoli rozluźniła napięte mięśnie. Kamień spadł jej z serca. Naprawdę poczuła ulgę. Mogła wreszcie spokojnie zasnąć.

Gdy się rano obudziła, jego już nie było.

Aż trudno było jej uwierzyć, że pojutrze zaczną się święta. Czas spędzony na morzu wydawał się taki nierealny, nie wiadomo kiedy minęła zima. Był Wielki Piątek. Doña Luiza wybierała się na poranną mszę do kościoła Świętego Ludwika. Prosto stamtąd szła na umówione spotkanie z gubernatorem. Wdowa kazała wyciągnąć z szopy na podwórku rozklekotany kabriolet i zaprząć do niego konia, który pasł się na łące za komórką. Postanowiła sama powozić dwukółką i zaproponowała Pilar, żeby się z nią zabrała dla towarzystwa.

Dziewczyna bardzo się ucieszyła z nadarzającej się okazji. Włożyła odpowiednią do doniosłego charakteru święta szarą suknię z białym stanikiem, zarzuciła na głowę mantylę z białej koronki i ze zdecydowaną miną zajęła miejsce na ławeczce obok doni Luisy.

Tego dnia dzwony zgodnie z tradycją Wielkiego Piątku nie wzywały wiernych na mszę. Pilar mechanicznie odmawiała modlitwy, nie mogąc skupić myśli na nabożeństwie. Nie potrafiłaby nawet opisać wnętrza kościoła, które oprócz paru drewnianych figur świętych,

zgodnie z francuską manierą zbyt jaskrawych i sztucznie upozowanych, nie wyróżniało się niczym szczególnym.

Po mszy Pilar rozstała się z doñą Luisą. Stwierdziła, że ma parę spraw do załatwienia i zjawi się w domu dopiero po południu. Kiedy wdowa usiłowała dociec, jakie to sprawy ją zatrzymują w mieście, jedynie pokręciła głową i odeszła, machając ręką na pożegnanie.

Nareszcie mogła przedsięwziąć jakieś kroki, które doprowadzą do wyrównania rachunków z ojczymem. Dziwnie na nią działała świadomość, że po długiej, uciążliwej podróży jej poszukiwania lada chwila dobiegną końca. Ku swemu zaskoczeniu nie odczuwała lęku przed spotkaniem z don Estebanem. Ten bezwzględny człowiek w swoich knowaniach zawsze posługiwał się najemnikami, sam nigdy nie splamił rąk krwią. Był na to zbyt sprytny. Wolał, żeby inni załatwiali za niego ciemne sprawki. Nie miał ochoty nadstawiać karku i bardzo uważał, żeby nie kojarzono jego osoby z żadną z popełnionych zbrodni.

Najmniejszy cień podejrzenia mógłby zrujnować mu karierę. Dlatego swego czasu tak bardzo mu zależało na usunięciu Pilar i wszelkich innych osób, które mogłyby go oskarżyć o przyczynienie się do śmierci drugiej żony. Pilar szła do niego, wierząc, że wyrachowanie don Estebana gwarantuje jej nietykalność.

Dom, który wskazali jej przechodnie, wyglądał dokładnie tak, jak go opisał Refugio.

Miał pobielone ściany, dach kryty poczerniałym gontem i zielone okiennice. Rynsztok na błotnistej ulicy przed wejściem rozlewał się w szeroką kałużę. Pływały w niej odpadki z kuchni i ekskrementy. Nie dostrzegła nigdzie don Estebana, a zamknięte szczelnie w tak piękny dzień okiennice kazały przypuszczać, że nikogo w domu nie było.

Pilar przeszła powoli wąską drewnianą kładką, przerzuconą wzdłuż domu nad błotem, zastanawiając się, co powinna zrobić. Musi działać rozważnie, bo wbrew opinii Refugia wcale nie miała zamiaru narażać życia Vicente.



Kiedy minęła dom, przystanąła na chwilę, by przepuścić godnie wyglądającego jegomościa, który właśnie wynurzył się z sąsiedniego budynku. Sposób, w jaki się nosił, a także wysoka laska ze złotą gałką - atrybut władzy - świadczyły o tym, że piastował jakiś ważny urząd. Na progu odwrócił się i zamienił parę słów z pulchną kobietą, prawdopodobnie żoną, sądząc po aksamitnej sukni, koronkowym czepcu i upierścienionych dłoniach. Przez otwarte drzwi Pilar dostrzegła fragment domowej kaplicy: ołtarz odświętnie nakryty koronkowym obrusem, świece płonące w masywnych srebrnych lichtarzach i pięknie rzeźbiony krucyfik, osłonięty koronkowymi firaneczkami. Niewątpliwie w tej części miasta mieszkali najzamożniejsi obywatele Nowego Orleanu.

O dziwo, kilkanaście metrów dalej na tej samej ulicy zobaczyła witrynę apteki z móździerzami, tłuczkami i słojami pełnymi tajemniczych mikstur, tuż obok sklep, w którym na półkach stały rzędem katalońskie wina, kubańska brandy i francuskie koniaki, a za nim zakład jubilerski. Zajrzała do środka. Na tacach leżały kościane i złote guzy, wachlarze ze złotymi pręcikami, oprawne w kość słoniową, oraz pierścionki i kolczyki ze szlachetnymi kamieniami, które, według słów jubilera, pochodziły z Tracji. Były też koronkowe mantyle i laski ze złotymi gałkami. Handlarze przeważnie mieszkali na zapleczu sklepów lub nad nimi. Wszędzie słychać było płacz niemowląt i podniesione głosy matek, nawołujących swoje pociechy. Za domami" w ogródkach zieleniły się pączki liści, a na grządkach żyznej, wilgotnej ziemi rosły kwiaty, zioła i warzywa. W Nowym Orleanie dominował język francuski; tylko tu i ówdzie z gwaru rozmów można było wyłowić hiszpańską mowę. Szyldy na sklepach też były francuskie, podobnie jak muzyka ulicznych grajków. Zapachy, sączące się przez okna w porze obiadu, świadczyły o tym, że w domach przeważała francuska kuchnia. Pomimo dwudziestu pięciu lat hiszpańskich rządów większość mieszkańców Nowego Orleanu pochodziła z Francji.

Z Hiszpanii dotarli tu głównie młodzi mężczyźni, którzy później żenili się z Francuzkami. Nawet gubernator miał żonę Francuzkę. Dzieci od kołyski słyszały język francuski, były karmione francuskim jedzeniem, a kiedy podrosły, posyłano je do francuskich szkół. Na domiar złego na początku swoich rządów Hiszpanie krwawo stłumili powstanie miejscowej ludności. Aby w przyszłości zapobiec podobnym wypadkom i utrzymać pokój na tym daleko wysuniętym przyczółku, znacznie zliberalizowano politykę wobec kolonii.

Porywcy potomkowie francuskich awanturników i dysydentów, którzy założyli kolonię w Luizjanie, niechętnie poddawali się hiszpańskim wpływom. Dlatego Nowy Orlean tak bardzo różnił się od Hawany. Na końcu ulicy Chartres Pilar natknęła się na skład prochu i urząd celny. Dalej, za błotnistą drogą, wyrastała gęsta palisada, która, otaczając miasto, umożliwiała do niego wolny dostęp jedynie od strony rzeki. Pilar przystanęła na chwilę, wdychając ciepłe, wonne powietrze. Silny południowy wiatr, niosąc ze sobą oszałamiający zapach kwiatów i egzotycznych roślin z pobliskich bagien, pieścił jej twarz i wysnuwał pasma włosów z koka upiętego nad karkiem. Oddychając głęboko, czuła, jak opuszcza ją napięcie.

Postanowiła zawrócić. Widziała już wszystko, co chciała - zobaczyć. Kiedy na powrót znalazła się niedaleko domu urzędnika, ujrzała zbliżającą się ku niej znajomą sylwetkę. Don Esteban w czarnym surducie zapiętym na srebrne, połyskujące w słońcu guziki i w białej, upudrowanej peruce sunął dumnie środkiem chodnika, nie ustępując nikomu z drogi. Lada chwila mógł ją zobaczyć.

Nagle opuściła ją cała odwaga. Nie była jeszcze gotowa do spotkania z ojczymem. Ogarnęły ją wątpliwości, czy powzięła właściwą decyzję. Obawiała się, że stając przed nim, nie znajdzie odpowiednich słów. Przystanęła, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Od domu ojczyma dzieliła ją zaledwie jedna przecznica. Ruszyła powoli przed siebie, starając się nie wzbudzić podejrzeń, i dopiero gdy skręciła za róg, przyspieszyła kroku.

Zatrzymała się za skrzyżowaniem, wzięła parę głębszych oddechów i wierzchem dłoni otarła z czoła kropelki potu. Nie mogła zbyt długo zwlekać. Kiedy don Esteban dojdzie do rozwidlenia, może przypadkiem zwrócić na nią uwagę. Szła szybko, unosząc spódnicę. Jeżeli dotrze do następnej przecznicy albo chociaż znajdzie jakiś zaułek, będzie uratowana. Dostrzegła przejście między domami. Rzuciła niespokojne spojrzenie za siebie. Don Estebana' nadal nie widać. Jeszcze tylko parę kroków ...

Poczuła, jak ktoś chwyta ją za ramiona i brutalnie wciąga w alejkę między domami.

Przejechała łopatkami po otynkowanej ścianie. Z bólu zawirowały jej przed oczyma złote punkciki. Chciała krzyknąć, lecz czyjaś ręka zakryła jej usta, czyjeś ciało przycisnęło ją do muru.

- Lepiej przeklinaj mnie w myślach - usłyszała tuż przy uchu szept Refugia. - Tak jak ja w duchu miotam przekleństwa na ciebie.

## **ROZDZIAŁ XIV**

Zawrzało w niej z gniewu. Wsparta plecami w ścianę, z całej siły odepchnęła go od siebie obiema rękami. Odstąpił, ale nadal nie puszczał jej nadgarstków, gotowy w każdej chwili udaremnić próbę ucieczki.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknęła. - O mało przez ciebie nie umarłam ze strachu.

- Wydawało mi się, że chcesz uniknąć spotkania z Estebanem, więc pośpieszyłem z pomocą. Przepraszam, jeśli się pomyliłem.

- Och tak! Pośpieszyłeś z pomocą! Bo to ci odpowiada! - rzekła rozgoryczona. - Nie jestem jeszcze gotowa na to spotkanie, ale nie myśl sobie, że mnie powstrzymasz. Mam równie ważne powody, jak ty, i nie zamierzam cicho stać na uboczu.

- Stać na uboczu?! Och, nie wyobrażam sobie, bym śmiał o to prosić. Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Co ty mówisz?

- Pokładam wielkie nadzieje w twoim spotkaniu z ojczymem. Więc, jak widzisz, bardzo się cieszę, że jeszcze ci ten pomysł nie przeszedł.

- Właśnie próbowałam wprowadzić go w czyn - zauważyła z ironią. Puścił jej rękę, uśmiechając się nieznacznie.

- Nie szkodzi. Chodź, powęszymy trochę jak para złodziei. Wymyślimy jakiś sposób, żeby cię przemycić do jaskini lwa.

- Chcesz mnie wziąć do pomocy? - Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Do pomocy? Nie, najdroższa. Jak mógłbym być taki niesprawiedliwy. To ja pomogę tobie.

- Dlaczego? - spytała, wysuwając podbródek. Właśnie, dlaczego? Refugio też zadawał sobie to pytanie. Ta intuicyjna decyzja narodziła się nagle pod wpływem lęku. Bał się, że dziewczynie może się przydarzyć coś strasznego, jeżeli jego przy niej nie będzie. Wcześniej nie zgadzał się pomóc, bo wolał ją trzymać z daleka od Estebana ze względu na jej bezpieczeństwo. Poniósł klęskę i uznał swoją przegraną. Z jednej strony miał ochotę udusić Pilar, z drugiej przygarnąć ją do siebie i trzymać w ramionach, aż zniknie z jej oczu czający się w nich strach.

- A dlaczego by nie? - zapytał, analizując w myślach naprędce zmieniony plan.

Szybko wyjaśnił jej, co ma robić, i już po chwili Pilar stała przed frontowymi drzwiami rezydencji don Estebana. Kiedy zapukała, pojawił się w nich majordomus ojczyma. Co prawda na jej widok otworzył szeroko oczy, ale zaprosił ją do środka. Słyszała brzęk sztućców i szmer rozmów w którymś z pomieszczeń sąsiadujących z holem. Prawdopodobnie ojczym jadł obiad. Zapewne po to przyszedł do domu.

Majordomus wprowadził ją do rozległego salonu. Na podłodze leżał marokański

dywan, tu i ówdzie stały krzesła o obiciach z zielonego aksamitu, obszytych złotym sznurem.

Draperie z tafty zdobiły osłonięte żaluzjami okna, a z sufitu zwisał potężny żyrandol z mosiądzu i kryształowego szkła. Na tle wybielonych wapnem ścian i podłogi z surowych desek z cyprysowego drewna wyposażenie raziło nadmiernym przepychem.

Salon stanowił główne pomieszczenie domu, który, podobnie jak rezydencję doni Luisy, zbudowano w typowo francuskim stylu z pokojami połączonymi w amfiladzie.

Prawdopodobnie większość ich była również dostępna z salonu, sądząc po liczbie drzwi na jego ścianach. Frontowe wejście prowadziło prosto na ulicę, natomiast na tyłach domu, wzdłuż całej szerokości ściany, biegła galeria z widokiem na ogród, który nieograniczony murem, łączył się po obu stronach z ogrodami sąsiadów. Pilar podeszła do okna, uchyliła żaluzję i wyjrzała na ulicę. Błotnistą drogą toczył się powoli wózek załadowany po brzegi szarym, poskręcany mchem, potocznie zwany brodą kapucyna. Ten mech, porastający pnie drzew nad rzeką, służył do wypychania materaców. Chudy, skulony na koźle woźnica zawodził drżącym głosem:

- Mech sprzedaję! Mięciutki mech na ślubne łoża, mech do kołysek. Mech, wspaniały mech dla dzieci i dla starców! Kupujcie mech!

Usłyszała zbliżający się odgłos szybkich kroków. Po cichu zamknęła żaluzję i wpatrzona w drzwi, przystanęła obok fotela z wysokim oparciem, z wyrzeźbionymi na nim lwami i hiszpańskimi zamkami. Przebiegł ją dreszcz. Zacisnęła rękę na lwiej łapie tworzącej podłokietnik fotela, jakby z niej chciała zaczerpnąć odwagi.

Esteban znieruchomiał na progu, gniotąc serwetkę w dłoni. Później otarł nią usta, po czym podał ją drepczącemu z tyłu za nim majordomusowi. Machnięciem ręki nakazał mu odejść, a sam postąpił parę kroków do przodu.

- Ach, to ty - przemówił, krzywiąc się z niesmakiem. - Nie wierzę własnym oczom.

Jak się tu dostałaś?

- Przyplłynęłam statkiem, podobnie jak ty.

- Nie do wiary.

- Tak. Sądziłaś, że żyję bezpiecznie w Hiszpanii lub też że bezpiecznie nie żyję.

- niesprawiedliwie mnie oskarżasz. Co ty wymyślasz? Mówił chaotycznie, wyraźnie usiłując pozbierać rozbiegane myśli.

- Nie 'wymiślam. Ja wiem. Słyszałam, jak rozkazałeś mnie zabić.

- Musiałaś się przesłyszeć - stwierdził napszonym tonem, odzyskując pewność siebie.

- Jesteś córką mojej ukochanej nieboszczki żony. Pragnąłem ci zapewnić godne życie w klasztorze do czasu mego powrotu. Biedactwo, musiał ci się rozum pomieszać po porwaniu przez tego bandytę El Leona. A właśnie, gdzie on się podziewa? Jak ci się udało od niego uciec?

- Zapewniam, że mój rozum jest w jak najlepszym porządku. Nie mam nic do powiedzenia o El Leonie. Przyszłam tu rozmawiać o zagarniętym majątku mojej matki.

- Napęlnia mnie smutkiem twój brak zaufania i niewdzięczność. Ale nie jestem zaskoczony. Pokazałaś, co potrafisz, uwodząc Carlosa. Jesteś hardą, nieodpowiedzialną kobietą, która łatwo ulega pokusom ciała. Troszczę się o twój los wyłącznie przez pamięć twej matki, a mojej ukochanej żony. I dlatego z czystej dobroci serca jestem gotowy przyjąć cię z powrotem pod mój dach pod warunkiem, że podporządkujesz się moim życzeniom i zasadom, jakie ustalę. Mimo że nie musiała się go bać, na te słowa przebiegł ją dreszcz.

- Jesteś szczodry i wspaniałomyślny jak zawsze - odparła z ironią, uważając, by nie zdrzął jej głos - ale ja nie proszę o miejsce w twoim domu. Żądam tego, co moje.

- Ach tak. - Obszedł stół na swych krótkich, krępych nogach. - Przyplłynęłaś sama? - zapytał, odwracając się do niej.

- Nie jestem szalona.

- Kim jest osoba, która ci towarzyszy, i gdzie się zatrzymała?

- Nieważne. Albo natychmiast oddasz mi to, co zabrałeś, albo będę zmuszona zwrócić się do gubernatora Miro. Dowie się, że nie jesteś godny urzędu, który piastujesz. Podobno gubernator jest bardzo sumienny i ściśle trzyma się litery prawa. Nie będzie zadowolony, kiedy się dowie, co zrobiłeś, zanim tu przyjechałeś.

- Nie uwierzy ci, bo, po pierwsze, jesteś kobietą, a po drugie, pobyt w towarzystwie bandyty okrywa cię niesławą. Jeżeli mu o tym szepnę, będziesz skompromitowana. Jeszcze niedawno sparaliżowałyby ją pewność siebie ojczyzna i strach przed jego zemstą. Tym razem nie dała się zastraszyć. Myślami była przy zmarłej matce i ciotce.

- Może tak, a może nie. Ciekawie byłoby sprawdzić.

Ale nie wierzę, że naprawdę miałbyś ochotę mnie oczerniać. Widzisz, obecność brata El Leona w twoim domu przemawia na twoją niekorzyść.

- Ten młody człowiek odsluguje u mnie niespłacone długi. Taka była między nami umowa. Ponieważ chciał się z niej wycofać, musiałem zatrzymać go siłą. - Esteban pokazał zęby w fałszywym uśmiechu.

- Jakie długi? Czy te, które wyrównuje się krwią? W jednej chwili uśmiech znikł z jego twarzy.

- Czy ty wiesz, ile wycierpiała moja rodzina przez te czarcie pomioty, Carranzów? - wysyczał, czerwieniejąc ze złości. - Trzeba ich wytępić, wyplenić jak chwasty. Nie znajdę spokoju, dopóki chodzą po ziemi.

- Wytępić - powtórzyła. - Ale najpierw masz zamiar się nasycić cierpieniem i poniżeniem Vicente.

- To mi się należy. Lecz widzę, że bardzo cię obchodzi los młodszego Carranzy.

Gdzieś w głębi domu coś głucho stuknęło. Pilar udała, że nic nie słyszy.

- Tak myślisz? - spytała, nie odrywając wzroku od twarzy ojczyma. - Być może czuję się winna za to, co z nim zrobiłeś. Zapewne nadal go przetrzymujesz?

- Oczywiście. Nie ma tyle sprytu, co jego brat, żeby uciec.

Gdzieś bliżej, prawdopodobnie w jadalni, rozległ się stłumiony krzyk, a zaraz po nim trzask. Pilar szybko podeszła do Estebana i chwytając go za ramię, powiedziała podniesionym głosem:

- Mniejsza o Vicente. Chcę mój posag! Jak mam sobie poradzić bez pieniędzy?!

Doszczętnie mnie ograbiłeś. Pozbawiłeś bliskich. Zabrałeś wszystko, co miałam. Nie żądam wiele, chcę tylko tyle, ile mi się należy. I albo mi to oddasz, albo będę cię prześladować do końca twoich dni! Strząsnął jej rękę ze złowrogim wyrazem twarzy i energicznym krokiem podszedł do drzwi.

- Alfonso! - zawołał. - Co się tam dzieje?! Nie doczekał się odpowiedzi. W paru susach znalazł się przy Pilar.

- To El Leon, prawda? Jesteście w znowie. Tak jest! Na pewno przyszedł po swego brata. Musi odwrócić jego uwagę, musi go jeszcze przez chwilę zająć.

- Co mnie obchodzi Vicente?! - krzyknęła. - Albo jego brat, skoro już o tym mowa!

Oddaj mi moje złoto. Gdzie je trzymasz? No, gdzie je ukryłeś?! Twarz Estebana wykrzywił grymas pogardy.

- Nic nie dostaniesz. Gdybyś siedziała cicho, była posłuszna i pokorna, miałabyś u mnie dobrze. Ale skoro z własnej woli związałaś się z bandytą i wolisz żyć wśród rzezimieszków i dziwek, to wracaj do nich. Tam teraz twoje miejsce! Uśmiechnęła się z satysfakcją.

- A żebyś wiedział. Poszłam z El Leonem. Mało tego, sama po niego poszłam. A to,



że nie ma dla mnie innego miejsca, zawdzięczam wyłącznie tobie. Ale powiedz mi, gdzie ty powinieneś być. Gdzie jest miejsce człowieka, który zabił własną żonę?

Esteban obrzucił ją potokiem przekleństw. Zagłuszył je szczęk skrzyżowanych szpad, dochodzący z pokoju obok. Zanim wściekły dopadł do drzwi, stanął w nich Refugio ze sztychem szpady wycelowanym w jego szyję.

- Jaka szkoda, że muszę zakłócić to uroczne spotkanie - powiedział, mierząc don Estebana zimnym spojrzeniem. - Ale uwielbiam rozmowy o złocie.

Esteban pobladł, czując, jak ostry metal kłuje go w podgardle. Stał nieruchomo, wyprostowany na tyle, na ile pozwalał mu pękaty brzuch.

- Jakim sposobem się tu ...

- Bez trudu. Prawda, jakie to niemiłe uczucie, kiedy się jest zaskoczonym?

- Ktoś mi za to odpowie!

- Nie - uciał Refugio. - Bo ci wcześniej poderżnę gardło. Don Esteban głośno przełknął ślinę.

- To nie w twoim stylu zabijać bezbronnego człowieka. Przynajmniej tak słyszałem.

Podobno się tym szczycisz. - Nie należy wierzyć plotkom. - Nacisk sztychu nie zelżał ani odrobinę.

- Jeżeli ... przyszedłeś po Vicente, to bierz go sobie i wynoś się stąd!

- Och! Dajesz mi swoje pozwolenie? Piękne dzięki, ale już zdążyłem go stąd zabrać.

Moi ludzie właśnie go rozkuwają. Potrzebne im są łańcuchy do krępowania twoich obwiesiów. Przeszedłem po tę kobietę, która stoi za tobą, i po złoto.

- Wiedziałem, że ta wywłoka przyszła z tobą! Sztych nacisnął mocniej na podgardle Estebana. Po jego szyi spłynęła kropelka krwi.

- Jak ją tytułujesz? Chyba się przesłyszałem.

- Szanowna pani ... - wysapał chrapliwie Esteban.

- A teraz złoto. - Refugio dźgnął go lekko szpadą.

- Jeżeli je chcesz ... muszę ci pokazać, gdzie jest ukryte. Refugio cofnął nieco klingę.

- No, właśnie na to czekałem. Ale ostrzegam, żadnych gwałtownych ruchów. Szkoda, gdyby się zdarzył jakiś nieprzyjemny wypadek.

Pot perlił się na czole don Estebana, wsiąkał w puder osypujący się z peruki i spływał brudnymi strużkami po skroniach. Otarł go wierzchem dłoni, rozsmarowując kleistą maź po twarzy, i ruszył niezgrabnie ku innym drzwiom prowadzącym z salonu. Refugio, stąpając cicho, szedł obok niego, a z tyłu za nimi podążała Pilar.

Sądząc po wystawnie urządzonej sypialni, znaleźli się w sypialni. Esteban wskazał na ciężką, rzeźbioną szafę. Refugio ruchem głowy polecił mu ją otworzyć. Esteban wyjął klucz z kieszonki kamizelki i wsunął go do zamka. Uchylił masywne drzwi, zgiął się wpół i postępując, wyciągnął z głębi szafy szkatułę z mosiężnymi okuciami, zamkniętą na solidną kłódkę. Prostując się z wysiłkiem, spojrzał wściekle na Pilar.

- Refugio, uważaj! - krzyknęła.

Don Esteban zaklął i cisnął szkatułką w Pilar. Refugio rzucił się, aby ją odciągnąć, ale na szczęście dziewczyna zdążyła w porę uskoczyć. Kuferek z hukiem wylądował u jej stóp i potoczył się po posadzce. Zachwiała się, tracąc równowagę, kiedy Refugio szarpnął ją za ramię. W tej samej chwili Esteban zanurkował do szafy, wyciągnął z niej szpadę i błyskawicznie wyszarpnął ją z pochwy.

Refugio zasłonił sobą Pilar i mocnym uderzeniem odparował cios. Szczęk metalu odbił się echem od ścian. Szpady ze świstem cięły powietrze, zgrzytały krzyżowane z furją klingi. Esteban, który liczył na zaskoczenie Refugia, cofnął się teraz w głąb sypialni.

Mężczyźni na ugiętych nogach krążyli wokół siebie.

Refugio spod przymrużonych powiek patrzył prosto w oczy przeciwnika, który

krzywił usta z wściekłości i wysiłku. Pilar odczekała na odpowiedni moment i odciągnęła szkatułkę na bok, po czym stając w bezpiecznej odległości, z niepokojem obserwowała walczących, bezwiednie zaciskając dłonie w pięści.

Don Esteban w przeciwieństwie do Filipa Guewary był doświadczonym szermierzem.

Na dworze w Madrycie pobierał lekcje fechtunku u włoskich mistrzów szpady. W dodatku był przebiegły i pozbawiony skrupułów. Niestety, zbyt chętnie oddawał się rozkoszom stołu, więc obfita tusza dawała mu się we znaki.

Refugio górował nad nim wzrostem, a także i kondycją. Szpadą władał nie gorzej, jeśli nie lepiej od niego. Jednak rana po postrzale nadwątlila jego siły, a pojedynek z Filipem w okresie rekonwalescencji nie wyszedł mu na dobre. Pilar obawiała się, że Refugio może zbyt szybko osłabnąć. W jej piersi wzbierał rozpaczliwy protest, ale nie pozwoliła sobie ani na krzyk, ani na najcichszy nawet jęk, żeby przypadkiem nie rozproszyć jego uwagi.

Pozostawało jej wyłącznie modlić się w duszy, by ten pojedynek jak najszybciej się skończył. Stopy mężczyzn szurały o deski podłogi, kiedy doskakiwali do siebie, zwodzili się, robili uniki, zadawali i parowali ciosy. Obaj oddychali głośno, a ich napięte mięśnie ramion zdawały się rozsadzać rękawy. Klingi, ożywione ledwo widocznymi ruchami nadgarstków, kreśliły w powietrzu srebrne serpentyny. Don Esteban wywinął szpadą efektownego młynka, lecz Refugio nie dał się zaskoczyć.

- Stara sztuczka! - zaśmiał się, parując sztych. - Spróbuj czegoś innego. A zanim wpadniesz na jakiś pomysł, powiedz, co ci przyszło do głowy, ażeby ni stąd, ni zowąd targnąć się na mego brata. Tyle czasu siedział w Sewilli. Dlaczego tak długo dawałeś mu spokój?

- Wiedz, że od dawna miałem go na oku. Zwlekałem do chwili, kiedy mógłbym potrzebować zakładnika.

- A więc porwanie brata miało mnie powstrzymać od udzielenia pomocy Pilar?

- Tak sądziłem, ale się pomyliłem - sapał Esteban. Podejrzewałem, że Pilar wywiodła mnie w pole. Nadto chętnie z tobą odjechała. Według jej przyzwoitki, a mojej siostry, Vicente był waszym pośrednikiem. Musiał za to zapłacić.

- Tak jest, pomyliłeś się - odparł Refugio, przypuszczając atak. Esteban, dysząc coraz ciężiej, uciekł pod ścianę, bezładnie machając szpadą. Z długiej, wąskiej sypialni prowadziły na taras w ogrodzie przeszklone drzwi. Esteban odepchnął się od ich framugi i z impetem natarł na Refugia, zmuszając go tym samym, aby uskoczył parę kroków. Przez chwilę mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Pot płynął im po twarzach. Pilar słyszała świszający oddech Estebana, widziała, jak gwałtownie unosi się i opada pierś Refugia. Tuż obok w salonie rozległ się głośny tupot i do sypialni wpadł Vicente. Postrzępione łachmany zwisały na jego wychudzonym ciele, a zapadniętą twarz szpeciła czerwona blizna w kształcie litery "G" na lewym policzku. Znak, jaki często wypalano na twarzach wojennym jeńcom.

- Refugio! - zawołał. - Powstrzymaj ich! Pobili Alfonza, a teraz plądrują dom! Esteban bezwstydnie wykorzystał tę okazję. Za plecami miał klamkę drzwi balkonowych. Nacisnął ją i śmignął w otwarte drzwi. Refugio dopadł go, zanim tamten zdążył zatrzasnąć je za sobą. Przez chwilę obaj szarpali za klamki, aż wreszcie Refugio zdecydowanie pociągnął za drzwi i Esteban wpadł z powrotem do środka.

- Puść go - prosił Vicente, czepiając się ramienia brata. - To starzec! Trzeba przerwać wreszcie rozlew krwi. Refugio spojrział na niego oniemiały i wyszarpnął rękę.

- Nie jestem mordercą, ale wszystko się skończy dopiero, kiedy Esteban będzie martwy!

- Albo ty - dopowiedział Vicente.

- Nie przejmuj się, braciszku. Wtedy na ciebie spadnie obowiązek przedłużenia rodu.

- Nic z tego nie będzie, jeżeli zostaną księdzem - zauważył Vicente, ale Refugio już go nie słyszał, bo zwinnie jak kot skoczył za uciekającym.

Pilar usłyszała tupot butów i w jednej chwili sylwetka Refugia zniknęła jej z oczu.

Dotknęła ramienia młodszego Carranzy.

- Powiedz im, żeby przestali przeszukiwać dom! Złoto jest tutaj - wskazała szkatułkę na podłodze.

- Zajmij się nią!

- Ja?! Co to za złoto? Dlaczego oni go szukają?

- Nieważne! - rzuciła przez ramię od drzwi. - Po prostu nie wypuszczaj szkatułki z rąk, cokolwiek by się działo.

Obawa o Refugia kazała jej podążyć za pojedynkującymi się mężczyznami. Szczęk żelaza budził w niej grozę, ale nie chciała spuścić ich z oczu.

Biegła przez ogród pomiędzy rabatami i grzędami warzyw i rozglądała się na prawo i lewo, ale nigdzie nie było śladu walczących.

Nagle z domu po prawej stronie dobiegł ją przeraźliwy krzyk. Rzuciła się w tamtą stronę, potykając się o grudy ziemi.

Tylne drzwi, otwarte na oścież, huśtały się na zawiasach. Już na progu słyhać było zgrzyt metalu. Przebiegła przez sypialnię i znalazła się w bawialni do złudzenia przypominającej salon don Estebana. Na środku stała kobieta, przyciskając dłonie do pobladłych policzków. Pilar rozpoznała w niej pulchną żonę urzędnika, którą zauważyła, idąc wcześniej ulicą. Przerazona kobieta nie odrywała wzroku od wejścia do domowej kaplicy.

Don Esteban, przyparty do ołtarza, rozpaczliwie wywijał szpadą, próbując się jeszcze osłaniać przed ciosami Refugia. Krople potu spływały mu po twarzy i kapały z czubka nosa na przekrzywiony fontaż i rozdarty w dwóch miejscach surdut. Kaplicę wypełniał odgłos jego

chrapliwego oddechu.

Ubranie Refugia było mokre; Pilar widziała ciemną plamę między łopatkami, a wilgotne włosy połyskiwały w świetle świec. Choć jego ruchy pozostały zwinne, a ciosy mocne, brakowało im już wcześniejszej precyzji.

Na widok dziewczyny na chwilę obniżył klingę. To wystarczyło, by Esteban z triumfalnym uśmiechem rzucił się do przodu. Refugio przystąpił do wściekłego kontrataku i zepchnął słaniającego się przeciwnika z powrotem na ołtarz. Broniąc się rozpaczliwie, Esteban zaczął toczyć się, chwytając za koronkowy obrus. Zachybotwały się kandelabry, zamigotały płomyki świec, strużki gorącego wosku spłynęły po ciężkich podstawach świeczników i zastygły, tworząc kałuże na koronce. Esteban, tracąc równowagę, runął na jedno kolano.

- Nie musisz klękać. - W cichym głosie Refugia czaiła się groźba. - Nie ma tu księdza z ostatnim namaszczeniem.

- Nie możesz mnie tu zabić - wycharczał don Esteban.

- Dlaczego nie? - zapytał Refugio i wycelował wibrujący sztych w jego grdykę. Pilar odczuła ulgę, a zarazem doznała czegoś na kształt rozczarowania, kiedy się zorientowała, że Refugio pragnie go jedynie nastraszyć: Serce biło w jej piersi jak oszalałe, krew zdawała się rozsadzać tętnice. Nie słyszała przeraźliwego krzyku pani domu, nie widziała gromadzących się ludzi, skupiona wyłącznie na zmagających się ze sobą mężczyznach. Kolejny raz skrzyżowali szpady, a promienie słońca, które wpadały przez jedyne wysokie okno, kładły się na ich sylwetkach złocistymi smugami. Migotliwe płomyki świec odbijały się w klingach i słały żółte, pomarańczowe oraz fioletowe refleksy na ich błyszczące od potu twarze i włosy. W tej potyczce w świętym miejscu było coś bluźnierczego, a zarazem podniosłego. Postaci ścierających się ze sobą mężczyzn były jak alegoria walki życia ze śmiercią.

Esteban słabł coraz bardziej. Słaniał się na nogach, rzucając nienawistne spojrzenia przeciwnikowi, który uważny i czujny - osaczał go z cierpliwością tropiącego lwa. Refugio był El Leonem. Dlaczego więc bała się o niego?

A dlatego, że gdyby zginął, jakaś część jej duszy umarłaby razem z nim. Nagle uświadomiła sobie, że kocha Refugia.

Nie zdążyła poświęcić więcej myśli swemu odkryciu, bo w momencie, gdy doznała owego olśnienia, Esteban mocnym szarpnięciem pociągnął za obrus na ołtarzu. Świece wypadły ze świeczników i stoczyły się na podłogę. Esteban wywijał obrusem jak matador muletą, próbując zarzucić go na szpadę Refugia. Carranza odtrącił serwetę klingą i jednocześnie chwycił za jej brzeg, chcąc wyrwać ją z rąk przeciwnika. Chwilę szarpali za nią, po czym Esteban cisnął ją na tłące się ciągle świece i uciekł za ołtarz. Refugio zaszedł go z drugiej strony. Aby zyskać na czasie, Esteban zerwał koronkowe firanki, zdobiące krucyfiks, rzucił je pod nogi Refugia, uskoczył pod ścianę i przewracając po drodze krzesła, puścił się biegiem do drzwi, przy których stała Pilar. Refugio ruszył za nim. Ostrzegł ją krzykiem, ale ona wcześniej zdążyła odgadnąć morderczy zamysł ojczyma. Uskoczyła pod ścianę, rozglądając się za czymś, czym mogłaby się bronić. Dostrzegła wysoki, trójramienny świecznik z kutego żelaza. Używając go jak trójzębu, wycelowała w Estebana szpikulce do świec. Minął ją z gniewnym pomrukiem i zmieniwszy zamiar, doskoczył do żony urzędnika, wykręcił jej rękę na plecach i przycisnął sztych szpady do tłustego boku.

- Zatrzymaj się, Carranza! - zawołał.

Refugio znieruchomiał. Pilar odstawiła świecznik i stanęła u jego boku. Cała czwórka zamarła. Słysząc było jedynie ciężki oddech obu mężczyzn i pojękiwanie przerażonej kobiety. Nagle za ich plecami rozległ się złowieszczy szum i kaplicę zalała czerwona poświata. Pożar!

To koronkowy obrus zajął się od świec. Płomienie pełzły po naderwanych firankach i strzelały w górę, liząc sufit. Tliła się sucha drewniana podłoga, ze szpar między deskami wyskakiwały języczki ognia. Pilar przeniosła spojrzenie na ojczyma.

- To nie przypadek - powiedziała, widząc jego zadowoloną minę. - Celowo zaproszyłeś ogień.

- Sprytne, prawda? - zaśmiał się i popchnął żonę urzędnika, aż się zatoczyła w ramiona Refugia. A potem w paru susach znalazł się przy drzwiach i szarpnął za klamkę.

- El Leon! - krzyknął, wybiegając z kaplicy. - Ludzie, to bandyta z Hiszpanii, El Leon! Ten zwyrodnialec obrabował skarbnika Nufieza i podpalił mu dom!

## **ROZDZIAŁ XV**

Słowa Estebana wywołały poruszenie wśród gawiedzi. - Pożar! Pożar! Pali się! - słychać było przerażone głosy. Część gapiów rozbiegła się po ulicy, powtarzając oskarżenie Estebana, inni tłoczyli się pod kaplicą. Co odważniejsi wsuwali się do środka.

- Wychodzimy tyłem - zdecydował Refugio.

Pilar odgadła, że pod stanowczym tonem kryje się rozgoryczenie i złość z porażki. Ale nie miał innego wyjścia. Przeciskanie się przez rozjuszony tłum, który dowiedział się, kim jest, graniczyłoby z samobójstwem. Esteban zbiegł; tym razem uratował skórę. Refugio niespokojnym spojrzeniem ogarnął płonąca kaplicę.

- Nie ma czasu do stracenia - ponagliła go cicho Pilar.

- Nie ma - zgodził się z nią ponuro. Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą ku wnętrzu domu. Przebiegli przez amfiladę pokoi, kierując się do drzwi na werandę. Zeskoczyli z galeryjki do ogrodu. Pochyleni, przeskakiwali grzędy fasoli i papryki, omijali rowy wypełnione zatęchłą wodą, poganiani przez głosy mężczyzn skrzykujących się do pościgu.

Kiedy znaleźli się pod domem Estebana, Charro, Enrique i Baltasar wyszli im



naprzeciw. Wciągnęli ich do środka, osłaniając obnażonymi szpadami. Refugio w biegu wydawał rozkazy. Zgodnie z jego poleceniem rozproszyli się za frontowymi drzwiami. Baltasar miał ściągnąć Isabel, Enrique przypadł obowiązek odszukania doni Luisy, a Vicente i Charro dostali rozkaz, by ani na krok nie odstępować Pilar.

Refugio nie wybiegł z nimi na ulicę. Nie pytali o nic, tylko, tak jak rozkazał, ruszyli w stronę rzeki. Przebiegli spory kawałek drogi, gdy Pilar, obejrzawszy się przez ramię, zobaczyła, jak wyskakuje z domu i pędzi w przeciwnym kierunku. Rozpacz ścisnęła ją za gardło, kiedy chwilę później przed drzwiami zaroilo się od mężczyzn. Refugio ściągał na siebie pościg.

Dookoła panował zamęt i panika. Niebo zasnuwały kłęby ciemnego, gęstniejącego dymu. Wiatr od południa gnał ulicami szary tuman. Żołnierze biegali bezładnie, nawołując ludzi, by szli im na pomoc z wiadrami, beczkami, drabinami i toporami. Niestety, tych próśb wykrzykiwanych po hiszpańsku nie rozumieli zaskoczeni tumultem francuskojęzyczni sklepikarze, urzędnicy i gospodynie domowe.

- Dzwony! Niech księża biją na alarm! - krzyczał jakiś przechodzień, kiedy mijali kościół Świętego Ludwika na Plaza de Armas.

- Nic z tego - zauważył ktoś w tłumie. - Dziś Wielki Piątek.

- Muszą uderzyć w dzwony. Miasto płonie!

- Nie zrobią tego. W Wielki Piątek dzwony milczą.

Rzeczywiście dzwony się nie odezwały. Nie zadzwoniły, kiedy Pilar i jej towarzysze przebiegli z tupotem obok koślawych straganów na rynku. Milczały, gdy pędzili wzdłuż murów klasztoru sióstr urszulanek. Nawet nie drgnęły, kiedy wdrapali się na wały przeciwpowodziowe wzdłuż nierównego brzegu rzeki i zwolnili tempo. Nie usłyszeli ich również, gdy znaleźli się przy łodziach, które miały przetransportować ich przez bagna.

Nadal nie było ani śladu Refugia. Wynajęci przewoźnicy stali na wałach, wpatrzeni w słupy burego dymu, unoszące się ku niebu znad domów. Niepokojnie wypytywali Pilar i mężczyźni o pożar, bo w mieście mieszkały ich rodziny. Zapewne nie byli zachwyceni tym, co usłyszeli, skoro odeszli na stronę i naradzali się półgłosem.

Za nimi u stóp nasypu chygotały się na wodzie dwie łódki. Były to proste, wręcz toporne czółna wydłubane z pni. Tu i ówdzie widać nawet było na burtach ślady siekiery. Drzewa, które posłużyły za budulec, musiały być potężne, bo każda z łodzi miała co najmniej trzydzieści stóp długości. O dziwo, te prymitywne czółna były bardzo zwrotne. Niestety, nie zapewniały wygody. Nie były zadaszone, a trzy poprzeczne rozpórki, wzmacniające burty, służyły za ławki. Po pewnym czasie do grupki oczekujących dołączył Enrique. Doña Luisa nie przyjdzie - oznajmił. Kazała im życzyć szczęśliwej podróży. Postanowiła zostać i uregulować sprawy majątkowe. Poza tym nie miała ochoty ani też powodu, by w najbliższym czasie znowu udawać się w uciążliwą morską podróż.

Chwilę po Enrique zjawił się Baltasar z Isabel. Dziewczyna ciągnęła ze sobą tobołki z ich rzeczami i z prowiantem, ponieważ trudno było przewidzieć, ile czasu upłynie, zanim zdołają natrafić na statek kaperski, który się zgodzi zabrać ich do Hawany. Z radosnym piskiem rzuciła się na szyję Vicente i tak go wyściskała, że aż zaczerwienił się po uszy. Potem, jękając się z podniecenia, opowiadała o pożarze i wciąż na nowo pytała, gdzie jest Refugio i czemu go z nimi nie ma.

Szary całun zasnuł niebo. Nad rzeką kłębił się tuman kwaśnego, gryzącego dymu, zasłaniając przycumowane do brzegu żaglowce i płaskodenne łodzie. W mieście ponad dachy domów co rusz strzelały żółte słupy ognia. Wiatr przywiewał od lądu okrzyki i jęki rozpaczy, a także huk płomieni oraz trzask walących się drewnianych konstrukcji.

Refugio, bez płaszcza, w porozrywanej koszuli, wyłonił się z chmury dymu z zupełnie

innej strony, niż go wypatrywali. Włosy miał zmierzwione, twarz umazaną sadzą. Skrzywił się na widok sporej liczby tobołków u stóp Isabel.

- Widowiska przykuwają uwagę, ale nie warto z tego powodu narażać się na głód - podsumował. - Uprzedzam, że jeżeli będę musiał sam to wszystko przenieść do łodzi, wezmę, co moje, a reszta pójdzie do rzeki.

Jak jeden mąż zwrócili się ku niemu, oburzeni, że zarzuca im opieszałość, lecz wyprzedził ich, zanim zdążyli zaprotestować.

- A gdzie doña Luisa? - zainteresował się. Enrique z westchnieniem pokręcił głową.

- Usiłowałem jej wytłumaczyć, że przyszedłem po nią na twój rozkaz, ale nie chciała słuchać. Moje argumenty w ogóle do niej nie trafiały, a kiedy zagroziłem, że zabiorę ją siłą, zbyła mnie śmiechem. Więc ją zostawiłem w spokoju, w obawie, że mógłbym ją skrzywdzić.

- A niech zostanie, jeśli tak się jej podoba - burknął Baltasar.

- Żeby zginąć? - zapytał cicho Refugio. - Mimo że za nic nie ponosi winy, Esteban na pewno się na niej zemści.

- Myślisz, że się do tego posunie? - zapytała Pilar.

- To więcej niż pewne, skoro nie może uderzyć w nas. Poza tym gubernator może przeprowadzić śledztwo na temat ludzi, których gościła pod swoim dachem. Dzięki podstępowi Estebana każdy mąż, kobieta i dziecko w okolicy szukają pilnie 'owego potwora El Leona. Nic dobrego z tego nie może wyniknąć.

- Więc im szybciej odpłyniemy, tym lepiej - zauważył cicho Charro. - Dopóki jeszcze mamy na czym.

- Czyżby zanosilo się na jakieś kłopoty? - Refugio obejrzał się na przewoźników.

- Zdaje się, zaczynają się wahać - wyjaśnił Charro.

- W takim razie niech idą. Tylko za wszelką cenę zatrzymajcie tę większą łódź.

- Potrzebujemy przewodnika - nieśmiało zauważył Charro.
- Jeżeli będziemy się przedzierać przez bagna.
- Jeżeli? - powtórzył ze zdziwieniem Baltasar. Ale nie dostał odpowiedzi, bo Refugio ponownie zniknął w chmurze dymu.
- Dokąd on poszedł? - wyjęczała Isabel.
- Podejrzewam, że po doñę Luisę. - W głosie Enrique wyraźnie słychać było niechęć.
- Dziesięć do jednego, że ją przyprowadzi - dodał Charro.
- Nie jestem głupcem, żeby się zakładać, skoro z góry można przewidzieć rezultat - odpowiedział mu Enrique. - Nie wiem, czemu on się nią tak interesuje - biadoliła Isabel.
- Wyrzuty sumienia czy samobiczowanie? - zastanawiał się Charro. - Sami wybierzcie. Nasz drogi Refugio ma skłonności do jednego i do drugiego.
- Kim jest ta doña Luisa? - Zaniepokojony Vicente wysunął się naprzód. - Co ją łączy z moim bratem?

Enrique coś mu odpowiedział, ale Pilar nie dosłyszała, co. Charro miał rację - myślała. Refugio obawiał się o Luisę, i dlatego nie chciał jej zostawić na pastwę losu. Ale czy na pewno tylko o to chodziło? Młodzieńcze miłości, zwłaszcza te niespełnione, często bywają silniejsze i trwalsze niż związki z późniejszych lat. Wtedy na statku tak ochoczo poszedł do jej kajuty, że wcale nie wyglądało to na poświęcenie. Oczywiście, gdyby jej się sprzeciwił, naraziłby na niebezpieczeństwo siebie i swoich ludzi, ale czy rzeczywiście musiał ją emablować z takim entuzjazmem?

Miłość jest okropna! Tyle lęków się przez nią przeżywa, tak wiele się ma wątpliwości.

Nagle ogarnęła ją zazdrość o czas, który Refugio poświęcił Luisie. Zazdrościła wdowie, że znała Refugia, kiedy był młody i beztroski. Zapewne był czarującym młodzieńcem - dowcipnym, kipiącym humorem, a przy tym nieco sentymentalnym. Nigdy już taki nie

będzie, a ona nigdy nie pozna tamtego Refugia. Wielka szkoda!

Kiedy się obudziło w niej to uczucie? Czy już na patio w Sewilli? A może w górach, gdy się dowiedział, że Esteban porwał jego brata? Wie na pewno, że wtedy poruszył w niej jakąś czulszą strunę, ale nie chciała się do tego przyznać nawet przed sobą.

Po co w ogóle się nad tym zastanawia? Refugio był rozbójnikiem, banitą. Teraz ścigano go nie tylko w Hiszpanii, ale i tu, w Nowym Świecie. Nie czekało go nic dobrego, nie mógł sobie pozwolić na dzielenie życia z kobietą. Trzymał przy sobie ją i Luisę, bo czuł się za nie odpowiedzialny, ale obie były dla niego ciężarem. Kochanie się z którąkolwiek z nich stanowiło dla niego krótką chwilę wytchnienia, ucieczkę od rzeczywistości.

Refugio nie ma prawa poznać jej uczuć. Nie potrafiła przewidzieć, jak by się zachował, gdyby się dowiedział. Czy odsunąłby się od niej, przypominając, że nigdy nie zamierzał jej uwieść? A może udawałby, że odwzajemnia uczucie? Nie zniosłaby ani jednego, ani drugiego. Z żalu ścisnęło ją w gardle, a w oczach zakręciły się łzy. Ocierając je, miała nadzieję, że jeśli je ktoś zauważył, pomyślał, że dym gryzie ją w oczy.

Było to całkiem prawdopodobne. Nowy Orlean płonął. Od przenoszonych z wiatrem płomieni zajmowały się kolejne domy. Ludzie chwyтали po drodze dobytek i uciekali w panice z miasta. Tłum wylewał się z bram w palisadzie i zmierzał ku rzece. Co sprytniejsi pogorzelnicy wskakiwali do łodzi i wypływali na środek, by tam bezpiecznie przeczekać pożar. Dom Estebana musiał doszczętnie spłonąć, podobnie jak reszta posesji przy ulicy Chartres. Zajął się nawet część statków przycumowanych do wału. Ich maszty przypominały zapalone pochodnie. Nagle gdzieś w pobliżu palisady rozległ się potężny huk. Odgłos wybuchu przetoczył się po wodzie, a fontanna piachu i iskier wystrzeliła pod niebo pomarańczowożółtym fajerwerkiem.

- Co to było?! - zawołała piskliwie Isabel.

- Chyba proch się zapalił - domyślił się Charro.

- Tak, to magazyn z prochem - potwierdził Baltasar.

- Teraz dopiero zacznie się piekło. - Charro smętnie pokiwał głową.

Nie pomylił się. Eksplozje następowały jedna po drugiej. Wielu kolonistów utrzymywało się z polowań, więc sklepikarze i myśliwi gromadzili zapasy prochu. Jego wybuchy potęgowały teraz siłę ognia. Wyglądało na to, że pożar strawi całe miasto. Usłyszeli cichy chlupot. Przewoźnicy, korzystając z zamieszania, ukradkiem spychali łodzie na wodę.

- Hej! A wy dokąd?! - wrzasnął Charro, zbiegając po łagodnym zboczu wału.

- Przykro nam! Ale nie zamierzamy tracić czasu, kiedy się trafia okazja, żeby zarobić trochę pieniędzy! - odkrzyknęli.

Zazgrzytał metal. To Charro wyszarpnął z pochwy szpadę. Enrique i Baltasar, widząc, co się święci, z obnażoną bronią rzucili się za nim. Nieuzbrojony Vicente deptał im po piętach. Charro pierwszy dopadł do brzegu. Na widok wycelowanego w siebie sztychu przewoźnicy odskoczyli od łodzi. Baltasar zbiegał z góry ze szpadą uniesioną nad głową. Kiedy z całej siły zderzył się z mężczyznami, obaj padli na ziemię jak dłudzy. Potężny banita nachylił się nad jednym z nich, uniósł go nieco za poły koszuli i rękojeścią szpady wymierzył mu potężny cios w szczękę. Enrique wyciągnął zza pasa sztylet i uchwytem zdzielił drugiego w głowę. Bandyty pochylili się nad przewoźnikami, którzy, rozciągnięci na ziemi, pojękiwali cicho, nie wykazując najmniejszej chęci do stawiania oporu.

- Brutalne, ale skuteczne. - Gdzieś nad sobą usłyszeli zasapany głos Refugia. Biegł wzdłuż wału. Płaszcz miał przysypany popiołem, a po jego czarnej od sadzy twarzy spływały strużki potu.

- Niech wszyscy natychmiast wsiadają do łodzi i odbijajcie od brzegu! - Machnął ręką

w kierunku większego czółna.

Refugio niósł Luisę. Zwisiała przerzucona przez jego ramię i szlochając, jednostajnie biła go pięściami po plecach. Po chwili z chmury dymu wyłoniła się grupa rozjuszonych mężczyzn, uzbrojonych w sierpy i motyki.

- Podpalacz! Morderca! El Leon! Zabić go! Zabić! wrzeszczeli. Charro, ciągle jeszcze z nagą klingą w dłoni, odwrócił się do Refugia.

- A przewoźnicy?! - zawołał.

- Zostawcie ich! Spychajcie łódź!

Stali jak oniemiały. Dopiero wiązka jego soczystych przekleństw poderwała ich z miejsca. Podbiegli do łodzi. Enrique gorączkowo wrzucał ostatnie pakunki. Baltasar, najsilniejszy z nich wszystkich, spychał łódź z błotnistej brzozy. Kiedy uniósł ją prąd, wszedł do wody i wdrapał się na rufę. Refugio, nie zwalniając kroku, cisnął w stronę oszołomionych przewoźników parę sztuk srebra jako zapłatę za czółno. Potem wbiegł do rzeki. Fontanny wody bryzgały w górę, zalewając twarz Luisie, która krzyczała ze strachu, zachłystując się wodą. Dobrnąwszy do łodzi, Refugio jedną ręką uchwycił się burty, a drugą podsadził wdowę tak, by Enrique mógł ją złapać wpół. Akrobata przeciągnął ją nad burta jak worek mąki i opuścił na dno łodzi u swych stóp. Gdy się pochylił, żeby pomóc jej usiąść, wymierzyła mu policzek i wybuchnęła histerycznym płaczem.

Refugio odbił się od dna i robiąc salto w powietrzu, wylądował w łodzi, ociekając wodą. Baltasar i Charro złapali za wiosła. Na brzegu, po kostki w wodzie, stał tłum wściekłych mężczyzn, którzy wygrażając, czym kto miał w ręce, miotali za nimi przekleństwa. Refugio podczołgał się do rufy i ujął ster. Łódź zachybotowała się i obróciła w przeciwną stronę.

- Co robisz?! - zawołał Baltasar. - Dlaczego chcesz płynąć pod prąd?

- A co nas czeka w dole rzeki? - odpowiedział pytaniem Refugio. - Nie możemy wrócić do Hiszpanii, w Hawanie też nas nie przyjmą z otwartymi ramionami. Jesteśmy ścigani. Teraz, kiedy Esteban rozgłosił, kim jesteśmy, gubernator Miro poleci przeszukiwać wszystkie statki. Pewnie już nawet w Indiach Zachodnich wiedzą, jak wyglądamy. Pozostaje nam tylko jeden kierunek.

- To znaczy?

- Popłyniemy do odległej, mitycznej krainy, w której mieszkają przedziwne bestie i plemiona dzikusów. Podobno jest tam pięknie, zwłaszcza gdy słońce o zachodzie wyłącza ziemię po horyzont.

- Kraina Tejas - westchnął Charro, a jego niebieskie oczy aż rozbłysły ze szczęścia.

- Matko Boska! - jęknęła Luisa. - Zginiemy wszyscy! Znowu zaniósła się szlochem.

- Albo ocalimy skórę - mruknął Enrique.

- Może wszyscy o nas zapomną - dodał z nadzieją Baltasar.

- Nadchodzi godzina próby - wyszeptał do siebie Vicente.

- Ale to tak daleko - żaliła się piskliwie Isabel.

Pilar bez słowa obejrzała się na Refugia. Zastanawiała się, o czym teraz myśli. Czy na pewno wiedział, na co się porywa?

Refugio spoglądał przez ramię na płonący Nowy Orlean. W łunie pożaru jego umazana sadzami twarz połyskiwała czerwono, a kropelki wody, które odrywały się od rzęs i staczały po policzkach, do złudzenia przypominały łzy.

## **ROZDZIAŁ XVI**

Refugio zanurzył ster głębiej w żółtozieloną wodę i odbił łodzią w prawo, by uniknąć zderzenia z dryfującym pniem.

Budził się jasny, bezchmurny dzień. Słońce przygrzewało, a wiatr od rufy ułatwiał



wiosłowanie, przynosząc ulgę po mozolnym wysiłku, który był jak pokuta za grzechy.

Ponieważ uwagę Refugia pochłaniała walka z prądem, omijanie wirów oraz niesionych przez wodę pni, a także nieustanne wypatrywanie piratów i Indian, nie miał zbyt wiele czasu na myślenie ani na wspomnianie. Tak było zdecydowanie lepiej dla niego.

Wieczorem szybko opanował sztukę sterowania łodzią. Długo płynęli, zanim zdecydowali się rozbić obóz na brzegu. Mogli poprosić o nocleg któregoś z właścicieli plantacji, rozsianych wzdłuż rzeki, i prawdopodobnie spotkaliby się z gościnnym przyjęciem, ale woleli unikać zbędnego ryzyka. Im mniej ludzi wiedziało, gdzie są, tym lepiej.

Nocleg wypadło im spędzić w prymitywnych warunkach. Co prawda mężczyźni bez trudu zasnęli na twardej, wilgotnej ziemi i nawet nie przeszkadzały im roje małych, kąśliwych komarów, ale Refugiowi żal było kobiet. Nie były przyzwyczajone do takiego życia.

Na ławeczce przed nim siedziała Pilar. Plotła dla nich wszystkich kapelusze z palmowych liści, które zerwała wieczorem. Tylko od czasu do czasu odrywała wzrok od roboty, żeby popatrzeć na przesuwany się krajobraz. Luisa zwinęła się u jej stóp. Dalej, na następnej ławce, siedział Vicente z Baltasarem, a za nimi, na tobołkach rozrzuconych na dnie łodzi, ułożyła się Isabel. Charro i Enrique zajmowali miejsca na dziobie. Wiosła w rękach mężczyzn unosiły się i opadały w zgodnym rytmie, który uspokajał, a zarazem dodawał animuszu. Luisę prawdopodobnie zmógł sen, bo wreszcie przestała utyskiwać. Od chwili, kiedy Refugio wciągnął ją do łodzi, nie zamykały jej się usta. Wdowa źle znosiła trudne warunki.

Co innego Pilar. Domagała się swojej kolejki przy wiosłach i kilkakrotnie zastąpiła Vicente.

Wieczorem opatrzyła im drobne rany i zadrapania, a potem ułożyła się do snu na szorstkiej derce obok Refugia. Osłoniła twarz przed rojem atakujących insektów i nawet

udało jej się zdrzemnąć. W dzień cierpliwie plotła kapelusze z ostrych palmowych liści i na zmianę z mężczyznami czuwała nad bezpieczeństwem. Z jej ust nie padło jedno słowo skargi, nie pytała, dokąd płyną ani ile czasu zajmie im podróż. Jej wytrwałość wcale nie umniejszała poczucia winy El Leona.

Dziewczyna zasługiwała na lepszy los. Lecz co z tego, skoro on prawdopodobnie nigdy nie będzie w stanie go jej zapewnić. Szanse na urządzenie się w cywilizowanym świecie, nie mówiąc już o powrocie do Hiszpanii, były znikome. Wiele powodów złożyło się na to, że ciągnął ją ze sobą na tę wyprawę w nieznane. Między innymi przez swój egoizm, a także z powodu osobistych, szczerze mówiąc, niskich pobudek skazał ją na banicję, narażał jej życie na równi z życiem swych ludzi.

Wyrzuty sumienia paliły go jak rozżarzone węgle.

W słońcu włosy Pilar nabrały odcienia starego złota.

Promienie ślizgały się po zarysie jej policzka i smukłej szyi, nadając skórze na twarzy i przedramionach jedwabisty połysk. Refugio powrócił myślą do ostatniej nocy, leżała ufnie przytulona do niego. Na wspomnienie dotyku jej ciała mocniej zanurzył w wodzie ster.

Jeżeli chmury, które napływały z południowego zachodu, nie przesłonią nieba, ostre słońce spali skórę Pilar. Wszyscy będą poparzeni. Może kapelusz rzuci choć trochę cienia na jej twarz. Nie myślał wyłącznie o jej boleśnie opalanej skórze. Obawiał się o zdrowie dziewczyny. Mężczyźni byli przyzwyczajeni do przebywania na słońcu, ona nie. Podobnie zresztą jak Luisa i Isabel.

Pilar odwróciła się i spojrzała na Refugia. - Czy coś cię zaniepokoiło? - spytała.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że marszczy czoło i zaciska zęby. Czym prędzej rozluźnił mięśnie.

- Nie, nie. Po prostu jest mi tak wesoło jak mułowi, który dźwiga na grzbiecie ładunek

siana i nie wie, gdzie go zrzucić. Co jeszcze może mnie teraz niepokoić?

- Wiele rzeczy. Ale żadna z nich nie jest warta, żeby popadać w przygnębienie.

- A co mi pozostało? W tej chwili nie mam nic lepszego do roboty.

- Jeżeli myślisz o Nowym Orleanie, to naprawdę nie ty jesteś winny pożaru.

- Dotąd nie przyszło mi to do głowy.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Domyślam się, czego się boisz. Podejrzewasz, że znowu wpadnę w depresję i

zostawię cię na pastwę losu. - Wcale nie - zaprzeczyła, patrząc na niego z powagą. - Jestem przekonana, że wtedy świadomie uciekłeś od rzeczywistości.

- Pochlebiasz mi.

- Nie sądzę. A poza tym nie doceniasz mnie. Myślę, że poradziłabym sobie. Może potrzebowałabym wsparcia, kto wie, czy nie wpadłabym w tarapaty, ale jakoś bym się urządziła. Ogarnęło go dziwne uczucie, jakby niepokój.

- Zdaje się, dajesz mi do zrozumienia, iż poczyniłaś już pewne plany - powiedział ostrzej, niż zamierzał. Sama mi o tym opowiesz czy każesz zgadywać?

- Ani jedno, ani drugie. Nie wszyscy mówią tak aluzyjnie jak ty. Po prostu stwierdziłam fakt.

- Więc sama to wymyśliłaś?

- A któż by inny? Nie mam nikogo, kto by za mnie myślał.

- Czy to oznacza, że nie masz zamiaru brać pod uwagę moich intencji?

- To znaczy tylko tyle, że nie uważam, iż ponosisz za mnie odpowiedzialność. Coraz lepiej potrafiła odgadywać jego myśli. Powinien mieć się na baczności.

- W takim razie się mylisz. Odpowiadam za ciebie, odkąd przystałem na twój plan tam, w ogrodzie. Cokolwiek byś powiedziała, nie zwolni mnie to z zobowiązań względem

ciebie.

- Jeżeli odpowiada ci rola męczennika, nie potrafię cię od niej odwieść.

- Ale przyznasz, że dobrze ją odgrywam? - Miał nadzieję, że nie dostrzegła goryczy w jego głosie.

- Doskonale. I właśnie dlatego czuję, że obwiniasz się za pożar Nowego Orleanu.

- Brzmi to całkiem logicznie. - Mocniej uderzył sterem o wodę.

- Uważasz, że powinieneś był powstrzymać Estebana. - Pokręciła głową. - Niby jak miałeś tego dokonać?

- Należało go zabić jak jadowitego węża, by już nie miał szansy więcej kąsać.

- Ty tak nie potrafisz.

- Nie. Ale czy nie sądzisz, że to źle? - Zawiesił głos, czekając, co mu odpowie.

- Niektórzy mogą tak myśleć - odparła, patrząc mu w oczy. - Lecz ja cię rozumiem. -

Gdybyś zabił go z zimną krwią, okazałbyś się takim potworem jak on. Jest w tym wszystkim dużo mojej winy. Być może znalazłbyś jakiś bezpieczniejszy sposób, żeby się dostać do jego domu, gdybym z tobą nie poszła.

- A może nigdy bym się nie zdobył na to, żeby się tam wdrzeć? Nie ma co snuć domysłów. To ja zdecydowałem, w jaki sposób znajdziemy się w domu twego Ojczyma.

- Ale musiałeś mieć na względzie moje bezpieczeństwo, co w efekcie przyczyniło się do pożaru. Może nie doszłoby do walki i pojedynku w kaplicy, gdybym się w to wszystko nie wmieszała?

- Nie odżałowałbym, bo szukałem pretekstu, żeby go nadziać na szpadę. Szczególnie jak zobaczyłem Vicente. To nie twoja wina, że mi się nie udało.

- Chcesz mnie pozbawić poczucia winy, podobnie jak możliwości odpowiadania za siebie?

- Nigdy nie zamierzałem cię czegokolwiek pozbawić. - Te słowa zdawały się wisieć między nimi, gdy skrzyżowali spojrzenia.

- Zamiary się zmieniają - zauważyła oblana rumieńcem, który miał niewiele wspólnego z działaniem słonecznych promieni.

- Podobnie jak ludzie - odpowiedział, kiwając głową.

- O czym tam tak zawzięcie dyskutujecie? - zapytał Vicente, oglądając się przez ramię.

- O kradzieży i dobrych intencjach - zbył go Refugio.

- Ach, chodzi o szkatułkę? Zajrzałem do niej, wiesz?

- N o, niezupełnie o szkatułkę - odpowiedział nieco zniecierpliwiony Refugio, puszczając mimo uszu wyraźny wyrzut w głosie młodego człowieka.

- Uważam, że powinniśmy o tym porozmawiać - nie ustępował Vicente. - Wyobrażasz sobie, jak się czułem, uczestnicząc w rabunku? - Nieco zmieszany, patrzył z powagą na brata.

- Pewnie lepiej bym to sobie wyobraził, gdybym przewidział, że na tym uniwersytecie zmienią cię w świętoszkowatego durnia.

- Tak jest, powyżywaj się na mnie. - Odślonił zęby w sztucznym uśmiechu. - Zdążyłem się do tego przyzwyczaić, ale weź pod uwagę señoritę Pilar.

- Jak na tak krótką znajomość zbyt poufale mówisz o tej damie - zwrócił mu uwagę Refugio. - Poznałem ją przed tobą, mój bracie.

- Czyżby? Uprzejmy ton Refugia niósł ze sobą ostrzeżenie, lecz Vicente zignorował je.

- Najpierw skontaktowała się ze mną.

- Więc dlaczego nie pośpieszyłeś jej z pomocą?

Mogłeś wzorem legendarnych mauretańskich książąt porwać ją na swego rumaka i uwieźć daleko od prześladowców.

- Nie prosiła mnie o pomoc - wykręcił się sprytnie. Refugio skłonił głowę przed Pilar.

- Moje gratulacje. Zyskałaś nowego rycerza. Następnego w kolejce.

- Czuję się zaszczycona.

- Nie wątpię - stwierdził zgryźliwie, po czym zwrócił się do Vicente: - A wracając do złota. Gdzie masz szkatułkę? Vicente ponownie spochmurniał.

- Nie mogłem jej zabrać, kiedy sprawdziłem, co zawiera.

- Zostawiłeś ją?

Kiwnął głową, nie odrywając wzroku od twarzy Refugia, który patrzył na młodszego brata z rosnącym rozbawieniem.

- Oto jak krótko trwa rycerska sława - powiedział Refugio, krztusząc się ze śmiechu. -

Złoto należało do tej oto damy, mój galancie. I bardzo jej na nim zależało.

- Zostawiłeś je?! - zapytała z niedowierzaniem Pilar. Nie wzięłaś szkatułki z domu Estebana?

- Myślałem ... myślałem, że ... słusznie postępuję. - Vicente wiercił się niespokojnie na ławeczce, rzucając błagalne spojrzenia na brata. Ale Refugio ani myślał przyjść mu z pomocą.

- A dom spłonął - powiedziała Pilar.

- Pewnie tak - zgodził się słabym głosem Vicente.

Patrzyła na niego bez słowa. Pionowa zmarszczka na jej czole wygładziła się stopniowo, gdy jej spojrzenie zatrzymało się na oszpeconym blizną policzku.

- Chyba nie mam prawa się uskarżać - pokręciła głową z westchnieniem. - Zrobiłam ci znacznie większą krzywdę. Właściwie ... powinnam cię przeprosić.

- Nie ma za co. Refugio się nie zgadzał, bym dołączył do jego bandy, a teraz nie ma wyjścia. Jestem ci za to wdzięczny.

- Nie zgadzał się? Vicente posłał bratu butne, a zarazem pełne ciepła spojrzenie.

- Uważał, że jeden bandyta w rodzinie wystarczy.

- Bo to prawda - wtrącił szorstko Refugio.

Pilar i Vicente wymienili porozumiewawcze uśmiechy, po czym Vicente odwrócił się, a Pilar zajęła się swoją robotą.

Refugio, wpatrzony w jej wyprostowane plecy, myślał o tym, co przed chwilą powiedziała. Żał mu było, że się rozwiały jej nadzieje, ale jednocześnie odczuwał zadowolenie, bo długo jeszcze będzie go potrzebowała.

Chwilę później zaintonował szantę. Podchwycili ją wioślarze i łódź zwawiej popłynęła na północny zachód, tak jak wiła się rzeka.

Po zmroku rozbili obóz na brzegu, lecz, zamiast położyć się spać, rozsiedli się wokół ogniska i, syci po posiłku, odpoczywali po trudach dnia, zapatrzeni w niebieskie płomyki, pełzające po rozżarzonych gałązkach. Isabel przyrządziła im dziwną, wąsatą rybę, którą Vicente złowił za pomocą spinki do włosów, pożyczonej od Pilar. Dym z ogniska chronił ich przed komarami. Noc wypełniało cykanie świerszczy, rechot żab i odgłosy nieznanych nocnych stworzeń. Na granatowej kopule nieba migotały gwiazdy. Gdzieś na bagnach rozległ się głos polującej pумы, do złudzenia przypominający kobiecy płacz.

O świcie minęli wioskę Baton Rouge. Potem nie natrafili już na żadne ludzkie siedziby. Wiedzieli, że prędzej czy później powinni dotrzeć do fortu i osady Natchez, usytuowanych na wysokiej skarpie. Tymczasem byli chyba jedynymi ludźmi na tych niezmiernych, dziewiczych obszarach.

Świadomość tego faktu fascynowała Refugia. N owa ziemia w niczym nie przypominała mu Hiszpanii. Na płaskich, podmokłych terenach porośniętych drzewami bujnie krzewiły się pnącza raniące ich skórę, kiedy się przez nie przedzierali. Spotykali aligatory i węże, a także dziwne, ostronose stworzenia o zmierzwionej sierści, które nosiły

swoje małe w torbach na brzuchach. To przesycone tysiącem tajemniczych odgłosów pustkowie budziło niepokój, a zarazem intrygowało.

Okres świetności Hiszpanii przeminął. Mimo bogactwa dworu w Madrycie, flotylli statków na oceanach i kolonii w najdalszych zakątkach świata złoty wiek ich ojczyzny należał do przeszłości. Od stu lat bowiem kraj stopniowo chylił się ku upadkowi.

Hiszpania zbudowała swą potęgę dzięki odwadze, inteligencji i szlachetności narodu. Ci, co nią rządzą, uważali ją za kraj idealny, tak idealny, że nie uznawali za stosowne wprowadzać żadnych zmian ani nadstawiać ucha na nowe idee. Skostniali w swych poglądach, zachowawczy w działaniach, bali się wszystkiego, co niesło ze sobą powiew świeżości, i zaciekle bronili tradycji. Wojny pochłaniały bogactwa zdobyte w Nowym Świecie, a kolonie na mocy traktatów pokojowych przechodziły w obce ręce. Hiszpania dogorywała. Ludzie pokroju Estebana pasożytowali na niej, ciągnąc, ile się da, z ginącego Imperium.

Nowy Świat atoli zdawał się stwarzać ludziom nieograniczone możliwości. Po raz pierwszy od wielu lat Refugio nie musiał wciąż mieć się na baczności. Tutaj nocą jedynym zagrożeniem była dzika natura.

Doña Luisa pacnęła komara, który usiadł jej na przedramieniu. Miska z duszoną rybą podskoczyła na kolanach i tłusty sos wylał się na spódnicę. Wdowa zerwała się, piszcząc histerycznie, i z wściekłością, z całej siły kopnęła miskę czubkiem pantofla, aż potoczyła się w ognisko.

- Dłużej tego nie zniosę! - zawołała. - Komary zjadają mnie żywcem! Mam spaloną skórę. Wyglądam już jak Mulatka mojego męża! Chodzę ciągle w tej samej sukni i jem coś, co nadaje się tylko dla świń! Żądam, byście odwieźli mnie z powrotem! Daję tysiąc, nie, dwa tysiące peset temu, kto zabierze mnie do Nowego Orleanu!



Refugio czym prędzej sięgnął po gałązkę i odepchnął miskę od ognia. Nadpalona, odtoczyła się na bok. Każdemu z nich przypadało tylko jedno naczynie i trudno było przewidzieć, kiedy uzupełnią zapasy.

- Masz tyle samo, co wszyscy - zwrócił się do niej. - Ale skoro przyszła ci ochota umierać, możemy cię tu zostawić. To o wiele prostsze od powrotu do Nowego Orleanu.

- Zostawić?! Tutaj? To by się równało morderstwu! Popatrzyła na niego z oburzeniem.

- Niekoniecznie - wtrącił Enrique, rzucając jej kąśliwe spojrzenie. - Być może trafiłby się jakiś Indianin, który wziąłby cię do swego łóża. W dzień zaganiałby cię do pracy, a kiedy urodziłabyś mu czterech czy pięciu małych dzikusów, dałby ci wreszcie spokój w nocy.

- Obrzydliwe - warknęła Luisa, ciskając mu zde gustowane spojrzenie spod przymrużonych powiek.

- Tylko na początku, ale potem można się przyzwyczaić.

- Jesteś bezczelny.

- A ty zepsuta i próżna, ale wybaczam ci.

- Nie prosiłam o twoje wybaczenie! - krzyknęła.

- Czyż nie sądzisz, że zachowałem się wspaniałomyślnie, udzielając ci wybaczenia, mimo że o nie nie prosisz? Pilar siedziała z rękami wspartymi na kolanach i przysłuchiwała się ich wymianie zdań.

- Pani Luiso - odezwała się, wstając. - Dopóki don Esteban przebywa w Nowym Orleanie, pani życiu zagraża niebezpieczeństwo. Chęć zemsty odbiera mu rozum. - No tak, to przecież twój ojczym. - Luisa uniosła kąćki ust w zjadliwym uśmiechu. - Należało podejrzewać, że sprowadzisz na nas nieszczęście.

- Nie oskarżaj Pilar - ostro zaprotestował Enrique. Z własnej woli złączyłaś swój los z naszym na pokładzie "Celestiny". Szukałaś dreszczyku emocji. To nie nasza wina, że

wszystko okazało się bardziej niebezpieczne, niżbyś sobie życzyła.

- Może twojej Pilar odpowiada życie w bandzie rzezimieszków, ale mnie nie, señor!

- Nie? - Enrique uniósł brwi z udawanym zdziwieniem. - Już na statku wiedziałas, kim jesteśmy. Wtedy ci to nie przeszkadzało.

- Kłóćcie się, ile chcecie, jeżeli wam to sprawia przyjemność - wtrącił się Refugio. -

Ale nie ma mowy o powrocie do Nowego Orleanu, Luiso. Pilar ma rację. Wywiozłem cię stamtąd przed zemstą Estebana. I nie ma podstaw sądzić, że niebezpieczeństwo minęło.

- Nie wierzę, że on by mnie skrzywdził. - Luisa dumnie odrzuciła głowę.

- Tak samo myślała moja siostra o jego synalku. Przecież jesteś dzielną kobietą.

Inaczej nie wybrałabyś się w podróż do Luizjany. Potrzeba nam teraz dużo odwagi. - Nie znoszę braku wygód - uskarżała się Luisa, odganiając komara. - Nie mogę już patrzeć na wodę. Gdzie spojrzę, nic, tylko woda i woda.

- Niedługo oddalimy się od rzeki. Jeszcze zatęsknisz za widokiem wody. Ale potrafisz wiele znieść, bo jest w tobie siła, której istnienia nawet nie podejrzewasz.

- Tak myślisz? - zapytała, nie patrząc na niego.

- Naturalnie. Płynie w tobie krew przodków, którzy w Hiszpanii walczyli z Maurami i ginęli w obronie wiary. Albo ze szpadą w dłoni i modlitwą na ustach stawili czoło Indianom, zdobywali ich ziemie, a potem w chwale wracali do ojczyzny z sakwami wypchanymi złotem.

- Tak było - przyznała doña Luisa i przysiadła na trawie, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. - Czy myślisz, że znajdziemy złoto w Tejasie? Charro, który siedział za jej plecami, pokręcił głową.

Już otwierał usta, żeby jej odpowiedzieć, lecz Refugio powstrzymał go ledwo widocznym ruchem ręki.

- Słynny podróżnik Francisco Vasquez de Coronado przeczesał zachodnie tereny

Nowego Świata w poszukiwaniu bogactw siedmiu miast mitycznej krainy Ciboli mówił spokojnie Refugio. - I nigdy ich nie znalazł. Ale czy to oznacza, że nie istnieją? Przecież dalej, na południu, Indianie przystrajali się w ozdoby z litego złota. Dużo się także mówiło o srebrze.

- To byłoby naprawdę coś, gdybyśmy powrócili z wyprawy z majątkiem - westchnęła doña Luisa.

- Prawda? - mruknął Refugio, a tymczasem Charro z Enrique wymienili błazeńskie spojrzenia. Doña Luisa nie odezwała się więcej, wyraźnie pochłonięta marzeniami.

- Mój ojciec miał złoto - pochwaliła się Isabel śpiewnym, cichym głosem. - Bawiłam się złotymi monetami.

Ustawiałam je w wysokie słupki na stole. A potem wszystko przegrał. Nic nie mieliśmy. Wyrzucono nas z domu i włóczyliśmy się po ulicach w łachmanach. I wtedy znalazł mnie Refugio. Wyrwał mnie z rąk dwóch woźniców, którzy chcieli mnie zaciągnąć do stajni.

- Isabel, nie myśl o tym - przerwał jej szorstki głos Baltasara. - Nie opowiadaj tych historii - dodał zrezygnowany. - Chodźmy już spać. Podniosła na niego smutne oczy.

- Tak - zgodziła się po chwili z nieśmiałym uśmiechem. - Chodźmy. Refugio odprowadził spojrzeniem oddalającą się parę. Mrużył przy tym oczy, jakby chciał stłumić dręczący go ból.

Jakiś czas później wszyscy rozłożyli posłania. Refugio długo leżał zapatrzony w upstrzone gwiazdami niebo. Drwiący uśmieszek błąkał mu się wokół ust, gdy powrócił w myślach do rozmowy z Luisą. Złoto. Mój Boże! Ani mu w głowie bogactwo. Usiłował wykrzesać z siebie choć odrobinę nadziei na przyszłość. Jak dotąd z marnym skutkiem. Nie potrafił przewidzieć, co ich jeszcze czeka.

Nadzieja na przyszłość ... W ostatnich latach nie miał jej zbyt wiele. Zdążył pogodzić się z myślą, że długo nie pożyje. Tak przynajmniej mu się dotąd wydawało. Ale okoliczności się zmieniły. Hmm, może naiwne marzenia nie są wyłącznie domeną infantylnych wdów ... W tej chwili przepełniało go zadowolenie. To uczucie, od dawna mu obce, budziło w nim pewien niepokój. Sen nie nadchodził. Przyglądał się Pilar, śpiącej u jego boku. Nasłuchiwał jej równego oddechu i odganiał krążące nad nią komary. Kiedy rano wsiadali do łodzi, doña Luisa spojrzała na twarz Pilar.

- Jak to możliwe, że nie masz śladów po ukąszeniach? Ja tak opuchłam, że wyglądam jak ropucha, a skóra piecze mnie żywym ogniem.

- Nie wiem, dlaczego mnie nie pogryzły. - Pilar dotknęła policzka.

- Jeżeli nacierasz się jakimś balsamem, który tak dobrze działa, wypadałoby się nim podzielić.

- Naprawdę nic takiego nie mam. Widocznie nie smakuje im moja krew. Luisa wcale nie wyglądała na przekonaną, kiedy zajęła swe miejsce w łodzi.

- Słowo daję - zapewniła ją Pilar. - Przecież gdybym miała jakiś środek na komary, podzieliłabym się nim z tobą.

Refugio odwrócił głowę, aby ukryć przewrotny uśmiezek.

Kilka dni później wpłynęli na Rzekę Czerwoną i skierowali łódź w jeden z jej zachodnich dopływów. Właśnie kończył się drugi tydzień ich podróży, kiedy dobili do przystani starej stancy wojskowej, Saint Jean de Baptiste de la Natchitoches.

Gdy wyciągali łódź na nadbrzeże, padał ciepły deszcz. Krople tworzyły bąbelki na powierzchni wody i szemrały, spływając po soczyście zielonych liściach drzew. Słońce przeświecało przez chmury, a jego promienie, rozszczepione w tysiącach maleńkich pryzmatów, zalały las seledynową poświatą. Mimo duchoty marzli w swych przemoczonych,

przyklejonych do ciała ubraniach.

Mieszkańcy stancy przywitali ich z pewną rezerwą, ale przyjaźnie, bo w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu każdy przybysz ze "świata" był mile widzianym gościem. Niemniej Refugio wolał nie informować ich o pożarze Nowego Orleanu. Nie wiedział dokładnie, co spłonęło i ile osób zginęło. Taki brak zainteresowania tragedią mógłby narazić ich na szereg niewygodnych pytań i nie wiadomo, czy potrafiliby znaleźć na nie przekonujące odpowiedzi.

W atmosferze sennej, małej osady, w wyglądzie prostych, a przy tym wygodnych chat było coś ujmującego. Urzekła ich gościnność mieszkańców i ich śpiewna mowa, w której przeplatały się francuskie, hiszpańskie, indiańskie oraz afrykańskie słowa. Mieli nadzieję, że na tej oddalonej od Nowego Orleanu placówce nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo, jednak woleli mieć się na baczności, bo skoro oni dotarli do niej bez trudu, ktoś niepożądany również mógł tu trafić.

Łódź sprzedali bardzo korzystnie. Do zarobionych pieniędzy dołożyli resztę srebra i wybrali konie.

Kupili krępe, szybkie koniki, nawykłe do długiej jazdy po równinach. Natomiast Vicente wyszukał sobie młodego ogiera o szlachetnym wyglądzie i uparł się, że musi go mieć. Uzupełnili zapasy żywności o mąkę, ziarno kukurydzy, suszoną wołowinę, wędzony boczek, fasolę i paprykę. Dokupili dwa muszkiety oraz zapas amunicji, a także nabyli dwa juczne muły.

Doña Luisa uparła się, by każda z kobiet dostała zapasowy strój. Niestety, mieli jedynie tani perkal, który nadawał się wyłącznie do handlu wymiennego z Indianami. Enrique zniknął im z oczu, by po chwili powrócić z naręczem bluzek i koszul oraz suknią w rozmiarze Luisy. Ponieważ nie chciał wyjawic, skąd wziął te rzeczy, mogli się jedynie domyślać ich

pochożenia, bo były wilgotne, jakby dopiero co ktoś je pozdejmował ze sznura. Niemniej Enrique, przynajmniej na jakiś czas, zyskał sobie przychylność i uznanie dam.

Dwa dni później opuścili stanicę, kierując konie na trakt, który wiódł wzdłuż rzeki Sabine w stronę odległej krainy Tejas.

## **ROZDZIAŁ XVII**

Komary przestały ich nękać, kiedy przeszli w bród Sabine. Przez kilka dni przemierzali łagodne stoki wzgórz, porośnięte sosnami, hikorami, drzewami gumowymi, jesionami, dzikimi śliwami o niedojrzałych owocach i krzakami głogu, obsypanymi zielonymi jagodami. W miarę jak jechali, las rzedł, a karłowate dęby ustępowały miejsca wysokim drzewom. Wzgórza przechodziły w równiny, kręte rzeczki zwęzały się i rozszczepiały. Suchą ziemię pokrywały bujne trawy, czesane podmuchami wiatru.

Teraz Charro został ich przewodnikiem. Wąskimi ścieżkami prowadził ich cały czas na południowy zachód. Z góry jednak zaznaczył, że nie zna dokładnie drogi. Wielokrotnie miał okazję słuchać opowieści o szlaku, który stanowił część El Camino Real, czyli traktu królewskiego. Rozpoznawał niektóre miejsca, opisywane w historiach o zaginionych kupcach i masakrach dokonywanych przez Indian. Wiedział, że szlak zaczynał się w Natchez na wschodnim brzegu Missisipi, przecinał rzekę, wiódł do Natchitoches, a stamtąd prowadził przez osady misyjne nad Sabine aż do Mexico City. Kiedyś na szlaku panował spory ruch. Gdy Luizjana była jeszcze w rękach Francuzów, poddani hiszpańskiego króla przemycali tędy srebro z kopalń w Nowej Hiszpanii, skutecznie pozbawiając swego władcę wpływów do szkatuły, i prowadzili handel wymienny z Francuzami, co według hiszpańskiego prawa było zabronione. Z tego samego szlaku korzystał St. Denis, dowódca stancy w Natchitoches, udając się z misjami dyplomatycznymi do hiszpańskich osad, położonych wzdłuż Rio Grande. To właśnie podczas jednej z takich wypraw Hiszpanie oskarżyli go o przemyt i zaarrestowali.

A potem ożenił się z córką komendanta garnizonu, który go osadził w więzieniu. Kiedy jakieś szesnaście lat temu zlikwidowano osady misyjne nad Sabine, a przejście Luizjany w ręce Hiszpanów zakończyło okres sporów między Francją a Hiszpanią, szlak opustoszał. Podróżowanie stało się niebezpieczne, bo, tak jak kiedyś misjom, tak teraz wędrowcom groziły ataki Indian z równin Tejasu.

Człowiek z Natchitoches, który sprzedał im konie, uważał, że popełniają szaleństwo, zapuszczając się taką małą grupą na El Camino Real Przekonywał ich, że powinni poczekać, dopóki się nie zbierze więcej chętnych do podróży w tamtą stronę. Czasami, tłumaczył, zjawiają się u nich handlarze, którzy za muszkiety i aquarediente, czyli "wodę ognistą", kupują od Indian skóry bawole i futra. Oni mają doświadczenie, no i znają te tereny jak własną kieszeń. Co prawda trudno byłoby ich uznać za osoby godne szacunku, ale najważniejsze, by podróżować w dużej grupie, bo wtedy prawdopodobieństwo ataku ze strony Indian jest znacznie mniejsze. No i właśnie czterech takich handlarzy wybiera się w drogę. Powinni wyruszyć mniej więcej za tydzień.

Po naradzie ze swymi ludźmi Refugio zdecydował, że nie będą się ociążać z wyjazdem.

Wiadomość o tym, kim są, i wieści o pożarze Nowego Orleanu mogą dotrzeć do stancy, zanim handlarze będą gotowi do drogi. Poza tym ludzie, którzy zaopatrują dzikusów w broń palną, mogą się okazać jeszcze bardziej nieobliczalni niż sami Indianie. Nie potrzeba im dodatkowych kłopotów.

Mężczyźni z ochotą przesiedli się z łodzi na konie.

Z radości dawali pokazy wołyżerki, skłaniając swe wierzchowce do najdziwniejszych wyczynów, oprócz jednego - nie potrafili ich zmusić do stania na głowie. Stopniowo jednak, pod wpływem trudów podróży, rozwiewał się ich euforyczny nastrój.

Również i Pilar była zadowolona, że znalazła się z powrotem w siodle. Po lekcji, jaką dostała w Hiszpanii, nie męczyło jej już ostre tempo, które narzucał im Refugio. Fizyczny wysiłek hartował ciało i nie zostawiał czasu na myślenie.

Doña Luisa przeżyła szok, dowiedziawszy się, że ma wsiąść na konia. Kategorycznie odmówiła dalszej podróży, dopóki nie znajdą dla niej powozu czy chociażby wózka, w którym mogłaby podróżować. I nie trafiały do niej żadne argumenty, że drogi są za wąskie, a jazda trwałaby zbyt długo. Dopiero groźba Refugia, który zagroził, że przerzuci ją przez siodło i przywiąże do końskiego brzucha, skłoniła ją do kapitulacji.

Utyskując i narzekając, siedziała na koniu niczym toból bielizny. Przez pierwsze dwa dni bezustannie jęczała, wyliczając wszystkie obtarcia, obolałe mięśnie oraz stłuczenia, i wymyślała Refugiowi od potworów. Dwóch mężczyzn pomagało jej wdrapywać się na wierzchowca, a aż trzech ją z niego zsadzało. W siodle trzymała się tak niepewnie, że ze względu na nią musieli znacznie zmniejszyć tempo.

Kiedy trzeciego dnia rano znowu zaczęła narzekać, Enrique zaproponował, że przytroczy do swego siodła poduszkę i Luisa usiądzie za nim. Jest szczupły i niewiele waży, więc koniowi nie będzie za ciężko. Nie zważając na jej protesty i wrzaski, a nawet przekleństwa, mężczyźni wsadzili ją na konia akrobaty. Enrique ruszył galopem. Luisa z piskiem przyłgnęła do jego pleców, obejmując go w pasie pulchnymi ramionami. Tymczasem on, szczerząc zęby w szelmowskim uśmiechu, zatoczył szerokie koło, po czym dołączył do jeźdźców.

Luisa co rusz zarzucała go potokiem skarg i pretensji. Ale Enrique w przeciwieństwie do Refugia, który zbywał je milczeniem, specjalnie ją prowokował pytaniami o powód żalów, stroił z niej żarty i drwił z umiejętności jeździeckich, czym doprowadzał biedaczkę do szału. Jemu te kłótnie sprawiały ogromną radość, a ją męczyły, więc kiedy wyczerpana milkła,



wszyscy mieli chwilę wytchnienia.

Nie potrafili odgadnąć, czy Refugio popiera zabawę Enrique, czy też ma ją mu za złe.

Przeważnie jechał milczący, zatopiony w myślach. Czasami samotnie udawał się na rekonesans, by poszukać nowych ścieżek, wody lub miejsca na popas, a czasem zostawał w tyle i klucząc za nimi, bacznie obserwował okolicę.

Refugio nie wydawał się mieć Charro za złe, że teraz on przejął dowodzenie.

Zazwyczaj długo w noc prowadził z nim dyskusje przy ognisku. Wypytywał o zagrożenia, jakie czekają ich w Tejasie, omawiał trasę, pytał o rzeźbę terenu, odległości między rzekami i gdzie, według jego opinii, powinni przejechać nieosłonięte połacie prairii. Bardzo go też interesowały zwyczaje i sposób zachowania różnych indiańskich plemion. Lasy zamieszkiwał szczep czcicieli słońca, Caddo Hasinai, wybrzeże było opanowane przez kanibali Karankawa, na pustynnym południu mieszkali prymitywni Coahuiltecanowie, a na trawiastych terenach plemię nieszkodliwych Tonkawa. Równiny należały do walecznych Apaczów oraz urodzonych jeźdźców - Komanczów. To oni wyparli pozostałe szczepy ze swego terytorium i trudno powiedzieć, które z tych dwóch plemion było bardziej zajadłe.

Apacze, jak to ujął Charro, "nie czuli lęku przed niczym, co oddychało i miało nogi".

Byli przebiegli, podstępni i okrutni. Wszelkie próby nawrócenia ich na wiarę chrześcijańską kończyły się fiaskiem. Właśnie z tych powodów Tejas nie rozkwitał, pomimo że od ponad dwustu lat należał do Hiszpanii. Komancze napłynęli na te tereny z gór na północy mniej więcej sto lat temu. Ci niezrównani jeźdźcy, a przy tym bitni, bezwzględni wojownicy, wdawali się w ciągłe utarczki z Apaczami, usiłując wyprzeć ich z równin. Więc Apacze, mając wrogów tak w Komanczach, jak i w Hiszpanach, stali się jeszcze bardziej podstępni, nieustępliwi i gotowi toczyć zaciętą wojnę do ostatniej kropli krwi. W rewanżu Hiszpanie postanowili wyciąć ich w pień. Aby przeprowadzić swój zamiar, usiłowali zjednać sobie,

niestety z marnym skutkiem, inne szczepy indiańskie. I choć według urzędowych danych hiszpańska ekspansja na obszar ograniczony rzekami Sabine i Rio Grande od południa oraz górami na zachodzie została zakończona, to w rzeczywistości Hiszpanie byli w odwrocie. Pomimo poczucia zagrożenia ze strony Indian podróż upływała spokojnie. Sprzyjała im pogoda - dni były słoneczne i suche. Ptaki śpiewały, nad polnymi kwiatami i łąkami koniczyny brzęczały pszczoły, a z wysokich traw umykały króliki o puszystych, białych kitkach, podobnych do kłębków bawełny. Czasami wprost spod końskich kopyt zrywało się stadko kuropatw. W upalne, senne popołudnia wróble, jastrzębie i myszołowy krążyły leniwie nad ich głowami, a kiedy zapadał zmrok, zaczynały poszczekiwać kojoty. Aż trudno było uwierzyć, że gdzieś tam, za horyzontem, mogą czyhać stada dzikusów, gotowych zabić ich z zimną krwią lub poddać najokrutniejszym torturom, jakie opisywał im Charro. Powoli wspomnienia tragicznych przeżyć ostatnich tygodni zacierały się w ich pamięci i stawały się tak odległe jak góry Hiszpanii czy wody Missisipi obmywające Nowy Orlean.

Vicente opalił się i nabrał czerstwego wyglądu. Blizna na policzku przybladła na tyle, że przestali ją zauważać. Opuściła go apatia, ożywił się i zaczął się interesować otaczającym ich zmiennym krajobrazem. Czasami jechał obok Refugia lub trzymał się z którymś z mężczyzn, lecz najchętniej towarzyszył Pilar. Sądziła, że upatrzył ją sobie, ponieważ tak jak on podziwiała z rosnącą fascynacją egzotyczne kwiaty i zwierzęta, na które natrafiali po drodze. To właśnie z nim i z Charro pewnego popołudnia wjechała na wzgórze, z którego roztaczał się widok na rozległą równinę, tu i ówdzie poznaczoną pojedynczymi drzewami. Przecinał ją wijący się strumyk. Ale nie drzewa i nie strumyk przyciągnęły ich uwagę. Zachwyciła ich trawa. Bujna i zielona w pobliżu strumienia, nieco rzadsza w pewnej odległości od niego, usiana małymi dzikimi kwiatkami o intensywnie niebieskiej barwie. To zestawienie jaskrawych kolorów raziło oczy, lecz jednocześnie było ukojeniem dla duszy.

- Piękne - westchnęła Pilar i opierając ręce na kuli, wychyliła się z siodła.

- Nazywamy je el conejo - odezwał się Charro, po czym zsiadł z konia, zerwał kwiatek rosnący w trawie u ich stóp i podał go Pilar. - Widzisz biały środek kwiatu, ukryty wśród niebieskich płatków? Przypomina kitkę królika - el conejo. Odtąd będziesz widywać ich całe łany. A tam - wskazał ręką kraniec równiny - pasie się dzikie bydło. Pilar tak pochłonęło oglądanie kwiatów, że nie zauważyła dotąd stada krów. Kiedy podążyła wzrokiem za dłonią Charro, zdziwiona uniosła brwi.

- Czy mi się wydaje, czy one rzeczywiście są większe od krów w Hiszpanii?

- Masz rację. To potomkowie uciekinierów ze stad, sprowadzonych przez pierwszych podróżników, ludzi pokroju Coronada. Przetrwały tylko najsilniejsze sztuki, o rogach na tyle potężnych, by się nimi bronić przed zakusami drapieżników. To one dały początek tutejszej rasie. Musisz przyznać, że te zwierzęta budzą podziw.

Rzeczywiście, przewodnik stada, brązowy byk, nie był niższy od konia, a rogi miał tak rozłożyste, że nawet rozpostarte ramiona dorosłego mężczyzny nie sięgałyby obu zakrzywionych końców. Prowadził za sobą około dwudziestu rogatych krów, niewiele mniejszych od niego.

- To dzikie bydło? - upewnił się Vicente.

- Najwyraźniej. Nie ma w pobliżu żadnej osady - powiedział Charro, dosiadając z powrotem konia.

- Według prawa zwierzęta należą do Korony, ale na dobrą sprawę każdy może je sobie przywłaszczyć, oczywiście pod warunkiem, że zdobędzie się na odwagę, aby je oznakować.

- Czy właśnie takie bydło hoduje twój ojciec? Charro przytaknął z dumą.

- Tych zwierząt nie da się zaganiać pieszo jak owiec.

Są przebiegłe, zręczne i rącznie jak konie. Codziennie przemierzają wiele kilometrów w

poszukiwaniu pastwisk. Dlatego w Tejasie pojawili się pierwsi charros, czyli pasterze na koniach. A jak sami dobrze wiecie, hiszpańscy arystokraci od dawna uważają, że mężczyzna się zmienia, kiedy dosiada konia. Nabiera odwagi i pewności siebie. Mamy tu, w Tejasie, takie powiedzenie: "Charro jest panem, a ranchero królem".

- Już teraz rozumiem, skąd się u ciebie wzięły te wielkopańskie maniery - powiedziała Pilar, posyłając mu rozbawione spojrzenie. Zadowolony odwrócił się ku niej, patrząc rozradowanymi niebieskimi oczami.

- A mam je?

- Tylko od czasu do czasu - zastrzegła się śpiesznie.

- Z tego, co mówisz, zgaduję, że estancja twojego ojca musi być rozległa - odezwał się Vicente.

- Nie tak bardzo. Jego mercedes, czyli przydział nadany z łaski króla, opiewa na jakieś dwadzieścia mil kwadratowych. Znam większe hacjendy.

- Hodujecie bydło na skóry?

- I na łój. Mięso jest nieco żylaste, ale pocięte na cieniutkie steki, doprawione pieprzem i cebulą, smakuje wspaniale. W tej chwili oddałbym pół życia za talerz takiego mięsiwa. Pilar rozumiała go doskonale, sama też miała dość monotonnej diety. Kiedy spojrzeli na siebie, jednocześnie zaświtał im ten sam pomysł. Zmrużyli oczy w znaczącym uśmiechu i przenieśli wzrok na stado.

- Ale ze mnie głupiec - jęknął Charro. - Zamiast mleć ozorem po próżnicy od razu powinienem był na to wpaść.

- Poczekamy na resztę? - zapytała Pilar.

Refugio rano udał się na rekonesans i jeszcze nie wrócił. Doña Luisa zażądała przerwy i w towarzystwie Isabel udała się za potrzebą do lasu. Lada chwila maruderzy powinni do

nich dołączyć. Charro sięgnął po lasso, z którym nigdy się nie rozstawał.

- Zdążę oprawić krowę, zanim przyjadą - stwierdził, rozplątując zwoje powrozu. -

Chwila nam sprzyja. Mamy korzystny wiatr. Wieje w naszą stronę, więc krowy nie są wystraszone, co najwyżej ciekawi je nasza obecność. Tętent koni może spłoszyć stado.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - powiedziała Pilar.

- Mogę ci pomóc? - zainteresował się podekscytowany Vicente.

Charro odłożył lasso i z olstra przy siodle wyciągnął muszkiet. Podsypując prochu na panewkę, przecząco pokręcił głową.

- Zostań tu razem z Pilar.

Vicente nie protestował i tylko wzrokiem pełnym zazdrości odprowadzał Charro, który ścisnąwszy konia piętami, powoli zjeżdżał ze wzgórza.

Byk obserwował zbliżającego się jeźdźca, uderzając rytmicznie ogonem o boki. Jedna z krów, nieco większa od pozostałych, czujnie uniosła łeb. I choć nie wydawała się nadmiernie zaniepokojona, wysunęła się do przodu i zatrzymała między Charro a cielakiem, który szczypał trawę, nieco oddalony od stada.

Pilar miała nadzieję, że Charro nie wybrał właśnie jej, bo na tle rozświetlonej wiosennym słońcem łąki wyglądała tak godnie, a jednocześnie bezbrinnie. Nagle przeszła jej ochota na mięso.

Młody ogier dosiadany przez Vicente, prawdopodobnie nigdy przedtem nie widział bydła, bo zaczął parskać i wierzgać, wycofując się tyłem. Pilar ściągnęła klaczkę, żeby ustąpić mu z drogi. Koń zarżał cicho, zarzucił łbem i ruszył galopem po zboczu z Vicente przyklejonym do jego szyi.

Byk zaryczał i pochylił łeb. Poruszone krowy obchodziły go wkoło. Przyglądały się Charro, nadal nie widząc w nim niebezpieczeństwa. Charro krążył stępą z muszkietem

wspartym w poprzek ud.

Potem zsiadł z konia, podczołgał się wśród wysokich traw, przyklęknął na jedno kolano i złożył się do strzału.

Głośny huk rozdarł powietrze. Jedna z krów zaryczała, opadła na kolana i osunęła się w trawę.

Pozostałe, podskakując i porykując, rzuciły się na oślep przed siebie. Kiedy zbliżyły się do Pilar i Vicente, zwolniły kroku. Truchtający za nimi byk zarył kopytami w ziemię i uniósłszy łeb, prychnął rozjuszony.

Na odgłos wystrzału koń Vicente stanął dęba, opadł na cztery nogi, zarzucił zadem tak, że jeździec wyprysnął z siodła, jak wystrzelony z katapulty, przeleciał nad końskim łbem, z głuchym łomotem spadł na ziemię, przetoczył się parę metrów i zastygł w bezruchu.

Pilar krzyknęła i zeskoczyła z klaczy. Zaniepokojone zwierzę szarpało wodze i strzygło uszami, usiłując pójść w ślady ogiera, który pędził teraz ścieżką po zboczu. Pilar, przemawiając czule do klaczki, podciągnęła ją do Vicente. Kiedy przyklęła przy nim, zadrżał i pobladły, z twarzą wykrzywioną bólem, zaczął wic się w konwulsjach.

- Co ci jest? - dopytywała się Pilar. - Gdzie cię boli? Wreszcie wciągnął świszczący oddech.

- Zaparło mi dech - wykrztusił między kolejnymi haustami powietrza.

- Jesteś pewien, że nic więcej się nie stało? - Zaśmiała się z ulgą, pomagając mu wstać.

- Chyba nie. Żeby tak zlecieć ... Czuję się jak ostatni idiota.

Już otwierała usta, żeby go pocieszyć, gdy usłyszała wołanie Charro. Pędził do swego konia, wykrzykując coś po drodze. To, co w pierwszej chwili wzięła za oznakę radości, w istocie było przerażeniem.

Zwalisty byk o zakrzywionych rogach ruszył do ataku.

Lecz nie szarżował na Charro, tylko na nich. Widocznie koń Vicente, a może poruszana wiatrem spódnica Pilar przyciągnęły jego uwagę. Pędził prosto na nich, prychając przez rozdęte nozdrza. Ziemia dudniła pod jego kopytami, pryskały w górę grudki piachu i kępy trawy poznaczone niebieskimi kwiatkami. Rogi na burym łbie połyskiwały złowieszczo, mięśnie na karku nabrzmiały, a oczy nabiegły krwią.

Pilar zerwała się z ziemi i pociągnęła za sobą Vicente.

Musieli razem przytrzymać szarpiącą się klacz. Pilar ruchem głowy nakazała mu, by wsiadł pierwszy. Zapominając o kontuzji, w jednej chwili znalazł się na koniu i podał jej rękę. Spojrzała za siebie, wskakując na siodło.

Byk był tak blisko, że widziała brązowe włosy grzywy między rogami. Ledwo zdążyła objąć Vicente w pasie, gdy poderwał klacz do galopu.

Niestety było za późno. Klacz zarżała, bo byk trafił ją rogami w bok. Impet uderzenia strząsnął Pilar z jej grzbietu. Oszołomiona, przez moment dochodziła do siebie, leżąc twarzą w szorstkiej trawie, lecz zaraz się obróciła na brzuch i podniosła na kolana.

Rozwścieczony buhaj ponowił atak. Klacz rżała rozpaczliwie. W powietrzu unosił się zapach krwi, tryskającej z rany na jej boku. Vicente, cały czas w siodle, usiłował odwieść oszalałą klacz dalej od Pilar, uchylając się jednocześnie przed ciosami rogów.

- Uciekaj! - wrzasnął, rzucając Pilar przerażone spojrzenie. - Biegnij ile sił w nogach!

- Nie! Nie ruszaj się! - krzyknął Charro. Pędził do niej na koniu, wywijając lassem, którego koniec uformował w dużą pętlę.

- Stój! Ani kroku!

Nie miała dokąd uciekać ani gdzie się schować. Nie zdążyłaby umknąć przed szarżującym bykiem. Stała sztywno wyprostowana, mając przed oczami tamtą scenę, gdy

długi róg buhaja wszedł w bok klaczy jak w masło.

Śmignęło w powietrzu lasso i luźna pętla ześliznęła się po rogach, zaciskając się na grubej szyi potwora. Charro szarpnął za koniec powrozu i obwiązał nim kulę przy siodle. Jego koń zarył kopytami w ziemi i przysiadł na zadzie. Tymczasem Vicente usiłował oddalić się od byka. Klacz, słaniając się, postąpiła parę kroków, zachwiała się i runęła na bok. Kiedy Vicente wyplątał nogi ze strzemion, obejrzał się na Charro.

Byk toczył pianę, kopał, wierzgał i ryczał, szarpiąc za plecioną linę, która to napinała się, to luzowała, skręcając się w powróż. Widać było wyraźnie, że Charro nie utrzyma jej długo bez pomocy.

Na szczęście zza krawędzi wzgórza wyłonił się Refugio. Jechał szybko, prowadząc na postronku ogiera Vicente. Jednym spojrzeniem ogarnął dramat rozgrywający się w dolinie. Puścił konia galopem, jednocześnie odwiązując linę przytroczoną do siodła.

W tej samej chwili pękło naprężone lasso. Wolny koniec wystrzelił w górę i owinał się wokół szyi wierzchowca Charro. Zaskoczony koń stanął dęba. Byk zachwiał się, odtoczył do tyłu, zarył w miejscu i pochyliwszy głowę, ruszył na Pilar.

Refugio puścił postronek, na którym prowadził ogiera, obrócił swego konia i nisko pochylony w siodle, puścił się w pościg za bykiem.

Człowiek i bestia, ramię w ramię, pierś w pierś, pędzili ku niej w szaleńczym wyścigu dobra ze złem. A ona stała nieporuszona, patrząc tylko na nich. Jasne pasma włosów połyskiwały w słońcu jak złoto, spódnica łopotała na wietrze na podobieństwo flagi sygnałowej. U jej stóp rozciągał się niebieski łąn dzikich kwiatów, a w powietrzu wisiał zapach zrytej ziemi, pogniecionej trawy, końskiego potu i krwi. Z tyłu za nią krowy zbite w stado dreptały bezładnie to w jedną, to w drugą stronę. W uszach dźwięczał jej zachrypnięty z przejęcia głos Charro.



Refugio dopadł do niej pierwszy. Zagarnął ją ramieniem, miażdżąc żebra silnym uchwytem.

Poczuła, jak róg buhaja szarpnął za spódnicę, na szczęście w tej samej chwili Refugio poderwał ją z ziemi. U czepiła się fałd jego koszuli i przycisnęła twarz do ramienia mężczyzny. Zawisła tak na ułamek sekundy, zanim on wciągnął ją na siodło. Potem ścisnął konia udami i cwałem zatoczył koło. Za chwilę dołączyli do nich Charro z Vicente i wszyscy razem pogalopowali na wzgórze.

Spojrzeni za siebie, kiedy byli już na szczycie. Byk z liną wlokącą się po ziemi obiegał krowy, zaganiając je w przeciwny kraniec doliny.

Uciekinierzy zatrzymali się, dając wreszcie wytchnąć koniom.

- Przybyłeś w samą porę - Charro zwrócił się do Refugia. - Jakbyś był samym świętym Judą, patronem od beznadziejnych spraw. To prawdziwy cud.

Refugio udał, że nie słyszy zakłopotania w jego głosie. - Żaden cud - oznajmił spokojnie. - Po prostu natknąłem się na konia Vicente. Pomyślałem więc, że skoro mój braciszek nie zamierza zostać pątnikiem odbywającym pieszo pokutną pielgrzymkę, musi to oznaczać wyłącznie kłopoty.

- Spadłem z konia - przyznał się Vicente. - Ale to drobiazg. Natomiast ktoś powinien wrócić i zakończyć cierpienia klaczy Pilar. Chyba nie da się jej uratować.

- Ktoś? - Refugio zmiażdżył Vicente spojrzeniem.

- Zdaje się, mówiłeś coś o pokucie - bąknął pobladły Vicente. - No dobrze. Zrobię to.

- Pojadę z tobą - zaofiarował się Charro. - I tak miałem przywieźć naszą wołowinę.

Zjechali w dolinę. Pilar podniosła głowę i spojrzała na Refugia. Patrzył przed siebie z nieodgadzionym wyrazem twarzy. I choć trzymał ją delikatnie, niczym matka tuląca niemowlę, widziała, jak nabrzmiały mu sinoniebieskie żyły na ręce, w której zaciskał wodze.

Dopiero teraz fala za falą przebiegały ją dreszcze. Przymknęła powieki, chcąc przecześć spóźnioną reakcję na strach. Kiedy je otworzyła, zobaczyła wpatrzona w siebie oczy Refugia.

- Nie ten adorator, którego byś sobie życzyła - odezwał się, unosząc lekko kąciki ust. -

Nie narzekam.

- Nie stać by cię było na taki nietakt.

- Raczej obrazę.

- Ty mnie nie możesz obrazić, najdroższa. To niemożliwe.

- Chciałabym ci podziękować.

- Bardzo proszę. Zrób to w sposób, jaki ci najbardziej odpowiada.

- Kiedy tobie i tak na tym nie zależy.

- A chcesz, żeby mi zależało? - zapytał z odrobiną niepewności.

- Jeśli ci to sprawi przyjemność. - Wzruszyła ramionami. Pochylił się i musnął wargami jej włosy.

- Przyjemność ... - powtórzył rozmarzony. - Ciekawe, kiedy będzie mi dane jej zaznać.

Chyba rozumiała, co miał na myśli.

- Dlaczego tak mówisz? - Wolała jednak sprawdzić, co kryło się pod jego słowami.

- Przemawia przeze mnie zniechęcenie i czysto ludzka natura.

- To marny powód - stwierdziła cierpko.

Ta rozmowa odwróciła jej myśli od niedawnych przeżyć i pomogła odzyskać równowagę. Zastanawiała się, czy taki właśnie cel przyświecał Refugiumi, kiedy ją do niej sprowokował.

- Nie wiem ... - zaczął i po chwili dodał głosem pozbawionym emocji: - Może wpłynęło tak na mnie odkrycie, że don Esteban siedzi nam na karku.

- Chcesz powiedzieć, że jedzie za nami? - Zesztywniała z wrażenia.

- Najszybciej jak może.

- Ale dlaczego? Po co to robi?

- Chce sprowadzić na nas kolejne zgryzoty, ponieważ jego duszę zżera chora ambicja.

A może dlatego, że mamy coś, co chciałby nam odebrać.

- Ale co to mogłoby być?

- A cóż by innego, moja gołąbko, jak nie ty? - cicho odpowiedział jej pytaniem.

## **ROZDZIAŁ XVIII**

Don Esteban nie szukał jej przed wyjazdem z Hiszpanii, bo uznał, że się okryła hańbą, a tracąc dobre imię, nie znajdzie oparcia w ludziach ze swojej sfery. Pilar zdawała sobie sprawę, że jej obecna sytuacja nie była ani trochę lepsza. Więc dlaczego ojczym teraz ją ściga? Nie, Refugio musi być w błędzie. Albo ... celowo sugeruje taki powód, aby coś przed nią ukryć. Wolałaby odrzucić tę drugą możliwość. Bardzo chciała mu ufać. A jednak ... Refugio był bandytą, kierował się sprytem, wykorzystywał nadarzające się okazje, łamał prawo oraz ogólnie przyjęte zasady. Co prawda wyznawał własny kodeks moralny, ale potrafił go naginać. Niestety, nie ma sposobu, by się dowiedzieć, czy Refugio zrobił coś, co pchnęło jej ojczyma do tak ryzykownej wyprawy. Z drugiej strony, o ile jej podejrzenia były słuszne, Esteban dwukrotnie usiłował doprowadzić do śmierci Refugia. Być może postanowił osobiście się tym zająć. Przecież mógł stracić zaufanie do osoby, której zlecił zabójstwo. Ale czy to możliwe, żeby chciało mu się ryzykować życie i tułać się po bezdrożach wyłącznie z chęci zemsty? Czyżby aż tak był zapiekły w swojej nienawiści? Świadomość, że Esteban depte im po piętach, wprawiała ją w przygnębienie. Przecież dopiero zaczynała odzyskiwać nadzieję. Teraz widzi, że za wcześnie się ucieszyła. Zdażyła uwierzyć, że są bezpieczni na tych słabo zaludnionych, niemal dzikich terenach, oddalonych o setki mil od Hiszpanii. Po cichu liczyła, że urządzą się w Tejasie. Z każdym nowym dniem marzenia dotyczące

przyszłości coraz bardziej oddalały od niej myśli o zemście i wielkoświatowych intrygach. I chociaż nie pragnęła od życia wiele, utrata tych marzeń była bardzo bolesna. Bez przerwy nurtowało ją pytanie, dlaczego don Esteban ich ściga. Nie było czasu, żeby się dowiedzieć, co myślą inni, bo znacznie przyspieszyli podróż, kiedy Refugio powiadomił ich o pościgu. Sytuację pogarszał fakt, że z Estebanem jechali handlarze, których wcześniej polecali im osadnicy z Natchitoches. Należało podejrzewać, że ich najął, ponieważ wybrali właśnie El Camino Real, a nie bardziej uczęszczany szlak północny. Refugio naliczył sześciu mężczyzn. Wszyscy byli uzbrojeni. Naturalnie, jeśli zajdzie potrzeba, jego banda stanie do walki, ale wolałby, żeby doszło do tego na terenie, który sami wybiorą.

Wieczorem, na postoju Pilar wreszcie miała okazję, żeby zadać dręczące ją pytanie.

Podeszła do Vicente, który akurat garścią suchej trawy wycierał swojego ogiera.

- Powiedz szczerze. Naprawdę zostawiłeś skrzynkę ze złotem w domu Estebana? -

zapytała go wprost, bez żadnych wstępów.

- Przecież ci już mówiłem, prawda? - odpowiedział, prostując plecy. - Dlaczego niby miałbym kłamać?

- Z chciwości - rzuciła krótko.

- To uczucie jest mi obce.

- No wiesz ... niewiele osób jest nieczułych na dźwięk złota.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale zapewniam cię, że nie zabrałem szkatułki. .

- Czy mógł ją wynieść ktoś inny?

Dostrzegła zakłopotanie na jego twarzy, tak bardzo podobnej do twarzy Refugia, tyle że pozbawionej dojrzałej stanowczości rysów tamtego.

- Tak, chyba tak.

- Enrique, Baltasar, Charro? - naciskała.

- Myślę, że każdy z nich miał okazję.

- Nie zauważyłeś w ich zachowaniu czegoś, co mogłoby nasuwać takie podejrzenie? Z namysłem pokręcił głową.

- Nie. Ale dlaczego sądzisz, że Estebanowi chodzi o złoto? Równie dobrze może mnie ścigać. Wahala się przez chwilę w obawie, że może go urazić tym, co cisnęło jej się na usta.

- Przecież ty byłeś tylko zakładnikiem - powiedziała w końcu.

- Zapewne. Ale Esteban został przechytrzony. A on tego nie znosi. Wiele razy zastanawiałem się, czy ten człowiek jest przy zdrowych zmysłach.

- Czy dlatego, że wypalił ci znamię?

Vicente odruchowo dotknął blizny, jakby w ten sposób chciał uśmierzyć ból, wywołany wspomnieniem.

- Nie tylko. Straszył również, że każe mnie wykastrować i wysłać Refugiowi... no wiesz ... co, a potem sprzeda mnie do haremu gdzieś w północnej Afryce. Albo groził, że będzie mnie podtruwał i patrzył, jak powoli konam.

- Mój Boże - wyszeptała.

Oprócz potworności gróźb Estebana i ciężkich przeżyć Vicente dodatkowo przygnębiała ją myśl, że podczas podróży na "Celestynie" Refugio musiał cierpieć męki, wiedząc, do czego jest zdolny ich prześladowca. El Leon żył z tym cierniem w sercu, dopóki nie odnalazł brata w Nowym Orleanie.

- Gdyby cię okaleczył, straciłbyś na wartości jako zakładnik - zauważyła po chwili.

- Naturalnie. Tylko nie jestem przekonany, czy Esteban potrafi logicznie rozumować.

- Naprawdę uważasz, że to szalenie?

- Myślę, że powody, dla których nas ściga, nie są do końca racjonalne.

Opinia Vicente nieco ją uspokoiła. I chociaż nie do końca się wyzbyła wątpliwości,

wstąpiła w nią otucha.

Pozostali wędrowcy zareagowali na wiadomość o tropiącym ich Estebanie zgodnie ze swoją naturą i temperamentem. Baltasar i Enrique miotali przekleństwa, Charro zaproponował, że wróci i zastawi pułapkę na szlaku, żeby na dobre unieszkodliwić prześladowców, co Refugio uznał za zbyt ryzykowne przedsięwzięcie, oczy Isabel natychmiast wypełniły się łzami, a doña Luisa z przerażoną miną pierwsza dosiadła swego wierzchowca, kiedy padł rozkaz odjazdu. Prażeni słońcem, smagani wiatrem, ze skórą poobcieraną w miejscach, o których głośno nie wypada mówić, pokonywali kolejne mile. Utrzymywali się w siodłach tylko dzięki świadomości, że jeszcze wiele drogi przed nimi, i determinacji, by nie dać się dogonić. Na razie nie myśleli o tym, że kiedy dotrą do San Antonio de Bexar, prędzej czy później czeka ich konfrontacja z don Estebanem. Teraz najważniejsze było, żeby nie dopadł ich gdzieś w leśnych ostępach. Pewnego ranka jechali w kolumnie wąską ścieżką wśród gęsto rosnących jasnozielonych krzewów. Charro wyjaśnił im, że ich liście i owoce stanowią ulubioną paszę bydła, i wysforował się naprzód, by torować im drogę, a przy okazji rozejrzeć się, czy nie widać w pobliżu dzikich stad. Po jakimś czasie usłyszeli tętent konia, a za chwilę zobaczyli i jeźdźca. To Charro pędził co koń wyskoczy, bez kapelusza, z twarzą czerwoną z wysiłku i dłońmi poranionymi o cierniste krzaki. Kiedy zatrzymał się przed nimi, wzbijając w górę chmurę kurzu, nie mieli wątpliwości, że czekają ich kolejne kłopoty.

- Tylko mi nie mów - zaczął Enrique - że zobaczyłeś byka, przy którym nasz buhaj wyglądałby jak cielątko. - Tym razem to nie krowy - wysapał Charro, łapiąc oddech przez otwarte usta. - Trafiłem na Apaczów! Zamykający kolumnę Refugio momentalnie znalazł się z przodu.

- Ilu? - ponaglił Charro pytaniem.

- Dokładnie nie wiem. Widziałem tylko ich totem. I odciski stóp chyba ze dwudziestu mężczyzn. Nie ma śladów kobiet ani dzieci. To sami wojownicy.

- Myślisz, że wiedzą, iż jedziemy za nimi?

- Nie za nimi, ale obok. Podążają indiańskim szlakiem, który prowadzi równolegle do naszego. Grobową ciszę przerwał piskliwy głos wdowy.

- Chcesz powiedzieć, że się nas trzymają? Ze nas obserwują?

- Tak - potwierdził zasępiony.

- Wybiją nas co do nogi! - krzyknęła rozpaczliwie.

Enrique nakrył dłońmi jej ramiona, zaciśnięte wokół jego pasa, jakby chciał ją w ten sposób zasłonić przed niebezpieczeństwem. Oparła czoło o jego plecy, lecz zaraz się wyprostowała, sprawdzając ukradkiem, czy aby ktoś nie zauważył tego nadto poufałego gestu. Pilar, podobnie jak pozostali, z napięciem wpatrywała się w Refugia. Za sobą mieli Estebana, tuż pod boki indiańskich wojowników, a do pokonania wiele mil, gdzie nikt nie udzieli im pomocy w razie ran czy choroby. Nie należało też lekceważyć włóczących się w okolicy stad dzikiego bydła. W obliczu tylu niebezpieczeństw ktoś musiał zdecydować, co robić. Oczywiście wszyscy instynktownie zwrócili się ku swemu przywódcy.

Refugio poprawił się w siodle i wyprostował ramiona. - Jak myślisz, kiedy Apacze zaatakują? - zwrócił się do Charro.

- To może się stać w każdej chwili. Jutro o świcie albo w biały dzień w przyszłym tygodniu. Możliwe też, że zostawią nas w spokoju. Wszystko zależy od ich wodza, jak również tego, czy wojownicy zechcą go posłuchać.

- Pozwalają sobie na taką samowolę?

- Apacze wybierają na wodza wojownika, który wykazał się szczególną mądrością i umiejętnościami w walce. Jeśli przestają mu ufać, wybierają nowego przywódcę. Charro

skrzyżował spojrzenie z Refugiem, przesyłając mu niedopowiedziane, ledwo czytelne ostrzeżenie. Odkąd wjechali na jego rodzinne tereny, wyraźnie nabral pewności siebie. Kto wie, czy któregoś dnia pycha nie każe mu sięgnąć po przywództwo. Refugio powiódł zamyślonym spojrzeniem po otaczającym ich morzu krzewów.

- Nie mamy wyjścia - odezwał się po chwili. - Musimy jechać dalej. Apacze znają te okolice lepiej od nas. Ich przewaga w najlepszym razie wynosi trzy do jednego. Gdyby wypadło nam zmierzyć się z nimi na tym terenie i gdyby szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę, zniknęliby wśród zarośli po to tylko, żeby pojawić się znowu, kiedy najmniej byśmy się ich spodziewali. Nie możemy pozwolić sobie na zwłokę, bo Esteban zacznie deptać nam po piętach. I chociaż najlepiej byłoby podstępem wystawić go na atak Apaczów, nie sądzę, by połknął przynętę.

- Myślisz, że wie, jaka odległość dzieli nas od niego? - zapytała Luisa. Refugio rzucił jej przelotne spojrzenie.

- Nie staraliśmy się zacierać za sobą śladów, bo nie ma innego szlaku do wyboru.

Całkiem możliwe, że Esteban już wie o Indianach. Ludzie, którzy mu towarzyszą, znają ich zwyczaje i czują się w tej okolicy jak u siebie w domu. Kto wie, czy on nie liczy na to, że Apacze nas powyrzynają. Doña Luisa zadrżała i nie odezwała się już więcej ani słowem. .

- W takim razie rzeczywiście powinniśmy jechać poparł go Charro. - Czekamy więc, aż Apacze pierwsi nas zaatakują?

- Chyba że masz jakiś lepszy pomysł, dla którego warto narażać życie ośmiu osób, a w tym trzech kobiet.

- Refugio - wtrąciła się Isabel, wysuwając się do przodu. - Rób, co uważasz za stosowne, i nie przejmuj się kobietami. Troska o nas nie może wpływać na twoje decyzje. - To niemożliwe. - Spojrzał na nią łagodnie.



- Ależ możliwe - pokiwała głową. - Pod warunkiem, że odsuniesz na bok sentymenty i będziesz się kierować rozumem.

- Męczy mnie to wieczne słuchanie rozumu. Chyba tym razem zdam się na Charro. - I odwracając się do niego, zapytał: - I jak? Charro popatrzył zmieszany na Refugia.

- Jedziemy - oznajmił po chwili wahania. Przez następny tydzień jechali niemal bez przerw.

Nerwy odmawiały im posłuszeństwa, brak snu dawał się we znaki. Na postojach ze zdwojoną uwagą pilnowali koni, ponieważ wiedzieli, że ulubioną taktyką Indian było pozbawianie swych ofiar wierzchowców. Badali każdy odcinek drogi przed sobą i czujnie oglądali się za siebie. Być może ta wzmożona ostrożność sprawiła, że Indianie odgadli, iż wędrowcy o nich wiedzą, bo teraz zaczęli dawać im znać o swej obecności. Czasem wojownik przejechał galopem w poprzek szlaku albo nocą jakiś tajemniczy cień przemknął na skraju polany, oświetlonej ogniskiem. Zdarzyło się też, że cały szereg Indian wyrósł na linii horyzontu, kiedy Hiszpanie znaleźli się na mniej zarośniętych terenach. To ciągłe nękanie szarpało im nerwy, bo każda z tych sytuacji mogła oznaczać zapowiedź ataku.

Powoli zubożeli na strach. I choć wyczerpanie wywoływało apatię, z uporem podążali przed siebie.

Najgorsza w tym wszystkim była utrata pozorów wolności. Pilar do rozpaczki doprowadzała świadomość, że znowu są osaczeni. Zastanawiała się, podobnie jak przedtem Refugio, czy kiedykolwiek zazna od życia przyjemności, czy będzie mogła poruszać się bez ciągłego oglądania się za siebie i czy dane jej będzie żyć tak, jak ma na to ochotę.

Pewnego wieczoru wybrali na postój gaj karłowatych dębów, jedyne osłonięte miejsce na rozległej równinie, przypominającej im rodzinne okolice w Hiszpanii. Z radością weszli w zacienione miejsce, ponieważ początek lata był tu upalny i suchy. Roje much brzęczały sennie

nad ich głowami i szemrały liście, poruszane lekkim wiatrem. Gaj musiał być ulubionym miejscem podróżnych, bo było tu sporo śladów po ogniskach. Znaleźli nawet zardzewiały napierśnik, częściowo zagrzebany w piachu.

Pilar wraz z Isabel przysiadły na zwałonym pniu nieco dalej od reszty i jadły posiłek złożony z fasoli duszonej z bekonem. W pewnej chwili Isabel spojrzała spod rzęs na Pilar.

- Wybacz, że się wtrącam w nie swoje sprawy - zaczęła nieśmiało. - Ale czy pokłóciłaś się z Refugiem?

- Czy się pokłóciłam? Skąd to przypuszczenie? - Pilar włożyła do ust kawałek suchara i żuła go powoli.

- Prawie ze sobą nie rozmawiacie. Śpisz obok niego, przykrywa cię swoją derką, ale trudno odgadnąć, czy łączy was coś więcej. Pilar przełknęła suchara i podniosła oczy na Isabel.

- A powinno być łatwo odgadnąć? - zapytała chłodno.

- Jesteś na mnie zła, bo myślisz, że cię szpieguję. Przysięgam, że jako twoja przyjaciółka pytam z czystej życzliwości. - Isabel rzuciła kawałek suchara krążącemu w pobliżu ptakowi. - Myślałam, że ci na nim zależy. Tak przynajmniej mi się wydawało na statku.

- Wiele rzeczy się wydarzyło od tamtego czasu.

- Tak? A co takiego? - nie ustępowała Isabel.

- Jak w ogóle możesz zadawać takie pytania?! Przeżyliśmy pożar, pokonaliśmy rzekę pod prąd, ściga nas don Esteban i Apacze. Nie ma czasu ani chęci na ... kochanie się.

- Ale kochałabyś się z nim, gdyby nie to wszystko?

- Co cię to obchodzi? - zapytała z niechęcią Pilar. - Przecież ciebie interesuje wyłącznie dobro Refugia. Uważasz, że powinnam z nim sypiać dlatego, że z nim jadę?

- Nie to miałam na myśli - odparła z wyrzutem Isabel. - On potrzebuje kogoś.

Potrzebuje ciebie.

- Wcale mi się nie wydaje, żeby on potrzebował kogokolwiek, a już najmniej mnie.

- Mylisz się. To ty uratowałaś go na statku. Dzięki tobie odzyskał chęć do życia.

- Nie bądź śmieszna! Zmusiłam go jedynie, by przestał udawać umierającego.

- Tak sądzisz? Coś więcej musi się za tym kryć. Nie wiem, jak tego dokonałaś, ale go odmieniłaś. To nie ten sam człowiek. Zupełnie nie ten sam. Powiedziałaś ci tam, w chacie, że on jest wrażliwszy niż większość ludzi, ale dla swego własnego dobra nauczył się tłumić uczucia. Przez ciebie stracił równowagę, gdyż po raz pierwszy od śmierci ojca i siostry pozwolił sobie na głębsze uczucie. Nie wolno ci go teraz opuścić.

- Po co mu jeszcze ktoś, skoro ma w tobie takie oparcie?

- Ja ... nie potrafię ci na to odpowiedzieć. Kiedyś mi się wydawało, że on się boi, żeby nie skrzywdzić mnie swoją miłością, bo ktoś, na przykład, mógłby go trzymać w szachu, porywając mnie jako zakładniczkę, albo że sili się na obojętność, ponieważ nie ma nic do zaoferowania oprócz zszarganego nazwiska. Wmawiałam sobie, że on myśli, iż nie jestem w stanie udźwignąć ciężaru miłości, którą gotów mnie obdarzyć. Byłam niemądra. Przejrzałam na oczy, kiedy ty się zjawiłaś. On po prostu nie odwzajemniał mojego uczucia. Bolesny grymas na twarzy dziewczyny obudził współczucie Pilar.

- A wzięłaś pod uwagę, że być może Refugio do mnie też nic nie czuje? - pocieszała ją, sama rozgoryczona. Isabel potrząsnęła głową.

- Krzywdzicie się nawzajem. Wiem to na pewno. Czasami niełatwo jest zrozumieć jego postępowanie, a jeszcze trudniej wybaczyć. Poświęca się, sprawiając przy tym takie wrażenie, jakby mu na nikim ani na niczym nie zależało. Naprawdę. Dlatego nie powinnaś go więcej ranić. Tym razem Isabel mówiła tak logicznie, że aż trudno było uwierzyć, iż

dziewczyna żyje w swoim własnym świecie, mieszając rzeczywistość z fantazją. Przecież widziała rzeczy nie tak, jak wyglądały naprawdę, lecz tak, jak ona sama chciała je widzieć.

Zaiste Pilar musiałaby być szalona, żeby potraktować poważnie to, co tamta jej mówi. A jednak z całego serca pragnęła uwierzyć, że Isabel ma rację.

- W takim razie co z Baltasarem? - zapytała poirytowana własną słabością. - Bez przerwy go raniś, demonstrując uwielbienie dla Refugia.

- Wiem, ale nic nie mogę na to poradzić. Nie prosiłam go, żeby mnie pokochał.

Właściwie nie wiem, dlaczego mu na mnie zależy.

- Mogłabyś przestać mówić o Refugiu jak o swoim wybawcy.

- Bo rzeczywiście nim był! - upierała się płacząco.

- Naprawdę? A może tak ci się tylko wydaje? A nawet jeśli ci kiedyś pomógł, czy musisz o tym wiecznie opowiadać przy Baltasarze? Miej na względzie jego uczucia, nawet jeśli ich nie odwzajemniasz. Łzy zakręciły się w oczach Isabel.

- Nie robię tego celowo. To się samo jakoś tak dzieje.

- Ale wcale mu nie jest przez to łatwiej.

- Wiem, wiem! Jednak czasami muszę mówić o tym, co Refugio dla mnie zrobił, bo w ten sposób choć na chwilę przyciągam jego uwagę. Podejrzewam, że on tego nie lubi tak samo jak Baltasar, ale nie potrafię się powstrzymać.

Być może Isabel rzeczywiście nie potrafiła trzymać języka na wodzy, podobnie jak swojej wybujałej wyobraźni, w której Refugio jawił się jako bohater ratujący ją od nędzy i poniżenia. Czasami ludzie robią dziwne rzeczy, szukając ukojenia dla znękanego duszy - myślała Pilar. Noc była cicha. Nawet nie wyły kojoty. I tylko wiatr szeleścił w liściach drzew. Po niebie sunął blady sierp księżyca. Pilar długo leżała wpatrzona w jego odwrócone lico, zanim zasnęła z głową opartą o ramię Refugia. O świcie nastąpił atak Apaczów.

W szarym świetle poranka wyrosli niespodziewanie na tle wysokich traw na równinie.

Charro i Enrique akurat odwiązywali konie od pni drzew, pod którymi obozowali. Baltasar mocował juki na grzbietach drepczących sennie mułów, kobiety zwijały i pakowały derki, a Vicente czyścił piaskiem patelnię. Refugia nie było; wcześniej osiodłał konia i udał się na rekonesans. Kiedy zauważył podrygujące, ciemne sylwetki na linii horyzontu, czym prędzej zawrócił do obozu.

Ponieważ od dłuższego czasu liczyli się z napaścią, każde z nich wiedziało, co do niego należy.

Gdy tylko Baltasar dostrzegł pędzącego galopem Refugia, sięgnął po muszkiet i zastrzelił muła.

Charro przyciągnął drugiego muła i też położył go strzałem z muszkietu. Ciała zwierząt, uszczelnione stertą siodeł, utworzyły coś w rodzaju wału obronnego. Kiedy Baltasar ładował broń, Pilar i Vicente rzucili się do sakw i wyciągnęli z nich proch, kule oraz zapasowy muszkiet dla Vicente. W tym czasie Isabel wyjęła szarpie, po czym z pomocą Pilar błyskawicznie poukładała niezbędne przedmioty na kawałku płótna. W ciągu kilku sekund wszyscy schowali się za prowizoryczną barykadę.

Wszyscy oprócz wdowy, bo ta stała, zaciskając dłonie w pięści, i szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w zbliżających się napastników, zamiast, tak jak jej wyznaczono, zaopiekować się baryką z wodą.

...: Luisa! - krzyknął Enrique. - Na ziemię!

Spojrzała na niego przez ramię i zaraz odwróciła się z powrotem. W pobladłej twarzy jej wykrzywione usta ciskały nieme groźby pod adresem Indian.

Enrique zerwał się na nogi, podbiegł do niej i pociągnął Luisę za sobą.

- N a ziemię, mówiłem! - wrzasnął. - Masz ładować muszkiety. Pamiętaj o tym, jeśli ci

życie miłe. W odpowiedzi posłała mu wściekłe spojrzenie, ale oprzytomniała, bo rozejrzawszy się za beczułką, podtoczyła ją bliżej wału.

Pohukiwania i szczekliwe okrzyki Apaczów, zwielokrotnione przez echo, budziły grozę. W sinawym świetle poranka twarze wojowników, pomalowane w wojenne barwy, przypominały upiorne maski. Na szczęście nie było ich wielu. Pięciu czy sześciu przyciskało do piersi muszkiety. Jeden z nich przyłożył broń do ramienia i strzelił, mierząc w uciekającego przed nimi Refugia. Odgłos wystrzału przetoczył się nad ziemią, lecz kula przeszła bokiem. Refugio przywarł do końskiego karku i obejrzał się przez ramię, gdy tymczasem jego wierzchowiec, błyskając dziko oczyma, sadził przed siebie długimi susami. Refugio w mgnieniu oka ocenił odległość od zapory i wykonał ostry skręt w lewo, żeby zejść z linii ognia swoich ludzi. Kilka strzał ze świstem przeleciało nad jego głową, wbijając się w ziemię, a cały ich grad posypał się na barykadę.

Inny Apacz oparł muszkiet o ramię i mierząc starannie z pędzącego konia, pociągnął za spust. Obłok niebieskawego dymu uniósł się nad jego głowę. W tej samej chwili na sygnał Charro zza barykady wystrzeliły trzy muszkiety, wycelowane w napastników. Tym razem jednak kula Indianina ugodziła Refugia. Zachwiał się w siodle i miękko opadł na ziemię twarzą w dół. Palmowy kapelusz zleciał mu z głowy i potoczył się po trawie .

Ale również dwaj Apacze wyrzucili w górę ramiona i przekoziółkowali nad zadami swych koni. Trzeci zakołysał się i opadł na kark konia, kurczowo czepiając się jego szyi. Natychmiast jednak ich miejsce zajęli następni. Pohukując, strzelali z muszkietów i potrząsali oszczepami. Pilar, pochłonięta repetowaniem broni dla Charro, ledwie miała czas rzucić okiem na rozgrywającą się scenę. Dopiero po chwili odszukała wzrokiem Refugia. Unosił głowę i próbował podczołgać się w stronę barykady. Zerwała się z miejsca, lecz Charro natychmiast ściągnął ją z powrotem na ziemię. Tuż obok rozległ się przeraźliwy jęk Isabel.

Zawtórował mu ponaglający okrzyk Charro, więc Pilar odwróciła się i wepchnęła mu muszkiet do rąk.

Niemal jednocześnie padły trzy strzały. Dwóch Apaczów wyleciało z siodeł jak z katapulty. Reszta w luźnym szyku zatoczyła szeroki łuk, rezygnując z natarcia.

- Refugio! - pisnęła zapłakana Isabel, odskakując od boku Baltasara, gdy tylko Indianie zniknęli z pola widzenia.

Olbrzym usiłował ją przytrzymać, ale wyrwała mu rękę. Wdrapała się na zapórę, zeskoczyła w dół i podbiegła do czołgającego się Refugia. Vicente cisnął swój muszkiet i pośpieszył za nią. Charro trzymał broń w gotowości, nie spuszczając oczu z Indian, krążących teraz poza zasięgiem kul. Pilar odsunęła się od niego, uniosła spódnicę i pokonawszy jednym susem barykadę, pobiegła za Vicente.

Isabel, klęcząc nad Refugiem, ze szlochem ocierała strużki krwi zlepiające mu włosy.

Vicente uchwycił brata pod ramię i starał się dźwignąć go z ziemi. Kiedy Pilar dopadła do nich, podparła rannego z drugiej strony i niehumanym wysiłkiem podciągnęła w górę.

Apacze wznowili atak. Ziemia dudniła pod kopytami ich koni, a powietrze zdawało się drgać od mrozących krew w żyłach okrzyków. Pilar, Charro oraz wsparty na nich Refugio posuwali się bardzo wolno, co rusz zataczając się i przystając. Wlekli go między sobą, zgiętego w pól, a Isabel kręciła się im pod nogami, trzymając go za rękę.

- Kapelusze! - zawołała nagle, puściła jego dłoń i odwróciwszy się na pięcie, pomknęła z powrotem.

Pilar zerknęła za siebie przez ramię. Indianie z jazgotem jechali prosto na nich, na oślepe strzelając z łuków i muszkietów. Ich śniade, pomalowane w jaskrawe wzory twarze wyglądały jak rytualne maski. Półnaczy, na nieosiodłanych koniach, zdawali się wyrastać z ich grzbietów, przez co jeszcze bardziej przypominali sięjące grozę demoniczne potwory.

Isabel z błogim uśmiechem na ustach i błyszczącymi oczami biegła przed siebie, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Pochyliła się nad kapeluszem i uniósłszy go z ziemi, obracała w dłoniach, aż namacała palcami otwór po kuli, która strąciła go z głowy Refugia. Potem, poruszając się jak w letargu, odwróciła się w stronę barykady. Wiatr szarpał jej spódnicą, długie pasma włosów, uwolnione z koka na karku, zasnuwały jej twarz niby gęsta pajęczyna. Baltasar wystawił głowę ponad zaporę i ponaglał ją krzykiem. Tymczasem Charro z Enrique przeciągnęli Refugia ponad ciałami zastrzelonych mułów i czym prędzej pochwycili muszkiety. Vicente wrócił na swoją pozycję, a Pilar położyła się na brzuchu przy Refugiu i oglądała ranę, pilnując jednocześnie, by nie wystawić własnej głowy na strzał.

- Nic mi nie jest! - wychrypiał Refugio. - Gdzie mój muszkiet? - niecierpliwiał się. -  
Pomóż mi się podnieść!

Zanim zdążyła zaprotestować, podpełznął do barykady. - Dobry Boże! - jęknął, gdy jego wzrok zatrzymał się na Isabel. - Boże jedyny, dlaczego mnie tak doświadczasz?!

- Isabel!!! - wrzeszczał Baltasar. - Na miłość boską, spójrz za siebie! Dziewczyna usłyszała jego krzyk, drgnęła i odwróciła głowę. Potykając się, ruszyła do nich chwiejnym krokiem. Baltasar zaklął, przeskoczył przez zaporę i rzucił się jej na pomoc. Nagle zatrzymał się, zgiął w pół i powoli osunął na kolana. Lecąca z furkotem strzała ugodziła go w bok, przebijając ciało na wylot.

Isabel wydała z siebie rozdzierający krzyk. Nie przestała krzyczeć, kiedy osaczyła ją grupa Indian. Szarpali ją i popychali, kapelusz wypadł jej z rąk i leżał stratowany na ziemi, lecz ona jakimś cudem ciągle trzymała się na nogach.

Ludzie Refugia nie mieli wyboru, musieli otworzyć ogień. Gryzący niebieski dym na chwilę przesłonił im widok. Gdy rozwiał go wiatr, zobaczyli, że Indianie znowu się wycofują. Jeden wojownik wił się w konwulsjach na trawie, inny zwisał bezwładnie z końskiego



grzbietu, podtrzymywany przez swego towarzysza.

Apacze w szaleńczym tempie zatoczyli łuk i, schyleni niemal nad samą ziemią, w galopie zbierali zabitych i rannych, wciągając ich ciała przed siebie na konie.

Krzyk Isabel przeszedł w bolesny jęk, kiedy jeden z nich chwycił ją za włosy i owijając je sobie wokół dłoni, poderwał dziewczynę z ziemi. Widzieli, jak zwiśla głową w dół, przerzucona przez koński grzbiet. Indianin ponaglił swego wierzchowca i pogonił za towarzyszami. Z gardła Baltasara wydarł się krzyk bezsilności i gniewu. Charro zaklął, przyklękając na jedno kolano. Enrique ścisnął za ramię osłupiałą Luisę. Błady jak płótno Vicente bezgłośnie odmawiał modlitwę.

Refugio wyjął z jego zdrętwiałych rąk świeżo załadowany muszkiet, oparł go o zad muła i wycelował w plecy oddalającego się Indianina. Mierząc starannie, powoli pociągnął za spust. Rozległ się potężny huk. Na odgłos wystrzału Apacz skulił się, pochylił jeszcze niżej nad branką i pogalopował dalej, uczepiony grzywy swojego wierzchowca. Refugio oparł czoło o gorącą lufę muszkietu i zamknął oczy.

## **ROZDZIAŁ XIX**

Stali wsłuchani w oddalający się tętent, patrząc na siebie w osłupieniu. To było jak zły sen. Nie mogli uwierzyć, że Isabel nie ma, że Apacze uwieźli ją z sobą. Cała tragedia rozegrała się w takim zawrotnym tempie, że nie od razu uświadomili sobie jej potworność.

- Powinienem być pojechać za nią - wymamrotał Vicente. - Dlaczego jej nie ratowaliśmy?

- Jak? - zapytał ponuro Enrique. - Chwila nieuwagi, jedna salwa mniej, a dzikusy pokonałyby barykadę i już byłoby po nas.

- Sama sobie winna, biedaczka - dorzuciła Luisa. Nic nie można było dla niej zrobić, kiedy pobiegła po kapelusz.

- Po kapeluszu - powtórzyła cicho Pilar. - Zawróciła po kapeluszu.

Baltasar z jękiem zgiął się wpół, przyciskając ręce do krwawiącego boku, w którym ciągle tkwiła strzała.

Cierpienie w jego głosie wyrwało ich z otępienia. Rzucili się do działania, jakby w ten sposób chcieli zrekompensować swą bezsilność. Pilar położyła mu ręce na ramiona, pokazując, że ma się przewrócić na zdrowy bok. Charro i Vicente pomogli mu się wyprostować, a doña Luisa zwijała szarpie w tampony. Mężczyźni ścięli haczykowaty grot i wyciągnęli strzałę. Enrique natychmiast przycisnął opatrunki, by zatamować krwotok. Luisa obandażowała je ciasno, pozwalając sobie zaledwie na mały grymas w odpowiedzi na sardoniczne spojrzenie Enrique. Rana wyglądała groźnie. Na szczęście Baltasar był silny, więc jeśli strzała nie poharatała go śmiertelnie, powinien się szybko wylizać.

Pilar zostawiła opatrzonego już Baltasara i podeszła do Refugia, który się nie odezwał ani nie poruszył od chwili wystrzału z muszkietu. Odczuła ulgę, widząc, jak jego pierś podnosi się i opada w rytm nieco może przyspieszonego oddechu. Przyklęła przy nim z miseczką wody i bandażami i lekko dotknęła jego ramienia.

Uniósł głowę i spod półprzymkniętych powiek wpatrywał się w nią przez chwilę przekrwionymi oczami. Potem uciekł spojrzeniem w bok. Jednak nie protestował, gdy oparła jego głowę o siodło i zmywała z włosów skrzepy krwi i żdźbła trawy. Kula przeleciała ukosem i zaledwie drasnęła czaszkę. Krwawienie, z początku obfite, teraz prawie ustało, ale na pewno dokuczał mu silny ból głowy.

Nie dawał jej spokoju kształt rany. Przesunęła po niej delikatnie palcami, rozgarniając włosy, by lepiej się móc jej przyjrzeć. Refugio uchylał się od dotyku, jakby nie życzył sobie zbyt dociekliwych oględzin. Kiedy sięgała po zwitek szarpia, zrozumiała, co wzbudziło jej niepokój. Przysiadła na piętach, nie odrywając oczu od sączącej się strużki ciemnoczerwonej

krwi. Rana była zdecydowanie głębsza nad skronią, a więc strzał nie padł z tyłu. Pilar powoli odwróciła głowę w stronę mężczyzn. Który z nich? Charro, Enrique, Baltasar? A może Vicente? Kobiety nie wchodziły w grę, one tylko ładowały muszkiety.

Nie ma mowy o przypadkowym postrzale. Byli wprawnymi, doświadczonymi strzelcami. Który z nich posunął się do czegoś takiego? Jak to możliwe? Boże jedyny, dlaczego?! Refugio wpatrywał się w nią z napięciem, nakazując wzrokiem milczenie.

Odwzajemniła spojrzenie, dając do zrozumienia, że wie. Patrzyła na jego zapadniętą twarz. W wyniku zmęczenia ostatnich dni, a także na skutek odniesionej rany jego rysy jeszcze bardziej się wyostriły, a w kącikach oczu pojawiły się nowe zmarszczki. Zaciśnęła zęby, czując, jak gdzieś, głęboko w niej, wzbiera ogromny ból. Ile jeszcze jest on w stanie znieść, zastanawiała się. Jak długo ona potrafi milczeć?

Refugio nieznacznie pokręcił głową i wskazał na ranę. - Zakryj ją - powiedział tak cicho, aby nikt oprócz niej go nie usłyszał.

Zawahała się, zaciskając usta, gotowa się mu sprzeciwić. Niestety była bezsilna, skoro nie zamierzał nikogo oskarżyć. Przykryła ranę tamponem i obandażowała głowę. Kiedy skończyła, pochwycił jej dłoń i przycisnął palce do ust. Wzruszył ją ten gest, chociaż dobrze wiedziała, że pod parzącym dotknięciem jego ust nie kryje się nic więcej oprócz wdzięczności. Strzała drasnęła Charro w łydkę, ale opatrzył ją z pomocą Vicente. Enrique ułożył Baltasara i poszedł zajrzeć do koni. Wrócił z wiadomością, że wszystkie przeżyły, bezpiecznie ukryte między dębami. Odniosły jedynie drobne skaleczenia, szarpiąc się i wierzgając na powrozach. Przyprowadził swoją klacz i przemawiając do niej łagodnie, wskoczył na siodło, aby ruszyć na poszukiwanie ogiera Refugia, który, spłoszony, uciekł na prerię.

- Nie oddalaj się za bardzo! - krzyknęła za nim doña Luisa.

- Dobrze! - odpowiedział i zwyczajnie pomachał na pożegnanie, jakby ten odruch serdeczności z jej strony był dla nich wszystkich chlebem powszednim.

Enrique dotrzymał obietnicy. Zjawił się niecałe pół godziny później, prowadząc za kantar konia Refugia. Ożywili się na jego widok. Baltasar, postępując z bólu, uniósł się na łokciu.

- No dobrze - odezwał się, wodząc oczyma po ich twarzach. - Co dalej? Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy, jak na komendę, skierowali spojrzenia na Refugia, lecz on siedział zapatrzony gdzieś w dal.

- Musimy coś postanowić - powiedział Baltasar niemal błagalnie. - Przecież nie zostawimy Isabel w rękach Indian. Enrique zwrócił się do Charro:

- Jak myślisz, jak oni się zachowają? Wrócą tu jeszcze?

- Całkiem możliwe - odparł Charro, unosząc ramiona. - Albo pojedą dalej. Trudno powiedzieć.

- Co ... z nią będzie? - zapytała doña Luisa, ukrywając strach pod zaciętą miną.

- Zrobią z niej niewolnicę. A może Apacz, który ją pojmał, weźmie ją za żonę, o ile mu przypadnie do gustu. - Sam nie wierzysz w to, co mówisz - zarzucił mu Enrique.

- Mogą zatrzymać się na postój, jak tylko uznają, że są bezpieczni, by ... się zabawić. -

A potem?

- Jeżeli przeżyje, być może wezmą ją ze sobą. A jak będzie sprawiać kłopoty, poderzną jej gardło. Istnieje szansa, że ją oszczędzą, aby później torturować w obozie w rewanżu za klęskę. Enrique zaklął. Siedzący ze zwieszonymi rękami Vicente pobladł jeszcze bardziej. ,,

- Niepotrzebnie tracimy czas na gadanie - warknął Baltasar. - Jedźmy za nimi.

- Nie możemy ryzykować. Pamiętaj, że są wśród nas kobiety - hamował go Enrique.

- Nieważne - wtrąciła się Pilar.

- Dla nas ważne - powiedział cicho Charro, patrząc na nią wymownie.

- Musimy ich dogonić, zanim dotrą do wioski - przekonywał ich Baltasar. - Nie uda się zakraść tam po cichu. Atak na obóz przypominałby włożenie kija w mrowisko. Jedźmy!

Enrique spojrział na Charro, potem na Baltasara, a na koniec przeniósł wzrok na Refugia.

- No i co, przyjacielu? Co robimy? - zwrócił się do niego, unosząc brwi. Refugio oderwał oczy od swoich dłoni, które właśnie z uwagą studiował.

- Dlaczego zawsze ja muszę podejmować decyzje, w których stawką jest życie? Czy nikt nie weźmie na siebie części odpowiedzialności za błędy? Nie będzie dzielić ze mną ciężaru winy, jeżeli działanie okaże się zgubne? Niech tym razem ktoś inny zadecyduje.

- Jesteś dowódcą - odpowiedział mu Enrique, uznając to za wystarczający argument.

- Powinniśmy pojechać - odezwał się ponuro Baltasar. Nikt nie odezwał się słowem ani nie odpowiedział na pytające spojrzenie Refugia.

- N o cóż, Baltasarze - westchnął ciężko Refugio - będzie, jak chcesz. Piętnaście minut później ruszyli tropem Apaczów.

Przed odjazdem ukryli pod drzewami zapasy oraz siodła pod juki, aby nie obciążać niepotrzebnie koni. Wrócą po nie, jeżeli wyprawa zakończy się powodzeniem. W przeciwnym razie nie będą ich więcej potrzebować.

Doña Luisa jechała teraz sama. Dosiadła konia Isabel. Mężczyźni zastanawiali się nawet, czy kobiety nie powinny poczekać na nich w dębowym gaju, lecz po naradzie uznali ten pomysł za zbyt ryzykowny. Ktoś musiałby z nimi zostać, a przecież i tak stanowili małą siłę. Refugio narzucił mordercze tempo. Wiedzieli, że tak musi być, skoro zamierzają dopędzić Indian. Tygodnie spędzone w siodle teraz się opłaciły. Dobrze znosili jazdę, przynajmniej na razie. Jak wytrzymywała ją Luisa, Pilar nie była pewna. Ona sama natomiast

była gotowa przetrwać wszystko, co zdolni byli znieść ranni mężczyźni. Nie mieli wątpliwości, że to, na co się porywają, graniczy z szaleństwem. Zgodni jednak byli co do jednego: należało podjąć ryzyko. Przebyli razem kawał drogi, wiele przeszli. Zdradziliby Isabel, zostawiając ją w rękach Indian. I choć nikt nie powiedział tego głośno, wszyscy myśleli podobnie, bo żadne z nich nie zaproponowało, kiedy zapadła decyzja o pościgu. Świadomość tego, co ich może spotkać, napawała Pilar paraliżującym lękiem, więc starała się jak najmniej myśleć, koncentrując całą uwagę na utrzymaniu się w siodle. Jechała z przodu, wystawiając twarz na wiatr, nieczuła na zmęczenie i ból odrętwiałych członków. Nie potrafiła odsunąć od siebie myśli o Isabel. Co ona tam przeżywa? Cierpi ból i poniżenie. Musi być zrozpaczona. Czy czeka na nich? Wie, że Baltasar i Refugio są ranni. Pewnie nie liczy, że spróbują ją odbić. A może w ogóle nie wie, co się z nią dzieje? Przed porwaniem zachowywała się dziwnie, a potem chyba straciła przytomność. Biedna Isabel. Niektórym ludziom zawsze wiatr wieje w oczy. Miotają się, dręczeni niepokojem. Nie potrafią odnaleźć szczęścia. Chcą od życia więcej, niż mogą dostać. Takie tęsknoty nie wróżą niczego dobrego, lecz czasem trudno od nich uciec. Pilar zaczynała się zastanawiać, czy przypadkiem nie ucieka w świat uludy podobnie jak Isabel. Dojechali do indiańskiej wioski tuż po zmroku. Odnaleźli ją dzięki smużkom dymu, wijącym się w górę z licznych ognisk. Nad płytką kotliną wisiała szara chmura, a w niej odbijały się ostatnie promienie czerwonego słońca. Charro, który znał okolicę i obyczaje Indian, zaproponował, że pójdzie na zwiad. Nie zatrzymywali go. Zeskoczył z konia i wtopił się w ciemność. Oni też zsiadli z koni i wyciągnięci na ziemi czekali na niego w zwartej grupie. Kiedy jakiś czas później wrócił do nich, uderzył ich wyraz rozpacz i przerażenia na

jego twarzy.

Wyraźnie ociągał się z odpowiedzią na pytania, którymi go zasypali.

- Widziałem wojowników, którzy na nas napadli wyjawili wreszcie. - Oprócz nich naliczyłem około tuzina młodych mężczyzn. Jest również grupka starców i mniej więcej dwadzieścia kobiet. Wszystko wskazuje na to, że Apacze podarowali Isabel kobietom. Ma liczne klute rany i oparzenia. Baltasar, który siedział skulony, trzymając się za bok, niezgrabnie dźwignął się z ziemi.

- Co ty mówisz?!

- Słyszałeś przecież. - Charro odszedł od nich parę kroków i stanął ze zwieszoną głową. - Za mną! - rozkazał Refugio.

Poruszali się w miarę szybko, starając się przy tym czynić jak najmniej hałasu. Tuż przed wioską natknęli się na ciało wartownika, którego wcześniej unieszkodliwił Charro, zapominając ich o tym poinformować. Ostatnie kilka jardów do krawędzi wzniesienia nad niecką przebyli, pełzając na czworakach.

Roztaczał się stąd widok na całą osadę. Nie była duża.

Szałasy, zbudowane z bali i gałęzi, stały rozrzucone wzdłuż małego strumienia. Przed każdym z nich tlił się ogień. Między szałasami bawiły się dzieci i wałęsały psy. Prawie wszyscy mężczyźni zgromadzili się przy dużym ognisku na środku wioski. Kobiety trzymały się razem nieco na uboczu.

Przybyli za późno. Isabel leżała rozciągnięta na ziemi.

Z czubka jej głowy sterczało pojedyncze pasmo włosów. Resztki podartego w strzępy ubrania były w wielu miejscach ponadpalane. Na łydkach miała liczne zadrapania, a na udach krwawe ślady po nacięciach nożem. Jedną nogę trzymała zgiętą nienaturalnie. Zapewne właśnie z powodu złamania uznano, że nie nadaje się na niewolnicę.

Refugio leżał, nie spuszczać wzroku ze zmasakrowanej Isabel. Po chwili z jego piersi wyrwało się urywane westchnienie. Ruchem ręki dał znak do odwrotu.

- Zaczekajcie! Ona się poruszyła! - powstrzymał ich zduszonym szeptem Baltasar, wpatrzony w dziewczynę załzawionymi z wysiłku oczyma. Nie mylił się. Isabel drgnęła, usiłując podnieść rękę.

Z jej ust wydobył się przeciągły jęk. Jedna z Indianek spojrzała na nią przez ramię i sięgnęła po leżący w pobliżu kij. Baltasar zacisnął dłonie na muszkiecie i oparł go o ramię, szykując się do strzału.

- Nie! - syknął Charro, kładąc rękę na jego barku. Ściągniesz ich wszystkich nam na głowę.

- Nie obchodzi mnie to!

- A mnie tak. Jest już za późno, przyjacielu. Nawet gdyby udało nam się zejść na dół i zabrać ją stamtąd, nie byłaby w stanie jechać konno. Wątpię, czy dożyje do rana.

Baltasar uparcie mierzył w grupę Indianek. Dopiero po chwili opuścił muszkiet. Łzy trysnęły mu z oczu i spłynęły bruzdami wzdłuż nosa.

- Nie zostawię jej tak - oznajmił, prostując się znowu.

- Nie masz innego wyjścia. Chyba że chcesz zginąć razem z nią.

- Oddałbym za nią życie, gdyby to miało sens. Ale mogę przynajmniej uwolnić ją od cierpienia. Zrozumieli, co ma na myśli. I chociaż było to niezgodne z prawem tak boskim, jak i ludzkim, wiedzieli, że słusznie postępuje. Żadne z nich nie zaprotestowało, gdy wycelował broń w kobietę, którą darzył miłością.

Nie starczyło mu jednak odwagi, aby nacisnąć spust.

Drżenie rąk przeniosło się na ramiona, wprawiając jego barki i głowę w nerwowy płas. Zaciskając wargi, usiłował zapanować nad rozdygotanym ciałem. Kropelki potu



spłynęły mu ze skroni na policzki, mieszając się ze łzami.

Z gardła olbrzyma wyrwało się spazmatyczne westchnienie. Bezradnie opuścił muszkiet. W tej samej chwili zobaczyli, jak Indianka podnosi się od ogniska i wywijając kijem, zbliża się do Isabel. Baltasar zatrząsł się i odwrócił głowę, zatrzymując spojrzenie na Refugiu.

- El Leonie, musisz to zrobić.

W nabrzmiałym bólem głósie kryło się błaganie. Wilgotna od potu i łez skóra połyskiwała żółtawo w poświęacie ognisk płonących w kotlinie. Po twarzy Refugia przebiegł ledwo widoczny skurecz. Na ułamek sekundy przymknął powieki.

- Zrobię - oznajmił stanowczym szeptem. - Dla ciebie, Baltasarze. Ale wystrzał ściągnie Apaczów. Musicie odjechać. Natychmiast. Zostawcie mnie samego. Dołączę do was. Posłuchali go, bo cóż więcej im pozostało? Właściwie odczuli ulgę, że wziął na siebie to nieludzkie zadanie. Biegli do koni, potykając się w ciemnościach, w każdej chwili spodziewając się wystrzału. Potężny huk przetoczył się echem, gdy byli przy koniach. Tak jak Refugio rozkazał, czym prędzej wskoczyli na siodła i pomknęli tym samym szlakiem, który doprowadził ich do wsi. Pędzili przed siebie, jakby ścigały ich demony i zmory z najpotworniejszych snów, jakie zdarzyło im się śnić w dzieciństwie. Upiory wcale ich nie opuściły, kiedy Refugio wyjechał im naprzeciw, okrążywszy wpierw wioskę od północy, aby zmylić ewentualny pościg. Galopowali w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w czarną przestrzeń. Przystanęli w dębowym gaju, wydobyli z ukrycia zapasy i czym prędzej odjechali od rozkładających się mułów. Przed świtem zdecydowali się na krótki postój. Odpoczęli chwilę i dali ochłonać zgonionym koniom, zanim je napoili. Wschód słońca zastał ich w siodłach. Dopiero po południu przestali się nerwowo oglądać za siebie. Nic nie wskazywało na to, że Apacze podążali ich śladem. Najprawdopodobniej zaniechali pościgu. Nie wiadomo,

czy przyczyną były straty poniesione podczas wcześniejszego ataku, niechęć do jazdy nocą, a może śmierć Isabel. W każdym razie byli wdzięczni losowi, że nie widzą za sobą tumanów kurzu, wzbijanych przez pogoń.

Nigdzie nie dostrzegli śladów Indian ani don Estebana. Pozostało im jedynie snuć domysły na temat jego zniknięcia. Czyżby Apacze napadli również na niego? A może w strachu o własną skórę zrezygnował z pościgu, kiedy dowiedział się o potyczce? Całkiem też możliwe, że wraz z handlarzami obserwował walkę z ukrycia, a potem pojechał za nimi aż do indiańskiej wioski, ale nie zauważył, kiedy się wycofali. Kto wie, czy nie minął dębowego gaju, który znajdował się w pewnej odległości od traktu, i nieświadomy tego, co się tam wydarzyło, jechał teraz przed nimi? Nie mogli też wykluczyć, że handlarze odgadli cel ich podróży, a znając dobrze te tereny, zboczyli z niebezpiecznego Camino Real, by poprowadzić Estebana którymś z równoległych południowych szlaków. . Chociaż byli szczęśliwi, że mogą odpocząć, pozostali czujni. Po zmroku nie rozpalili ogniska i jeszcze staranniej niż zwykle wybrali miejsce na nocleg. Charro zaproponował, że pierwszy z trójki sprawnych mężczyzn stanie na warcie, lecz tak naprawdę czuwali wszyscy, bo pomimo zmęczenia byli zbyt zdenerwowani, żeby zasnąć. Przewracali się z boku na bok, poprawiali derki, wygrzebywali spod nich kamienie i patyki, pochrząkiwali, przeciągali się i leżąc na wznak ze wzrokiem utkwionym w niebo, liczyli gwiazdy. Vicente po cichu odmawiał modlitwę. Drugi z kolei przejął wartę Enrique. Wreszcie około północy rozległo się chrapanie Baltasara. Po chwili dołączył do niego głęboki, regularny oddech Luisy. Charro przewrócił się na bok i przeciągle westchnął. Vicente leżał spokojnie, a Refugio, tak jak zawsze, wyciągnął się obok Pilar. Wreszcie także i Pilar ogarnęła senność. Nagle z pierwszej drzemki wyrwał ją cichy szelest. Ze strachu dostała gęsiej skórki.

Kiedy uniosła powieki, zobaczyła, że Refugio z derką pod pachą wspina się po zboczu

niewielkiej kotliny, w której obozowali, i znikła w ciemnościach, zamieniwszy po drodze parę słów z Enrique. Odczekała chwilę, wstała i też wdrapała się na skarpę. Enrique przysiadł na siodle i dłubał w ziemi końcem kija.

- Gdzie Refugio? - zapytała szeptem.

Bez słowa wskazał patykiem w ciemną przestrzeń. Skinęła głową i ruszyła za

Refugiem. Żółtawy sierp księżycy przypominał napoczęty plaster melona. W mdłym świetle dostrzegła sylwetkę Refugia. Szedł parę kroków przed nią. Zbudzone owady wlatywały w górę spod jego stóp. Gdzieś wysoko zakwilił nocny ptak.

Refugio zatrzymał się przy skałach, sprawdził, czy nie ma pod nimi węży, rozłożył derkę i usiadł na ziemi, opierając się plecami o wygrzane słońcem głazy. Przystanąła, zastanawiając się, jak mu dać znać o swojej obecności.

- Jeśli zamierzasz mi współczuć lub się nade mną użalać, to lepiej z tego zrezygnuj - odezwał się pierwszy. Wystarczy, że sam się nad sobą lituję.

- Chciałam dotrzymać ci towarzystwa. - A ponieważ nie doczekała się odpowiedzi, dodała: - Pójdę sobie, jeżeli wolisz zostać sam.

- Nie. Zostań - poprosił, przesuwając się, by zrobić dla niej miejsce na derce. Usiadła przy nim, obejmując ramionami podciągnięte pod brodę kolana. Szukała w myślach jakichś słów, które przerwałyby ciszę. Jakiejś błahej uwagi o nocy czy pogodzie, lecz wszystko wydawało się niestosowne.

Spojrzała na ciemny zarys jego głowy z bielejącym na niej opatrunkiem. Zastanawiała się, czy to ból wygnał go z posłania, ale bała się zapytać, by nie wziął jej zainteresowania za współczucie.

- Tak mi żal Isabel - powiedziała zamiast tego. Westchnął ciężko.

- Mnie też.

- Dużo jej z siebie dałeś.
- Nie tyle, ile powinienem. I nie to, czego ona pragnęła.
- Jak to?
- Czemu pytasz? - odwrócił się ku niej, patrząc w ciemną przestrzeń między nimi.
- Nie wiem. Może dlatego, by wreszcie uwierzyć, że to wszystko się wydarzyło naprawdę.
- Isabel była jak ptak ze złamanym skrzydłem - zaczął, znowu zapatrzonej przed siebie.
- Znajdujesz takiego ptaka i wiesz, że już nigdy nie wzbije się w górę. Więc się nim opiekujesz, bo sam nie daje sobie rady. Jeżeli go zaniedbasz, dopadnie go kot albo jastrząb i nie ma dla niego ratunku.
- Uważasz więc, że na tobie spoczywa wina za porwanie, obciąża cię jej śmierć?
- Zaprzecz, że tak nie jest, jeśli potrafisz.
- Powiedz: jaki los zazwyczaj spotyka kalekie ptaki?
- Hmm, ja też zadałem sobie to pytanie, ale się nie czuję rozgrzeszony. Raptownie odwróciła się do niego.
- Stałeś przed dramatycznym wyborem. Mogłeś pozwolić, by konała w mękach powolną śmiercią, albo skrócić jej cierpienia. Nie umielibyśmy stamtąd odejść, dopóki by nie umarła. A im dłużej byśmy zwlekali, tym większe byłoby prawdopodobieństwo, że Apacze odkryją naszą obecność i pozabijają nas wszystkich. Bez wahania wzięłeś na siebie rolę egzekutora, ponieważ ktoś inny się od niej uchylił. Nie umyłeś rąk, nie próbowałeś się wykręcić. Nie na tobie, lecz na nas spoczywa wina, bo odczuliśmy ulgę, że się zgodziłeś, a w dodatku zostawiliśmy cię samego. A teraz wstyd nam wszystkim za brak odwagi.
- Nie powinienem był opuszczać Hiszpanii i jechać za Estebanem.
- Uzurpujesz sobie teraz mój powód do żalów.

- Wcale nie. Po prostu myślę także o twoim losie - odpowiedział uprzejmie.
- Bardzo dziękuję, ale o ile pamiętam, ustaliliśmy już, że za mój los odpowiadam ja sama.
- Oponowałbym, ale nie mam siły się sprzeczać, Pilar.
- W takim razie nie rób tego. Tejas jest ogromną połacią niezamieszkaną ziemi. Zdaje się ciągnąć bez końca. Musi się znaleźć miejsce, gdzie nie dopadnie nas don Esteban i nikogo nie będzie interesować El Leon.
- Myślałem tak samo i nawet zacząłem snuć plany, dopóki się nie okazało, że twój ojczym jedzie za nami. Pamiętaj, że tam, gdzie są osady, są także urzędnicy, a oni podlegają królowi. Don Esteban ma wpływy na dworze, więc na zawsze pozostanę banitą i rozbójnikiem.
- To nie jest powiedziane.
- Jak może być inaczej? Chyba że uśmiercę Estebana. A ja już mam dość zabijania.
- A co z zemstą?
- .Myśl o niej towarzyszy mi od wielu lat i co mi z tego przyszło? Życie dla zemsty jest zatrute śmiercią. Jeden po drugim giną ludzie, których kochasz. Tracisz wszystko, z czego jesteś dumny, wypalasz się wewnątrz. Zostaje tylko jad. Jestem znużony nienawiścią i spustoszeniem, jakie ze sobą niesie. Tęsknię za radością życia.
- Czy o tym myślałeś dziś podczas jazdy?
- Chcesz wiedzieć, czy to przeminie, kiedy przestaną mnie nękać myśli o Isabel? -  
Głos Refugia nabrał łagodności.
- Tak, chyba tak.
- Więc odpowiedź brzmi: nie. Nie przeminą. I me o tym myślałem, kiedy jechaliśmy.
- A o czym? Przysunął się do niej.

- Ach, Pilar, przy tobie wszystko staje się takie proste powiedział zdławionym, nieco drżącym głosem. - Co ty robisz, że tak na mnie działasz?

- Nie rozumiem?

Wyciągnął rękę i przesunął opuszkami palców po jej policzku, powiódł nimi po jej szyi i zatrzymał dłoń na wzniesieniu piersi.

- Dla mnie jesteś kwintesencją życia. W tobie jest siła. Zazdroszczę ci, bo ja jej nie mam. Pozwolisz mi czerpać z siebie energię? Udzielisz mi swojej siły?

- Czy to znaczy, że ... mnie pragniesz?

- Właśnie to próbuję ukryć pod potokiem słów, bo boję się odmowy.

- Jestem tylko kobietą.

- Tak, kobietą. Ale dla mnie niezwykłą. Tęsknię, żeby cię zamknąć w ramionach, abyś ty mnie zamknęła w sobie. Pragnę ciebie teraz, tutaj, w tej chwili, jak nigdy nikogo przedtem. Nie sądziłem, że może mi jeszcze na tym zależeć. Kochaj mnie albo zabij. Nie, nie słuchaj tych bzdur szaleńca, doprowadzonego do ostateczności. Odrzuciłem litość, nieprawdą? A więc kochaj mnie, aby cieszyć się nocą, a ja obiecuję, że postaram się, żeby trwała długo. Jak mogła odmówić? Szczerze mówiąc, wcale nie miała ochoty się wzbraniać. Czyż nie po to właśnie przyszła tu za nim? Nie szukał współczucia ani rozgrzeszenia, lecz przecież nie tylko słowa niosą ulgę.

Nie czuli, że ziemia pod derką jest twarda i pełna na niej drobnych kamieni. Nie ziębiło ich nocne powietrze. Nic się nie liczyło, nic im nie przeszkadzało. Byli sami na świecie pod niebem obsypanym gwiazdami z księżycem jak melon. Pieszczotami delikatnymi jak nić porozumienia między nimi budzili zmysły, by zanurzyć się w studni namiętności aż po samo dno zapomnienia.

Z ustami złączonymi w długim, głębokim pocałunku, ściągali z siebie ubrania. Nagie

ciała - jego muskularne i twarde, jej delikatne i miękkie - splótły się w harmonijnym uścisku, godnym dłuta antycznych mistrzów. Szorstkie włosy na jego piersi łaskotały jej usta i kłuły w język, kiedy pieszcząc płaskie sutki, zmieniała je w twarde wznórki. Mięśnie jego pleców poruszały się pod jej dłońmi jak powrozy obciążone satyną. Zachwycała ją gładkość muskularnych ud, obejmujących jej nogi. Ciepła wilgoć jego oddechu przyprawiała ją o dreszcze rozkosznego oczekiwania. Wspólnie odnaleźli rytm, który rozciągnął czas w nieskończoność i wyniósł ich na granicę wytrzymałości. Refugio splótł palce z jej palcami i całował pulsujące miejsce we wgłębieniu jej szyi. Stwardniałymi od szpady dłońmi pieścił jej piersi, gładził brzuch i błędząc coraz niżej, rozpalał płomień gdzieś w głębi jej ciała. Kiedy w nią wniknął, eksplozja namiętności wywołała w niej gwałtowną tęsknotę za zaspokojeniem. Unosiła biodra i wstrząsana siłą jego pchnięć, wychodziła naprzeciw jego ruchom, aż razem, nieważcy i zachwyceni, stopieni w jedno, poszybowali ku szczytom ekstazy.

## **ROZDZIAŁ XX**

Do misji San Juan dotarli o zmierzchu. Wygrzane słońcem, obrośnięte winoroślą jasne mury kolonii otoczyły ich jak życzliwe ramiona. Sylwetka kościoła z dachem dzwonnicy połyskującym w ostatnich promieniach słońca, widok księdza w przykurzonej sutannie, idącego im na powitanie, oraz chóralny śpiew Indian, niosący się w cichym wieczornym powietrzu, napełniły ich serca otuchą i nadzieją. Po raz pierwszy od wielu tygodni poczuli się bezpieczni.

Nie pojechali do miasta San Antonio de Bexar ani nie zatrzymali się w żadnej z misji, które na podobieństwo koralu nanizanych na wstążkę rozmieszczone były jedna przy drugiej wzdłuż brzegu rzeki San Antonio. Na ostatni przystanek przed powrotem do rodzinnej hacjendy Charro wybrał San Juan. Jego matka darzyła to miejsce szczególnym sentymentem.

To tu jako dziecko nauczyła się katechizmu. To właśnie do tej, najbardziej oddalonej od miasta misji zajeżdżali czasami jej rodzice, potomkowie osadników z Wysp Kanaryjskich. Dobrotliwy padre nakarmi ich i przenocuje, zapewniał ich Charro, a jeżeli wyruszą w drogę z samego rana, szybko powinni dotrzeć do hacjendy jego ojca.

Kościół otaczało kilka budynków z wypalanej na słońcu cegły: plebania, w której mieszkał ksiądz wraz z pomagającym mu zakonnikiem, spichrz, stajnia, kuźnia oraz warsztat tkacki. Wzdłuż muru stały chaty Indian, tu i ówdzie widać było kurniki, a także ceglane paleniska do gotowania stawy.

Nad misją dominował kościół, dzięki któremu powstała. Ksiądz zaproponował przybyszom, by zaszli do środka i zmówili dziękczynną modlitwę za szczęśliwą podróż. Poszli za nim posłusznie, po części przez szacunek dla kapłana, ale także z potrzeby serca. Niektórzy z nich przestąpili próg świątyni po raz pierwszy od wielu lat.

Kościół był skromny i niezbyt duży, lecz ascetyczność stylu i surowy wygląd kamiennych łuków zsyłały spokój i budziły szacunek. Stacje Męki Pańskiej, podobnie jak ołtarz, wyrzeźbił w tutejszym drewnie jakiś zdolny snycerz. Gdzieś widać było nawet oszczędne złocenia. Jedyne barwne akcenty stanowiła figura Matki Boskiej, starannie pomalowana jaskrawymi farbami. Z prostych obrazów emanowała siła i energia charakterystyczna dla sztuki Nowego Świata. Tylko dwa olejne płótna wyglądały na przywiezione z Hiszpanii. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego matka Charro upodobała sobie to właśnie miejsce.

Widok Indian, poruszających się spokojnie po misji, sprawiał dziwne wrażenie.

Większość ich pochodziła z okolic Mexico City. Ich przodkowie, nawróceni na wiarę chrześcijańską, przywędrowali do misji z południa, aby pomagać pierwszym hiszpańskim księżom. Pozostali należeli do licznych plemion zamieszkujących pobliskie tereny. Byli



wśród nich Indianie Borrado, Takame, a nawet kilku Apaczów - Lipanów, którzy przyjęli naukę kościoła. Według słów Charro Apacze dzielili się na bardzo wiele szczepów i choć większość ich toczyła niekończące się wojny, zdarzały się także pokojowo nastawione szczepy.

Zgodnie z przewidywaniami Charro padre zaproponował gościnę. Charro, jako syn starego przyjaciela kościoła, a także doña Luisa zostali zaproszeni na kolację do plebana. Refugia i Pilar spotkał taki sam zaszczyt, bo ojczulek był bardzo ciekawy sprawozdania z długiej podróży lądem. Jednak Refugio wymówił się od wspólnego posiłku, a Pilar poszła w jego ślady. Jak podejrzewała, Refugio nie był jeszcze gotowy mówić spokojnie o tym, co ich spotkało. Ona zaś miała ochotę na kąpiel bez uciążliwego towarzystwa Luisy, z którą dzieliła pokój. Co prawda w ostatnich dniach doña Luisa nabrała dla niej szacunku, lecz Pilar była już znużona jej ciągłą obecnością.

Refugio nie zareagował, kiedy ksiądz umieścił obie kobiety we wspólnej kwaterze.

Oczywiście nie mógł zaprotestować, nie narażając przy tym dziewczyny na utratę dobrego imienia. Pilar zastanawiała się, czy Refugio ubolewa nad tym, że ich rozdzielono, i wcale nie była tego taka pewna. Im bardziej zbliżali się do cywilizacji, tym bardziej Refugio zamykał się w sobie. Od tamtej nocy po śmierci Isabel co wieczór zasypiała w jego ramionach, ale rzadko zdarzało się między nimi coś więcej. Wzruszała ją dyskrecja, z jaką ukrywał przed pozostałymi ich zażyłość, nie pozwalając sobie na żadne czulsze gesty na ich oczach, lecz jednocześnie ta wstrzemięźliwość napełniała jej serce niepokojem. Coraz bardziej dochodziła do przekonania, że znaczy dla niego tyle samo, co inne kobiety, a jej obecność, choć czasami przyjemna, stanowi dla niego dodatkowy ciężar, zwłaszcza gdy przestała być zakładniczką za Vicente. Więc na pozór spokojna, jechała z ciężkim sercem, podsycając takimi myślami nurtujące ją obawy i wątpliwości.

Jaki los ją czeka w tych stronach, tak daleko od wszystkiego, co zna? To pytanie powracało podczas całej podróży, ale kiedy liczyła się tylko walka o przetrwanie, odsuwała je na dalszy plan. Teraz, gdy zbliżali się do kresu podróży, należało coś postanowić.

Najważniejszy problem to pieniądze na utrzymanie. Musi koniecznie znaleźć pracę i jakiś ką. Być może ksiądz misjonarz jej coś doradzi albo rodzice Charro wskażą rozwiązanie.

Nie wiedziała, do kogo powinna się zwrócić. Jednego natomiast była pewna: nie będzie oglądać się na Refugia. Duma jej na to nie pozwalała, nie mówiąc już o innych powodach.

Czasami usprawiedliwiała jego zachowanie. Rozumiała, co musi myśleć i czuć, świadomy swych win, obarczony odpowiedzialnością za wszystko i wszystkich. Lecz nie on jeden się gryzł. Ją też dręczyły obawy, że w tym surowym kraju zostanie surowo osądzona.

Mentalność mieszkańców Nowego Orleanu ukształtowały wpływy francuskie, więc cechowała ich pewna tolerancja. Z tego, co Charro opowiadał o swojej rodzinie, a także z niektórych opinii wygłaszanych przez niego samego wnioskuje, że tu obowiązują znacznie ostrzejsze zasady moralne. Zastanawiała się, jak jego rodzice zareagują, kiedy się dowiedzą, że ściągnął im na głowę nieproszonych gości. Wprawdzie zapewniał, że rodzice będą zachwyceni i przytkną oko na niezbyt jasną przeszłość przyjaciół ukochanego syna, szczęśliwi, że wrócił do domu cały i zdrowy, ale czy rzeczywiście tak myślał, Pilar nie była pewna.

Przez te niewesołe rozważania nie najlepiej spała w nocy. Nie mogła odpędzić od siebie obrazu Isabel i myśli o tym, jak bardzo ta biedna dziewczyna pragnęła znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Pilar, nawykła do koczowania pod gwiazdami, dusiła się w czterech ścianach, a na domiar złego, zamiast leżeć u boku Refugia, dzieliła materac z Luisą.

Oczywiście sypianie z Refugiem było zwykłym nawykiem, nic więcej. A jednak ... przyzwyczajenia są drugą naturą człowieka. Podczas śniadania, na które podano świeżo

upieczony chleb i gorącą czekoladę, zerknęła spod rzęs na Refugia, siedzącego przy drugim końcu stołu. Akurat rozmawiał po cichu z Baltasarem. W ostatnich dniach olbrzym postarzał się i jakby skurczył. Rana goiła się powoli, więc garbił się w siodle. Zawsze małomówny, teraz prawie się nie odzywał, a podczas drogi najczęściej jechał w pewnej odległości od nich, ze wzrokiem wbitym w horyzont. Refugio w przeciwieństwie do niego wyglądał zdrowo i czerstwo. Przestał nosić opatrunek, twierdząc, że już nie jest mu potrzebny. Może rzeczywiście miał rację, bo po strzale pozostała jedynie ciemna szrama w rozdzielających się w tym miejscu włosach. Jego rany, przynajmniej te na ciele, zasklepiały się niewiarygodnie szybko.

Refugio podniósł wzrok, jakby odgadł, że dziewczyna na niego patrzy. Ledwo dostrzegalnie uśmiechnął się i odwrócił głowę z powrotem do Baltasara. To nikłe zainteresowanie jej osobą obudziło w niej złe przeczucia. Podejrzewała, że Refugio nie potrafi się oprzeć, by na nią nie patrzeć, a jednocześnie stara się odegnać wszelkie myśli o niej, żeby go nie odrywały od stojących przed nim zadań. Mimo słonecznego poranka przebiegła jej po plecach fala przykrego chłodu.

Z błogosławieństwem ojca misjonarza wyruszyli w drogę niedługo po śniadaniu, hałaśliwie zegnani przez indiańskie dzieci. Krótco potem przebyli wplaw rzekę i skierowali się na południowy zachód. Około południa dostrzegli szybko zbliżający się tuman kurzu. W pierwszej chwili pomyśleli, że to Indianie. Czerwonoskórzy dość często napadali na podróżujących traktem do San Antonio. Charro z Refugiem udali się na zwiad, nakazując reszcie zjechać z drogi.

Jakiś czas później powrócili na czele kawalkady. Jeźdźcy pohukiwali i wydawali radosne okrzyki, niektórzy z nich oddali po strzale na wiwat. Okazało się, że to stęskniony ojciec z grupą kowbojów wyjechał synowi naprzeciw, bo z wieczora ksiądz posłał umyślnego

z wiadomością do hacjendy. Rozradowany señor Huerta nie mógł usiedzieć na miejscu.

Obawiając się, by pod koniec podróży nie przydarzyło się chłopakowi jakieś nieszczęście, z samego rana z eskortą wyjechał mu na spotkanie.

Dom, w którym Charro przyszedł na świat, przypominał fortecę. Otaczały go solidne, wysokie mury z cegły, które niejednokrotnie obroniły rodzinę przed Indianami. Po ich zewnętrznej stronie stały ceglane, kryte strzechą chaty Indian pracujących przy bydle i na plantacji. Parobcy w razie potrzeby zawsze mogli schronić się na terenie posiadłości i mieszkać tam tak długo, jak to było konieczne. Tylna, pozbawiona okien ściana domu stanowiła przedłużenie muru. Na zamkniętej w ten sposób przestrzeni stały stajnie i budynki gospodarcze, a środek dziedzińca zdobiła kamienna fontanna.

Na piętrze, wzdłuż pobielonego wapnem frontu domu, biegł wąski balkon, wsparty na kolumnadzie. Lodżię na parterze ocieniało zadaszenie z ociosanych belek ułożonych w kratownicę, po których aż na piętro pięła się winorośl. Pod daszkiem wśród zieleni stał długi stół, a przy nim ławy. Z kratownicy zwisały powiązane w pęki główki czosnku i kolorowe papryki. W porozstawianych na ziemi kamionkowych naczyniach oraz dzbanach na wodę rosło jaskrawoczerwone i różowe geranium. Pod względem architektonicznym dom przypominał budowle hiszpańskie, lecz odmienność budulca, biel ścian i wyraźne otwarcie na zewnątrz nadały mu własny, indywidualny styl. Wjechali na dziedziniec przez otwarte szeroko wrota.

Señora Huerta czekała na nich w lodżii. Kiedy Charro zeskoczył z konia, ta niska, pulchna dama o okrągłej twarzy, rozjaśnionej macierzyńskim uśmiechem, podeszła do syna, wzięła go w objęcia i wycalowała w oba policzki. Z zachwytem przyglądała się stojącemu przed nią młodemu mężczyźnie, robiąc głośne uwagi, że bardzo zmęźniał, nabrał ciała i rozrósł się w barach. Równie serdecznie witała gości i z radosnym uniesieniem dziękując

Bogu za czuwanie nad podróżnymi, wprowadziła ich do domu. Potem skinęła na kręcącą się po komnacie indiańską służącą i zasypała ją gradem poleceń.

- Benita! - Charro podbiegł do dziewczyny i pochwycił ją za ręce. Rozpościerając szeroko jej ramiona, kręcił głową z niedowierzaniem. - Ale ty wyrosłaś! I wyładniałaś! No, no! Zawsze byłaś ładna, ale teraz zrobiła się z ciebie prawdziwa piękność.

Dziewczyna oblała się rumieńcem, rzuciła niespokojne spojrzenie na panią Huertę i obróciła swe ogromne, smoliste oczy z powrotem na chłopaka. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Charro zaś patrzył na nią z błogim uśmiechem, zupełnie nieświadomy marsowej miny obserwującej go matki. Być może to właśnie z powodu tej Indianki ojciec wysłał syna do Hiszpanii.

- Benita, dość tego! - Señora Huerta przywołała ją do porządku ostrym tonem. - Czeka nas wiele pracy przed fiestą!

- Urządzamy fiestę?! - ucieszył się Charro i puszczejąc dłonie dziewczyny, odwrócił się do matki. - Naprawdę?

- Ależ oczywiście. - Pan Huerta podszedł do Charro i klepnął go po ramieniu. -

Niecodziennie się zdarza taka okazja. Syn wrócił do domu, i w dodatku ładem z Luizjany. Musimy to uczcić.

- Dziś wieczorem?

- Pewnie, że dziś. Odkąd wyjechałeś, wszyscy mnie ciągle pytali, gdzie jesteś i co się z tobą dzieje. Trzeba jak najprędzej zaspokoić ich ciekawość.

Señor Huerta, wyruszając na spotkanie syna, pchnął posłańców z zaproszeniem na fiestę do wszystkich sąsiadów.

Niedługo też zaczęli nadciągać goście. Najczęściej przybywali konno. Młodzież i damy albo jechały na podwójnych siodłach razem z mężczyznami, albo dosiadały osiołków

lub mułów przykrytych paradnymi kapami. Kilka rodzin przyjechało powozami o skrzypiących kołach, znalazły się też dwie karety. Te mało zwrotne, ciężkie pojazdy skonstruowano raczej z myślą o tutejszych drogach niż o wygodzie pasażerów. Dla bezpieczeństwa ludzie trzymali się na szlaku razem. Do grupy co rusz dołączały kolejne rodziny, więc na koniec kawalkada liczyła sobie około osiemdziesięciu osób.

Goście przywieźli gitary, mandoliny, harmonie, małe bębny, kastaniety i indiańskie grzechotki.

Pamiętano również o upominkach dla gospodarzy. Przeważnie obdarowywano ich woreczkami kukurydzianej mąki, sznurkami czerwonej papryki, kozim serem, winem domowej roboty, a także cukierkami formowanymi z masy gotowanej z mleka, czekolady i cukru z dodatkiem orzechów.

Starsze kobiety poubierały się w czarne suknie i czarne czepki, młodsze powpinały we włosy kwiaty, a ich stroje ozdobione koronkami i riuszką były uszyte zgodnie z modą obowiązującą w Madrycie mniej więcej trzy lata temu.

Pół godziny po zjawieniu się ostatnich gości zamknięto podwoje i rozpoczęła się fiesta, która obfitością jadła przypominała średniowieczną ucztę. Podano wołowinę duszoną w sosie z papryki i miodu, doprawioną pomidorami, upieczone w całości na rożnie prosięta i jagnięta, fasolę, a także wiele innych potraw, które zagryzało się kukurydzianym lub pszennym chlebem. Na deser wniesiono tradycyjne ciasta z owocami, miodowe kołaczki oraz keksy nasączone rumem i aromatyzowane wanilią. Goście siedzieli rzędem przy ustawionych na dziedzińcu stołach i ucztowali pod gwiaździstym niebem, przy pełgającym świetle oliwnych lamp. Kiedy zasycili głód, zaczęły się tańce.

Grano fandanga, bolera oraz importowane z Francji kontredanse, a dla złapania oddechu wolne menuety.

Damy w czerni, kiwając w rytm głowami, a nierzadko wystukując go obcasami, czujnie obserwowały tańczące córki, wnuczki i wszystkie młodsze krewne. Panowie na stronie palili aromatyczne cygara, dyskutując przy tym o bydło, koniach i najnowszych, aczkolwiek bardzo spóźnionych, wiadomościach z Mexico City. Panny siedziały przy swoich matkach lub zbite w grupki gwarzyły i chichotały, strzelając oczyma ku młodzieńcom, którzy wsparci o kolumnadę lodzii, popatrywali na nie z wielkim zainteresowaniem.

Señora Huerta, która przed fiestą znalazła dla Pilar odpowiednią suknię, teraz przedstawiała jej kawalerów do tańca. Doña Luisa, choć wystrojona przez nią w czernie, też nie stroniła od tańców.

Enrique, Vicente i Refugio, jak przystało na kawalerów, również brali udział w zabawie i nie brakowało im partnerek. Jedyne Baltasar z talerzem jedzenia w jednej ręce i butelką wina w drugiej wycofał się do stajni i nie pokazał się do końca uczy.

Zanim zaczęła się noc, opowieść o tym, jak Refugio wyciągnął Charro z tarapatów w Hiszpanii, a także relacja o ich najeżonej niebezpieczeństwami podróży obiegiła całe towarzystwo, przez co przybysze obudzili jeszcze większe zainteresowanie, a i zyskali szacunek niewielkiej lokalnej społeczności. Jeden tylko szczegół został przemilczany: to, że Refugio jest El Leonem. Rodzice Charro uznali, że lepiej pominąć ten fakt milczeniem.

Señora Huerta obserwowała zabawę z lodzii. Za każdym razem, ilekroć jej oczy spoczywały na Refugiu, pojawiał się w nich wyraz zatroskania. Jednak odnosiła się do niego bardzo uprzejmie. To on przywiózł do domu jej syna, a w dodatku był atrakcyjnym młodym kawalerem, więc z miłym uśmiechem przedstawiała mu sąsiadów mających córki na wydaniu. W pewnej chwili, kiedy Refugio krążył po dziedzińcu, zatrzymując się to tu, to tam na słówko, podeszła do niego i nakreśliła mu na czole znak krzyża.

Refugio odtańczył z Pilar ogniste bolero. I choć nie odrywał od niej swych szarych

oczu, uśmiechał się rzadko i zachowywał bardzo powściągliwie. Gdy Charro poprosił ją do następnego tańca, Refugio odstąpił partnerkę, protestując na tyle, na ile nakazywał dobry ton. Idąc z Charro przez podwórze, gwarzyli o jego domu, gościach, rodzicach i urokach fiesty.

- Nawet nie przypuszczałem, że może mi tego wszystkiego tak bardzo brakować. -

Zatoczył ręką łuk, wskazując muzyków, sąsiadów i przyjaciół. - Kiedy ojciec zaproponował wyjazd, nie miałem na to zbyt wielkiej ochoty, ale pomyślałem sobie: a niech tam! Zobaczę wspaniałe miasta, posłucham uczonych mężów, popatrzę na eleganckie damy, poznam światowe życie. Już się tym wszystkim nacieszyłem. Najchętniej bym się ożenił, patrzył, jak rosą mi dzieci, i nie ruszał się stąd do końca życia.

- Pomimo zagrożenia ze strony Apaczów?

- Wszędzie czają się jakieś niebezpieczeństwa. Ludzie umierają na żółtą febrę, płoną im domy albo ... napadają na nich bandyci - dokończył z szelmowskim uśmiechem. - A ty?

Co będziesz robić? Akurat przechodzili obok fontanny. Pilar w zamyśleniu przesunęła palcami po wilgotnych, szorstkich kamieniach.

- Nie wiem. Być może przyjedzie tu mój ojczym. Nie potrafię przewidzieć, jak się zachowa. Nawet jeśli nie będzie próbował mnie skrzywdzić; może powiedziec coś takiego, że przestanę tu być mile widziana.

- Niemożliwe - zaprzeczył gorąco Charro. Podziękowała mu uśmiechem.

- Jeżeli wszystko się dobrze ułoży, może uda mi się znaleźć jakieś zajęcie. Mogę brać szycie.

- Szycie!

- Nauczyłam się szyć w klasztorze.

- Większość tutejszych kobiet to potrafi. Przeważnie same szyją sobie suknie. Poza



tym ty nie jesteś stworzona do pracy.

- Muszę coś zrobić!

- A Refugio?

- Ja ... Trudno powiedzieć. Przyglądał jej się w milczeniu.

- Tak. Rozumiem - powiedział po chwili. - Gdyby nie on ... Czy wiesz, że gdybyś była córką któregoś z naszych sąsiadów i przechadzalibyśmy się tak jak w tej chwili, uznano by nas za narzeczonych? Spojrzała na niego speszona, lecz uspokoiło ją serdeczne spojrzenie Jego oczu.

- Tak bardzo odwykłam od opieki dueñi - uśmiechnęła się lekko - że nawet nie przyszło mi na myśl, iż zachowujemy się niestosownie. Dołączymy do tańczących, aby ratować twoją reputację?

- Raczej, by nie narazić się na gniew mojej matki. Ale powinnaś o tym pomyśleć.

- O przyzwoitce?

- Nie, Pilar. O zaręczynach. W tym domu zawsze będzie dla ciebie miejsce. Za ich plecami tancerze szurali nogami w rytm skocznej muzyki. Pociągła twarz młodzieńca spoważniała. W stroju do konnej jazdy, ozdobionym srebrnymi guzami, poruszał się w tańcu z gracją typową dla wytrawnych jeźdźców.

- To ... bardzo ładny gest z twojej strony.

- Żaden gest - skrzywił się. - Myślę przede wszystkim o sobie. Więcej nie mogę powiedzieć ze względu na Refugia. Jest moim przyjacielem. Ale pamiętaj o mojej propozycji, dobrze? Wzruszyła ją ta ukradkiem złożona deklaracja. Nie miała zamiaru z niej skorzystać, ale była mu za nią wdzięczna. Uśmiechnęła się do niego w półmroku, gdy odprowadzał ją na galerię. Kiedy na dobre rozbawieni tancerze wirowali w rytm pulsującej muzyki, ktoś załomotał do bramy. Charro podbiegł do muru i wdrapał się na wieżyczkę, żeby sprawdzić,

kto ich niepokoi, po czym powiadomił ojca, że za bramą stoi oddział żołnierzy. Señor Huerta kazał rozewrzeć wrota. Żołnierze wjechali do środka, indiańska służba domowa zajęła się końmi, a oddział sprawnie uformował się w szyk. Señor Huerta wysunął się naprzód.

- Witajcie w moim domu, panowie. Jak widzicie, mamy tu dziś wielkie święto. Mój syn po długiej nieobecności wrócił szczęśliwie z Hiszpanii. Uczynicie mi zaszczyt, przyjmując zaproszenie na fiestę. Kawał nocy przed nami.

- To dla nas wielki honor, señor. - Dowódca szwadronu, młody kapitan, odpowiedział mu ukłonem.

- Jesteśmy wdzięczni za zaproszenie. - Przerwał na chwilę, żeby odchrząknąć. -

Niestety, obawiam się, że zepsujemy zabawę. Przyjechaliśmy tu na rozkaz jego ekscelencji gubernatora Ramona Martineza Pacheco.

- A w jakim celu? - Señor Huerta znieruchomiał.

- Jak nam wiadomo, gości pan pod swym dachem człowieka o nazwisku Refugio de Carranza y Leon. Towarzyszy mu señorita Pilar Sandoval y Serna. Czy to prawda? Za plecami señora Huerty umilkła muzyka, zakończona efektownym crescendo. W nagłej ciszy słowa kapitana zabrzmiały głośno i wyraźnie, przyciągając uwagę tancerzy.

- Tak jest - odpowiedział krótko ojciec Charro.

- W takim razie oboje będą zmuszeni pojechać z nami.

- A po co, jeśli wolno spytać?

- Mają się stawić w pałacu gubernatora, by odpowiedzieć na parę pytań w związku ze swymi poczynaniami na terenie Hiszpanii i w Luizjanie.

- Przecież oni dopiero przyjechali - zaprotestował señor Huerta. - W jaki sposób gubernator się dowiedział?

- Zawiadomił go przybysz, don Esteban Iturbide.

Wniósł przeciw nim bardzo poważne oskarżenia. Dlatego pytam jeszcze raz: odda pan swoich gości pod moją straż dobrowolnie? Jeżeli spotkam się z odmową, mam wszelkie upoważnienie, by zabrać ich siłą.

Byli aresztowani. Żołnierze uzbrojeni w muszkiety i szpady blokowali bramę. Pilar wystarczył jeden rzut oka, by się zorientować, że, aby uciec, musieliby się wdać w walkę.

Wielu gości señora Huerty mogłoby odnieść rany. Widziała, jak Enrique wymienił porozumiewawcze spojrzenia z Refugiem, a potem przeniósł wzrok na Charro, który stał pod wartownią i zaciskając pięści, wpatrywał się w Pilar. Kiedy Enrique odwrócił się z powrotem do swego przywódcy, ten powoli pokręcił głową. Refugio zdecydowanym krokiem wysunął się naprzód.

- Nie zakłócimy spokoju tego domu - oznajmił dobitnie. - To ja jestem Refugio de Carranza y Leon. Oddaję się do waszej dyspozycji, panowie. Natomiast señorita Sandoval y Serna nie jest niczemu winna, więc nie ma powodu prowadzić jej przed oblicze gubernatora. Pilar przecisnęła się przez tłum i stanęła u boku Refugia. Z ciężkim sercem myślała o ironii losu. Don Esteban dopadł ją akurat wtedy, gdy zaczynała się cieszyć dopiero co odzyskanym poczuciem bezpieczeństwa.

- Nie proszę o żadne względy - oświadczyła bez najmniejszego wahania. - Gubernator życzy sobie mnie widzieć, a człowiekiem, który nas oskarża, jest mój ojczym. Nie rozczaruję żadnego z tych panów.

Wyruszyli o świcie, do San Antonio dojechali w porze sjeisty. Kiedy zmyli z siebie podróżny kurz i odpoczęli, zaprowadzono ich do gabinetu najwyższego rangą przedstawiciela władzy hiszpańskiej w prowincji. Gubernator urzędował w niskim, pobielonym wapnem budynku, usytuowanym naprzeciw koszar na placu San Antonio de Bexar, więc nazywanie go pałacem wydało im się mocno przesadzone. Prywatne apartamenty gubernatora Pacheco

musiały się mieścić w tym samym domu, bo zza ściany dochodziły do nich kobiece pokrzykiwania, szczęk kuchennych naczyń i trzask palącego się ognia. Przez otwarte żaluzje sięgającego sufitu okna wpadało do gabinetu rześkie powietrze. Zerknęli na zewnątrz. Ostatnie promienie czerwonego słońca, przefiltrowane przez korony drzew, rzucały długie pomarańczowe cienie na zakurzony kwadratowy plac. Ludzie wychodzili na dwór w poszukiwaniu chłodu; panny w towarzystwie przyzwoitek przechadzały się po obwodzie placu, przy każdym okrążeniu dwukrotnie się mijając z żołnierzami w wyblakłych mundurach, którzy spacerowali w przeciwnym kierunku.

Gubernator Pacheco siedział za ciężkim dębowym stołem w fotelu obitym czerwonym aksamitem, z wysokim oparciem zwieńczonym dość nieudolną rzeźbą, przedstawiającą lwy i zamki Hiszpanii. Obok gubernatora stał don Esteban, podpierając się jedną ręką o blat stołu. Z twarzą wysmaganą wiatrem i spaloną słońcem prezentował się mizernie w swym, tym razem pozbawionym znamion bogactwa, stroju. Jednak jego czarne świdrujące oczy patrzyły z nieukrywaną satysfakcją na Pilar i Refugia, prowadzonych pod strażą przed oblicze władzy. Mina mu nieco zrzędła, kiedy zobaczył, jak do komnaty wsuwa się za nimi Charro, Baltasar i Enrique oraz señor Huerta wraz z oddziałem co najmniej dwunastu doborowych jeźdźców. Jeden tylko Refugio był nieuzbrojony, natomiast pozostali mężczyźni ustawiali się wzdłuż ścian, pobrzękując szpadami.

- Cóż oznacza to najście, panie Huerta? - zapytał gubernator, unosząc się z fotela. -

Pana nie wzywałem.

- Tych dwoje to przyjaciele mojego syna. Kto wie, czy przeżyłby, gdyby nie oni. I dlatego są też moimi przyjaciółmi. U dzielę im wszelkiej niezbędnej pomocy, którą na razie ograniczam do udzielenia im wsparcia. Don Esteban z twarzą pociemniałą z gniewu uderzył pięścią w stół. .

- Niewiarygodne! Nie zgadzam się! Żądam, by usunięto stąd tych ludzi!

Gubernator zmiażdżył go spojrzeniem. Widać było, że nie darzył sympatią poborcy podatków; Być może don Esteban okazał się zbyt natarczywy w dochodzeniu swych praw lub usiłował go szantażować swymi koneksjami na dworze. Cokolwiek uczynił, postąpił niemądrze, bo sądząc po surowym wyglądzie i szlachetnych rysach gubernatora Pacheco, nie należał on do ludzi, których łatwo zastraszyć.

- Przypominam panu, że to ja prowadzę przesłuchanie - oznajmił lodowatym tonem najwyższy urzędnik. Więc proszę mi nie przeszkadzać - zakończył, zaciskając usta, po czym zwrócił się do ojca Charro: - Ponieważ jest pan szanowanym członkiem naszej społeczności, wyrażam zgodę na obecność pana i pańskich ludzi. Señor Huerta schylił głowę w ukłonie.

- Dziękuję waszej ekscelencji w imieniu swoim i syna.

- Dziękuję - zawtórował mu Charro, również z ukłonem.

- A więc przejdźmy do rzeczy.

Gubernator zajął miejsce w fotelu i zaczął przeglądać stertę gęsto zapisanych arkuszy papieru, zatrzymując wzrok nieco dłużej na niektórych akapitach. Don Esteban przestępował z nogi na nogę, lecz jego zniecierpliwienie nie robiło najmniejszego wrażenia na urzędniku. Na koniec starannie poskładał papiery i splatając dłonie, oparł je na bibularzu leżącym na stole.

- Te dokumenty zawierają cały szereg zarzutów. Najpoważniejsze z nich dotyczą pana, Refugio de Carranza. Don Esteban Iturbide twierdzi, że jest pan niebezpiecznym bandytą, znanym w Hiszpanii jako El Leon. Oskarża pana o popełnienie wielu przestępstw przeciwko jego osobie. Według niego w grudniu ubiegłego roku porwał pan jego pasierbicę, pannę Pilar Sandoval y Serna, i uprowadził w góry, gdzie przetrzymywał ją pan wbrew jej woli.

- To nieprawda - przerwała mu Pilar. - W obawie o życie sama poprosiłam Refugia,

żeby zabrał mnie z domu ojczyma. Mam poważne powody, aby podejrzewać, iż jest on sprawcą śmierci mojej matki. Z konieczności zostałam z Refugiem, bo don Esteban zasztyletował moją ciotkę, u której zamierzałam zamieszkać.

- Bzdura! - wybuchnął don Esteban, wchodząc jej w słowo. - Od przebywania wśród rzezimieszków i szumowin pokroju Carranzy tej dziewczynie pomieszało się w głowie! Straciła nie tylko rozsądek, ale i poczucie moralności.

- Kogo pan nazywa rzezimieszkami i szumowinami?! - Señor Huerta postąpił krok do przodu. - Racz pan pamiętać, że mój syn przebywał w towarzystwie señora Carranzy, a nie jest ani jednym, ani drugim!

- Panowie, bardzo proszę! - mitygował ich gubernator.

- Señor Huerta ma rację - wtrąciła Pilar. - Nigdy nie widziałam, aby Refugio lub jego ludzie popełnili jakąś niegodziwość, czego nie mogę powiedzieć o moim ojczymie.

- Dziękuję, panno Sandoval! - przerwał jej mocno już zniecierpliwiony gubernator. - Czy możemy kontynuować?

- Kiedy to prawda! - upierała się Pilar.

- Może i prawda, ale na razie wymieniam jedynie zarzuty wobec Refugia de Carranzy.

Proszę zachować ciszę. Mimo dławiącego ją gniewu Pilar powstrzymała się od dalszych komentarzy.

- Gdzie to ja skończyłem? Aha! Według słów don Estebana przetrzymywał pan jego pasierbicę, uwiódł ją i sprowadził z drogi cnoty. Jakoby chciał pan w ten sposób wyrównać rachunki w zastarzałej waśni pomiędzy waszymi rodami. Podobno popłynął pan za nim do Luizjany, obnosząc się ze swym amoralnym związkiem, żeby zdyskredytować don Estebana na nowej, ważnej posiadzie. Ponadto z pomocą porwanej, którą udało się panu całkowicie podporządkować, wdarł się pan do jego domu, przetrząsnął go i ukradł ze skrytki mieszek ze

szmaragdami, stanowiącymi cały, uskładany za życia majątek don Estebana, a do tego jeszcze torturował go pan, aby wymusić informację, gdzie trzyma złoto.

- Szmaragdy? - wyrwało się Pilar.

- Bardzo wygodna forma bogactwa przy częstym przemieszczaniu się - gubernator skierował na nią wzrok.

- I Refugio niby ma te szmaragdy? - upewniła się.

- Został o to oskarżony - zbył ją gubernator, powracając do wymieniaania zarzutów. -

Don Esteban jest gotów przysiąc, że Refugio de Carranza usiłował zabić go podczas wielce nierównej walki na szpady, a gdy to mu się nie udało, rozmyślnie wywołał pożar w przydomowej kaplicy, aby móc łatwiej umknąć ze skradzionymi kosztownościami. W wyniku tego pożaru spłonął cały Nowy Orlean, za co również winę ponosi podejrzany. Pilar puściła mimo uszu resztę wyводу gubernatora.

Zawisła spojrzeniem na Refugiu. Czy to możliwe? Czy naprawdę znalazł szmaragdy i zabrał je, kiedy przeszukiwał dom?

Jeżeli tak, powinien był jej o tym powiedzieć. Niemożliwe, by zapomniał. Musiał wiedzieć, że stanowią równowartość majątku, którego pozbawił ją ojczym. Przecież popłynęła za Estebanem do Luizjany przede wszystkim po to, żeby odzyskać swe mienie.

Aż trudno uwierzyć, że Refugio cały czas miał szmaragdy przy sobie. A jednak ...

wszystko układa się w logiczną całość. Dlaczego Esteban zdecydowałby się na taką ryzykowną i męczącą wyprawę, jeśli nie dla bogactwa, które przedkładał nad wszystko inne na świecie? Refugio, jakby czując na sobie jej wzrok, odwrócił powoli głowę. Dostrzegła w jego martwym spojrzeniu coś na kształt rezygnacji i autoironii.

W jednej chwili opuściły ją wątpliwości. Refugio ukradł szmaragdy i z rozmysłem jej o tym nie powiedział. Tą zdradą przekreślił cały sens ich wspólnych poszukiwań; za cenę

garstki drogich kamieni zniszczył wszystko, co ich łączyło. Zabrał szmaragdy i zatrzymał dla siebie. Miał je cały ten czas ...

## **ROZDZIAŁ XXI**

- Refugio de Carranza, proszę odpowiedzieć na następujące pytanie. - Gubernator

Pacheco zwrócił się do Refugia tonem spokojnym, a zarazem surowym. - Czy rzeczywiście jest pan znany w Hiszpanii pod pseudonimem El Leon?

- Może trudno byłoby mnie porównywać z lwem Refugio lekko się uśmiechnął. -

Natomiast zdarzyło mi się postąpić jak szakal.

- Ha! Całe to przesłuchanie jest żenujące! - nie wytrzymał señor Huerta. - Skarga

została wniesiona z czystej złośliwości po to jedynie, by okryć człowieka niesławą. Don Esteban podskoczył jak oparzony.

- Señor, zarzucasz mi kłamstwo?! W takim razie dowiedz się, że kłamcą jest ten oto

człowiek! - Oskarżycielskim gestem wskazał na Refugia. - To przesłuchanie jest prowadzone zbyt łagodnie. Należałoby go poddać badaniu. Gubernator powiódł spojrzeniem po twarzach obu mężczyzn.

- Nie widzę powodu, aby torturować Refugia de Carranzę. Bez tego dojdę prawdy.

Prowadzę to przesłuchanie, mając na względzie tak powagę postawionych zarzutów, jak i dobro podejrzanego. Jeżeli panom to nie odpowiada, proponuję, byście złożyli skargę w Mexico City albo nawet w Madrycie.

- Carranza jest przyjacielem mego syna, człowiekiem wielkiej odwagi i honoru. -

Señor Huerta nie dał się zbić z tropu. - Nie można udowodnić prawdziwości żadnego z zarzutów stawianych mu przez tego hiszpańskiego arystokratę. Działanie don Estebana jest niczym innym, jak próbą wykorzystania autorytetu tutejszej władzy do prywatnych celów.

Oba rody są od dawna ze sobą skłócone, więc chce wziąć odwet na Carranzie. Uważam, że



nie powinno się na coś takiego pozwalać!

- Jakim prawem zabiera pan głos?! - napadł na niego Esteban. - Co pan może o tym wszystkim wiedzieć, siedząc tu, na tej swojej prowincji? Niech Carranza broni się sam, bo jeszcze się okaże, że pan też jest w poważnych kłopotach!

- Grozisz mi, señor? - zapytał pan Huerta, prostując się.

- Traktuj pan moje słowa, jak chcesz. Najlepszym dowodem na to, że mówię prawdę, jest obecność mojej pasierbicy u boku Carranzy. Czego więcej potrzeba?

- A może Pilar po prostu jest z nami? - Charro wysunął się do przodu. - Ładnie pan o nią dba, oczerniając ją przed wszystkimi.

- Jeździłeś z Carranzą, więc pewnie należysz do jego bandy - skrzywił się Esteban. - Jaką wagę ma twoje świadectwo? Popierasz go, licząc, że w ten sposób uratujesz własną skórę.

- Podły kłamca! - krzyknął señor Huerta.

- Dość tego! Odbiegamy od sedna sprawy - powiedział wyraźnie niezadowolony gubernator.

- Proszę mi dać mówić - nalegał Charro. - Don Estebanie, czyżbyś nigdy nie słyszał o uczuciach? Twoja pasierbica nie jest pierwszą kobietą, która, jak to raczyłeś określić, "zeszła się" z wrogiem swojej rodziny.

Gubernator podjął kolejną próbę uciszenia zebranych. Don Esteban zlekceważył jego wysiłki i roześmiał się pogardliwie.

- Uczucie? Tak to nazwałeś? Przyjacielu, ty mylisz emocje! Carranza zna wyłącznie nienawiść. Porwał moją pasierbicę, żeby mnie ośmieszyć, bo jej wstyd spada na mnie, a on czerpie z tego satysfakcję!

- Nie! - Ostry protest Refugia wybił się ponad głosy Charro i jego ojca, sprzeczących

się z Estebanem, oraz mitygującego ich wszystkich gubernatora. - Nie - powtórzył ciszej jeszcze raz, gdy spór nieco osłabł. - Pilar Sandoval y Serna podróżowała pod moją opieką. To prawda, że naruszyłem dobre obyczaje, ale jedno mogę przysiąc: nigdy nie zamierzałem Pilar skrzywdzić. I niczego bardziej nie pragnę, jak tego, żeby została ze mną na zawsze, bym mógł ją mieć u mego boku do końca moich dni. Moim najszczęśliwszym życzeniem jest pojąć Pilar Sandoval y Sernę za żonę. W ciszy, jaka zapadła po tym oświadczeniu, oczy wszystkich mężczyzn skierowały się na Pilar.

- Czy to prawda? - zapytał ją surowym tonem gubernator.

Czy prawda? Sama nie wiedziała. Nie była przekonana. A wszystko przez szmaragdy.

Nie zależało jej na ich wartości, nie chodziło jej o bogactwo, bo to wszystko nagle przestało się liczyć. Miała za złe Refugiowi, że jej o nich nie powiedział. Zataił przed nią taką istotną informację, pozwalając, by sądziła, że nie ma środków na utrzymanie. Poniekąd uzależnił ją w ten sposób od siebie. Jeżeli zamierzał ją oszukać i zabrać klejnoty, dlaczego nie miałyby uwierzyć, że pozostałe zarzuty z długiej listy don Estebana też są prawdziwe?

Czy Refugio od początku planował ją zatrzymać, aby zniesławić Estebana? Czyżby pozwolił jej zbliżyć się do siebie i kochał się z nią tylko po to, żeby okryć hańbą swego wroga? Czy to możliwe, że wcale mu na niej nie zależało, tak jak miała nadzieję? Że jedynie się nią posłużył, gdy nadarzyła się okazja odwetu?

Nawet jeśli to wszystko prawda, może winić wyłącznie siebie. Bo czyż sama nie zaproponowała mu takiego układu tamtej nocy na patio? Co prawda nie planowała z nim zostać tak długo. Upokorzenie don Estebana miało trwać kilka godzin, no, najwyżej dzień czy dwa, dopóki nie znalazłaby się bezpieczna pod skrzydłami ciotki. Niemniej fakt pozostaje faktem, więc nie ma prawa mieć teraz pretensji do Refugia.

Ale nie pozwoli się dłużej wykorzystywać. Położy temu kres. Zrobi to od razu, w tej

chwili. Zaciśnęła przed sobą dłonie i wzięła głęboki oddech.

- Poczekaj - zwrócił się do niej Refugio z wyraźną prośbą w głosie. - Nie znasz jeszcze wszystkich powodów. - Daj jej mówić - odezwał się Charro, który, nie wiadomo kiedy, znalazł się przy niej na wyciągnięcie ręki. Ma prawo się wypowiedzieć. Pilar ogarnęła spojrzeniem obu mężczyzn. Przeniosła wzrok z budzącej zaufanie, otwartej i spokojnej twarzy Charro na Refugia. Widziała jego rysy, zmienione pod wpływem wyrzutów sumienia, nadziei mieszającej się z rozpaczą, a także tysiąca innych emocji, których nie potrafiła zinterpretować. Sposób myślenia Refugia był zbyt zawiły, uczucia nadto skomplikowane. W tej chwili każda próba ich analizy byłaby dla niej zbyt bolesna. Musi wyprzeć się zażyłości z nim. To najlepsza rzecz, jaką może uczynić dla niego, a przy okazji dla nich wszystkich.

- Refugio de Carranza uczynił mi wielką przysługę i za to jestem mu niezmiernie wdzięczna. - Kiedy przemówiła, jej głos zabrzmiał dźwięcznie i czysto, bo gniew dodawał jej odwagi. - Jeżeli jednak miał jakieś inne zamiary względem mojej osoby, nie uznał za stosowne mnie o nich poinformować. Więc bardzo mi przykro, ale wcześniej zaszczycił mnie prośbą o rękę señor Miguel Huerta.

- I zamierzasz za niego wyjść, señorito? - zapytał coraz bardziej zniecierpliwiony gubernator. Pilar spojrzała we wpatrzone w nią oczy Charro. Nie uszło jej uwagi, że Refugio drgnął i postąpił krok ku niej, lecz natychmiast się opanował.

- Tak - powiedziała. - Przyjęłam oświadczyzny. Rozpromieniony Charro podszedł do niej i obejmując ją ramieniem, odsunął od Refugia. - Och, querida - szepnął. - Będę dobrym mężem. Gubernator odchrząknął i wygładził papiery, leżące tuż przy łokciu.

- No tak. Jedną sprawę mamy wyjaśnioną. Czy mogę kontynuować?

- Najwyższy czas - warknął don Esteban. Gubernator posłał mu niechętnie spojrzenie i zwrócił się do Refugia:

- Señor Carranza, z tego, co dotąd usłyszałem, wynika, że rzeczywiście porwałeś pannę Sandoval. Mniejsza o to, czy stało się to na jej prośbę, czy też dopuściłeś się samowoli.

Na podstawie tego uczynku suponuję, że działanie poza prawem nie jest panu obce.

Gubernator wyczekująco zawiesił głos, lecz Refugio nie skorzystał z okazji. Albo był myślni gdzieś indziej, albo stracił wszelką ochotę do przedstawienia argumentów na swoją obronę, jeżeli w ogóle jakieś miał w zanadrzu.

- I dlatego - gubernator podjął przerwany wątek - nie mogę pana w tej chwili oczyścić z zarzutów. Z drugiej jednak strony, sam akt porwania nie dowodzi jeszcze, że jesteś, señor, El Leonem. Więc nie zamierzam pana zatrzymać.

W gabinecie rozległy się gromkie okrzyki. To kamraci Refugia wiwatowali pospołu z ludźmi señora Huerty. Don Esteban zaklął i uderzył pięścią w blat stołu, aż dokumenty zsunęły się ze sterty.

- Cisza! - krzyknął gubernator, pieczołowicie układając papiery. - To nie wszystko. Sprawa nie jest zakończona.

- Co to znaczy? - obruszył się señor Huerta. Gubernator zignorował go, zwracając się wprost do Refugia.

- Nie mogę pana zatrzymać, ale też, chcąc pozostać w zgodzie z własnym sumieniem, muszę wziąć pod uwagę możliwość, że oskarżenia skierowane przeciwko panu są prawdziwe. W tej sytuacji jedynym wyjściem, jakie mi pozostaje, jest zwrócić się do władz w Hiszpanii z prośbą o rysopis El Leona. .

- To skandal! - wrzasnął don Esteban. - Żądam, aby pan umieścił tego człowieka w więzieniu!

- Żąda pan, señor? - wycedził gubernator, podnosząc się z fotela. - A co pan powie na to, że zatrzymam również i pana do czasu, kiedy nadejdzie odpowiedź z Hiszpanii? Być może

señor Carranza będzie miał ochotę założyć sprawę przeciwko panu, jeżeli okaże się niewinny?

- Nie ośmieli się pan mnie sądzić!

- Nie? - Gubernator, który dominował wzrostem nad Estebanem, spojrzał na niego z góry. - Chyba nie muszę przypominać, że po tej stronie Rio Grande ja reprezentuję prawo.

- Chwilowo. Mam przyjaciół, którzy dopilnują, żeby został pan odwołany ze stanowiska.

- Oby do tego doszło, señor - odpowiedział gubernator przez zaciśnięte zęby. - Marzę o tym, by móc wreszcie wrócić do Hiszpanii! - I stając tyłem do pieniaącego się ze złości Estebana, zwrócił się do wszystkich obecnych w gabinecie: - Słyszeliście moją decyzję.

Dziękuję, że bezzwłocznie stawiliście się na moje żądanie. A teraz żegnam was!

Bardzo chętnie opuścili pałac gubernatora. Powrotowi na hacjendę towarzyszyły radosne okrzyki, szalone galopady i ogólna wesołość. Decyzja gubernatora przechylała szalę zwycięstwa na ich stronę. Pismo do Hiszpanii odbędzie długą podróż. Pojedzie na południe krętymi szlakami do Mexico City, a stamtąd do Veracruz, gdzie załadują je na statek do Hiszpanii. Zawsze istnieje możliwość, że zawieruszy się gdzieś po drodze, a jeśli nawet dotrze do Hiszpanii, jakiś niedbały urzędnik może wrzucić je do szuflady i na długo o nim zapomnieć. Jeżeli jednak, po roku czy dwóch, nadejdzie odpowiedź na list gubernatora, jej treść może okazać się tak niejednoznaczna, że nie będzie przedstawiać żadnej wartości.

Choć większość wieśniaków żyjących między Sewillą a Kordobą oraz część biedoty zamieszkującej te miasta nie ma wątpliwości, że Refugio Carranza i El Leon to ta sama osoba, władze w Madrycie wcale nie muszą być tego świadome. Poza tym pozostaje jeszcze kwestia wiarygodnych dowodów.

Cokolwiek przyniesie przyszłość, na razie nic im nie grozi ze strony Estebana.

Refugio był wolny. Mieli poczucie bezpieczeństwa. Wracali na hacjendę, myśląc o smacznej kolacji i wygodnych łózkach. W dodatku czekało ich wesele. Więc jadąc, śmiali się i żartowali, rozbrykani jak źrebięta. Tylko Pilar, Refugio i przyszły pan młody pozostali cisi. Señora Huerta przyjęła wiadomość o ślubie bez entuzjazmu.

- Czy to prawda, mój synu? - zapytała, ujmując w dłonie jego twarz.

- Tak, madre.

- Będiesz szczęśliwy? Zostaniesz tu z nami?

- Tak, madre. Popatrzyła przeciągle w oczy syna i po chwili powoli skinęła głową.

- W takim razie trzeba jak najszybciej zająć się przygotowaniem do wesela.

- Nie ma pośpiechu - odezwała się Pilar, przysłuchując się im z boku.

- A czy jest jakiś powód, ażeby odwlekać uroczystość? - zwróciła się do niej señora Huerta.

- Nie ma żadnego - Charro odpowiedział za Pilar. Im szybciej, tym lepiej.

- Zgadzasz się? - Jego matka uniosła pytająco brwi, patrząc na Pilar. Cóż miała jej odpowiedzieć? Siląc się na uśmiech, powtórzyła cicho za Charro:

- Im szybciej, tym lepiej.

Do przygotowań przystąpiono już następnego dnia rano. Do sypialni Pilar wkroczyła matka Charro, a za nią dreptała Benita. Służąca niosła naręcze odświętnych sukien w pastelowych kolorach: gołębim, kremowym i żółtym. Przyniosła także białą sukienkę haftowaną w maleńkie niebieskie kwiatki. Wszystkie te stroje należały do kobiet z rodziny pani Huerty. Była tam nawet jej ślubna suknia, a także krynolina córki, która rok wcześniej wyszła za mąż i wyprowadziła się wraz z mężem do posiadłości nad Rio Grande, oraz kilka jej panieńskich. Zostały w domu, bo fasonem nie pasowały mężatce. Pilar musi poprzymierzać wszystkie stroje, a kiedy wybierze coś odpowiedniego na ślub i na inne

odświętne okazje, Benita dokona niezbędnych przeróbek.

Mówiąc te słowa, señora Huerta wskazała służącej nakryte kapą łóżko, dając do zrozumienia, że ma tam porozkładać suknie. Sama natomiast podeszła do wąskich, podwójnych drzwi wychodzących na galerię i szczelnie je zamknęła. Potem rozsiadła się w fotelu stojącym obok rzeźbionej szafy, skąd bardzo dobrze widziała łóżko, i splótłszy dłonie na podolku, czekała na wypełnienie swych poleceń.

Pilar było zupełnie obojętne, w co ubierze się do ślubu, ale starała się zadowolić señorę Huertę i okazać jej swą wdzięczność. Suknia starszej pani była dla niej za krótka, natomiast stroje siostry Charro, choć odpowiedniej długości, okazały się zbyt obszerne w talii. Po długich namysłach señora Huerta orzekła, że suknia w niebieskie kwiatki najbardziej się nadaje na taką uroczystą okazję, więc od niej trzeba zacząć poprawki, a resztą będzie można się zająć później.

Pilar stała sztywno wyprostowana, wyciągając ramiona na boki, a Benita zbliżyła się do niej z nawleczoną igłą. Prawdopodobnie w Tejasie nie znano jeszcze szpilek, bo służąca zaczęła zaznaczać poprawki fastrygą.

Zręczne dłonie Benity bardzo szybko uporały się z pierwszym szwem. Pani Huerta zdążyła zadać Pilar zaledwie parę pytań dotyczących rodziny i klasztornej edukacji, kiedy służąca zajęła się drugim bokiem. Ściągnąwszy ciasno materiał w pasie, wbiła igłę. Pilar poczuła bolesne ukłucie i z piskiem odskoczyła od dziewczyny.

- Najmocniej przepraszam, señorito - powiedziała Indianka, wcale nie sprawiając wrażenia skruszonej. Jej zaczerwienione oczy patrzyły na Pilar z zazdrością i niechęcią. Dziewczyna była zakochana w Charro. Co rusz dawała mu dowody swej troski. A to wyczyściła mu kapelusz, żeby tylko przez chwilę potrzymać go w dłoniach, a to z kuchni przynosiła wodę lub podsuwała jakieś smakowite kąski.

- Ty niezgrabna dziewczyno! - Señora Huerta zerwała się z fotela. - Zobacz, coś

narobiła! Szybko skończ przymiarkę i namocz suknię, żeby zmyć plamę z krwi.

Pilar nawet nie drgnęła, gdy Benita ponownie zbliżyła się z igłą. Indianka musiała ją dźgnąć z zemsty albo chciała ściągnąć na siebie jej uwagę.

Dziewczyna nie powtórzyła więcej swojej sztuczki. Pilar stała cierpliwie, pozwalając się zaszywać w swój ślubny strój, myśląc przy tym, że jej przyszłe życie będzie tak samo ją dławić i krępować jak ten ciasno dopasowany gorset.

Nie tylko ona dostrzegła rozpacz Indianki. Nieco później tego dnia doña Luisa pozwoliła sobie na uszczypliwą uwagę.

- Przez ciebie świat fantazji tej małej zawalił się jak domek z kart - powiedziała, kiedy zbłądziła pod balkonowe drzwi pokoju Pilar, pogryzając pralinę. - Widziałam, jak szorowała kuchenny stół, obficie zraszając go łzami.

- Bardzo mi jej żal - przyznała się Pilar, stając przy niej na galerii.

- Szczerze mówiąc, wcale nie wyglądasz na szczęśliwszą od niej - zauważyła Luisa, przyglądając się Pilar krytycznie.

- Usiłuję się odnaleźć w sytuacji. Wszystko dzieje się tak szybko.

- Tak, na pewno. W ogóle nie martwisz się o Refugia. Pilar podeszła do balustrady.

- A powinnam? - zapytała przez ramię.

- No wiesz ... Publicznie złożył ci propozycję małżeństwa, a ty mu odmówiłaś. Nie jesteś ciekawa, jak przyjął taki afront?

- Miał w tym swój cel. A ja miałam swój, odrzucając go. Refugio bardzo dobrze potrafi rozszyfrowywać motywy, jakimi ludzie się kierują. Jestem pewna, że zrozumiał mój krok.

- Rozumienie czegoś a pogodzenie się z tym to dwie zupełnie różne sprawy.



Zastanawiam się, czy ty go prawidłowo oceniasz. Być może wielu jego działaniom przyświecał jakiś ukryty cel, ale fakt, że jego umysł działa w taki skomplikowany sposób, wcale nie musi oznaczać, że jest pozbawiony uczuć. To człowiek niezwykły. Na twoim miejscu dobrze bym się zastanowiła, zanim zdecydowałabym się go odrzucić.

- Naprawdę? - zapytała obojętnym tonem Pilar.

- Tak. Chociaż zapewne, podobnie jak ty, wybrałabym Charro.

- Ciekawe. A to dlaczego?

- Bo ma lepsze widoki na przyszłość.

- Zdaje się, zapominasz o szmaragdach. Jestem pewna, że Enrique nie omieszkał ci o nich powiedzieć.

- Oczywiście, że nie - roześmiała się. - I doskonale o nich pamiętam. Jak Refugio zdołał je ukraść? To chyba szkoła Enrique, co?

Pilar powoli odwróciła się od balustrady. - I tak otwarcie o tym mówisz?

- Pewnie. Czyż to nie zabawne?

- Więc jest między wami coś więcej niż flirt? - Pilar zmarszczyła brwi.

- Enrique nie jest człowiekiem, który pozwoli się sobą bawić - stwierdziła Luisa z uśmiechem. - Owszem, lubi się podroczyć, jest zabawny i nad wyraz tolerancyjny, ale ma swoje zasady i bywa krewki. Od swojej partnerki wymaga tyle samo, co od siebie. Czy to nie urocze?

- Rozumiem - powiedziała zatopiona w myślach Pilar.

- Nie sądzę - zaśmiała się Luisa. - Ale to nie ma znaczenia. Najważniejsze, że jestem szczęśliwa.

- A co z majątkiem po twoim zmarłym mężu? Wrócisz, żeby załatwić formalności?

- Nie! - krzyknęła Luisa i aż się zatrzęsała. - Nigdy więcej moja noga nie stanie na

statku. I w życiu nie dosiędę konia!

- Jakie to dziwne. Okazuje się, że wcale nie musiałaś wyjeżdżać z Nowego Orleanu.

Mogłaś spokojnie zostać, prawdopodobnie Esteban nic by ci nie zrobił.

- Rzeczywiście, ale czasami los decyduje za nas.

- A co z pieniędzmi? - Pilar przyglądała się jej wnikliwie.

- Enrique się wszystkim zajmie. J ego podróż nie przeraża. A jako mąż będzie miał wszelkie pełnomocnictwa, aby' prowadzić interesy w moim imieniu.

- Mąż! A co z ...

- Refugiem? - Wdowa roześmiała się wcale nieskrępowana. - N a statku traktował mnie życzliwie. Widział, jak bardzo się boję samotności i jakim okropnym przeżyciem dla mnie było małżeństwo z człowiekiem, który oczekiwał ode mnie wyłącznie potomka, a sam wolał życie u boku swojej Mulatki. Później sympatia Refugia dla mnie znacznie osłabła.

Oczywiście, nie stało się tak bez przyczyny. Chciał, żebym zwróciła uwagę na Enrique. Nieco diaboliczny plan, ale nie można odmówić mu mądrości.

Pilar zadumała się. Czy to możliwe, że Refugio chciał, aby ona z kolei zeszła się z

Charro? Czy uznał, że powinien zapewnić los wszystkim kobietom, od których się odwrócił?

Nie wydawało jej się to wielce prawdopodobne, ale postanowiła ucześcić się tej myśli, aby łatwiej jej było wymazać go z pamięci.

- Więc planujecie się tu osiedlić? - zagadnęła Luisę.

- Tak. Mimo że złote miasta okazały się bajką. Podejrzewałam, że Refugio mnie zwodzi. Nie jestem głupia. Ale chciałam sprawdzić, czy rzeczywiście, tak jak mówił, jestem silniejsza, niż mi się wydaje. I byłam bardzo zaskoczona, kiedy się okazało, że on miał rację.

Naturalnie ta kraina pełna Apaczów nadal napawa mnie przerażeniem, ale u boku Enrique nic mi nie grozi. Jak tylko spieniężę posiadłość po mężu, kupimy kawałek ziemi i będziemy

hodować bydło i wychowywać dzieci. Zmienię się w pulchną matronę, ale Enrique i tak się będę podobać.

- A ty? Będziesz zadowolona? Nie zatęsknisz za dworem w Madrycie?

- Oczywiście, że tak! Nieraz wpadnę w histerię i zaleję się łzami, wspominając przyjaciół, bale oraz piękne stroje. Będę się zastanawiać, jak to możliwe, że dałam się zakopać na tym pustkowiu. Ale wiem, że Enrique nie może wrócić do Hiszpanii ze względu na swoją przeszłość. On przymknie oko na moje brewerie, rozśmieszy mnie i smutki przeminą.

- Wiele sobie po nim obiecujesz.

- Bo wiem, że to dostanę. Inaczej być nie może.

- Charro też będzie dobrym mężem - oznajmiła Pilar, zadzierając podbródek.

- Zapewne. Ale czy ty będziesz dla niego dobrą żoną? Kiedy Luisa zostawiła ja samą, Pilar długo zastanawiała się nad odpowiedzią na to pytanie. Postara się być dobra dla Charro, ale czy to wystarczy?

Późnym wieczorem dobiegły ją pierwsze, nieśmiałe akordy gitary. Najchętniej zatrzęsnęłaby okno i drzwi, żeby ich nie słyszeć, ale się na to nie zdobyła. Refugio grał tę samą starą andaluzyjską serenadę, którą słyszała tamtej nocy w Sewilli, a potem jeszcze raz na statku. Melodia przywołała obraz drzewek cytrynowych o woskowanych liściach, kąpiących się w poświacie księżyca, i bardzo wiele wspomnień, które najchętniej wymazałaby z pamięci. Jakby tego było mało, Refugio zaczął śpiewać. Rzewne tony i smutne, wzruszające słowa ścisnęły za serce i zapadały w duszę. Wyszła z sypialni na wąski balkonik. A on niewidzialny, ukryty w cieniu na dziedzińcu, nie przestawał śpiewać.

Dom był pusty. Charro z ojcem i pasterzami pojechał na przegląd stada. Vicente,

Enrique i Baltasar udali się na walki kogutów do indiańskiej wioski. Señora Huerta zajęta

była przygotowaniami do wieczornego posiłku.

Doglądała służby w kuchni, w przybudówce. A doña Luisa przebierała się u siebie do kolacji. Aby się lepiej rozejrzeć, Pilar przeszła parę kroków galerią, przytrzymując się balustrady. Kiedy mijala drzwi Luisy, znalazła się w smudze światła z licznych świec, porozstawianych po całej sypialni. Poświata wyłocila włosy dziewczyny i dodala blasku skórze na smukłej szyi i odsłoniętych ramionach. Lekki wiatr niósł zapach szaławii i poruszał liśćmi winorośli obrastającej balkon. Gdzieś w oddali slychać bylo porykiwanie bydła i pokrzykiwania indiańskich dzieci bawiących się między chatami. Przez te wszystkie odgłosy przebijała się pieśń Refugia, przesładując ją tysiącem wspomnień.

Doszła do końca galeryjki, gdzie pięła się winorośl, i zawróciła z powrotem.

Zrezygnowała z wypatrywania Refugia. Zapewne życzył sobie pozostać niewidzialny. Bardzo chciała, aby Charro i pozostali mężczyźni wrócili już do domu, wypełniając go śmiechem i rozmowami. Marzyła, żeby odezwał się gong przyzywający ich na kolację, chociaż dobrze wiedziała, że będzie milczał jeszcze co najmniej godzinę. Zatęskniła za towarzystwem Luisy, która ciągle tkwiła przed lustrem. Chętnie wypełniłaby jakieś polecenie señory Huerty.

Zrobiłaby cokolwiek, byle tylko uwolnić się od tej muzyki i tego głosu.

Weszła do sypialni i rozmyślnie zatrzasnęła za sobą oba skrzydła drzwi. Śpiew przycichł, przygasł, nie słyszała go już.

A może on zakończył pieśń? Stała chwilę, nasłuchując. Mury domu były grube, a drzwi balkonowe solidne.

Westchnęła głęboko i z zamkniętymi oczyma powoli wypuściła oddech. Uniosła dłoń i rozcierając kark, weszła w głąb komnaty.

Zajęła się układaniem swych nielicznych rzeczy. Po chwili zrezygnowała. Zamknięte drzwi uniemożliwiały dostęp chłodniejszego powietrza z dworu, a po upalnym dniu w

sypialni od razu zrobiło się duszno. Nie będzie się męczyć z powodu jakiejś tam muzyki i swego głupiego przewrażliwienia!

Szeleszcząc spódnicą, podeszła do drzwi i szarpnięciem za klamkę otworzyła obie połowy.

Do sypialni wtargnął podmuch wiatru, a wraz z nim Refugio. Wsunął się do środka cicho jak kot i przywarł plecami do ściany, ukryty za skrzydłem drzwi.

- Wielce pomocna i nieskończenie gościnna - powiedział cicho. - Czy okażesz się również czuła?

## **ROZDZIAŁ XXII**

Pilar odsunęła się od niego.

- Co przez to rozumiesz? - rzuciła na wszelki wypadek, bojąc się, że wbrew własnej woli odpowie na jego pytanie. - Chcę wiedzieć, czy jestem tu mile widziany.

- Jak możesz o to pytać, skoro wiesz, że wychodzę za innego?

- Twój wybieg miał sprawić, że gubernator Pacheco w przyływie współczucia wyda łagodniejszy wyrok. Chętnie odrzuciłbym takie wsparcie, gdybym przewidział, jakie tortury będę przeżywał.

- Doskonale ukrywałeś swoje cierpienie.

- Ćwiczenie czyni mistrza.

- Niestety, klamka zapadła, wychodzę za mąż.

- I złożysz przysięgę wierności? - zapytał ironicznie.

- Naturalnie!

- Ha!

- Uważasz, że powinnam pozostać wierna tobie? U niosła dumnie głowę, odgadując jego myśli.

- Tak mi się przynajmniej zdawało. Sam nie wiem dlaczego. - Wzruszył ramionami.

- Ja też nie, skoro nie obdarzyłeś mnie zaufaniem w innych sprawach.

- Masz na myśli szmaragdy? - Z cierpką nutą w głosie przyjął zmianę tematu. Odeszła parę kroków, zanim z powrotem się do niego odwróciła.

- A cóż by innego? Chowałeś je przede mną, dobrze wiedząc, ile dla mnie znaczą.

Przez całą tę upiorną podróż miałeś je przy sobie i nie powiedziałeś ani słowa. Jak mogłeś? -

,A nie obchodzi cię, ile one mogły dla mnie znaczyć? - Patrzył z napięciem w jej rozognioną gniewem twarz.

- No właśnie. Prawda? Dobra Carranzów w Hiszpanii na zawsze zostały utracone.

Można byłoby za te kamyki kupić hacjendę w Tejasie, bydło oraz konie. I nająć wielu charros, którzy by się tym wszystkim zajęli. Ale jaką wartość przedstawiają te rzeczy w obliczu zdrady, jakiej się wobec mnie dopuściłeś?

- Żadną - odparł zniecierpliwiony. - Jednak gdybym oddał ci te klejnoty, a Esteban by się o tym dowiedział, groziłoby ci z jego strony śmiertelne niebezpieczeństwo. Powiem ci też, że dzięki nim mogłem cię przy sobie zatrzymać. Jej oczy zwęziły się w szparki.

- Jeżeli sądzisz, że dałabym się przekupić, to znaczy, że mnie w ogóle nie znasz.

- Nie o to chodzi. Szmaragdy, które stanowią równowartość twego majątku po matce, były poza zasięgiem Estebana, ale dopóki o nich nie wiedziałaś, nie mogłaś ode mnie odejść, sądząc, że nie masz środków do życia.

Zrezygnowany czekał, co mu odpowie. Stał bez ruchu, oparty o drzwi, chowając ręce za plecami, jakby w ten sposób chciał powstrzymać się od wszelkich gestów, które ewentualnie mogłyby wyrażać prośbę.

Do Pilar powoli docierał sens jego słów: on nie chciał, aby od niego odeszła! Postawił wszystko na jedną kartę, byle tylko ją przy sobie zatrzymać.

- Kiedy więc w Nowym Orleanie znalazłeś szmaragdy, pomyślałeś, że zostawię was i wrócę do Hiszpanii, jak tylko dostanę moją część? - upewniła się po chwili milczenia. - Część? - zdziwił się.

- Naturalnie. Nie wzięłabym wszystkich. Straciłeś nie mniej ode mnie. Mięśnie na jego twarzy stężały.

- Cóż za wspaniałomyślność. Jednak uzyskałabyś to, na czym ci zależało, a ja nie miałbym jak cię zatrzymać.

- Czy kobieta zawsze musi być kupowana lub zdobywana siłą? Czyż nie może być z mężczyzną wyłącznie dlatego, że tego pragnie? Czemu nie wolno jej samej zdecydować, czy chce zostać, czy odejść?

- Gdy wybór trudny, rośnie pokusa, by skorzystać ze swobody, jaką dają pieniądze. Być może była to próba wytłumaczenia motywów postępowania, lecz na pewno nie przeprosiny. Dawał jej coś do zrozumienia, ale nie do końca była pewna, co. Od dawna wiedziała, że jej pragnie, jednak aż dotąd nie podejrzewała, iż nie potrafi pogodzić się z jej utratą. Zadumana opuściła powieki.

- Tamtej nocy, po śmierci Isabel, mówiłeś o osiedleniu się w Nowej Hiszpanii ... - Zawahała się. - To nie były puste słowa? Wiedziałaś, że cię na to stać?

- Nie mógłbym wykorzystać bogactwa, nie narażając się na twoje pytania, skąd je mam - odparł bez namysłu. - Prędzej czy później musiałbym się przed tobą wytłumaczyć.

- Nie wątpię, że coś byś wymyślił. - Na jedną krótką chwilę kąciki jej ust wygięły się w ironicznym uśmiechu. Odepchnął się od drzwi i postąpił krok ku niej.

- Co mam zrobić, żebyś dała wiarę moim słowom? Jak mam cię przekonać? W tej samej chwili na dziedzińcu zastukały kopyta.

Charro wraz z grupą jeźdźców wjechał przez bramę, którą musiał otworzyć dla nich

ktoś ze służby. Ich śmiech i głośne dopominanie się o wino do przepłukania zakurzonych gardeł odbijały się echem o mury domu.

- Lepiej stąd idź. - Pilar spojrzała prosto w oczy Refugia. - Charro nie będzie zachwycony, jeśli cię tu znajdzie.

- Taki z niego zaborczy narzeczony?

- Niewiele mówi, ale widzę, że nas obserwuje - westchnęła zgnębiona.

- 'Nic dziwnego. Na jego miejscu robiłbym to samo - stwierdził Refugio, ale nie ruszył się z miejsca.

- Proszę. Naprawdę musisz już iść.

- Muszę? Mogę zostać. Powiem Charro, że się pomyliłaś, a teraz zmieniłaś zdanie.

- Złożyłam obietnicę. - Jej głos zabrzmiał bardziej stanowczo, niżby tego chciała.

- Obietnicę można złamać. Bardzo często się tak dzieje.

- Ale nie bez ważnego powodu.

- Więc jaki powód byłby dla ciebie wystarczający? - J ego oczy niebezpiecznie zaśniły.

- Na pewno nie szmaragdy - odrzekła szybko, w obawie, że może mieć je na myśli.

- Och, Pilar. Źle mnie oceniasz. Stać mnie na więcej.

A co do szmaragdów ... mam pomysł, jak można je spożytkować. Señor Huerta

wspomniał, że estancja, sąsiadująca od południa z jego hacjendą, będzie wystawiona na

sprzedaż. Właściciel jest w podeszłym wieku i czuje się znużony walką z Apaczami. Chciałby na starość wrócić do Hiszpanii. Uwierz, że ... potrafię kierować się uczuciami.

Szorstki ton, jaki na koniec zabrzmiał w jego głosie, przywołał wspomnienie z

rozprawy w biurze gubernatora. Ktoś wtedy mówił coś o uczuciach Refugia. Czy

przypadkiem nie Esteban? Jej przyszły mąż wszedł do domu. Słyszała, jak ją nawołuje,



sprawdza, czy jest na dole. Potem rozległ się tupot butów na schodach. N a myśl, że za chwilę obaj mężczyźni staną ze sobą twarzą w twarz w jej sypialni, wpadła w panikę, bo w postawie Refugia wyczuwała determinację.

- Refugio, proszę, nie zrób czegoś nierozsądnego wyszeptła, wstrzymując oddech.

Przechylił głowę, mierząc ją twardym spojrzeniem.

- Więc nie interesuje cię, co czuję?

- Nie w tej chwili - odparła, zaciskając w pięści opuszczone dłonie. - I nie tutaj.

Wpatrywał się w nią przez parę sekund, które zdawały się wiecznością. Kroki zbliżały się, Charro był teraz w saloniku przylegającym do jej sypialni.

- W takim razie pozostaje mi żaloba, chęć zemsty i nieodwzajemniona miłość. Cóż, niech tak będzie. U słyszała natarczywe pukanie.

- Pilar?! - zawołał Charro.

Spojrzała na drzwi, ale nie odpowiedziała mu. Jakby przyciągana jakimś potężnym magnesem, odwróciła się do Refugia.

- Powiedziałeś "miłość"? - upewniła się.

Nie doczekała się potwierdzenia. Refugio zniknął. Minał jakiś czas, zanim zdołała rozluźnić naprężone mięśnie i przemogła się, by otworzyć drzwi. Charro stał na progu, patrząc badawczo w jej pobladłą twarz. A potem powiódł wzrokiem po pokoju, zatrzymując go na balkonowych drzwiach.

- Co się dzieje? - zapytał, wchodząc wreszcie do środka. - Źle się czujesz?

- Nie. - Zdobyła się na uśmiech. - Nie, nie ... Odpoczywałam. Powoli zamknął za sobą drzwi. Kiedy ponownie spojrzął jej w twarz, oczy zasnuł mu niepokój.

- On tu był, prawda? Widziałaś się z Refugiem?

- Tak - przyznała. Postąpiłaby nierozważnie, wypierając się.

- Błagał cię, byś wszystko jeszcze raz przemyślała? Wyznawał ci miłość?

- Tłumaczył się - powiedziała. - Przynajmniej usiłował.

- I nic więcej?

Zwiesiła głowę. Czy miała mu powiedzieć, że gdyby im nie przeszkodził, zapewne doszłoby do czegoś więcej?

Podszedł do niej i wziął ją za rękę. Delikatnie gładził kciukami wierzch jej dłoni, skupiony na tej czynności.

- Refugio jest moim przyjacielem. - Jego głos wydobywał się z głębi piersi. - Powiem więcej, traktuję go jak brata. Przygarnął tamtego wystraszonego chłopca, jakim wtedy byłem, i przeobraził w mężczyznę. Dzięki niemu odzyskałem poczucie własnej godności i pewność siebie. Nikogo nie považam bardziej od niego. Jednak, querida, nie mogę pozwolić, by cię potajemnie odwiedzał. To by nas zniszczyło.

- Wiem - odparła, z trudem wydobywając głos przez zaciśniętą krtań. - Nie posunęłabym się do niczego, co mogłoby ... cię zranić. Usiłowałam mu tylko powiedzieć ...

- Jestem tego pewien, ale, gdy chodzi o ciebie, Refugio staje się głuchy. Ma do ciebie słabość. Zanim się zjawiłaś, wszyscy w bandzie uważali, że on jest nieczuły na kobiecy urok. Pilar, Refugio musi opuścić hacjendę. Nie ma tu miejsca dla nas trojga.

- Tak - szepnęła. - A jeżeli nie wyjedzie?

- W takim razie będzie musiał nauczyć się trzymać od ciebie z daleka. A jeśli nie zechce, dojdzie między nami do walki. I jeden z nas zginie.

- Och, Charro, nie! - zawołała, wpatrując się szeroko rozwartymi oczami w jego twarz.

Schylił się do jej dłoni i przycisnął palce do ust.

- Nie ma innego wyjścia - powiedział zdławionym głosem, a jej dłoń owionął jego wilgotny oddech.

- Na pewno jest - zaprotestowała.

W odpowiedzi objął ją i złożył na jej ustach pocałunek. Wargi miał miękkie i delikatne, a trzymał ją tak, jakby była ze szkła. I choć cała drżała w jego silnych, opiekuńczych ramionach, nie czuła nic oprócz strachu.

Tej nocy Pilar źle spała. Bezustannie powracały do niej słowa obu mężczyzn. Refugio ma rację; do przyjęcia oświadczyń tamtego popchnęły ją rozgoryczenie i złość. Czy aż tak źle postąpiła, skoro Charro ją chciał, a ona nie miała nikogo na świecie i nie wiedziała, co ze sobą zrobić?

Uderzyło ją również, że wbrew swoim słowom Refugio nie zaproponował jej części szmaragdów.

Nie chciała ich, mogła się bez nich obejść, ale jednak było to z jego strony przeoczenie. A jeśli nie? Czyżby nadal się obawiał, że don Esteban będzie na nią nastawać? Mówił o miłości. Jak zwykle używał zawitych sformułowań. Czy na pewno miał na myśli to, co chciała usłyszeć, czy też jego słowa zawierały jakieś inne, niezrozumiałe dla niej znaczenie? Co on wcześniej powiedział o uczuciach? Ze zwykł się z nimi kryć? Dlaczego w dalszym ciągu miałyby to robić?

Dusiła się w płóciennej nocnej koszuli z długimi rękawami, którą podarowała jej señora Huerta.

Noc była bardzo ciepła. Zastanawiała się, czy jej nie zdjąć, lecz doszła do wniosku, że lepiej nie, bo chłodny wiatr coraz to zawiewał od drzwi otwartych na balkon. Wygladziła materiał pod plecami i wyplątała się z fałd, bo długa koszula okręciła się wokół jej nóg, kiedy przewracała się z boku na bok.

Wreszcie udało jej się zasnąć. Kilka godzin później wyrwał ją ze snu szmer przypominający ciche stąpanie. Odniosła wrażenie, że ktoś chodzi po galerii, a może nawet

po sypialni.

Narastał w niej gniew. Jeżeli Refugio sądzi, że ma prawo wchodzić do niej, kiedy chce, nawet w środku nocy, to się grubo myli. Powie mu to jasno i wyraźnie, żeby nie było wątpliwości.

Uniosła odrobinę powieki. Otwór drzwi balkonowych tworzył szary prostokąt. Nie dostrzegła tam żadnej sylwetki, nic się nie poruszyło. Pilar nie mogła przebić się przez gęstą ciemność panującą w sypialni. Dokąd poszedł Refugio? Czy w ogóle tu był? Czyżby jej się zdawało, że słyszy kroki?

A może to tylko sen?

Nagle coś zaszeleściło tuż nad jej głową. Zanim zdążyła się obejrzeć czy unieść, na jej twarz i ramiona opadł gruby, ciężki koc. Ktoś z całej siły przyciskał go do jej twarzy. Chciała go odepchnąć, ale przydługie rękawy koszuli krępowały ruchy. Została wciśnięta w materac. Czyjeś kolano miażdżyło jej nogi. Nabrała powietrza, by krzyczeć o pomoc.

Głos uwiązł jej w gardle, bo dłoń napastnika przydusiła jej usta. Rozcięła sobie górną wargę o krawędź zębów. Kiedy silny cios wylądował na szczęcie, przed oczyma zawirowały jej tysiące iskier. Potem światełka powoli przygasły i odpłynęła w ciemność.

Odzyskała przytomność, gdy koń, raptownie osadzony w miejscu, zarył kopytami w ziemię.

Zwisała twarzą w dół, przerzucona przez siodło. Ręce i nogi miała skrępowane i cała była ciasno owinięta kocem, który pachniał owczym runem i dymem z ogniska. W czaszce narastał pulsujący ból. Zaskrzypiało siodło. Ktoś zsiadał z konia i pociągnął ją za nogi. Czyjeś dłonie zacisnęły się boleśnie na jej talii. Pulsowanie w skroniach stało się nie do wytrzymania i znowu pograżyła się w ciemności.

Po raz drugi wyrwały ją z omdlenia czyjeś głosy. Dudniły jej w uszach, jednak nie

potrafiła wyłowić słów. Odwróciła ostrożnie głowę, wstrzymując oddech, gdyż przy najmniejszym ruchu potworny ból zdawał się rozsadzać skronie. Nie od razu się zorientowała, że głosy umilkły.

Uniosła powieki. Leżała na ubitej ziemi. Nadal była owinięta w koc, ale odsłonięto jej twarz. Nad głową ujrzała kratownicę z krzyżujących się belek. Przez ułamek sekundy uległa złudzeniu, że jest na dziedzińcu hacjendy, lecz po chwili dostrzegła spękane, poczerniałe od dymu ceglane ściany i otwór w narożniku kratownicy, przez który widać było fragment usianego gwiazdami nieba. Żadnych sprzętów, mat do spania czy choćby naczyń wokół miejsca na ognisko. Zapewne znajdowała się w opuszczonej indiańskiej chacie.

Odrobina światła, rozpraszająca mrok, pochodziła z metalowej puszki przerobionej na latarnię, umieszczonej na ziemi w pewnej odległości od zwisających na zawiasach drzwi. Dwaj mężczyźni, którzy przy nich stali, co rusz spoglądali w jej stronę. Dopiero po chwili udało jej się dojrzeć rysy ich twarzy.

- Moja droga Pilar, wreszcie oprzytomniałaś - zwrócił się do niej don Esteban. - A już zaczynaliśmy się zastanawiać, czy przypadkiem mój potężny przyjaciel za mocno cię nie uderzył. Widziała tego drugiego. Słyszała, co powiedział ojczym, ale jeszcze nie wierzyła.

Poruszyła kilkakrotnie powiekami, jakby w ten sposób chciała się pozbyć dziwnego ciężaru w głowie. Oblizła spękane wargi.

- Baltasar? - Z jej ust wydobył się ochrypły szept.

- Jesteś zaskoczona? - zapytał Esteban. - Nigdy bym nie przypuszczał, że tak dobrze odegra swą rolę. Nie do wiary, do czego zdolni są ludzie, kiedy przyświeca im jakiś cel.

Zabrakło jej słów. Więzy na przegubach zostały przecięte, mogła więc swobodnie poruszać rękami, ale nogi chyba nadal miała związane w kostkach rzemieniem. Przymknęła powieki i dotknęła dłonią czoła.

- Nie zamierzałem zrobić ci krzywdy - tłumaczył się Baltasar swym dudniącym głosem. - Musiałem tylko wynieść cię z domu bez hałasu.

Podniosła na niego wzrok. Pełgające światło latarni wydobywało z mroku biel jego koszuli i oświetlało szczeciniasty podbródek.

- Dlaczego? - zapytała go.

- Na mój rozkaz. - Esteban odpowiedział za Baltasara. - Postanowiłem cię porwać, bo to jedyny sposób, żeby tu ściągnąć Carranzę, no i odzyskać szmaragdy.

- Jak. ... - zaczęła, lecz zaraz urwała, bo zrozumiała nagle, na czym polegał jego ohydny plan.

- A więc sama widzisz - ucieszył się Esteban. - Przyjdzie tu za tobą, tak samo jak poszedł do Apaczów za tą swoją Isabel. Na pewno to zrobi. Jest przecież El Leonem. Potrząsnęła głową i z miejsca tego pożałowała. Szybko przełknęła ślinę, aby opanować mdłości, jakie wywołał ten gwałtowny ruch.

- Skąd będzie wiedział, gdzie mnie szukać? Jest bardzo bystry, ale nie potrafi czytać w waszych myślach.

- Zostawiłem mu wiadomość na twojej poduszce wyjaśnił Baltasar. - Napisałem, dokąd ma się udać, zastrzegając, żeby przyjechał sam. Zapewne upłynie trochę czasu, nim ktoś znajdzie kartkę i mu ją odda, ale prędzej czy później na pewno się zjawi.

- Na twojej poduszce, Pilar - podkreślił z cynicznym uśmiechem Esteban. - Będzie przygnębiony, nie sądzisz? Nawet nie raczyła spojrzeć na niego.

- Ciągle nie rozumiem, jak ci się to udało. Jak mnie wywiozłeś z hacjendy? -

zastanawiała się, nie spuszczając wzroku z Baltasara. - Przecież bramy pilnuje strażnik. Jakim sposobem mnie przemyciłeś?

- Nic prostszego - odpowiedział z sardonycznym uśmiechem, który nie pasował do

jego puciołowanej twarzy. - Niewiele ważysz, a pnącza winorośli są bardzo wytrzymałe. Jeśli zaś chodzi o strażnika ... akurat ja trzymałem wartę.

- Ale po co mnie porywałeś? Nie prościej byłoby ukraść szmaragdy? Przecież tylko na nich zależy mojemu ojczymowi. Don Esteban zaśmiał się skrzekliwie.

- To o wiele bardziej skomplikowane, bo Carranza się z nimi nie rozstaje. Zresztą trudniejsze czy nie, dla mnie to za mało. Ty, Pilar, najlepiej powinnaś rozumieć, że nie tylko szmaragdów pragnę go pozbawić.

- To szaleństwo - powiedziała rozżalona. - Warto było tyle ryzykować? Z powodu nienawiści i paru kamyków, w których posiadanie wszedłeś nieuczciwie? Dlaczego nie zostawiłeś nas w spokoju, kiedy opuściliśmy Nowy Orlean?

- Bo nie miałem ochoty - odparł podstarzały grubas z twardym błyskiem w oku.

Przypatrywała mu się przez chwilę.

- Pamiętaj, że gdy Refugio tu przyjdzie, cokolwiek się wydarzy, ty za wszystko ponosisz winę. Jej słowa nie wywarły na Estebanie najmniejszego wrażenia. Odwrócił się od niej i niedbałym kiwnięciem ręki przywołał Baltasara. Odeszli obaj w drugi koniec chaty, naradzając się szeptem. Pilar czuła się zupełnie bezradna, leżąc na podłodze, więc podciągnęła się nieco bliżej ściany, aby usiąść i oprzeć się o nią plecami. Po paru minutach pulsowanie w czaszce przemieniło się w tępy ból. Teraz mogła sprawniej myśleć. Czy Refugio się zjawi? Nie miała wątpliwości, że tak.

Przyjdzie, bo jest przywódcą i odpowiada za nią. A także dlatego, że pamięta ich wspólne noce: tę na statku i tamtą drugą, przy skale na prerii. Przyjdzie, bo znalazła się tutaj przez niego i nienawiść Estebana do Carranzów. Ale czy przybędzie sam?

Całkiem prawdopodobne. Zapewne uzna, że musi się poświęcić.

Ile czasu upłynie, zanim go zobaczy? Chyba już zaczyna świtać. Jeżeli nikt nie

zauważył Baltasara wymykającego się z podejrzanym tobołem za bramę i jeśli w nocy nie odkryto jej nieobecności, to aż do śniadania nie zorientują się, że jej nie ma. Nie wiedziała, jaka odległość dzieli hacjendę od tej chaty, zakładała, że nie więcej niż dwie, no może trzy godziny drogi. Na pewno nie wywieźli jej dalej. Bliżej też chyba nie, bo to byłoby dla nich zbyt ryzykowne.

Zatem powinna się go spodziewać nie wcześniej niż około południa. Musi się do tego czasu uwolnić z więzów. A może też uda jej się zrobić coś, co pokrzyżuje szyki ojczymowi. Napięła mięśnie nóg, usiłując rozciągnąć rzemień krępujący je w kostkach. Wpił się w ciało, ale zapanowała nad bólem. Spróbowała wysunąć stopę. Baltasar nie zaciągnął postronka zbyt ciasno, zapewne bojąc się, by nie ograniczyć dopływu krwi do stóp. Albo uznał, że stąd nie ma ucieczki. Nie wiedziała jeszcze, co robi, kiedy zdoła się wyplątać z więzów, najważniejsze, by mieć poczucie, że się nie poddaje.

- Co ty robisz? - zapytał Esteban, oglądając się na nią.

- Nic - odparła z niewinną miną.

- Nie myśl sobie, że uda ci się mnie oszukać. Czemu się tak wiercisz?

- Ścierpły mi palce lewej stopy - poskarżyła się.

- Jak mi przykro! Siedź spokojnie, bo inaczej dopilnuję, żebyś cała ścierpła.

Znieruchomiała, posłusznie wyprostowana, dopóki się nie odwrócił. Wtedy ostrożnie jęła na nowo naciągać postronek.

Refugio zjawił się bezszelestnie. Nie zastukały kopyta, nie trzasnęła ani jedna nadepnięta gałązka, najmniejszy odgłos nie zakłócił nocnej ciszy. Tylko nagle zaskrzypiały drzwi, zwisające na skórzanych zawiasach, i Refugio stanął na progu.

Baltasar wykonał obrót i błyskawicznie wyciągnął zza pasa szpadę - odruch, jaki wyrobiły w nim długie lata spędzone w bandzie. Don Esteban odwrócił się do drzwi z



przekleństwem na ustach. Refugio wszedł do chaty swobodnym krokiem. Pod odrzuconymi połamami zapiętej pod szyją peleryny nie było widać broni.

- Dobry wieczór, panowie! A może raczej powinienem powiedzieć dzień dobry?

- Jak dotarłeś tutaj tak szybko? - warknął Esteban.

- Konno, oczywiście. Czyżbyście się mnie nie spodziewali?

Refugio wszedł parę kroków w głąb chaty. Jego wzrok pobiegł w kąt, gdzie siedziała Pilar. Zatrzymał na niej spojrzenie na jedną małą chwilę, ale była pewna, że żaden szczegół nie uszedł jego uwagi. Musiał dostrzec splątane, rozsypane na ramionach włosy, cienie pod oczyma, zasinienie na brodzie i obskurną derkę, w którą była owinięta. Ona natomiast, zupełnie bezradna, z ciężkim sercem nie odrywała od niego wzroku. Baltasar był zaskoczony nie mniej od Estebana.

- Nie trafiłbyś tutaj tak szybko - zastanawiał Się, marszcząc czoło - gdybyś ...

- Gdybym za wami nie jechał? - podchwycił Refugio. - Czy nie przyszło ci do głowy, mój były przyjacielu, że zbyt gładko ci poszło porwanie?

- Co chcesz przez to powiedzieć?! - ryknął Baltasar.

- Myślałeś, że zastawiasz pułapkę, a tymczasem sam połknąłeś przynętę. Nie zastanowiło cię, dlaczego stoisz w pojedynkę na straży? Kiedyś darzyłem cię zaufaniem, compadre, ale to było dawno temu.

- Chciałeś, żebym porwał Pilar? Nie wierzę!

- Zmienisz zdanie, gdy się przekonasz, że jesteście okrażeni.

Don Esteban krzyknął głośno, wbijając wzrok w ciemną przestrzeń za drzwiami.

Jednak zaraz odzyskał zimną krew. - On kłamie! - stwierdził i zwracając się do Refugia,

dodał: - A nawet jeśli nie, to weź pod uwagę, że nie masz się czym bronić! Refugio spojrzał na niego, udając zdziwienie.

- Rzeczywiście, nie mam. Czy zamierzasz uznać to za okoliczność sprzyjającą pocięciu mnie na kawałki? Spróbuj, a obiecuję, że zostanie po tobie mokra plama, zanim zdołasz wyciągnąć szpadę.

- Groźby bez pokrycia - prychnął Esteban.

- Możliwe. Chcesz się przekonać?

- Nigdy byś nie pozwolił, żeby porwano Pilar ani nikogo z bliskich ci ludzi. - Baltasar pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Tak sądzisz, bo przez ileś tam nocy dzieliłem się z nią postaniem czy derką. Była wspaniałą towarzyszką podróży, lecz każda podróż prędzej czy później dobiega końca.

Baltasar zerknął na Pilar i przeniósł wzrok z powrotem na Refugia.

- Ale ona to co innego. Nie dalej jak dzisiaj rano słyszałem, jak ją poprosiłeś o rękę.

Wszyscy to słyszeli.

- Sprytne, prawda? - zaśmiał się cicho Refugio. - Jestem zachwycony, że dałeś się wywieść w pole, bo właśnie z myślą o tobie wymyśliłem ten podstęp. O tobie, no i oczywiście o don Estebanie. Potrzebowałem jakiegoś sposobu, by zmusić cię, Baltasarze, byś się ujawnił jako zdrajca. A także zależało mi, żeby Esteban złamał prawo i tym samym stracił ochronę gubernatora. Uznałem, że Estebanowi może bardzo odpowiadać porwanie, ponieważ w ten sposób odplaci mi dokładnie tym samym za to, co mu zrobiłem w Hiszpanii. Pozostało mi już tylko przekonać was obu, że zwabicie mnie, uprowadzając Pilar. Czyż był na to lepszy sposób niż propozycja małżeństwa?

## **ROZDZIAŁ XXIII**

Refugio ją wykorzystał! Krew uderzyła Pilar do głowy, kiedy to sobie uzmysłowiła. Z chęci zemsty naraził jej życie! Dla niego znaczyło ono tyle co nic. Nie kochał jej, a jego pełne niedomówień deklaracje to tylko puste słowa. Były jak fałszywe monety, za które zamierzał

raz jeszcze kupić jej zaufanie ... Niewątpliwie zraniła jego dumę, odrzucając publicznie oświadczyły, a gdy zobaczył, że odbiera mu ją inny mężczyzna, jej wartość w oczach Refugia nagle wzrosła. To rozpało na nowo jego pożądanie, więc przyszedł do niej, żeby je zaspokoić.

Co prawda takie postępowanie nie pasowało do tego Refugia, którego, jak sądziła, dobrze zna, ale sam się przed chwilą pogrążył tym, co powiedział. Wnioski nasuwają się więc same.

Baltasar nie dał się tak łatwo przekonać.

- I nie dbasz o to, że Esteban może ją zabić? - zapytał nieufnie.

- A co udowodni takim czynem, oprócz tego, że morderca był silniejszy i uzbrojony?

- Nic - zgodził się olbrzym. - Ale będziesz cierpieć, jak ja cierpiełem. Powiniennem był pojmać Pilar tam, na szlaku, oddać ją w ręce Indian i kazać ci także i ją zabić. - Nie zabiłem Isabel na twój rozkaz. - Refugio pokręcił głową, patrząc mu prosto w oczy.

- Nie? Pamiętam co innego.

- Być może - powiedział łagodnie Refugio. - Ja inaczej to widzę. Musiałem strzelić do Isabel, ponieważ ty ją zawiodłeś.

Pilar, przysłuchując się tej wymianie zdań, poczuła, jak mało istotne jest jej rozczarowanie w porównaniu z głębokim konfliktem dzielącym obu mężczyzn. Zauważyła też, że don Esteban, obserwując ich, uśmiecha się z satysfakcją.

- Uważam, że żaden z was nie ponosi winy za śmierć Isabel - szybko wyrzuciła z siebie w obawie, że za chwilę może stracić wiarę w to, co mówi. - Myślę, że człowiek, który się do tego przyczynił, stoi obok was.

- Co powiedziałaś? - Baltasar ociężale odwrócił się do mej.

- Gdyby nie Esteban, nikt z nas nie opuściłby Hiszpanii. Jego postępowanie

doprowadziło do wielu nieszczęść. To przez niego zabrnęliśmy aż tutaj. W przeszłości przyłożył rękę do śmierci ojca Refugia, a także mojej matki. Przede wszystkim jednak, gdyby nie porwał Vicente i nie wywiózł go do Luizjany, nikt z nas nie ruszyłby się z Hiszpanii, a Isabel nie przyplaciłaby tej wyprawy życiem.

- Gdyby Carranza nie zabrał szmaragdów ... - zaczął don Esteban.

- Przyznaję, to był błąd - przerwał mu Refugio. Zresztą nie jedyny. Niemniej, don Estebanie, uważam, że jesteś bezpośrednio zamieszany w śmierć Isabel.

- Jak to? - Baltasar stał się czujny, mimo że w jego głosie ciągle jeszcze pobrzmiwało powątpiewanie.

- To podstęp - ostrzegł go Esteban. - Nie daj się zwieść pokrętnym argumentom, które mają na celu pomieszać ci w głowie.

- Jakim argumentem? - dociekał z uporem olbrzym.

- To żadna tajemnica - odezwał się Refugio. - Tylko proste, logiczne myślenie.

Esteban podróżował z francuskimi handlarzami, którzy znali tutejsze plemiona, posługiwali się ich językiem, a za toporki, noże i muszkiety mogli uzyskać od nich wszystko, co chcieli.

Pamiętacie, jak Apacze, wytropiwszy nas, jechali cały czas w pewnej odległości? Wyglądało to tak, jakby celowo nas nękali albo chcieli się przekonać, czy na pewno jesteśmy tymi, o których im chodzi.

- Chcesz powiedzieć, że zapłacono im za to, żeby na nas napadli? - podsumował

Baltasar, marszcząc czoło.

- Podejrzewam, że obiecano im muszkiety za nasze skalpy. Baltasar odwrócił się do Estebana.

- Wysłałeś za nami tych morderców z piekła rodem? Zrobiłeś to, wiedząc, że i ja, i Isabel jedziemy z Refugiem?

- Oczywiście, że nie! - zaprzeczył, prostując się, jakby swym wzrostem chciał zrobić wrażenie na olbrzymie. - Zaatakowali was, bo naruszyliście ich terytorium. Janie miałem z tym nic wspólnego.

- Ale na was Indianie nie napadli - zauważył cicho Refugio.

- To niczego nie dowodzi!

- Refugio nigdy niczego nie mówi bez celu - stwierdził ponuro Baltasar.

- Och tak. Chce, żebyśmy skoczyli sobie do gardeł rzekł Esteban.

- Niewykluczone, że do tego dojdzie - odpowiedział mu Baltasar.

- A co z nim? - Esteban podniósł głos. - Zdaje się, to on naraził was na podróż lądem?

Baltasar myślał nad czymś przez chwilę. Pilar spojrzała na Refugia. Don Esteban miał rację - on chciał ich skłócić. Czyżby przyszedł do chaty sam? Przeraziła ją ta możliwość, bo w takim razie, nieuzbrojony, miał przeciwko sobie dwóch mężczyzn dyszących chęcią zemsty. Ale to by również oznaczało, że jego słowa o użyciu jej jako przynęty były tylko wybiegiem. Jeżeli to prawda, jeśli się nie myli, musi mu jakoś pomóc.

- Baltasarze, jeżeli koniecznie chcesz znaleźć winnego, czy pomyślałeś również o sobie? - zapytała. - Gdybyś nie postrzelił Refugia podczas ataku, Isabel nie wyszłaby poza barykadę i Apacze by jej nie porwali. To ty strzeliłeś do Refugia, tak samo jak wcześniej, podczas napadu piratów na "Celestinę", ty przekupiłeś kogoś, żeby go zabił. Zamieniłeś również tępą szpadę na ostrą na turnieju w Hawanie. Dlaczego? Na miłość boską, czemu w porozumieniu z moim ojczymem działałeś przeciwko bandzie?! Olbrzym roześmiał się posepnie.

- Refugio odebrał mi miłość Isabel, a ją samą traktował, jakby była marnym pyłem.

Nie dość, że pozbawił ją wszystkiego, co miała, to jeszcze nie pozwalał jej od siebie odejść.

- Próbowałem ją do siebie zniechęcić - powiedział zamyślony Refugio.

- O tak. Żeby ją poniżyć, sprowadziłeś do chaty Pilar.

Przez obecność damy chciałeś jej dać do zrozumienia, gdzie jest jej miejsce.

- Chciałem, by zrozumiała, jakiej kobiety pragnę.

Musiałem ją przekonać, że nie kłamałem, mówiąc, iż jej nie kocham. Miałem nadzieję, że będzie z tobą.

- I tak się stało. Ale ona nie chciała mojej miłości, szukała pocieszenia. Za całe uczucie, jakim ją darzyłem, odpłacała mi wyłącznie żalem.

- Nieprawda - wtrąciła się Pilar. - Ona cię kochała.

- Tak jak się kocha psa lub kota.

- Myślisz, że Isabel kochała Refugio? Nie. - Pilar pokręciła głową. - Nie, ona go darzyła podziwem za to, że ją uratował z opresji i sprawił, iż po raz pierwszy w życiu poczuła się bezpieczna. To nie miłość, Baltasarze.

- Być może. Ale ja chciałem, żeby to mnie podziwiała.

A dopóki wielki El Leon chodził po ziemi, nie mogłem na to liczyć. Tamtej nocy, kiedy przywieźliśmy cię do chaty, Isabel wyznała mi, że Refugio, oddając ci swoje łóżko, dał jej do zrozumienia, że musi cię zaakceptować.

- A wtedy ty zaproponowałeś swoje usługi jego wrogowi.

- To się stało parę tygodni wcześniej. Po tym, jak Refugio oddał mi Isabel, a ja zrozumiałem, że i tak nic z tego nie będzie.

- Czy ... czy to ty zamordowałeś moją ciotkę, gdy nocowaliśmy w górskiej chacie?

Zniknąłeś wtedy na bardzo długo.

- Nie, jakbym mógł?! Don Esteban wynajął jakichś zbirów. Ja tylko od czasu do czasu informowałem go o ruchach bandy. Niewiele wiedziałem, bo Refugio sam decydował, dokąd pojedziemy i co będziemy robić. Tak było aż do tamtej nocy, kiedy zobaczyłem, jak bardzo

Refugio zranił Isabel, przywożąc ciebie. Zrozumiałem wtedy, że ona mnie nie pokocha, dopóki będzie żył, więc postanowiłem go zabić. Pomyślałem, że don Esteban mnie za to sownie wynagrodzi.

- Chciałeś go zabić po tym wszystkim, co dla ciebie zrobił?! Baltasar odwrócił wzrok.

- Potrzebowałem pieniędzy dla Isabel. Na naszą wspólną przyszłość.

- Nie będzie wspólnej przyszłości, Isabel nie żyje, bo Esteban przyłożył rękę do jej śmierci.

- Jakie to wzruszające. - Esteban wykrzywił cynicznie usta. - Ale ty, moja droga pasierbico, też nie masz przyszłości. Podobnie zresztą jak Carranza. Baltasar znieruchomiał.

Na jego czole pojawiła się głęboka bruzda.

- Obiecał pan uwolnić señoritę Pilar, jeżeli Refugio przyjdzie.

- Oczywiście, bo inaczej nie zgodziłbyś się jej porwać zniecierpliwił się don Esteban. -  
Niestety, nie mogę jej puścić. Poszłaby prosto do gubernatora.

- Refugio może zginąć podczas próby odbicia pasierbicy. Jako jej opiekun ma pan prawo mu ją odebrać pod pretekstem ratowania jej honoru. Ale jak pan zamierza wytłumaczyć gubernatorowi jej śmierć? Lepiej niech pan to wszystko przemyśli. Twarz Estebana przybrała zawzięty wyraz.

- Odkąd Pilar opuściła klasztor, sprawia same kłopoty. Przez nią znalazłem się w wielu niezręcznych sytuacjach. Można upozorować wypadek. Carranza mógł się nią przede mną zasłonić albo zabić ją w przyływie zazdrości. Coś się wymyśli. Chcę ją wreszcie widzieć martwą!

- Napisałeś na kartce, że ręczysz słowem honoru, iż Pilar odzyska wolność -  
przypomniał Refugio, nie odrywając wzroku od twarzy byłego druha.

- Tę wiadomość napisał don Esteban.

- Ale to ty ją dla mnie zostawiłeś i ty postawiłeś warunki. Jak widzisz, dotrzymałem ich.

- Nie zwracaj na niego uwagi! - Esteban ostrzegł Baltasara, podnosząc głos. - Pomyśl, jaka słodka zemsta cię czeka, kiedy Refugio będzie konał ze świadomością, że ona umrze razem z nim, i to przez niego! Baltasar patrzył na Refugia z napięciem, a potem odwrócił się do Estebana.

- To nie w porządku - stwierdził nachmurzony. - Dałem Refugiovi słowo. Nie przyszedłby, gdyby nie uwierzył w moje zapewnienia.

- A co to ma za znaczenie?! - zniecierpliwił się Esteban. Mieniąc się na twarzy ze złości, uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Nie pora teraz na skrupuły!

- Tak jest! Odrzucmy wszelkie obiekcje - odezwał się Refugio. - Skoro nie mogę mieć szlachetnego przyjaciela, lepiej niech zginę z ręki pozbawionego honoru wroga.

- To Refugia chciałem widzieć martwego, nie señoritę Pilar - powiedział Baltasar, ściągając brwi. - Nie zabijam kobiet.

- Twoja zemsta będzie doskonała - podjudzał go jadowitym tonem Esteban. - Jeżeli ona zginie pierwsza, Refugio będzie cierpiał przed śmiercią, tak jak ty cierpiałeś, zanim umarła Isabel. Pilar, która w napięciu obserwowała twarz olbrzyma, widziała, że się waha.

- Co się dzieje, Baltasarze? - zapytała niby zdziwiona. - Nie potrafisz zabić przyjaciela, kiedy patrzy ci w twarz? Zwłaszcza gdy jest nim El Leon? Postąpiłbyś honorowo, dając mu szpadę i stając z nim do walki. Nigdy tego nie chciałeś, prawda? Trzy razy usiłowałeś go zabić i nigdy ci się to nie udało. Czy ty naprawdę jesteś pewien, że pragniesz jego śmierci?

- Zamilcz! - krzyknął rozjuszony Esteban.

Refugio nie odezwał się słowem, ale ani na chwilę nie spuszczał oczu z Pilar i obu



mężczyzn. Pilar skoncentrowała uwagę na Baltasarze. Widziała rozterkę malującą się na jego twarzy i nabrzmiałe żyły na dłoniach zaciśniętych w pięści.

- Esteban doprowadził do śmierci Isabel - mówiła. A wcześniej zabił moją matkę i ciotkę. Teraz chce mnie uśmiercić. Bez wahania rzuca się na kobiety. Ich śmierć znaczy dla niego tyle samo co śmierć zwierzęcia.

- A twoja będzie dla mnie znaczyć nawet mniej. - Esteban wyciągnął szpadę wiszącą u boku. Pilar kątem oka spojrzała na wycelowany w siebie sztych i niewzruszona mówiła coraz szybciej:

- Baltasarze, dopuścisz, aby ten człowiek wypełnił swój zamiar? Pozwolisz mu się wykorzystać, mimo że nasłał na bandę Apaczów, wiedząc, że z nią jedziesz? Rozwiązanie jest proste. Daj Refugiowi swoją szpadę. Daj ją i niech ci dwaj ze sobą walczą.

- Doskonały pomysł - poparł ją cicho Refugio, jakby się bał, że ostrzejszym tonem popchnie Baltasara do podjęcia niewłaściwej decyzji. W tej samej chwili don Esteban postąpił krok w kierunku Pilar.

- Mówiłem ci, że masz być cicho?! - wrzasnął. Baltasar podbiegł, żeby znaleźć się z nim w jednej linii. Refugio trzymał się tuż u jego boku. Klinga szpady Estebana zaślniła srebrzyście, odbijając światło latarni.

Pilar podsunęła się wyżej i przywarła plecami do ściany. Opierając się o nią, uniosła się chwiejnie na związanych nogach. Z całej mocy szarpnęła prawą stopą w nadziei, że wysunie ją z więzów. Poczowała, jak wilgotna strużka popłynęła po podbiciu, wsiąkając w skórzany postronek. Nie zważając na dojmujący ból, jeszcze mocniej napięła rzemień. Nagle więzy się poluzowały. Jej prawa stopa była wolna, ale ścierpła tak bardzo, że Pilar nie wiedziała, czy da radę stać. Kiedy don Esteban spostrzegł, że uwolniła się z pęt, zrobił jeszcze jeden krok, oglądając się przy tym nerwowo na drzwi. Bał się rzucić na Pilar, nie mając do

końca pewności, czy nie są okrążeni.

- Jesteś zamieszany w tę sprawę! - wrzasnął do Baltasara, miotając przekleństwa pod jego adresem. - Więc przestań udawać durnia i bierz się do roboty!

- Przyznanie się do błędu nie jest tchórzostwem mówiła gorączkowo Pilar. - Nic nie jesteś winien Estebanowi. Chyba że myślisz o zapłacie za to, co zrobił Isabel. Masz teraz okazję.

- Słuchaj, co mówi Pilar, Baltasarze - przemawiał łagodnie Refugio. - Posłuchaj jej i albo zemścij się na nim, tak jak radzi, albo daj mi szpadę.

- Wy, głupcy! - wysyczał Esteban z wściekłym grymasem i zaciskając dłoń na rękojeści szpady, zbliżał się do Pilar z ostrzem wymierzonym w jej serce.

Napięta drżące mięśnie, w pełni świadoma, że nawet jeśli uda jej się uchylić, co najwyżej odwlecze cios.

- A potem ty mnie zabijesz za to, co zrobiłem - odpowiedział Baltasar Refugiowi, oblizując suche wargi.

- Nie - szybko zaprzeczył jego były przywódca. Droga ucieczki wiedzie przez te drzwi.

- Nie bądź idiotą! - krzyknął na dobre wystraszony Esteban. - Nie uciekaj! Olbrzym pokręcił głową z wyraźnym wahaniem.

- Ludzie Refugia zaczną do mnie strzelać, jak tylko mnie dostrzegą.

- Być może, więc biegnij ile sił w nogach. Ale proponuję ci odwet za cierpienie Isabel

- powiedział spokojnie Refugio. - N o i możliwość ocalenia Pilar.

- Boże, spraw, żeby celnie strzelali! - wymamrotał Baltasar.

Baltasar wyciągnął szpadę z pochwy, rzucił ją Refugiowi, odwrócił się błyskawicznie i dał nura w uchylone drzwi.

Refugio nawet za nim nie spojrział. Skoczył do przodu i z całej siły podbił szpadę Estebana. Klingi zgrzytnęły o siebie, pomarańczowe iskry posypały się na klepisko. Choć głównie zwały się z metalicznym szczękiem, sztych szpady Estebana wbił się w ścianę tuż nad głową Pilar. Refugio złapał przeciwnika za ramię i odepchnął do tyłu. Ten, wzbijając chmurę pyłu, zatoczył się na ścianę, lecz zaraz się odwrócił, gotowy ponowić atak.

Refugio odskoczył parę kroków i przerzuciwszy przez ramię połę peleryny, czekał na niego na rozstawionych nogach.

Pilar przesuwiała się wzdłuż ściany, byle dalej od walczących mężczyzn.

Przyśpieszony, nierówny oddech utrudniał każdy ruch. Pochyliła się i pociągnęła za brzeg derki, aby Refugio przypadkiem się w nią nie zaplątał.

Rzucił jej szybkie, pełne uznania spojrzenie i znieruchomiał, skupiony na przeciwniku. Esteban zaatakował z desperacką furią. Planował wykorzystać ciasnotę pomieszczenia i wyprzeć Refugia bliżej Pilar albo zapędzić go w narożnik. Pilar, utykając, tak szybko jak mogła, wycofywała się przy ścianie do drzwi. Jednak nie potrafiła się przemóc, by uczynić ten ostatni krok i opuścić chatę. Stała wpatrzona w walczących, bezwiednie mnąc w dłoniach derkę. Z lasu dobiegł ją stłumiony tętent. Baltasar uciekał. Nikt nie krzyknął ani nie wystrzelił. Więc Refugio blefował. Przyjechał po nią sam. Esteban przypominał wściekłe zwierzę, złapane w pułapkę. Stosował wszelkie znane sobie fortele i wykorzystywał wiedzę zdobytą podczas pojedynku w Nowym Orleanie. Natomiast Refugio wiedział, że walczy o życie swoje i Pilar, bo jego klęska oznaczałaby także jej śmierć. Wprawnie parował ataki, unikając przy tym zbędnej brawury.

Pełgające światło rzucało cienie na trzy ściany. Półmrok w narożnikach był bardziej zdradliwy od ciemności panujących na zewnątrz. Walczący nie tylko musieli patrzeć przed siebie i rozglądać się na boki, ale również uważać, aby nie zahaczyć o niski, powybrzuszany

sufit i przy okazji nie strząsańc sobie na głowę kawałków strzechy z gniezdzącymi się w niej pajakami i skorpionami. Refugio poruszał się bezszelestnie, sapanie przeciwnika przypominało odgłos kowalskich miechów. Pot płynął Estebanowi po czole i kapał z czubka nosa. Na surducie między łopatkami pojawiła się ciemna plama. Wilgotna czupryna Refugia skręciła się w pierścionki, szyja w rozcięciu koszuli połyskiwała jedwabiście.

Stopy walczących szurały o klepisko. Kurz wzbijał się do góry i podświetlony drżącym płomykiem, wirował w powietrzu złotawą mgłą. Esteban stawał się coraz bardziej agresywny, tupał głośno, jakby chciał posiekać Refugia na kawałki i wdeptać go w ziemię. Ten zaś uchylał się i ustępował przed Estebanem, unikając w ten sposób zbędnego wysiłku. W pewnej chwili błyskawicznie cofnął się na bezpieczną odległość, odrzucił połę peleryny i wyszarpnął z kieszeni skórzany mieszek. Wbijając w przeciwnika zmrużone oczy, podniósł woreczek do ust, rozwiązał rzemyk zębami, po czym odwrócił sakiewkę dnem do góry. Kamienie posypały się z mieszka, połyskując zielono jak młode, soczyste liście.

Uderzyły o ziemię, rozprysły się wokół stóp obu mężczyzn i znieruchomiały częściowo zagrzebane w kurzu, zdając się mrugać jak kocie oczy.

- Żądałeś szmaragdów w zamian za Pilar - powiedział Refugio. - Oto one! Pewnie część z nich się pokruszy, zanim skończymy, ale dotrzymałem umowy.

Don Esteban zaklął siarczyście. Zaczął się miotać, stąpając na palcach, i rzucał szybkie, rozpaczliwe spojrzenia na klepisko. Zaciskał przy tym zęby i wykrzywiał twarz, jakby dopadł go atak silnego bólu.

Niechący nastąpił na jeden ze szmaragdów. Wciśnięty w klepisko klejnot zazgrzytał nieprzyjemnie pod stopą. Esteban zaczął nieskładnie młócić szpadą, potem wywinął nią młynka i zwarł klingę tuż przy rękojeści ze szpadą Refugia. Kiedy ten odskakiwał, by oderwać broń, Esteban rzucił się za nim, usiłując dosięgnąć go sztychem.

- Nie zbliżaj się! - wycharczał, dysząc ciężko. - Muszę pozbiierać moją własność.

- Proszę bardzo. - Refugio schylił głowę w uprzejmym ukłonie.

Esteban, przykucnąwszy, zbierał porozrzucone kamienie i pieczołowicie układał je na lewej dłoni. W pośpiechu razem z klejnotami podnosił z klepiska grudki ziemi i kurz. Cały czas zerkał podejrzliwie na Refugia, jakby obawiał się z jego strony podstępny albo sam planował jakiś zdradziecki krok. W Pilar narastał niepokój.

- Uwważaj ... - wymknęło się jej ostrzeżenie.

Nie musiała nic mówić. Refugio nie spuszczał oczu ze swego przeciwnika, znając jego przebiegłość i skłonność do nieczystej gry.

Nagle Esteban wyprostował się, cisnął garść oblepionych piaskiem klejnotów prosto w twarz Refugia i z impetem rzucił się do przodu, wyciągając przed siebie szpadę. Refugio schylił głowę przed lecącym w chmurze pyłu gradem kamieni, z całej siły odparował cios i zmyliwszy Estebana efektowną włoską paradą, wykonał pchnięcie. Stalowa klinga weszła w ciało jak w masło. Esteban wydał z siebie głośny okrzyk i obaj znieruchomieli na chwilę. Wyglądało to tak, jakby stali w objęciach, a Refugio podtrzymywał starszego mężczyznę. Tuman pyłu wzbity ich stopami, kłębiąc się i falując, powoli opadał na ziemię. Refugio wyszarpnął szpadę. Esteban zatoczył się i runął na klepisko. Leżał z rozpostartymi ramionami, a czerwona połyskliwa plama na przodzie surduta powiększała się z każdą sekundą.

Pilar wypuściła długo wstrzymywany oddech i przymknęła powieki. W oczach zakręciły jej się łzy, ale czym prędzej je przełknęła. Mdlilo ją, czuła ogromne znużenie i pustkę. Przed chwilą była świadkiem egzekucji. Wiedziała, że do tego dojdzie, od chwili, gdy Baltasar dał Refugiowi swą szpadę i uciekł z chaty. Gdyby Refugio chciał, mógłby przeciągać agonię swego zapiekłego wroga, torturować go, igrając z nim jak kot, który bawi się złowioną

myszą. Lecz mimo że zawdzięczał swój przydomek dzikiemu kotu, nie posunął się do tego.

Dał przeciwnikowi ostatnią szansę. Esteban mógł przerwać walkę i uciec, nawet ze skradzionymi klejnotami. Jednak nie potrafił zrezygnować z podstępu. Liczył, że zaskoczy swego śmiertelnego wroga. I dlatego zginął. Don Esteban nie żyje, już po wszystkim.

Pilar uniosła powieki. Refugio, klęcząc na kolanie, smukłymi palcami o stwardniałym naskórku wybierał z piasku szmaragdy i licząc je po cichu, układał starannie, jeden obok drugiego, w zagłębieniu dłoni.

Ten widok wywołał przykry ucisk w jej piersi. Mimo to podeszła powoli i klękając przy nim, wyłowiła z piasku jeszcze sześć zielonych kamyków.

- To już wszystkie. - Rysy twarzy Refugia pozostały nieruchome, oczy ocieniał mrok.

Pilar zbliżyła szmaragdy do latarni i pochylając się, zdmuchnęła z nich kurz, po czym podsunęła je Refugiowi na otwartej, bladej dłoni, poznaczonej niebieskimi żyłkami.

Ujął ją, przesypał na nią swoje kamienie i zamknął jej palce. Teraz cały migotliwy skarb znalazł się w garści Pilar.

- Co robisz? - zaprotestowała. - Nie chcę ich.

- Kiedyś chciałaś.

- Ale już nie chcę. Ryzykowałeś dla nich życie, poza tym poniosłeś największe straty.

Należą się tobie.

Chciała mu je na siłę oddać, ale nie pozwolił. Zacisnął jej rękę, aż szlifowane krawędzie szmaragdów wpiły się w jej skórę. Potem niespodziewanie puścił jej dłoń i zerwał się z ziemi.

- Nie chcę ich więcej widzieć - oświadczył, odchodząc od Pilar. - Kojarzą mi się z tym wszystkim, o czym chciałbym jak najszybciej zapomnieć. Daję ci je w prezencie. Niech będą twoim posagiem. Cóż, zabieramy się stąd?

- A co będzie z tobą?

Był już przy drzwiach. Obejrzał się na nią, oparty o framugę. Szare oczy patrzyły smutno w zapadniętej ze znużenia twarzy.

- Co ze mną? - powtórzył. - Posag ułatwia życie, ale ... mnie on niepotrzebny.

## **ROZDZIAŁ XXIV**

Następnego dnia odbył się pogrzeb don Estebana. Pochowano go w niewielkiej dolince za hacjendą, miejscu wiecznego spoczynku wszystkich charros i ich rodzin.

Spoczywały tam również doczesne szczątki dziadka Charro, założyciela hacjendy. Staruszek życzył sobie, by nawet z zaświatów czuwać nad swoją mercedes. Później członków rodu Huerta zaczęto chować na cmentarzu na obrzeżach misji San Juan.

Señor Huerta zauważył, że najprawdopodobniej Pilar jest główną spadkobierczynią don Estebana. Jego jedyny syn nie żył, a z tego, co było wiadomo, jej ojczym nie miał żadnych żyjących krewnych w pierwszej linii. W związku z tym nikt nie może zakwestionować jej prawa do spadku. Pilar widziała w tym pewną ironię losu. Możliwość wejścia w posiadanie fortuny niewiele ją obchodziła oprócz faktu, że w tych okolicznościach nie musiała się już dłużej obawiać o szmaragdy. Gubernator Pacheco był obecny na pogrzebie. Posłano do niego Vicente z wiadomością o śmierci don Estebana i pytaniem o ewentualne dyspozycje dotyczące dochodzenia w tej sprawie. Pilar podejrzewała, że wyłącznie ze względu na pozycję społeczną rodziny Huertów gubernator zdobył się na takie ustępstwo, aby osobiście się pofatygować do ich hacjendy. Po ceremonii zarządził przesłuchanie. Pilar w nim nie uczestniczyła z tego prostego powodu, że nie poinformowano o nim ani jej, ani żadnej z kobiet. Dochodzenie trwało bardzo krótko. Według słów Charro, po wysłuchaniu zeznań gubernator uznał, że don Esteban zginął w honorowym pojedynku na szpady i Refugio nie ponosi winy za jego tragiczny finał. Pacheco, który od początku czuł

niechęć do Estebana, nie zamierzał tracić swego cennego czasu na zgłębianie okoliczności jego śmierci. Dał nawet do zrozumienia, że to cud, iż udało mu się pożyć tak długo.

Zasugerował również, by winą za jego śmierć obciążyć Apaczów. Carranza natomiast miał chwilę później przypadkiem znaleźć się na miejscu zdarzenia, dzięki czemu zwłoki nie zostały przez Indian zmasakrowane. Refugio nie zgodził się, twierdząc, że czuje się w pełni odpowiedzialny za swój czyn i nie zamierza się go wypierać. Dodał jeszcze, że choć nie uważa całego zajścia za honorowy pojedynek, jest skłonny przyznać, że w tej sytuacji było to najlepsze rozwiązanie.

Vicente był wstrząśnięty tym, co usłyszał w trakcie przesłuchania, ale cieszył się, że bratu nie grozi kara. Czuł potrzebę podzielenia się swymi rozterkami z księdzem. Jego życzeniu stało się zadość, ponieważ dobry padre z misji San Juan przyjechał do hacjendy na pogrzeb i nawet został na noc. Vicente z ojczulkiem rozmawiali do bladego świtu. Poruszyli wiele tematów. Zaczęli od pojedynku, przeszli do najnowszej interpretacji kwestii teologicznych na uniwersytecie w Sewilli, a zakończyli na problemach życia w osadzie misyjnej, gdzie nie tylko zajmowano się nawracaniem Indian na wiarę chrześcijańską, lecz również rozwiązywano praktyczne kwestie, takie chociażby, jak budowa sprawnie działającego systemu irygacyjnego do nawadniania pól. Rankiem Vicente z kilkoma mężczyznami eskortował księdza do misji, ale nie powrócił z nimi, tylko przesłał wiadomość, że za dwa dni przyjedzie z padre na uroczystość zaślubin, a potem na stałe zamieszka w misji. Czuł się tam potrzebny, zamierzał służyć Bogu, pracując jako ubogi zakonnik aż do czasu uzyskania kapłańskich święceń.

Te parę słów skreślonych ręką Vicente przypomniało Pilar, jak niewiele czasu dzieli ją od ślubu. Jeszcze dwie doby i będzie żoną Charro. Szczerze pragnęła odczuwać radość, oczekiwać tego dnia z niecierpliwością, ale nie potrafiła. Lubiła młodego Huertę, darzyła go



szacunkiem, ponadto wiedziała, że będzie dla niej dobrym mężem. A mimo to myśl o weselu i nocy, która po nim nastąpi, napawała ją lękiem.

Wiele razy chciała pójść do niego i prosić, by zwolnił ją z danego słowa, jednak nie starczało jej odwagi. Nie chciała go zranić ani narazić na zakłopotanie zerwaniem obietnicy. Wstyd jej było przyznać się nawet przed sobą, że tak skwapliwie skorzystała z jego dość niezobowiązującej propozycji, wiedzona wyłącznie rozpaczą i gniewem. W dodatku nie bardzo wiedziała, co miałyby ze sobą począć po zerwaniu zaręczyn, dokąd się udać i jak samotnie pokonać niebezpieczny odcinek drogi do San Antonio. Gdyby bowiem z braku odpowiedniej eskorty nie mogła natychmiast opuścić hacjendy, nie potrafiłaby spojrzeć w twarz państwu Huerta, no i oczywiście samemu Charro.

Podejrzewała, że on zdaje sobie sprawę z dręczących ją wątpliwości, bo nieraz łapała go na tym, jak przygląda się jej z przygnębioną miną. Chodził ponury, pogrążony w myślach, lecz nie odstępował jej na krok, gdy w pobliżu pojawiał się Refugio.

Poza tym dużo przebywał w towarzystwie Enrique. Obu, jak sądziła, brakowało Baltasara. Nic dziwnego, wiele czasu razem spędzili i wiele razem przeszli.

Olbrzym się nie pojawił. Nie natrafili na żadne ślady, które by wskazywały, że kręci się w pobliżu hacjendy. Nikt nie wiedział, gdzie przebywa, co robi i jak sobie radzi.

Możliwości było wiele.

Baltasar umiał się poruszać na bezludnych terenach. Równie dobrze mógł się udać do San Antonio czy skierować w stronę Rio Grande albo pojechać z powrotem na wschód, do Luizjany.

Od tamtej nocy w indiańskiej chacie Pilar często o nim myślała. Chociaż zrobił wiele złego, zawdzięczała mu życie, ponieważ nie zgodził się podnieść na nią ręki. Nigdy nie zapomni wyrazu jego oczu w tamtej chwili, gdy szeptem prosił Boga, by ludzie Refugia go

zastrzelili.

Baltasar pragnął śmierci. Czuł się po części odpowiedzialny za śmierć Isabel, ponadto dopuścił się zdrady wobec swego dowódcy i przyjaciela. Dopóki mógł usprawiedliwiać swoje poczynania żądzą odwetu za los Isabel, potrafił żyć z tym ciężarem. Kiedy dziewczyny zabrakło, nie był w stanie go już udźwignąć. Pilar zastanawiała się, jak potoczą się dalej jego losy. Podejrzewała, że nigdy się tego nie dowie.

Pilar cierpiała na bezsenność. Wydawało jej się, że minęły całe wieki od czasu, gdy po raz ostatni udało jej się głęboko zasnąć. Tego wieczoru wróciła rozdrażniona do sypialni i nawet nie miała ochoty się przebrać w nocną koszulę, więc została w sukni w popielate paski z czarnym gorse, którą włożyła z rana. Usiłowała skupić uwagę na szyciu. Señora Huerta przyniosła jej do wykończenia koronkową halkę, która miała znaleźć się w jej wyprawie. Wkrótce jednak Pilar cisnęła robotę w kąt i nie gasząc świec na nocnym stoliku, wystawiła krzesło na balkon. Pobyt w tym zakątku zacienionym dzikim winem przynosił jej ulgę.

Noc była spokojna, powietrze suche, lecz orzeźwiające.

Gwiazdy świeciły, a księżyc zdawał się wisieć nieruchomo na niebie. Strażnik, który czuwał na wieżyczce, prawdopodobnie przysnął, bo od jakiegoś czasu nie zmieniał pozycji.

Ćmy, zwabione światłem, przelatowały obok niej i wpadały do sypialni. Słyszała, jak trzepocąc skrzydełkami, objijają się o klosze świec.

Pierwsze dźwięki melodii były tak ciche i delikatne, że nie miała pewności, czy przypadkiem nie bierze za muzykę brzęczenia owadów na szkle. Stopniowo akordy nabierały śmiałości, ale nadal płynęły gdzieś z daleka może z pokoju na parterze w drugim końcu łodzi, a może nawet spoza murów dziedzińca.

Rozpoznała serenadę i poczuła, że wokół jej serca zaciska się coraz ciasniej gorąca obręcz.

Dlaczego? Dlaczego jej to robi? Czyżby nie wiedział, jaki ból sprawia jej tą melodią?

Ile wspomnień nią przywołuje? Obrazy dręczyły ją, tańcząc przed oczami. Widziała go, jak tamtej nocy na statku, nagle rozpogodzony, po raz pierwszy bierze ją w ramiona. Jak przyklękając, pociesza małego chłopczyka, którego dziobnęła papuga. Jak obejmuje ją w sypialni domu Luisy pod Nowym Orleanem. A kiedy miasto stanęło w ogniu, jaki smutny wyraz miały jego oczy!

Sylwetka Refugia na koniu ... Pięknie trzymał się w siodle podczas ataku Apaczów.

Jego głos ... zdławiony, głęboki ... Prosi o pocieszenie i obiecuje rozkosze ... I jeszcze deszcz zielonych kamieni połyskujących w świetle latarni ...

Dźwięki gitary nasilały się, grający podchodził powoli coraz bliżej i bliżej. Serenada zdawała się poruszać w niej ukryte głęboko tajemne struny, których drganie, tak samo jak kiedyś, wprowadziło ciało w rezonans. Ale też budził się w niej strach. Jeżeli Refugio wdrapie się na balkon? Jak ona się wtedy zachowa? Czy się mu oprze i każe odejść? Co będzie, jeśli na balkonie znajdzie go Charro?

Czy możliwe, by Charro nie wiedział, że Refugio tu jest? El Leon dawał znać, że się zbliża.

Zapewne dlatego grał.

A może to nie Refugio? Każdy, kto umie grać na gitarze, mógł zapamiętać tę serenadę.

Nie, była pewna, że to on. Nikt inny nie potrafiłby wydobyć z gitary takich czystych, a zarazem nabrzmiałych namiętnością dźwięków. Nie połączyłby w jednej pieśni radości i melancholii. Tylko on, ten wspaniały muzyk i wytrawny szermierz, wiedział, jak złamać jej opór, jak jednym akordem przebić jej serce.

Przymknęła powieki i zasłuchiwała się w serenadę, jakby chciała na zawsze zapamiętać

wszystkie frazy i kadencje oraz wyłowić ukryte w nich emocje. Słuchała ze wstrzymanym oddechem, czując, jak w jej piersi narasta szloch.

Nie zrobi tego!

Nie poślubi Charro, skoro wystarcza parę uderzeń w struny, by obudzić w niej rozpaczliwą tęsknotę. Przysięgając przed księdzem wieczną miłość i wierność, wyrzekłaby się siebie i wszystkiego, co czuje do Refugia. Do czego by to doprowadziło, jeśli nie do nieszczęścia? Jeżeli Refugio po nią przyszedł, to musi z nim iść. Nic oprócz śmierci jej nie powstrzyma.

Czy on rzeczywiście się zbliża? Czy muzyka przybiera na sile? Wstała z krzesła i skryła się za pnącza winorośli. Na czarnym prostokącie dziedzińca panował bezruch i kompletna cisza. Tylko do konchy fontanny wpadały połyskliwe strumyczki wody.

Czy był tu? Czy to jego cień zamajaczył na murze?

Wysilała wzrok, ale wciąż nie miała pewności.

Co zrobią, jeśli ją stąd zabierze? Co z nimi będzie? Dokąd mają się udać? Gubernator Pacheco przymknął oko na okoliczności śmierci ojczyzna, ale to nie znaczy, że zapomniał o liście do Hiszpanii w sprawie El Leona. Upłynie rok, może dwa, i Refugio znowu będzie ścigany. Nawet jeżeli pojedą głębiej na południe, do Veracruz czy Mexico City, prędzej czy później dosięgną ich długie macki królewskiej sprawiedliwości.

Zanim jednak to nastąpi, mogą czerpać radość z życia.

Rok to bardzo dużo czasu. Po roku może przyjść na świat ich pierwsze dziecko, po dwóch następne.

Zostałaby jej pamiątka po Refugiu. Hołubiłaby te maleństwa i przelała na nie całą miłość ich obojga.

Czy on przyjdzie?

Serenada za chwilę się skończy. Jeszcze tylko parę akordów. Westchnęła głęboko, gotowa wyłonić się z cienia, by go przywołać.

Nagle melodia się urwała.

Zakończył ją jęk szarpanych strun. Niespodziewany dysonans przyprawił ją o dreszcz.

Znieruchomiała. Wzbierał w niej lęk. Wyteżając oczy, przesunęła wzrokiem po ciemnych zakamarkach dziedzińca.

Co się dzieje? Kto tam jest? Ledwo opanowała chęć, by nie wykrzyczeć tych pytań na cały głos.

Czy nie powinna zejść na dół i się rozejrzeć? Ale czy to rozsądne? Wahala się, coraz bardziej przekonana, że lepiej nie ruszać się z miejsca.

Na drugim końcu balkonu zaszeleściły liście, po chwili zadrżały jeszcze raz. Ani jaszczurka, ani nawet kot ścigający swą ofiarę nie rozhuštałyby pnączy. Ktoś wspinał się po nich z lodzii na parterze.

Wdrapywał się zręcznie, nie zatrzymując się w poszukiwaniu podpórek dla rąk i nóg.

Musiał to robić nie pierwszy raz. Z idealnym wyczuciem odległości, zgrabnie przerzucał ciężar ciała z gałęzi na gałąź. Jeszcze chwila, a sięgnie balustrady. Pilar wysunęła się ze swej kryjówki.

Wśród liści zamajaczył zarys głowy. Mężczyzna podciągnął się na silnych rękach, złapał się tralek i próbował sięgnąć stopami płytek balkonu.

Pilar w paru krokach wynurzyła się z cienia.

- Refugio, tutaj jestem! - zawołała cicho, z przejścia ledwo łapiąc oddech. Na dziedziniec wypadł drugi mężczyzna. Biegł z gołą głową. Twarz ściągał mu gniew i strach. W rękach ścisnął muszkiet.

- Odsuń się, Pilar! - krzyknął Charro. - Zejdź z drogi! Mężczyzna przyspieszył

wspinaczkę. Już wyplątywał się z wąsów winorośli. Jeszcze chwila, a przerzuci nogi nad balustradą i stanie na balkonie. Na dziedzińcu poniżej Charro uniósł muszkiet i składał się do strzału. Pilar nie wierzyła w to, co widzi.

- Nie! - Z jej gardła wydarł się przeraźliwy okrzyk. Suchy strzał odbił się od murów głuchym echem.

Z lufy muszkietu wyleciał pomarańczowy płomień, a zaraz za nim czarny dym. Tu i ówdzie rozległy się kolejne wystrzały. Eksplozje jedna po drugiej rozrywały powietrze, potworny huk zagłuszał wszelkie dźwięki.

Kule z gwizdem leciały na balkon. Mężczyzna wydał z siebie jęk i zachwiał się, a na jego białej koszuli wykwitły ciemne plamy. Jeszcze próbował chwytać się tralek, lecz już po chwili zwolnił uścisk i bezwładnie runął w dół.

Pilar usłyszała trzask drewnianej kratownicy nad lodżią, a potem łoskot ciała padającego na ziemię. Staniała się, bliska omdlenia, usiłując złapać łyk powietrza. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, czerwone cętki wirowały przed oczyma, serce zdawało się rozsadzać pierś.

- Nie! - wycharczała, gwałtownie kręcąc głową. Nie!!!

Nagle opuściła ją niemoc. Rzuciła się do sypialni, szarpnęła za kłamkę, z furkotem spódnicy zbiegła ze schodów do salonu i wypadła na lodżię.

Na dworze zwolniła i jak w letargu szła na sztywnych nogach do miejsca, gdzie Charro i Enrique nachylali się nad ciałem rozciągniętym na ziemi. Za jej plecami w oknach domu zapalały się światła. Przez łązy dostrzegła Benitę, wybiegającą z kwatery na parterze, i pana Huertę, który właśnie wynurzył się z ciemnego narożnika dziedzińca z dymiącym muszkietem w dłoni. Na odgłos jej kroków Charro zwrócił ku niej szarą twarz z ustami wygiętymi w bolesnym grymasie.

- Nie - powiedział zduszonym głosem, usiłując przytrzymać ją za ramię. - Nie patrz na to. Już nic nie można zrobić.

Wyrwała rękę i ominęła go, uciekając przed nim wzrokiem. Szeleszcząc spódnicą, przyklękła przy zwłokach na kolano. Jednym spojrzeniem ogarnęła rozlewające się czerwone plamy na gorsie koszuli. Drżąc na całym ciele, rozdygotaną ręką odwróciła do światła twarz zmarłego. Z jej ust wydobył się cichy okrzyk, a zaraz po nim urywane westchnienie. Łzy zadrzały na rzęsach i stoczyły się po policzkach. Położyła rękę na czole mężczyzny i delikatnie zamknęła wytrzeszczone, szkliste oczy.

Stojący nad nią ludzie zaszurali nogami, usłyszała ciche stąpanie i jakaś postać zwinnie osunęła się na kolano obok niej.

- Proszę Boga, cara - powiedział półgłosem Refugio abyś była ostatnią osobą, jaką zobaczę przed śmiercią. A kiedy wyzionę ducha, chciałbym, żebyś zamknęła mi powieki. Otoczył ją ramieniem i zanim pomógł podnieść się z ziemi, na chwilę mocno przytulił do siebie. I chociaż poszarzał na twarzy, choć pod oczami miał ciemne sińce, był ciepły, cały i żywy!

- Musieliśmy go zastrzelić - usprawiedliwiał się Charro, podchodząc krok bliżej. -

Baltasar znowu przyszedł po Pilar. Jeden Bóg wie, co go do tego skłoniło. Może planował zemstę albo chciał zabrać szmaragdy? Nie mogliśmy ryzykować.

Señor Huerta i Enrique, którzy również strzelali, położyli muszkiety obok zwłok

Baltasara. Pilar zauważyła, że Refugio miał tylko szpadę, a skórzany pasek, biegnący na ukos przez pierś, podtrzymywał gitarę przewieszoną przez plecy.

- Czy mam dziękować za to, żeście mnie wyręczyli? zapytał. Charro zmrużył oczy.

- Nie było wyjścia - powiedział, czerwieniąc się z gniewu. - Ty byś tego nie zrobił.

- Może miałem ku temu powody.

- Tak. Złe pojęcie, nadmierne współczucie. Baltasar trzykrotnie porywał się na twoje życie i kto wie, czy w jego zatrutym żalem umyśle znowu nie zrodziłby się taki zamysł. Poza tym już raz targnął się na Pilar. Dzisiejsza napaść była również wymierzona przeciwko niej.

- Sądzę, że wcale nie miał zamiaru mnie skrzywdzić wtrąciła Pilar zduszonym głosem.

- Pomógł mi, kiedy ojczym rzucił się na mnie ze szpadą. Nie. Myślę, że on się spodziewał, iż czuwacie. Według mnie Baltasar chciał...

Refugio porozumiewawczo ścisnął ją za ramiona.

- Baltasar chciał kilka szmaragdów - dokończył za nią bez zająknięcia, kiedy zamilkła.

- Niewątpliwie przy ich pomocy łatwiej dotarłby tam, dokąd planował się udać. To oczywiste.

Może oczywiste, ale niezgodne z prawdą. Była niemal pewna, że Baltasar uznał, iż banda

powinna dokonać na nim egzekucji. Refugio rozumiał to równie dobrze jak ona. On też

słyszał błagalną modlitwę olbrzyma w opuszczonej indiańskiej chacie. Zrozumiała po czasie,

że Refugio nie chciał dzielić się tą informacją z Enrique i Charro, by nie pogłębiać ich

poczucia winy.

- Mógł zranić Pilar, żeby wydostać od niej szmaragdy - powiedział Charro, z uporem

kręcąc głową.

- Rzeczywiście, mógł - zgodził się z nim znużonym głosem Refugio.

Pilar domyślała się, że Baltasar dobrze wiedział, iż Refugio nie stoi na straży. Słyszał

przecież, jak gra swoją serenadę. Nie chciał, by jego dowódca musiał przyłożyć rękę do jego

śmierci, być może przez wzgląd na to, ile przeżył, skracając mękę Isabel. Zapewne Refugiowi

też to przyszło na myśl. Musiała mu ciążyć świadomość, że w takiej chwili Baltasar

rozmyślnie go oszczędził. Pilar przypomniawszy sobie, jak bardzo denerwował ją kiedyś zawili

sposób myślenia Refugia. Teraz go uwielbiała, bo był wyrazem jego złożonej natury. Nie

znała nikogo, kto miałby tyle tolerancji i zrozumienia dla słabości ludzkiej natury co on.



Niejednokrotnie się o tym przekonała. Zresztą nie ona jedna. Daj, Boże, by jeszcze raz okazał się wyrozumiały!

- Już po wszystkim. - Banalność stwierdzenia Enrique miała zapewne ukryć to, co naprawdę czuł.

- Przykryjmy ciało. Powinniśmy go pochować i więcej o tym nie myśleć.

- Tak. - Señor Huerta obejrzał się na żonę i Luisę, stojące na uboczu w otoczeniu służby. Skinął na jednego z Indian i wezwał strażnika, który przyglądał się im ze swego miejsca na wieżyczce. Obaj przybiegli bez ociągania.

- Zanieście go tam. - Señora Huerta wskazała na mały gościnny pokój na parterze.

Charro zbliżył się do Pilar.

Na jego twarzy nie odbiły się żadne emocje, kiedy zatrzymał wzrok na ramieniu

Refugia, obejmującym Pilar. - Chodź! - zwrócił się do Pilar. - Przeżyłaś ciężkie chwile.

Odprowadzę cię do sypialni. Położysz się, a ja ci przyniosę kieliszek wina dla uspokojenia nerwów.

- Nie.

Sprzeciw Refugia zabrzmiał stanowczo i ostatecznie. Nie cofnął ramienia i nie odsunął się od niej.

- Nie masz prawa się mieszać. Ona jest moją narzeczoną. - Charro bacznie spojrzał mu w twarz.

- Już nie. Ja mam prawo pierwszeństwa. Zabieram Pilar ze sobą.

- Prawo pierwszeństwa? Czy dlatego, że uczyniłeś z niej swoją kochankę?

Sprzeciwiam się takiemu prawu! - Nie dlatego, mój przyjacielu. Jest moja, bo na obu półkulach składałem jej obietnice i przysięgi, które, choć nie pobłogosławione, są nie mniej wiążące od kościelnych ślubów. Należy do mnie dlatego, że dzieliła ze mną noce i razem ze

mną stawiała czoło niebezpieczeństwu. Mam do niej prawo, ponieważ potrafimy czytać w swoich myślach. Ona uosabia piękno, siłę i prawdę, a ja ich potrzebuję. Jest panią mego serca i ukojeniem dla mej duszy. Zabieram ją, bo muszę. Pojedzie ze mną, ponieważ sama tego chce.

- Nie pozwolę ci jej zabrać - oznajmił Charro, prostując się. Księżyc oświetlał wydatne kości policzkowe jego twarzy. Oczy krył mrok.

- Spróbuj mnie powstrzymać - odparł półgłosem Refugio, wyciągając szpadę. Benita krzyknęła. Z ust señory Huerty wyrwał się jęk, a jej mąż zaklął pod nosem. Służący, którzy nieśli zwłoki Baltasara, położyli ciało na ziemi i znieruchomieli w gotowości, czekając na rozkaz swego chlebodawcy. Charro nawet nie drgnął, tylko jego pierś falowała w rytm przyspieszonego oddechu.

- Jedno moje słowo, a dwunastu uzbrojonych mężczyzn w mig stanie u mego boku. -

Głos Charro zdradzał napięcie. - Brama jest zamknięta. Nie masz jak się stąd wydostać.

- Walka nie należy do moich ulubionych rozrywek, ale jeśli trzeba, nie będę się uchylał - odpowiedział Refugio, trzymając zaledwie kilka centymetrów od piersi Charro wycelowany w serce sztych. - Za murem czekają osiodłane konie, a bramę otworzy Enrique. Kiedy Charro obejrzał się na akrobatę, ten skinął głową, wzruszając przy tym ramionami.

- Zabraniam - oświadczył przyszyły dziedzic estancji Huertów. - Moje słowo jest tutaj prawem.

- Nie dla mnie - sprzeciwił się wyraźnie zasmucony Enrique. - Refugio jest i zawsze będzie dla mnie przywódcą, El Leonem. Charro zacisnął zęby. Odwrócił się gwałtownie do Pilar. Z odchyłoną dumnie głową, spod przymrużonych powiek przyglądał się jej pobladłej twarzy.

- W takim razie musieliście to zaplanować. Powinienem się tego spodziewać. A ty

wiedziałaś o tym? - zwrócił się do niej. Pilar zaprzeczyła ruchem głowy, lecz nie zdążyła otworzyć ust, bo Refugio ją wyprzedził.

- To był wyłącznie mój plan. Porwanie miało nastąpić dzisiejszej nocy, a ... reszta to czysty zbieg okoliczności.

- Jesteś jak zwykle szarmancki, ale to nie od ciebie oczekuję odpowiedzi. Pilar, nie protestujesz ani nie prosisz, żeby zostać. Jeżeli źle zrozumiałem to, co powiedziałaś przed gubernatorem w obecności świadków, powinnaś mnie była wyprowadzić z błędu.

- Dobrze rozumiałaś. Charro, tak ... mi przykro. Sądziłam, że to będzie najlepsze rozwiązanie dla nas wszystkich. Myliłam się.

- Więc chcesz jechać z Refugiem? Przygryzła wargi.

- Proszę, nie próbuj go zatrzymywać. Przeraza mnie myśl, że mogłoby znowu dojść do rozlewu krwi. - Lecz jeśli nie chcesz ... - zaczął z nadzieją.

- Nie, nigdy ... nie byłam ... mu niechętna.

Refugio dał Enrique znak szpada. Akrobata doskoczył do bramy i pociągnął za zasuwę. Refugio powoli, krok za krokiem prowadził Pilar ku szeroko otwartym wrotom.

Charro podążał za nim z dłońmi zamkniętymi w pięści. Zaciskał szczęki tak mocno, że widać było napięte mięśnie żuchwy. W jego oczach malowało się wahanie.

- Pozwól im odjechać, synu - padła za jego plecami cicha rada señora Huerty. - Dość już nasiałeś zamętu.

- Tak. - Benita poparła go głosem, w którym gniew łączył się z radością. - Niech jadą.

Refugio nie zamierzał dłużej zwlekać. Pociągnął Pilar za sobą i razem wybiegli za bramę, kierując się do koniowiązu, gdzie czekała para białych koni. Podsadził Pilar na siodło, rzucił jej wodze i wskoczył na swego wierzchowca. Chwilę później byli już na piaszczystym trakcie do San Antonio. Jechali rączym, równym galopem. Pilar nie pytała o cel podróży, nie

interesowało ją, dokąd się kierują. Najważniejsze, że u boku miała Refugia, a przed sobą wolną drogę, wysrebrzoną poświatą księżyca. Przepelniała ją miłość. Nikt i nic nie mogło zburzyć jej radości. Wiedziała, że tę chwilę na zawsze zachowa w pamięci.

Kiedy ujechali jakieś pięć mil, obejrzała się. Droga była pusta, ale w oddali unosiła się kurzawa, rozświetlona księżycowym światłem. Obłok pyłu toczył się szybko. Musiały go wzbijać kopyta koni sporej grupy jeźdźców. Zaniepokojona, spojrzała na Refugia. - Ktoś jedzie za nami! - zawołała.

- Wiem! - odkrzyknął.

- Apacze?! Pokręcił głową.

- Nie. Charro.

Zmusili konie do szybszego biegu. Wiatr chłodził im twarze, powietrze pachniało szałwią. Dzikie króliki pierzchały spod kopyt i kicając, uciekały na boki. Od czasu do czasu przed końmi wyrastały stadka smukłoszyich ptaków. Biegły, podrygując, na swych długich nogach i po chwili znikały w wysokiej trawie. Księżyc, który doszedł do schyłku nieboskłonu, nagle skrył się za horyzontem. Jechali bez wytchnienia, a grupa jeźdźców podążała za nimi, cały czas utrzymując tę samą odległość. Zaczynało świtać. Na niebie zasnutym szarym welonem pojawiły się różowe i czerwone smugi. Promienie wschodzącego słońca raziły ich oczy. Kiedy w świetle poranka świat nabrał ostrości, wiatr przyniósł im odgłos dzwonów bijących w misji. Vicente czekał na nich przed kościołem. Bracia uścisnęli się serdecznie, a potem Vicente podszedł do Pilar i złożył na jej policzku pocałunek.

- No, dość tego - powiedział Refugio, udając niezadowolenie. - Musimy się śpieszyć.

- Czyżby się zanosilo na kłopoty? - zapytał Vicente, poważniejąc w jednej chwili.

- Bardzo możliwe. Charro jedzie za nami.

- W takim razie chodźcie! Padre czeka.

Vicente pierwszy wszedł do kościoła. Refugio odwrócił się do Pilar i patrząc na nią z powagą, podał jej ramię. Nie pamiętała wyrazu takiej bezgranicznej szczerości w jego oczach.

- Nie chciałem - zaczął, wciągając głęboki oddech i unosząc ramiona - żeby tak się to odbyło. Najpierw postanowiłem przekonać cię, że wszystko, co powiedziałem Estebanowi i Baltasarowi tamtej nocy, było kłamstwem, które miało cię utrzymać przy zdrowych zmysłach i wykrzesać z ciebie chęć do walki o życie. A potem zamierzałem wyszeptać wszystkie tkliwe słowa, jakie tłumilem w sobie przez te długie miesiące, kiedy nie miałem prawa składać ci żadnych deklaracji. Chciałem wyznać miłość i przekonać cię o niej najczulszymi pieścizotami. Porwałbym cię dopiero wtedy, gdyby to wszystko zawiodło.

- Dopiero wtedy? - powtórzyła, wpatrzona w jakiś niewidoczny punkt tuż nad jego ramieniem. - Czy to znaczy, że podejrzewałeś, iż mogłabym tego chcieć?

- Domyślałem się tego. Powiedz, czy się myliłem.

Czy zdobyłabyś się, by zranić dumę Charro zerwaniem zaręczyn tuż przed ślubem?

Czy wygrałabyś walkę z własnym sumieniem? Dlatego zdecydowałem za ciebie.

- Chciałeś mnie uchronić przed popełnieniem błędu?

- Nie jestem aż tak szlachetny. Pragnąłem cię zatrzymać dla siebie.

- Słyszałam, jakimi argumentami przekonywałeś Charro - zaczęła niepewnie, patrząc w jego uważne szare oczy. - Naprawdę pragniesz tego, o czym mówiłeś?

- Pragnę, muszę to mieć i jestem gotowy jak szalowiec walczyć o ciebie z całym światem.

- Sam podróżowałbyś o wiele szybciej - stwierdziła zgnębiona.

- Nie spieszy mi się donikąd.

- A powinno. Co będzie, jeśli gubernator Pacheco dostanie odpowiedź z Hiszpanii?

- Postanowił nie wysłać listu. Poinformował mnie o tym na pogrzebie .. Tejas

potrzebujecie osadników. Wiele osób, które przybyły w te strony, wcześniej weszło w konflikt z prawem. Według niego połowa urzędników prowincji należy do tej kategorii.

- Więc on o tobie wie?

- Raczej nie chce wiedzieć. Dopóki istnieją wątpliwości, nie ma zamiaru interweniować. W dodatku twój ojczym nie przypadł mu do gustu. Don Esteban bardzo mu się naraził swoim zachowaniem. Ponadto w Madrycie słyszał na jego temat coś, co podważało jego wiarygodność. I wydaje mi się, że swego czasu znał mojego Ojca.

- To znaczy, że nic ci nie grozi - podsumowała, rozpogadzając się.

- Obojgu nam nic nie grozi. Na razie, bo ciągle pozostaje otwarta sprawa twego porzuconego oblubieńca. Czas ucieka. Moja słodka Pilar, wolisz zmarłego porywacza czy zmarłego męża? Co mam zrobić, żeby dostać odpowiedź?

- Wystarczy poprosić - oświadczyła, patrząc mu prosto w oczy. Twarz rozjaśnił mu swawolny uśmiech. - Wolę moje sposoby. Pochwycił ją na rękę, uniósł wysoko w silnych ramionach i wszedł do kościoła.

- Czy wyjdiesz za mnie? - zapytał wzruszonym głosem, przystając w kruchcie.

- Natychmiast - odpowiedziała, słysząc stłumiony tętent kopyt i głośnie bicie własnego serca.

- Tak, natychmiast - powtórzył za nią jak echo. Czekał na nich ksiądz w ornacie. Przed ołtarzem, obstawionym płonącymi świecami, stał klęcznik. W powietrzu unosił się zapach kadzidlanego dymu i suchego drewna. Indianie siedzący na prostych drewnianych ławach patrzyli na nich z wyczekiwaniem. Dzwony umilkły. Wszystko było gotowe.

Szybko podali księdzu swoje imiona. Powtarzali za nim słowa przysięgi, a płomyki świec odbijały się złoto w ich spokojnych, poważnych oczach. Kapłan uczynił znak krzyża nad ich głowami. Byli po ślubie. Kiedy na koniec ksiądz zaintonował modlitwę, jego łagodny

głos brzmiał trochę nerwowo. Drzwi kościoła otwały się, zadudniły buty o deski podłogi i zapadła cisza.

Głos księdza zadrzał, lecz dzielnie odmawiał modlitwę i podniósł wzrok na przybyłych, dopiero kiedy ją zakończył i pobłogosławił nowożeńców.

Pilar, wsparta na ramieniu Refugia, powoli uniosła się z klęczek i odwróciła od ołtarza.

W poprzek nawy stał Charro z Enrique i señorem Huertą po bokach. Za nimi tłoczyło się około dwudziestu rosłych mężczyzn. Ich twarze i ubrania pokrywał kurz. Wszyscy ściskali kapelusze w dłoniach.

- Nie mogliśmy dopuścić, byście jechali bez eskorty, choć przyznaję, że trochę zmarudziliśmy - odezwał się Charro z przewrotnym uśmiechem. - Nie wybaczylibyśmy sobie, gdyby nie doszło do ślubu przez Apaczów, bo ... my wszyscy ... uważamy, że ta uroczystość powinna była się odbyć o wiele wcześniej.

- Dobrze powiedziane, synu! - Señor Huerta poklepał Charro po plecach. - Uczymy ten dzień, tak jak się to robi tylko u nas, w Tejasie! Moja żona wraz z Benitą przygotowuje ucztę. Gońcy już się rozjechali spraszać gości. Do naszego powrotu komnata dla oblubieńców zostanie odświętnie przystrojona. Możecie w niej siedzieć, jak długo wam się podoba, dopóki nie opadniecie z sił. Jedziemy! Czas się weselić!

Radości i zabawie nie było końca. Przez dwie doby grała muzyka, raczono się jadłem i winem. Doña Luisa i Enrique, patrząc na to, co się dzieje, postanowili jeszcze przed ślubem przenieść się do San Antonio. Obawiali się bowiem, że nie przeżyją jeszcze jednej takiej fiesty w estancji. Z początku Charro silił się na dobry humor. A potem coraz lepiej się bawił. Ciemnookie panny z sąsiednich hacjend przechadzały się w jego pobliżu, posyłając powłóczyście spojrzenia. Często też widywano go w zacienionych miejscach w towarzystwie

Benity. Dziewczyna wzięła sobie za punkt honoru rozproszyć jego smutki czułymi słówkami, wymownymi spojrzeniami i nadzieją na zaproszenie do swej kwatery.

Pierwszego wieczoru Benita podeszła do Pilar siedzącej na galerii i nachylając się nad jej krzesłem, wyszeptała:

- Musisz jutro zemleć trochę ziarna.

- Co takiego? - Pilar odwróciła się do niej ze zdziwioną miną.

- Wśród współplemieńców mojej matki, którzy przybyli tutaj z południa Meksyku za misjonarzami, często się zdarzało, że młodzi mężczyźni porywali narzeczone. Jeżeli dziewczyna nie ucieka, powinna zemleć ziarno, wtedy wszystko jest w porządku.

- Będę o tym pamiętać - obiecała z uśmiechem Pilar.

- Wiem, że to śmieszne, ale jest w tym przesądzie ludowa mądrość. Czy mam ci przynieść misę z kukurydzą? - Bardzo proszę - odrzekła Pilar, zastanawiając się w duchu, co powie Refugio, kiedy ją zobaczy przy tej czynności. - Dobrze - obiecała Benita i poszła sprawdzić, z kim tańczy Charro. Pilar zastanawiała się, jaki los czeka tę dziewczynę.

Wydawało jej się mało prawdopodobne, by rodzice Charro wyrazili zgodę na ich ślub, mimo że chcąc ich rozdzielić, o mało nie utracili syna. Być może jest jakiś sposób, żeby pomóc młodemu. Będzie musiała o tym pomyśleć. Robiło się późno. Refugio, który gwarzył z Enrique i señorem Huertą, nie bardzo skupiał się na rozmowie, zajęty posyłaniem Pilar spojrzeń, od których płonęły jej policzki. Przeprosiła więc panią domu i życząc jej dobrej nocy, powoli ruszyła ku schodom. Piętnaście minut później do sypialni wszedł Refugio.

Czekała na niego w łóżu z draperiami. Leżała naga, przykryta po szyję prześcieradłem, a w jej świeżo wyszczotkowanych, rozsypanych na poduszce włosach igrało światło jedynej palącej się w komnacie świecy. Refugio zatrzymał się na progu, nie mogąc oderwać od niej swych pociemniałych ze wzruszenia oczu. Potem wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.



Właśnie wtedy dostrzegł na swojej poduszce mieszek ze szmaragdami.

- Co to? - zapytał cicho, ściągając koszulę.

- Moje wiano - odrzekła.

- Wierz mi, ostatnią rzeczą, jakiej pragnę w tej chwili, to urazić cię, ale nie życzę sobie, by one leżały na mojej poduszce.

- Musimy zdecydować, na co je przeznaczymy.

- Musimy? Teraz? U dała, że nie słyszy ukrytej wymowy tych pytań.

- Nic jeszcze nie postanowiliśmy w związku z tą estancją, która ma być wystawiona na sprzedaż.

- Chciałabyś mieć hacjendę?

- Myślałam, że tobie na tym zależy, skoro sam o niej wspomniałeś.

- Szmaragdy są twoje. Zrobisz z nimi, co zechcesz. Odrzucił koszulę i powoli zzuwał buty. Rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie.

- Jak mogę kupić ziemię bez porozumienia się z tobą? To nie ja będę czuwać nad jej uprawą i walczyć z Indianami!

- Żądasz, żebym podjął decyzję?

- Niczego nie żądam! - odparła i unosząc się, zgarnęła mieszek z poduszki, po czym cisnęła nim w Refugia. Zrób z nimi, co ci się żywnie podoba! Puścił na wpół rozpięte spodnie, by złapać sakiewkę. Jego spojrzenie zawisło na perłowobiałych piersiach Pilar, kiedy zsunęło się z nich prześcieradło.

- Na co tylko mam ochotę? - upewnił się cicho.

- Tak. Nie obchodzi mnie to. Nigdy mi na nich nie zależało, z wyjątkiem ...

- Wiem, cara. Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości. Nie musisz nic mówić. Zdjął spodnie i nagi usiadł na łóżku obok niej. Przesunęła spojrzeniem po jego rzeźbionym ciele i

odwróciła oczy.

- W takim razie umówmy się, że one należą do nas obojga. Razem zadecydujemy, co z nimi zrobić.

- Niech będzie - wymruczał i pociągnawszy za prześcieradło, odrzucił je na skraj łoża.

- Właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Pochylił się nad nią, podparty na łokciu. Pchnął ją delikatnie na poduszki i otworzywszy mieszek ze szmaragdami, odwrócił go dnem do góry. Drgnęła, gdy zimne kamienie dotknęły jej skóry.

Szmaragdy potoczyły się wzdłuż rowka między piersiami, rozsypały na płaskim brzuchu, a ostatni błyszczący klejnot zatoczył się na wznórek w spojeniu ud. Kiedy odgadła zamiar Refugia, fala podniecenia wezbrała w jej żyłach. Patrzyła oszołomiona, jak pochyła się nad nią i zamyka usta na szmaragdzie leżącym na piersi, pieszcząc skórę wargami, a potem powoli, z ociąganiem unosi głowę.

- Trochę zapiaszczony, ale niewiarygodnie pyszny stwierdził, wypluwając kamień na otwartą dłoń.

- Niewiarygodnie? - upewniła się gardłowym szeptem.

- Być może znalazłbym na to wytłumaczenie, gdybyś koniecznie chciała je usłyszeć. -

Uniósł kąciki ust w uśmiechu.

- Kocham cię - wyznała.

Wodziła opuszkami palców po jego policzkach, gładziła po sztywnych, falujących włosach. Rozpierała ją radość, narastało pożądanie, budziła się w niej nadzieja.

- Wiem - odpowiedział, wpatrując się w jej twarz rozpalonymi oczyma. - Myślałem, że nigdy tego od ciebie nie usłyszę. Zresztą, gdybyś powiedziała to i tysiąc razy, zawsze mi będzie mało.

- Sprawdzimy?

- Nie ... nie teraz.

- Och, coś innego masz teraz w planie?

- Być może. - Nachylił się i podniósł ustami następny szmaragd, lecz wypluł go

jeszcze szybciej niż poprzedni. - Strasznie trzeszczy w zębach. To chyba nie był najlepszy

pomysł. Pilar uniosła brwi, nie odrywając od niego błyszczących oczu. Zdjęła kilka

najbardziej zapiaszczonych kamieni i wytarła je w prześcieradło, po czym ułożyła dokładnie

w tych samych miejscach, skąd je wzięła. Na koniec ostrożnie sięgnęła po świecę i zbliżając

do ust, zdmuchnęła płomień.

- Nie sądzę, żeby to był zły pomysł - powiedziała cicho, opadając na poduszkę.